

# Marcin Kącki BIAŁYSTOK

Biała siła, czarna pamięć



W serii ukazały się ostatnio:

Paweł Smoleński *Oczy zasypane piaskiem*  
Scott Carney *Czerwony rynek. Na tropie handlarzy organów, złodziei kości, producentów krwi i porywaczy dzieci*  
Mateusz Janiszewski *Dom nad rzeką Loes*  
Norman Lewis *Neapol '44. Pamiętnik oficera wywiadu z okupowanych Włoch*  
Witold Szablowski *Zabójca z miasta moreli. Reportaże z Turcji* (wyd. 2 rozszerzone)  
Peter Harris *Słuszny opór. Konstruktorzy bomb, rebelianci i legendarny proces o zdradę stanu*  
Liao Yiwu *Bóg jest czerwony. Opowieść o tym, jak chrześcijaństwo przetrwało i rozkwitło w komunistycznych Chinach*  
Dariusz Rosiak *Wielka odmowa. Agent, filozof, antykomunista*  
Anthony Shadid *Nadciągła noc. Irakijczycy w cieniu amerykańskiej wojny*  
Ilona Wiśniewska *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen*  
Iza Klementowska *Samotność Portugalczyka*  
V. S. Naipaul *Poza wiarą. Islamskie peregrynacje do nawróconych narodów*  
Drauzio Varella *Ostatni krąg. Najniebezpieczniejsze więzienie Brazylii*  
Ewa Winnicka *Angole*  
Michał Olszewski *Najlepsze buty na świecie*  
Norman Lewis *Głosy starego morza. W poszukiwaniu utraconej Hiszpanii*  
Grzegorz Szymanik *Motory rewolucji*  
V. S. Naipaul *Maska Afryki. Odslony afrykańskiej religijności*  
Karolina Domagalska *Nie przepraszę, że urodziłam. Historie rodzin z in vitro*  
Pin Ho, Wenguang Huang *Uderzenie w czern. Morderstwo, pieniądze i walka o władzę w Chinach*  
Liao Yiwu *Pociski i opium. Historie życia i śmierci z czasów masakry na placu Tiananmen*  
Marcin Wójcik *W rodzinie ojca mego*  
Frances Harrison *Do dziś liczymy zabitych. Nieznana wojna w Sri Lance*  
Zbigniew Parafianowicz, Michał Potocki *Wilki żyją poza prawem.*  
*Jak Janukowycz przegrał Ukrainę*  
Peter Hessler *Dziwne kamienie. Opowieści ze Wschodu i z Zachodu*  
Jenny Nordberg *Chłopczyce z Kabulu. Za kulisami buntu*  
*obyczajowego w Afganistanie*  
Magdalena Kicińska *Pani Stefa*  
Andrzej Muszyński *Cyklon*  
Swietłana Aleksijewicz *Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka* (wyd. 2)  
Filip Springer *Miedzianka. Historia znikania* (wyd. 3 rozszerzone)  
Aleksandra Łojek *Belfast. 99 ścian pokoju*  
Paweł Smoleński *Izrael już nie frunie* (wyd. 4)  
Peter Pomerantsev *Jądro dziwności. Nowa Rosja*  
Swietłana Aleksijewicz *Cynkowi chłopcy* (wyd. 2)  
Katarzyna Surmiak-Domańska *Ku Klux Klan. Tu mieszka miłość*  
*Mur. 12 kawałków o Berlinie* pod red. Agnieszki Wójcińskiej  
Jean Hatzfeld *Englebert z rwandyjskich wzgórz*

W serii ukazać się m.in.:

Bartek Sabela *Wszystkie ziarna piasku*  
Anna Bikont *My z Jedwabnego* (wyd. 4)

Marcin Kącki

# Białystok

Biała siła, czarna pamięć



Wołowiec 2015

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka  
Projekt układu typograficznego Robert Oleś / d2d.pl  
Fotografia na okładce © by Adam Tuchliński / tuchlinski.pl

Copyright © by Marcin Kącki, 2015

Redakcja Tomasz Zając  
Korekty Edward Rutkowski i Joanna Bernatowicz / d2d.pl  
Redakcja techniczna i skład Robert Oleś / d2d.pl  
Skład wersji elektronicznej Janusz Oleś / d2d.pl

ISBN 978-83-8049-190-8



# Spis treści

*Seria*  
*Strona tytułowa*  
*Strona redakcyjna*  
*Motto*

Zamiast wstępu

**I Dybuk**

Wyrzutka  
Książka  
Więzienie  
Taksówkarz

**II Pomniki**

Orzeł  
Babel  
Stodoła  
Rondo

**III White**

Klatka  
IV Edycja  
Teatr  
Drzwi  
Kotłownia

**IV Power**

Disco  
Parafia  
Cud  
Zamiast zakończenia

*Literatura, źródła i inspiracje*  
*Przypisy*  
*Kolofon*

Ale nie ma już miasta  
z zaułkami wśród drewnianych sztachet,  
z dachówkami, które łątał śnieg,  
i kocie łby w jarmułkach  
kłóciły się  
z obręczami wozów w dzień targowy.  
I nie ma szpitala,  
który słyszał mój pierwszy krzyk,  
pępowina odcięta,  
gruzami zarósł dach.  
Nadwęglone chałaty  
zbierają się o zmierzchu,  
siedmioramienny świecznik otulają poświatą księżycą,  
jak paciorki różańca liczą zębra synagogi spalonej.

marzec 1987

Wiesław Kazanecki, *Fotografia – stary Białystok*

# Zamiast wstępu

Ludwik Zamenhof, chorowity nastolatek, wychodzi na ruchliwy rynek przed swoim domem w Białymstoku. Widzi Żydów, Polaków, Tatarów, Białorusinów, Niemców, ich kłótnie, mordobicia. Słyszy zgiełk językowy, który jest przeszkodą do porozumienia.

To lata siedemdziesiąte XIX wieku, Polska zaborowa, Białostocczyzna włączona w opresyjne maszyny caratu.

W głowie małego Ludwika kiełkuje myśl, by wszystkie nacje i wiary połączyć językiem. Wspólnym, akceptowanym, neutralnym. Kilkanaście lat później pisze pierwszy podręcznik do esperanto, ale nie bez problemów. Ojciec Zamenhofs, Żyd, cenzor carskiej władzy, chce syna kształcić na lekarza i pali książkę w piecu.

Dorośli Zamenhof, utkany z lęków, wrażliwości, empatii, cierpi jako okulista – biedę i egzystencjalne troski.

Pod koniec swojego życia, gdy dudnią jeszcze armaty I wojny światowej, wierzy, że ludzie mogą się jednak porozumieć, ale niezbędny jest humanitaryzm, wolność od „ślepej służby narodowi, która przeradza się w szowinizm, i ślepego posłuszeństwa klerowi, które przeradza się w fanatyzm”.

Dybuk



# Wyrzutka

## Pociąg

Z Warszawy do Białegostoku najszybciej dojechać zbudowaną jeszcze za cara linią kolejową, której nasyp w XX wieku wzmocniono ciałami dzieci.

Na jej trasie leżą Łapy, trzydzieści kilometrów od Białegostoku. Padła tu cukrownia, zakłady kolejowe, kilka ławek udaje dworzec PKS. Trasa kolejowa, która rozwinęła miasto, teraz tylko dzieli je na pół. Nad nią przerzucono kładkę.

Jerzy Rydzewski przechodził nią latem 1943 roku. Miał siedemnaście lat. Słyszał jęki, ale bał się patrzeć w dół, na pociąg, który pędził z białostockiego getta, ale tu zwalniał, by przejechać przez bocznice. Szedł z kroplami potu na plecach, bo każdy gwałtowny ruch wzmacniał czujność niemieckich żandarmów, którzy kul nie żalowali. Szedł więc tak, jakby go na tej kładce nie było. Wystraszeni i spłoszeni nieludzkim wyciem mieszkańcy chowali się, by żandarmi nie uznali ich ciekawości za chęć niesienia pomocy ludziom zapakowanym do pociągu jak bydło.

W wagonach było tylko jedno, dwa okienka. Małe, zacerowane drutem kolczastym – można było wystawić głowę, by zaczerpnąć powietrza, wystawić rękę po wodę, bo wywózki nasiliły się w letnie, upalne dni. Można było przecisnąć dziecko.

Ludzie widzieli chłopca, kilkuletniego, wypchniętego przez matkę. Owinięty był grubo w szmaty, męską jesionkę, przepasany paskiem, którego koniec ciągnął się za nim, gdy dreptał ku przerażonym, uciekającym mieszkańcom. Pewnie za ten koniec trzymała matka, gdy spuszczała chłopca z okna toczącego się pociągu. Długo nie dreptał, podszedł niemiecki żandarm i go zastrzelił.

Mieszkańcy Łap zastanawiali się, czy Żydzi wiedzą, dokąd jadą. Być może, bo tak wyje tylko człowiek wieziony na śmierć, bo tylko wtedy wyrzuca w nieznane własne dziecko.

Mieczysław Łapiński miał wtedy dwadzieścia dziewięć lat i widział wyrzuconego chłopczyka, może czteroletniego, za którym zaraz wyskoczył dorosły Żyd, wyrwawszy pewnie z wagonu jakąś deskę. Podbiegł do nich żandarm, wziął chłopca na ręce, strzelił do mężczyzny, potem postawił chłopca i też zastrzelił.

Żandarmi kazali mieszkańcom brać łopaty i kopać tuż przy torach małe doły. Przy wyrzuconych dzieciach często znajdowano kartki z informacją, że dziecko ma wszystko, by starczyło na życie – jego i dobrych ludzi, którzy zechcą je przechować: obrączkę, pierścioneł, pieniądze. Żandarmi chowali skarby do kieszeni, strącali zastrzelone dziecko kopniakiem do dołka i kazali zasypać.

Łapiński widział Żydówkę, ładną, młodą. Wyskoczyła, chwilę uciekała, ale była ranna. Podszedł żandarm, a ona błagała: „Proszę, panie, puścić, panie, puścić!”. Wyciągnął pistolet, strzelił, popatrzył, strzelił, upadła, znowu strzelił, poleciała z pół metra, strzelił. Łapiński pamięta – siedem razy strzelił. Żandarm kazał mu wykopać dół koło nasypu, krzyknął „dość”, gdy wykopał wystarczająco głęboko, i strącił ciało.

Był mały blondyn wypchnięty przez okno, a potem głowa matki mignęła w wagonie, gdy krzyczała: „Uratujcie mi go!”. Blondynka łatwiej byłoby przechować, ale zaraz za pociągiem jechała drezyna, z której Niemcy strzelali do uciekających. Ciało chłopczyka wzmocniło nasyp kolejowy.

Jednego z żandarmów, jak pamiętają mieszkańcy, zwano sześcionogim, bo chodził z wilczurem. Ranne

dzieci zabijał tam, gdzie spadły, sprawne prowadził kilka metrów, na miękką ziemię, by mieszkańcom łatwiej było kopać.

Dzisiaj w Łapach nikt nie zliczy, ile dziecięcych mogił kryje w sobie nasyp kolejowy. Kiedyś było zliczyć łatwiej, bo trawa rosła na nich bujniej, zieleń była bardziej zielona. Relację mieszkańców Łap, świadków, którzy w większości już nie żyją, oglądam w krótkim filmie dokumentalnym *Wyrzutki* nakręconym przez Tomasza Wiśniewskiego, mieszkańca Białegostoku, regionalistę, historyka amatora, który z zapalem zbiera okruchy żydowskiej pamięci. Na końcu filmu umieścił planszę:

„Świadkowie owych wydarzeń wspominają o jednej zaledwie ocalałej dziewczynce, uratowanej i wychowanej przez polską rodzinę. Mieszka ona do dziś w Łapach i nadal nie decyduje się na ujawnienie swojej tożsamości”.

– Poznałeś ją? – pytam Wiśniewskiego.

– Próbowałem się skontaktować, ale nie zgodziła się na rozmowę. Odniosłem wrażenie, że mieszkańcy nie chcieli mnie do niej dopuścić.

– Dlaczego?

– Wydawało mi się, jakby ją, a może mnie, przed czymś chronili.

– A jeśli ona nie istnieje?

– Dla wielu z pewnością. Ale ona istnieje.

## „Dzieciom Polskim”

Chodzę po Łapach, zaopatrzony w nazwiska świadków, które dał mi Wiśniewski, szukam śladów ocalonej. Kto jej pomógł? Jaki ciężar niósł? Poznała swoje korzenie? Miasto wydaje się tak małe, że nie sposób nie znaleźć tu żydowskiej kobiety, która powinna mieć około siedemdziesięciu pięciu lat. Brakuje jednak śladów po ponad sześciuset Żydach, którzy mieszkali tu przed wojną. Jeden z ocalonych, jak czytam w regionalnej prasie, chciał postawić w Łapach pomnik ku pamięci swoich pomordowanych krewnych, Łosiców. Radni prawicy się nie zgodzili, uznali, że pomnik dla jednej żydowskiej rodziny to za dużo, i przypomnieli, że pomnik już jest, poświęcony tragicznie zmarłym dzieciom.

Przedwojenny, kilkurodzinny dom, wejście od podwórza. Na pierwszym piętrze drzwi otwiera Danuta Skibko, osiemdziesięciolatka, działaczka Łapskiego Towarzystwa Regionalnego. Wchodzę do pokoju pełnego obrazków świętych, z Radia Maryja płyną monotonne modły. Skibko wnosi herbatę – wolno, ostrożnie, by nie zabrudzić spodka. Ma żywe, pogodne oczy, hart w głosie, rzuca żartami.

Nie jest pewna, mówi, czy ci z wagonów od razu wiedzieli, że jadą na stracenie. W Łapach było wtedy wielu Żydów, wśród nich niejaka Nietupska. Gdy ją Niemcy prowadzili do pociągu środkiem ulicy, by zawieźć do getta, szła dziarsko z dziećmi, siostrą, z żółtymi łatami żydowskiego piętna. Kilka dni wcześniej ludzie do niej zachodzili, obiecywali, że ukryją, z wdzięczności, bo mąż Nietupskiej poszedł w 1939 roku na ochotnika do Wojska Polskiego. Nie chciała, nie wierzyła, że Niemcy tacy źli.

Ojciec Skibko był maszynistą, widział te pociągi do Trebłinki, za nimi breki, dobudówki na końcu składu, z których Niemcy strzelali, gdy tylko wypadło dziecko. O Jezu, Panie! Skibko wzdycha, bo jeszcze boli. Gdy pociąg zwalniał, ojciec mówił Żydom: „uciekajcie, bo to bandyci, zabijają”. Pokazywał drugi pociąg, stojący obok, towarowy, którym mogliby uciec, ale nie wierzyli, że jadą na śmierć. Dziwił się ojciec, że taki cywilizowany naród, a nie może pojąć, że jedzie na stracenie. Sama Skibko widziała Niemców strzelających do Żydów jak do psów. Sądzi, że dopiero jak się rozniosło o Treblince, to zaczęli skakać i dzieci wyrzucać. Za nic, Jezu, nie chce więcej takich czasów doczekać.

Dobrze żyli Żydzi z Polakami w Łapach, mówi. Zgrzyt nastął, gdy na chwilę weszli Rosjanie, zaraz po wybuchu wojny, i Żydzi wskazywali Polaków do wywózki na Sybir. No po jaką cholerę było im się w to mieszać, tego Skibko nie wie. Ale że się mieszało, jest pewna, bo nawet jej koleżanka z Łap pamiętała, że jak jej rodzinę wywozili, to przyszło NKWD i z nimi Żyd. Koleżanka płakała, błagała, a jej sąsiadka nawet zapewniała, że najmłodsze dziecko to jej, by nie brali, ale Żyd protestował, że nieprawda, wszystkie brać, no i zabrali. Jeszcze burmistrza Łap pomogli wyłapać, ruskie go zabili, więc ludzie mieli żal do Żydów.

Byli też szlachetni Żydzi. Doktor Julian Charin leczył AK-owców, mieszkańcy ukrywali go przed Niemcami, ale został złapany, zdążył tylko wyprosić, by nie mordowali wsi, gdzie znalazł schronienie. Ludzie nocą go wykopali, włożyli w trumnę, pogrzebali na cmentarzu.

Cichutko sączy się modlitwa Radia Maryja, gdy Skibko podaje mi cukier, kręci swoją łyżką pod obrazkami świętych. W to Jedwabne to nie wierzy. No bo jak można zmieścić tylu Żydów w małej stodole? Wiadomo: Polacy chowali się po domach, a Niemcy sami Żydów prowadzili. W stodole były okna z tyłu, kto chciał, mógł uciekać. Skąd to wie? No wie. Ludzie mówili, wszyscy mówili.

Ale w Łapach Żydzi dobrze z Polakami żyli.

Był taki Weinert, miał skład drzewny, ojciec Skibko chodził do niego na kawę. Poszli kiedyś razem, córka Weinerta przyniosła macę, dobrą, nie ma już takiej. Niby wafel, ale jednak nie, skoro wrył się

w pamięć Skibko tak głęboko.

Albo pani Klottowa, dentystka, co miała męża oficera, wesoła taka. Ukrywali ją sąsiedzi, po wojnie nadal była wesoła, mówiła, że przeżyła, by się teraz kawy mogły razem napić, i opowiadała Skibko, jak klientkom, których nie lubi, oszczędza znieczulenia.

Albo Rurka Łosica, co miała sklep z cukierkami. Ładna, duże oczy, długie rzęsy. Mała Skibko tylko od niej chciała cukierki, choć ludzie mieli pretensje do jej matki, że u Żydóweczki kupuje, a tyle sklepów katolickich wokoło, w których towar leżał odłogiem.

Tak że w Łapach Żydzi dobrze z Polakami żyli.

Była jeszcze Marysia Kuzin, bohaterka, pielęgniarka doktora Juliana Charina, mieszkała tuż obok Skibków. Ładna blondynka, dobra, pobożna, codziennie w kościele. Przechowała Żydów, bo czy pobożny człowiek, pyta mnie Skibko, może nie lubić Żydów? Raz Skibko kopła kartofle, wyszła od Kuzinowej taka Mińcia, Żydówka, siostra doktora Charina. Podchodzi do płotu, a Skibko pyta: „Pani się mnie nie boi?”. „Nie – odpowiedziała – bo Kuzin mówiła, że jak uciekać, to przez płot, w kartofle, do was, bo wy dobrzy ludzie”. Mińcia wyjechała po wojnie do Izraela, a jak Marysia Kuzin u niej była, by drzewko zasadzić w Jad Waszem, to wróciła zdenerwowana. Bo Mińcia wyszła za mąż za Polaka, bohatera spod Monte Cassino, i jej synowie pokłóceni: jak pójdą do Żydów, to słyszą, że są Polaki, a u Polaków, że są Żydy. No to rzucili wszystko i wyjechali do Ameryki.

Rodzina Skibków też miała swojego Żyda, ale wydali ich sąsiedzi. Żyd zdążył uciec, przyszło w nocy gestapo, kazali wyjść, ręce do góry. Skibko pamięta czarny, błyszczący płaszcz i trupią główkę na czapce. Darła się ta trupa główka jak do bydła, groziła, że zabije, ale nikt Żyda nie pamiętał. Gestapowiec podszedł do Skibko, miała dziewięć lat, ale milczała, patrzyła w ziemię, więc odjechali.

Był też ksiądz Henryk Bagiński, proboszcz, który krzyczał z ambony, że nie wolno przykładać ręki do żadnej zbrodni. Kuzin przyprowadzała mu Żydów, a on wyciągał polskie, katolickie metryki, oceniał wiek Żyda na oko i wręczał przepustkę do życia.

Dzwonek do drzwi. Skibko podnosi się, znika w przedpokoju. Słyszę głosy: delegacja ze szkoły w Łapach prosi ją, świadka historii, na spotkanie z młodzieżą. Wraca uśmiechnięta, macha ręką, że jak się wojnę przeżyło, to teraz tyle obowiązków. Działa w kółku Radia Maryja, jeździ na radiowe pielgrzymki. Była w Oświęcimiu, widziała komorę, w której umierał ojciec Kolbe, i niemiecką wycieczkę w wieku takim, że mogli tam służyć. Wyszli z komory ze śmiechem. Dech jej zaparło, krzyknęła: „Raus! Won! Świnie! Bandyci! Jakim prawem swoją nogę brudną tu stawiacie!”.

Skibko szanuje ojca Tadeusza Rydzyka, lubi posłuchać Koronki do Miłosierdzia Bożego, Apelu Jasnogórskiego i zapewnia, że jak się zbiorą w kółku, to nikt złego słowa na Żyda nie powie. W Łapach zresztą wiele jest domów żydowskich, w których mieszkają Polacy, ale Żydzi sami je dawali, z wdzięczności za przechowanie.

Skibko zamyśla się, gdy pytam o żydowską dziewczynkę ocaloną z transportu. O tak, pamięta, widuje ją na ulicy, ładna, czarna, czasami zamienia słowo. Ale nie wie, gdzie ona mieszka, nazwiska nie pamięta. Może jednak pokazać pomnik ku czci tych wyrzucanych dzieci. Sama go stawiała, jako harcerka, prawie pięćdziesiąt lat temu.

Jedziemy więc wzdłuż torów na krańce Łap. Skibko zaniepokojona, bo trzeci raz nawracamy, a pomnika nie ma. No jak to, dziwi się, przecież sama go stawiała, małe choinki wtedy rosły, teraz to pewnie dorodne sosny. Dzwoni do znajomego, który każe przejechać przez tory, za drzewa, na małą

polanę. Jedziemy, pomnika nie ma. Pytam młodą dziewczynę, która spaceruje z wózkiem. Pokazuje palcem na sosny, że tam gdzieś jakiś kamień stoi, ale co to, po co to – nie wie. Jedziemy. O, mówi Skibko, ten szary dom to był Żyda, wyjechał do Izraela, zapisał go Polakowi, który go przechował.

Mijamy tory, dalej polana, placyk, skoszona trawa. Przy symbolicznych torach dwa rozłupane jak serce kamienie i tablica: „Harcerstwo Bohaterskim Dzieciom Polskim. 1968 rok”. To pomnik, który prawicowym radnym posłużył do wytłumaczenia, że inne, ku pamięci Żydów, nie są już potrzebne.

– „Dzieciom Polskim”? – pytam.

Skibko wciska ręce w kieszenie płaszcza.

– Było w planie, że „Żydowskim”, ale partia się nie zgodziła. Może i dobrze, bo zaraz pewnie by ktoś rozwalił, no i tak zostało...

## Ksiądz

Proboszcz Henryk Bagiński, który ratował Żydów katolickimi metrykami, prowadził parafię pod wezwaniem Świętych Apostołów Piotra i Pawła w centrum miasta. Może wiedział o uratowanej kobiecie, może zostawił coś w zapiskach, wspomnieniach i przechowali to jego następcy?

Plebania jest tuż za świątynią. Dwaj księża, około czterdziestoletni, stoją w przeszklonych drzwiach, szykują się do kołеды. Jeden wysoki, szatyn, uśmiechnięty, drugi niski, brunet.

– Szukam śladów ratunku Żydów, może zostało coś po księdzu Bagińskim?

– Nie mamy – odpowiada wysoki ksiądz. – Może w kronice parafii.

– Gdzie ją znajdę?

– Została wydana drukiem.

– Gdzie?

– Jak bym wiedział, tobym powiedział. A tak na zdrowy rozum to za młody jestem, by coś wiedzieć o ratowaniu Żydów, starych ludzi trzeba pytać.

Odchodzę, ale słyszę jeszcze za plecami.

– To nic nie pomoże, oni nadal będą nas opluwać!

– Kto? – pytam, odwróciwszy się.

– Żydzi – mówi wyższy ksiądz. – Tak jak do tej pory.

– Opluwają?

– A jak pan myśli?

– Kogo?

– Polaków.

– Ksiądz Bagiński za nich życie oddawał...

– Wiele tysięcy Polaków za nich życie oddało, a dalej to robią. Dla Żyda nie-Żyd to goj. A kim jest goj według Talmudu? Człowiekiem, który powinien umrzeć za Żyda, jak bydlę. Ta ich czarna niewdzięczność... Z ich serc to płynie, z Talmudu.

– Ksiądz zna jakichś Żydów? Choćby tu, w Łapach?

– Znam.

– Jacy są?

– Różni.

– Szukam kobiety, która przeżyła transport.

– To chyba nie ma sensu.

– Dlaczego?

– Pan tak mówi, jakby miał wyrobione zdanie. Czuć z tego, co pan mówi, z tonu, pytań... Jak pan się nazywa? Skąd pan jest?

Nie wytrzymuję.

– Z Żydowskiego Instytutu Historycznego.

Zwalnia w pół kroku, patrzy na mnie z uśmiechem.

– O, to współczuję. Instytut... A jeszcze to muzeum Żydów, co opluwa. To, co robią, jest po prostu obrzydliwe. Bo co robi człowiek, za którego się karku nadstawia? Mówi: „jestem ci wdzięczny”. A oni? Zapomnieli, że osiemset tysięcy Żydów zostało uratowanych dzięki Kościołowi.

– Jak się ksiądz nazywa? – pytam.

– Niepotrzebne to panu. A o księdzu Bagińskim poczyta pan sobie na stronie internetowej parafii.

Nieopodal, w małym domu parafialnym, mieszka ksiądz Piotr Faltyn, emerytowany proboszcz parafii Piotra i Pawła. Opadam na fotel w przedpokoju, relacjonuję rozmowę. Proboszcz Faltyn w strapieniu przeczesuje grzywkę palcami.

– To ksiądz Witold Gromadzki, nasz wikariusz. Kiedyś myślałem, że on tak pół żartem, pół serio... Dobry, młody człowiek, czytany, ale tego nie da mu się wybić z głowy.

– Ksiądz się nie boi, że on to parafianom mówi, skoro obcemu potrafi?

Faltyn kiwa głową, wzdycha.

– Czasami coś tam powie z ambony, irytuje to ludzi, dzwonią wtedy do obecnego proboszcza.

Pożycza mi *Kronikę parafii* i prosi, by o księdzu Gromadzkim zapomnieć, bo to dobry młody człowiek, nikomu krzywdy nie robi, aż taki nie jest.

Wertuję kronikę z notatkami księdza Bagińskiego. To skrócona wersja dzienników, jakie pozostawili po sobie proboszczowie parafii w ciągu ponad stu lat. Bagiński objął ją w 1935 roku, w jego zapiskach dominują relacje z uroczystości kościelnych, pielgrzymek. Cieszy się z ekspansji Akcji Katolickiej w Łapach i przyrostu wiernych. Na rok przed wybuchem wojny pisze: „Akcja Katolicka obejmuje już całą parafię i nadaje odpowiedni ton i kierunek. Wprawdzie bezbożniczy Związek Zawodowy Kolejarzy [...] związany ściśle z Polską Partią Socjalistyczną idąc ręką w rękę z żydami wciąż jeszcze działa, lecz zakres ich działania kurczy się coraz bardziej”.

Parafia adoruje uroczyscie Najświętszy Sakrament, ksiądz Bagiński referuje:

„Nieprzyjemnym zgrzytem i rażącym dysonansem wzniosłych uroczystości religijnych był pochód pierwszomajowy socjalistów z żydami. Była to niewielka grupka, ale bezczelna i krzykliwa. Przed wojną sprawa ta została uregulowana przez władze administracyjne. Socjaliści i żydzi, by nie obrażać uczuć religijnych katolików, nie mogli przechodzić ze swymi pochodami koło kościoła, tylko po wyznaczonych ulicach drugiej strony miasta”.

W relacjach z wojny i po niej ksiądz Bagiński nie wspomina o pomocy Żydom: „Nie byli oni nigdy przyjaciółmi Polaków, a już szczególnie za okupacji sowieckiej. Większość z nich służyła bolszewikom”. Gdy szły transporty do Treblinki, notuje: „Żydzi wyskakiwali przez okna pędzących wagonów, łamali ręce i nogi, wyrzucali małe dzieci w poduszkach, a Niemcy szli torem i dobijali wszystkich. Rowy kolejowe są gęsto założone mogiłami żydów”.

Zarządzał parafią do połowy lat pięćdziesiątych, zakończył kronikę w roku 1944. Dlaczego nie zachował świadectwa pomagania Żydom podczas wojny? Czy rzeczywiście pomagał, mimo że w kronice pozostawił tylko przejawy niechęci? Kronikę redagował ksiądz Bogusław Ofman. Przewertował archiwum parafii i zapewnia mnie, że żadnych pisemnych dowodów ratowania Żydów przez księdza Bagińskiego nie znalazł. Nie słyszał też, by Bagiński takiej pomocy udzielał. Pisał o tym jednak białostocki historyk Waldemar Monkiewicz.

Zgodnie z radą księdza Gromadzkiego zaglądam na stronę internetową parafii. W zakładce historycznej ani słowa o heroicznej postawie księdza Bagińskiego. Jest za to odautorski opis rewolucji bolszewickiej: „Giną miliony moskali opanowanych przez żydostwo i agitatorów komunistycznych. Do głosu dochodzi partia »bolszewików«, która bierze władzę w swoje ręce i dopełnia miary zbrodni i zniszczenia. Z chaosu krwi, łez i błota wyłoniła się nowa Rosja, bolszewicka, komunistyczna, bezbożna, jeszcze bardziej groźna od carskiej, która w myśl programu żydowskiego postanawia rozpalić pożogę rewolucji



na całym świecie”.

Ksiądz Gromadzki aktywnie udziela się w internecie. Ma profil na Facebooku. Cytuje tam doniesienia mediów, że diaspora żydowska we Francji zmalała. Komentuje: „Jakaś dobra wiadomość na początek dnia:)”. Na tym samym profilu komunikuje się z młodymi ze Stowarzyszenia Katolickiego Młodzieży. Podczas wyborów prezydenckich gromi prezydenta Bronisława Komorowskiego, zachwala artykuły mediów prawicowych, w których wiele teorii spiskowych. Osoby o poglądach innych niż katolickie nazywa „lewakami”. Popiera w wyborach Grzegorza Brauna, który uważa, że świat został zniewolony przez żydowski spisek.

Ksiądz Gromadzki urodził się, jak czytam w jego nocie biograficznej na blogu, w 1969 roku w Kolnie. Absolwent seminarium w Łomży, został wyświęcony w roku 1994. Doktoryzował się z katechetyki na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, od dwudziestu lat pracuje w szkołach jako katecheta. Uczył w Starym Lubiejewie, w Wyszku, Ostrowi Mazowieckiej, uczy też w Łapach.

Na swojej stronie internetowej dzieli się przemyśleniami. Lipiec 2012 roku:

„Nie można już powiedzieć – zgodnie z własnym głębokim przekonaniem – że posiada się inne zdanie niż uczy się w mediach. Do »gorących tematów« należą: mniejszości seksualne, Żydzi, ekipa rządząca, europejskość, religia katolicka, patriotyzm. Media nakazują swoim odbiorcom miłowanie gejów i Żydów, ekipy rządzącej i eurolandu, a niemal nienawiść do tego, co katolickie i narodowe. Nie można już – nawet na zasadzie opinii – uważać niektórych zachowań seksualnych za zwyczajne dewiacje, a o Żydach wyrazić się nie tylko niepochlebnie, ale nawet krytycznie”.

W 2011 roku stawia samemu sobie pytanie: „Czy jestem antysemitą?”. Przytacza historię z II wojny światowej:

„Pewien młody Litwin szalał z prętem w ręce, zabijając ok. 40 Żydów. Kiedy skończył, zagrał litewski hymn. Można się dziwić zachowaniu tego osobnika, jeśli nie pozna się jego historii życia. Jeśli nie zapyta się o jego bliskich. A bliskich stracił niewiele wcześniej. Ludzie, z którymi żył przez wiele lat i których uważał za takich samych jak on obywateli Litwy, choć mieli jedynie odmienne, żydowskie pochodzenie, z którymi dzielił dole i niedole młodego państwa, witali żołnierzy Armii Czerwonej kwiatami. Później nie tylko zaangażowali się w tworzenie nowej administracji, ale i zbrodniczego porządku. Żydzi zniszczyli mu rodzinę. Jedni zostali wywiezieni w bydłowych wagonach do gułagów, innym oszczędzono tego losu, zabijając po straszliwych męczarniach na miejscu. [...] Kiedy zobaczył swoich żydowskich gnębieli pędzonych przez żołnierzy Wehrmachtu, sięgnął po żelazny pręt... Kiedy skończył, wyjął ustną harmonijkę i zaczął grać litewski hymn... Czy był antysemitą? Czy nienawidził wszystkich Żydów? Czy może dostrzegł w tym tłumie, prowadzonym przez Niemców na stracenie, tylko tych, którzy szli ze swoimi rodzinami i którzy zniszczyli cały jego świat? [...] Czy wiedział, że zostanie uznany za antysemitę?”.

Zabiera głos o Jedwabnem: „Wczoraj do Jedwabnego przybyło niewielkie grono z tych, którzy przyczyniają się do szkalowania Polski i Polaków na świecie. Niektórzy z nich nawet po 70 latach od mordu w tym miasteczku na Podlasiu głoszą swoją postawą, że Polak z mlekiem matki wypija nienawiść do każdego Żyda. I dziwią się, że jego mieszkańcy nie mają ochoty w takiej atmosferze oddać czci ofiarom. Tak się składa, że jestem Polakiem – i co gorsze – kocham Polskę i jej historię... A zatem, czy automatycznie staję się antysemitą, kiedy staram się w ten sposób żyć?”.

Mama księdza Gromadzkiego, według relacji na stronie internetowej, płakała, gdy zobaczyła

w telewizji ocaloną przed pogromem w Jedwabnem Żydówkę, która mówiła o nienawiści polskich sąsiadów do Żydów.

„Płakała [matka], bo nie wierzyła własnym oczom i uszom, że za dobro można odpłacić w ten sposób... Mój tato mógłby nigdy nie poznać mojej mamy. Tylko jeden dzień dzielił ją od wywiezienia do »niehumanitarnej ziemi«. Pamięta, że radzieckich okupantów prowadzili jej żydowscy sąsiedzi. Rodzina mojej mamy należała do tzw. kułaków, którzy nie ze względu na swoje czyny, ale z powodów klasowych należeli do wrogów radzieckiego państwa. Płakała, bo przywołane zostały koszmary jej dzieciństwa i niewdzięczność, która należy się tylko gojom”.

„Czy jestem antysemitą, kiedy pytam o rolę Żydów w najnowszej historii Polski? Czy nie wolno mi już zastanawiać się nad ich ogromnym wkładem w niszczenie moich rodaków? Czy »miłość do Żydów« jest nowym dogmatem »mimo wszystko«? Czy pytania trudne mogą zadawać tylko Żydzi?

Znam kilkoro Polaków żydowskiego pochodzenia i większość z nich to porządni katolicy. Nie wiem tylko, czy to jeszcze Żydzi... Czy za takich byliby uznani w Izraelu? Ja ich szanuję. Czy wolno mi jednak w kraju, którego jestem pełnoprawnym obywatelem, zadawać takie pytania bez narażania się na nietolerancję?”

Na stronach internetowych regionalnej prasy znajduję posty parafian. „Oburzona” pisze w lipcu 2014 roku o kazaniu księdza Gromadzkiego: „Niestety nie był to jego pierwszy występ, ale podejrzewam, że jeden z bardziej spektakularnych... TRAGEDIA! Tego dnia były w kościele cztery chrzty, a TEN chamski człowiek nawet nic nie wspomniał o nowo przyjętych do Kościoła dzieciach i ich rodzicach... Mówił za to o Hitlerze, Stalinie, Leninie i o tym, jak się wytapia mydło z ludzkiej skóry! K...wa, czy jego przeżośeni nie mają wpływu na to, co on wygaduje z ambony? Kto jest za to odpowiedzialny i kto powinien przeprosić wiernych i ponieść konsekwencje? Pluł z ambony jadem i obrażał wszystkich parafian! Kazanie przepełnione nienawiścią i bluźnierstwami w kierunku parafian... Jeśli proboszczowi będzie na nas zależało, udzieli mu co najmniej reprymendy i nakaże milczenie! Wstyd”.

# Kipa

Trzysta metrów w linii prostej od plebanii księdza Gromadzkiego, w domku jednorodzinnym, mieszka Zbigniew Siwiński. Skończył siedemdziesiąt lat. Ma placek łysiny na czubku głowy, brązowe, smutne oczy. Wchodzę po schodkach do pudełkowego domku, mijam mezuze na drzwiach salonu, siadam w saloniku. Na stole żydowska kipa wydziergana na szydełku. W kredensie, za szkłem, menorą, mała flaga Izraela.

Czy wiem, pyta Siwiński, że dzisiaj, 4 lutego, mamy Tu Bi-Szwat? Święto żydowskie, nowy rok drzew, wypija się kielich wina białego, dwa kielichy białego z czerwonym, kielich czerwonego, zapala szabasowe świece.

Siwiński siada w fotelu, kiwa głową, oczy coraz smutniejsze. Wkłada kipę, ale tylko tu, bo na ulice Łap woli w niej nie wychodzić.

Ojca nie pamięta, wychowała go matka. Mieszkali w Białymstoku, w niedużym domu zniszczonym przez bombę. Wojnę przetrwali w schronie. Matka miała ślady po ospie, ale twarz ładną, blond włosy, niebieskie oczy, więc czarny Zbigniew z brązowym spojrzeniem wzbudzał u sąsiadów podejrzenia. Kiedy koledzy pytali, czemu taki czarny, odpowiadał zgodnie z radą matki, że bocian wrzucił go przez komin.

Gdy żandarmi niemieccy urządzali polowanie, matka mówiła, że pobawią się w chowanego, i wkładała go do piekarnika, kładąc się nie odzywać.

Na podwórku jeden stary kuternoga wypalił wprost: „A ty wiesz, że Żydem jesteś?”.

Dwie młode sąsiadki też krzyczały za nim „Żyd”, ale mama poszła na skargę do ich rodziców.

Po wojnie mówiła mu: „Zbyniu, ucz się żydowskiego, może się przyda”. Po co? – chciał wiedzieć, ale nie odpowiadała.

Miał dwadzieścia lat, gdy na chwilę przed pocałunkiem dziewczyna powiedziała: „ty nie jesteś Polakiem, po oczach widzę”. Przypomnił sobie wtedy słowa matki, z wojny: „nikomu długo w oczy nie patrz”. Przeczytał gdzieś, że Niemcy poznawali Żydów po brązowych oczach, a szmalcownicy po smutku w nich utopionym.

Kiedy zaczął pytać? Chyba w szkole średniej. Czy urodziła go w nocy? Nie, w południe. Jakim był niemowlakiem? Normalnym. To wszystko. Jedyne dokumenty, jakie zachowała, to jego chrześcijańska metryka chrztu. Dopiero w latach osiemdziesiątych, gdy miał czterdzieści lat, jakaś nienazwana siła pchnęła go do szukania. Matki już nie dręczył, nie było sensu, tylko się denerwowała, zmieniała temat albo zapierała, że on jej. Chciał porozmawiać z wujkiem, który mieszkał z nimi podczas wojny, ale nie zdążył, wujek zmarł. Poszedł do Urzędu Stanu Cywilnego w Białymstoku, ale nie wiedział, czego szukać. Może żydowskie księgi z synagogi? A który rok? – pytają w gminie żydowskiej. 1940? O nie, tej nie mają, bo jak Rosjanie uciekali, to ten rocznik zabrali. Chce do Grodna jechać, tam ponoć są księgi z Podlasia, ale na Białorusi gorąco, Łukaszenka terroryzuje, więc nie jedzie. Daje ogłoszenie do gazety z numerem kolegi, że szuka osób pochodzenia żydowskiego, ale nikt nie dzwoni. Dlaczego kolegi? Wtedy jeszcze się bał.

Ciotki i sąsiadki poumierały. Jedna sąsiadka zdążyła mu powiedzieć, że widziała jego żydowskie papiery, ale matka zniszczyła je w 1968 roku, gdy Żydów pogoniono do Izraela. Co wyczytała sąsiadka? Niewiele, nie były po polsku. Zbigniew zapytał ją, czy wie, skąd on się w ogóle wziął. Sąsiadka powiedziała, że może z pociągu wyrzucony, może z getta zabrany, ale na pewno nocą przyniesiony

jesienią 1941 roku i ochrzczony w Kościele katolickim. Rodzice chrzestni nie żyją, rodzinom niczego nie mówili.

Poszedł do Żydowskiego Instytutu Historycznego, wysłuchali, ale relacja jednej sąsiadki to mało, by zejść do archiwum.

Matka Siwińskiego zachorowała na początku lat dziewięćdziesiątych. Opiekował się nią, ale czasem tracił cierpliwość. Matce raz się wyrwało: „czemu mnie tak nienawidzisz, gdyby nie ja, to Niemiec by cię dawno zadusił!”. Zastygł, odczekał, aż matka się uspokoi, i delikatnie spytał. „Aaa tam... – machnęła ręką – stara ja, durna, nie wiem, co mówię”.

Zmarła, nie zostawiając nawet strzępu informacji, który Siwiński mógłby rzucić w machinę historycznej kwerendy.

W latach dziewięćdziesiątych, gdy mieszkał jeszcze w Białymstoku, siedział przy oknie swojego mieszkania i zobaczył na zewnątrz kobietę, ładną, czarną, podobną do jakiejś aktorki. Patrzyła na niego, od razu pomyślał, że to matka. Nie pobiegł, bo to było trzecie piętro. Nie przestraszył się, patrzył tylko, dopóki nie zniknęła. Wstydzi się tego nawiedzenia, nie chce być wariatem, jeździ na psychoterapię do Stowarzyszenia „Dzieci Holocaustu”. Tam to normalne, wszyscy widzą duchy, śnią o duchach, jedzą z duchami przy jednym stole.

Powiedział publicznie, że jest Żydem, prasa podlaska zrobiła z nim wywiad, ale na łapskie ulice w kipie nie wyjdzie, tylko po domu chodzi, nie chce prowokować. Jego żona jest katoliczką, parafianką kościoła Świętych Piotra i Pawła. Ksiądz Gromadzki przychodzi do nich po kolędzie.

– Ksiądz Gromadzki powiedział mi... A nieważne. – Siwiński patrzy w podłogę, macha ręką.

O żydowskiej dziewczynce wyrzuconej z pociągu słyszał tyle, co w Łapach się mówi, na granicy legendy miejskiej: gdzieś mieszka, gdzieś chodzi, ktoś z nią rozmawiał. Nigdy jej nie widział, nie wie, czy istnieje. Nie pomoże, sam by ją poznał, rażniej by mu było.

## Widok

Janina Truchim, osiemdziesięciolatka, która mieszka nieopodal Siwińskiego, nie widziała, jak Żydzi wyrzucali dzieci, ale widziała to jej sąsiadka. Mała Żydówka, miała może pięć lat, wypadła z pociągu owinięta jak kulka. Poturlała się po nasypie, doskoczył miejscowy, rozgrzebał kulkę, przeszukał, a potem przywalił w łeb łopatą, aż sąsiadka dostała od tego padaczki. Truchim nie może zrozumieć: jak nie chcesz pomóc, nie lubisz, to chociaż nie rusz, bo po co?

Truchim do Żydów nic nie ma, nie lubi tylko Ukraińców i kacapów, choć jej rodzice do sklepów żydowskich w Łapach nie chodzili, woleli polskie.

Chociaż nie, po mięso to jednak chodzili.

Jak Niemcy zaczęli Żydów wywozić do getta, to jej matka nie chciała nic od Żydów brać, oni przychodzili i sami dawali.

Chociaż nie, takie Żydzisko przychodziło jednak z szewcem i mamusia im chleb dawała w zamian za wełniane sukienki, spodnie. Szewc obiecał też pantofelki, ale nie zdążył, bo wywieźli go do Treblinki.

Polacy pomagali jednak Żydom, mówi Truchim, w stogu siana przechowali choćby Łosicę. Wie, bo Łosica przyszedł po wojnie i powiedział, że codziennie widział jej ojca, jak chodził na ryby, że bardzo chciał podejść, porozmawiać, ale się bał.

Chociaż nie, przecież to taki Zygmunt ich przetrzymywał, dopóki nie ogolił ze wszystkiego, a jak ogolił, to meldował albo sam za stodołą mordował.

A ta śliczna dziewczynka, uratowana, mówi Truchim, to nadal śliczna, widuje ją. Radzi popytać na osiedlu, niedaleko, i podaje mi jej nazwisko – L.

Pytam w osiedlowym sklepie, ale L. nie znają. Nazwisko rzadkie, choć brzmi rdzennie polsko. Krążę między placami zabaw, pytam młode matki z wózkami, spacerowiczów z psami, kobiety z tobołami. Starsza pani chwilę się zamyśla, pokazuje palcem: o! tamten blok, pierwsza klatka, ostatnie piętro. Nie dowierzam po tym trudzie, że tak łatwo poszło, bo L. opleciona jest jakąś tajemnicą, ale idę, drepczę po schodach, pukam. Otwiera niska, korpulentna kobieta, wygląda na sześćdziesiąt kilka lat. Zakrywa dłonią przepaszającą poły szlafroka, w ciemne włosy wplecione ma wałki. Lekko skośne, brązowe, błyszczące oczy. Musiała być pięknym dzieckiem, gdy rozplątano ją z ubrań, w które była zawinięta. Musiała być piękną kobietą, gdy pod przybranym nazwiskiem ukrywała się, by śpiewać zwrotki polskiego hymnu. A może nie, może jest bardzo żydowska i jak Siwiński celebrytuje właśnie Tu Bi-Szwat?

– Mam do pani tyle pytań... Chodzi o tamten pociąg... podczas wojny – mówię podekscytowany. Wzdryga się jak przyłapana na bolesnej tajemnicy. Spokojnie, ale stanowczo odmawia, zamyka drzwi.

Schodzę struty schodami. Po rozmowach, kluczeniu żydowska dziewczynka ocalona przez odważnych ludzi po prostu zamknęła drzwi. A moje pytania? Czy rodzice chowali ją w piekarniku? Kiedy powiedzieli prawdę, bo przecież musieli, skoro całe miasto wie? Szukała prawdziwych rodziców? Ma dzieci? Co czują? Czy przyjmuje po kolędzie księdza Gromadzkiego?

Wychodzę z klatki schodowej, chcę jeszcze raz wrócić na górę. Na ścianie sąsiedniego bloku widzę machnięte sprejem swastyki, każda na metr. Widzi je też codziennie żydowska, ocalona dziewczynka. Odchodzę.

## Maniek

Pociąg przyspieszał za Łapami, mknął dalej, ale zwalniał jeszcze w połowie drogi, gdzie szukam kolejnych wyrzutków.

Mieczysław Bartłomiejczuk, najstarszy mieszkaniec Szepietowa-Janówki, gdy słyszał wyjący tabor, uciekał. Jego przyszła żona o mało nie zginęła, bo stała na polu, zbyt blisko torów. Niemcy strzelali do każdego, pewni, że to skoczek lub wyrzutek. Strzały słyszano z daleka.

Zawołał raz Bartłomiejczuka sołtys, by wziął łopatę, poszedł do Niemców i pomógł kopać. Z daleka widział Bartłomiejczuk młodą parę, wtuloną w siebie, podziurawioną, zakrwawioną. Odwrócił głowę, gdy kopał, Niemcy wrzucili ciała, Bartłomiejczuk zakopał.

Widział innych, jak skakali, a potem stali oszołomieni, zastanawiając się, gdzie iść, nim dosięgła ich kula. Inni leżeli z połamanymi nogami, wyli z bólu, dopóki nie przyjechała dreznina i nastąpiła rewizja, kula w łeb i do dołu przy torach, wykopanego szpadlem Bartłomiejczuka albo innych mieszkańców.

Za Szepietowem, w lesie, Bartłomiejczuk widział małego Żyda, może dziesięcioletniego, który biegł, robił uniki, gdy Niemiec strzelał, i udało mu się uciec. Inne dziecko, młodsze, zabrał Polak, zadzwonił po żandarmów, przyjechali, zabili. Widział dwóch młodych, silnych, zbłąkanych. Powiedział: „idźcie, bo żandarmi przyjadą”. Ale dalej stali, żandarmi przyjechali. Za wsią wyskoczyła młoda Żydówka, leżała przy torach, jęczała: „szpitala, panie, szpitala”. Jakaś kobieta pobiegła po wodę, ale pojawili się żandarmi, zrewidowali, zabrali złoto, zabili.

Bartłomiejczuk pamięta też chłopca, blondyna, dziesięć, może dwanaście lat, który trafił do domu Wołosiewiczów. Paśli z nim krowy, odmawiali pacierz, a on im śpiewał piosenki o strażakach. Wołali na niego Maniek. Nikt głośno nie mówił, że to Żyd, nie wyglądał na Żyda. Próbowali zrewidować małego dla zabawy, wiadomo po co, ale się wyrывał, uciekał.

Wołosiewiczowa, jak pamięta Bartłomiejczuk, była trochę splątana umysłowo, jakby nie wiedziała, co się wokół dzieje, ale stary Wołosiewicz był normalny. A może też nie wiedział, trudno rozstrzygnąć. Maniek był blondynem, wioska milczała, bo gdyby był czarny, żydowski, to pewnie ktoś by doniósł albo odprawił. Kara śmierci to ryzyko zbyt duże.

Lech Wołosiewicz ma pięćdziesiąt jeden lat, mieszka sam, kilka domów od Bartłomiejczuka. Był listonoszem, ma kilka hektarów ziemi po ojcu. Historię Mańka zna z przekazów rodzinnych, bo dokumenty gdzieś poginęły.

Ojciec Lecha miał osiemnaście lat, gdy wybuchła wojna, i tak jak stał na polu, tak Niemcy zabrali go do pracy przymusowej. Wtedy przyszedł Maniek, który uciekł z pociągu. Dziadek sądził, że syna już stracił, no to małego przygarnął. Dał ubranie, przepasał słomianym paskiem, czego Lech jest pewny, bo zdjęcie gdzieś było, ale zginęło.

Ojciec Lecha wrócił z Niemiec po wojnie i zawieźli z dziadkiem małego do Łodzi, w nowej jesionce, z nową walizką. Maniek odezwał się po trzydziestu latach, przysłał list, potem przyjechał. No gdzieś te listy były, ale pogubione.

Czy dziadek wiedział, że Maniek jest Żydem? Tego Lech nie wie, ale pewnie wiedział, no bo skąd takie bezpańskie dziecko? W dokumentach wszystko było, ale pogubione.

Może wspólnie poszukamy? – proponuję, bo to cenne pamiątki. No może, może. Lech się zastanawia, ale trzeba wyjść na mróz, bo to na zewnątrz raczej. Wstajemy od stołu, idziemy – w luty, księżyc, mróz. Nogi zapadają się w zmarznięty gnój przed oborą, skrzypią drewniane drzwi, błyska żarówka, widzimy

siano i wbity w nie stary kredens. Chyba w tej – Lech pokazuje nogą na dolną szufladę. Wyrwam, niosę do domu, stawiam na stole w kuchni. Pachnie sianem, prawiekiem, wilgotnym papierem. Stos kopert, pism, druków. Biorę pierwsze z góry. Pobrudzone zdjęcia rodziców, dokumenty z ZUS, nadania praw rentowych. Stary zegarek, który Lech przykłada do ucha, potrząsa, uśmiecha się, przykłada raz jeszcze, chowa. Są zalecenia nawozowe, odszkodowanie – cztery tysiące marek za pracę przymusową w Niemczech, tomik wierszy Juliusza Słowackiego, legitymacja partyjna PZPR. Jest zaświadczenie z Jad Waszem, że Bronisław i Anna Wołosiewiczowie, dziadkowie, dostali pośmiertnie nagrody Sprawiedliwi wśród Narodów Świata.

Są przekazy pieniężne, bony dolarowe, które Maniek słał do śmierci, są odcinki z paczek: „odzież damska i męska, 600 gram kawy”.

Maniek Sadowski, jak czytam w dokumentach Jad Waszem, naprawdę nazywał się Meir Tenenbaum. Ojciec Lecha w zwięzłych słowach opisuje, że relację zna z przekazów rodziców, którzy od lat sześćdziesiątych nie żyją. Maniek Sadowski mieszkał z nimi od jesieni 1942 roku do 1945 roku. Uciekł nie z pociągu, tylko z getta warszawskiego. Wszyscy, jak pisze, byli świadomi, że jest Żydem, że groziła im śmierć. Robili to bezinteresownie, z pobudek humanitarnych i religijnych. Mieli też nadzieję, że ofiara taka przyczyni się do powrotu ojca Lecha z Niemiec.

Maniek wyjechał do Izraela. Skończył szkołę, został inżynierem na statkach oceanicznych. Kontakt z Wołosiewiczami urwał na wiele lat, odezwał się dopiero w latach osiemdziesiątych.

Anna Żabińska, siostra Lecha, mieszka w Łomży. Jest pewna, że wszyscy wiedzieli, że Maniek jest Żydem. Gdy Niemcy przyjeżdżali, biegł do gumna, rąbał drewno. Z getta uciekł z bratem, szedł zawszony po wioskach, nikt nie chciał go przyjąć, brata zgubił i nigdy nie odnalazł. Żabińska odwiedziła go w latach dziewięćdziesiątych, był po wylewie, jeździł na wózku. Zmarł w 2012 roku. Miał żonę, troje dzieci, wnuki.

Oglądam zdjęcia z szuflady.

Maniek tuż po wojnie, może w miejscu zbiórki, w Łodzi, bo jeszcze w jesionce, może tej samej, którą dostał na podróż – bujna czupryna, szatyn, czujne spojrzenie dziecka, które widziało za dużo.

Może dwudziestoletni, w stroju marynarskim, uśmiechnięty.

Może pięćdziesięciolatek, z ojcem Lecha, na polu w Szepietowie. Niewysoki, lekko łysiejący, z pogodną twarzą.

Dwaj mężczyźni, dorośli, ciemna karnacja, mocne brwi, na tle flagi amerykańskiej – na odwrocie: „moje syny”. Na kolejnym kobieta z małymi chłopcami, podpis: „curka i wnóczki”.

Wreszcie koperty z kolorową obwolutą – listy międzynarodowe, słane przez Mańka, marynarza, z całego świata do ojca Lecha. Przeprasza w nich za swój polski, ale „czyta książkę, więc może będzie lepiej”.

Napisał ich kilkadziesiąt, bliźniaczo podobnych w treści, krótkich na pół strony, zawsze z puentą o dolarach i paczkach.

„Kochana Rodzino Wołosiewiczów przybyłem do domu po długim rejsie mam nadzieję że u was zima przeszła lekko otrzymałem wasz list za który serdecznie dziękuję jak będę miał okazję to wyślę wam pieniądze Meir”.

„Jak wiadomo u nas wojna i spadają na nas rakiety z Iraku ale mamy dobre samopoczucie i z boską pomocą pożyjemy. Podesłałem wam 100 dolarów a jak skończy się wojna pošlę paczkę odzieżową”.



„Ja cały czas myślę o was i opowiadam żonie i mojej rodzinie jak byłem u was w domu podczas wojny. Ja nigdy nie zapomnę twojego ojca matkę i dziadka. Ja ich bardzo kochałem. U nas wszystko dobrze. Widzieliśmy w telewizji że u was była bardzo ciężka zima dobrze że u nas jest nie ciężka. Śnieg jest tylko na górach i czasami w Jerozolimie posłałem wam 100 dolarów paczkę odzieży i 400 gram kawy”.

„Nie ma możliwości zatrudniania ludzi z krajów socjalistycznych jak zmieni się tendencja to dam wam znać”.

„Przepraszam że żona nie posłała dolarów bo nie wiedziała jak się załatwia”.

„Przesyłałem wam 100 dolarów i zegarek”.

Na samym dnie szuflady podziękowania.

„Kto pomaga, by słowo Chrystusa doszło do ludzkich serc, współpracuje z Panem Bogiem i On na pewno mu wynagrodzi. Niech ta miłość wyzwoli wszystkich zniewolonych złem, grzechem i uleczy wszystkich poranionych na różne sposoby. Ojciec Tadeusz Rydzyk, dziękuję za datki”.

Czytam na głos, Lech kiwa głową. Ojciec lubił ojca Rydzyka, słuchał Radia Maryja, wysyłał datki, Lech też lubi i słucha, bo przecież, jak mówi mi z uśmiechem, prawdę mówią.

# Książka

## Tajemnica

Matka Krzysztofa zawsze opowiadała o tym, co nad ziemią, widoczne, znane jej dzieciom, wspólnie z nimi przeżyte, ale o korzeniach rodzinnych ani słowa. Pozostały im domysły o tym, czego nie umiała ukryć – trosce o prześladowanych, samotnych, osieroconych. Magda, siostra Krzysztofa, dostawała do szkoły podwójne kanapki, jedną dla kolegi, który chodził blady z niedożywienia, i batonik z poleceniem, by łączyć na pół, częstować kolegę, choć okropny był typ, ale sierota, jak mama.

Ojciec Magdy i Krzysztofa zmarł wcześniej, w 1966 roku, podczas imprezy karnawałowej. Jego marynarki poszły do sąsiada, który miał ambicje, chciał studiować, a matka chciała, by jakoś na tych studiach wyglądał.

„Jak było podczas wojny?” – pytali.

„Były buty żołnierskie – odpowiadała. – Widziałam przez piwniczne okienko”.

„Kim byli dziadkowie?”

„Była babcia, która uciekła z jakiegoś transportu. Więcej nie wiem, miałam wtedy kilka lat”.

W powojenne życie matka Krzysztofa weszła prosto z domu dziecka sióstr zakonnych w Lublinie. Zrobiła studium pedagogiczne w Żarach, trafiła do Białegostoku, była referentem w spółdzielni, czytała literaturę francuską, a po wczesnej śmierci męża została sama z dziećmi. Zakasała rękawy, zaczęła studia prawnicze w Warszawie.

„Po co ci moja historia – mówiła Krzysztofowi – ojca ciekawsza, jego dziadkowie majątni, szlachta z rodowodem spod Białegostoku”. Wokół niej nie było nikogo – sióstr, wujków, kuzynów. Pustka. Czasami matka jechała do Lublina, ale sama. Wspominała o jakiejś cioci, ale nie wiadomo, jak spokrewnionej. Ciocia umarła, skończyły się wyjazdy. Matka mówiła też o wieloetnicznych miejscach, posługiwała się egzotycznymi słowami, jak „kiepele” czy „kahał”. Znała kilka oryginalnych przepisów, przeważnie na ryby i śledzie. Umarła w 2006 roku i zabrała do grobu tajemnicę korzeni rodzinnych, o ile ją znała. Krzysztof dostał w spadku posążek gejszy. Żadnych dokumentów.

Ma trochę zdjęć, ale zawsze pozostaje wątpliwość – kto jest dziadkiem, a kto stryjem? Jedzie więc do Lublina, bada archiwa, kolejne księgi meldunkowe, akty urodzenia. Matka wspominała, że podczas wojny była w domu prowadzonym przez siostry zakonne. A co się działo wtedy z jej rodzicami? Nie wiadomo. Z domu sióstr zakonnych odebrała ją jednak właśnie matka, Franciszka, i zamieszkały na lubelskim Starym Mieście. Z książki meldunkowej Krzysztof dowiaduje się, że Franciszka trzy razy meldowała tam swoją córkę, już po wojnie, ale zawsze podawała inną datę jej urodzenia. No tak, całe życie Krzysztofowi się zdawało, że matka jest trochę starsza. W Lublinie jest też wpis o wymeldowaniu dziadka Krzysztofa, męża babci Franciszki, do koszar w Krakowie. Dziadek umiera pod koniec wojny, babcia w 1948 roku. Matka zamieszkuje u rodziny, która w 1945 roku została repatriowana z Równego do Żar. Nie wiadomo, dlaczego zaczyna kilkuletnią podróż po bliższych i dalszych krewnych – Lubartów, Lubaczów, Lublin, Gdańsk, Grodków, ponownie Żary i wreszcie Białystok.

W Urzędzie Stanu Cywilnego w Białymstoku Krzysztof dostaje teczkę personalną dowodu osobistego matki. Są tam kwity meldunkowe z lat 1946–1947, jest trasa meldowań, ale na jednym małym karteluszk

inne dane rodziców niż w poprzednich dokumentach. Czy matka żyła pod prawdziwą tożsamością? Jeśli fikcyjną, to dlaczego ukrywała prawdziwą? Którzy rodzice byli prawdziwi? Dzieci tych drugich nie chcą z Krzysztofem rozmawiać.

Krzysztof jedzie do Żar, gdzie mama mieszkała jako dziecko. Znajduje akt zgonu babci, której grób od wielu lat nie istnieje, nie ma go w ewidencji. Krąży od drzwi do drzwi, odnajduje daleką kuzynkę mamy. Dowiaduje się, że dziadkowie mamy pochodzą z polskiej rodziny, mieszkali w Równem na Polesiu, w czasie wojny przenieśli się do Lublina. Po co? Może uciekali przed Sowietami, myśli Krzysztof, może w czasie wojny chcieli być blisko osiadłej tam rodziny dziadka? Dlaczego matka nie chciała o tym mówić? Brak stabilności w czasie wojny? Osierocenie?

Trauma rodzinna pęcznieje, gdy zapada zmrok. Córka Krzysztofa już jako nastolatka widzi przez sen babcię przy łóżku albo nazistów, którzy po nią przychodzą. Krzysztof nie chce maltretować córki, więc nie rozmawiają na ten temat. Niech się córka uczy, kształci, nie myśli o tym, bo zbyt wrażliwa.

Córka ma dwadzieścia trzy lata, delikatna, zwiewna. Gdy przychodzi na spotkanie, jest czujna, choć nie wie, o czym będzie rozmowa.

– Nie chcę, nie mogę. Mam plany, muszę się skupić na sobie, na rozwoju, życiu, a to mnie wykańcza, wciąga, nie daje spokoju – mówi prawie ze łzami.

## Falszerz

*Żydowska panna młoda* to obraz kobiety o włosach do szyi, mocnych brwiach, melancholijnym spojrzeniu, z diademem na czole, bujnym naszyjnikiem. Namalował go Abraham Behrmann w 1914 roku w Łodzi, w żydowskim centrum Polski. Po wybuchu II wojny światowej przeniósł się do Białegostoku, żydowskiego centrum Polski północno-wschodniej, i zginął podczas likwidacji getta. Jego „Panna młoda” zdobi okładkę książki Rafaela Rajznera *Losy nieopowiedziane. Zagłada Żydów białostockich 1939–1945*.

Na ostatniej stronie książki jest adnotacja Żydowskiego Instytutu Historycznego, że „publikacja ukazuje się dzięki wsparciu finansowemu Krzysztofa”, który prosi mnie jednak, by nie ujawniać nazwiska, bo sprawa intymna, rodzinna.

Trafiłem na tę książkę, nim poznałem Krzysztofa. Znalazłem notkę w prasie, że to białostocki biznesmen wsparł książkę, by przybliżyć białostoczanom nieznaną historię miasta.

– Dlaczego tak panu zależało? – spytałem, gdy siedzieliśmy na pierwszym spotkaniu jesiennym, szarym, białostockim popołudniem 2014 roku w hotelowej kawiarni i piliśmy kawę.

Krzysztof, pięćdziesięciolatek, łysawy, w okularach, przy kości, wygląda jak wykładowca akademicki. Skończył orientalistykę, jest dość majątny, działa w handlu. Zamieszał kawę, pokręcił się w fotelu, jakby temat go uwierał, jakby miał za chwilę wyjść.

– Urodziłem się w Białymstoku, żona także. Mieszkam tu całe życie. Chodziłem po ulicach i widziałem pustkę historyczną. Z angielskiego przekładu książki Rajznera dowiedziałem się, że Białystok był miastem, którego nigdy nie znałem, które zniknęło, i nikomu nie zależy, by wróciło.

– Dlaczego akurat pan, biznesmen, który niewiele ma wspólnego z działalnością historyczną?

Minęło parę chwil, nim opowiedział o poszukiwaniach matczynych korzeni. Przeczytał w prasie wzmiankę o przyjeździe Samuela Pisara, amerykańskiego prawnika, Żyda, który urodził się przed wojną w Białymstoku. Pisar przyjechał w 2009 roku na kongres o Żydach w auli Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku. Krzysztof poszedł na ten kongres. Pewien profesor z Australii opowiadała tam o książce wydanej na antypodach, napisanej przez nieznanego nikomu Rafaela Rajznera, białostoczanina. Rajzner nie był dziennikarzem, historykiem czy pisarzem, był zwykłym drukarzem, który umknął śmierci i spisał piekielne wspomnienia. Człowiek nijaki, jak Krzysztof, z tego samego miasta, pozbawiony historii, o której nie mówi się w szkole. Na konferencji było grono profesorów, nikt nie zainteresował się książką, a można było ją sprowadzić za dwadzieścia dolarów. Krzysztof sprowadził i przeczytał o Białymstoku, o którym nigdy nie słyszał.

Rajzner wspomina w niej teatry, kina, gazety, kabarety, sklepy, szkoły, fundacje, domy, parki, kluby inteligentkie, fanatyków, liberałów, kłótnie, gwar jidysz, stragany rynkowe, święta, synagogę, bożnicę, cmentarze – wszystko żydowskie, białostockie, tuż za rogiem historii. Pięćdziesiąt tysięcy ludzi, pół miasta.

Krzysztof chodzi tymi ulicami, spędził tu życie, ale nie wiedział, by to miasto było aż w takim rozmiarze żydowskie. Nie ma bożnic, synagog, żadnych znaków, pamięci, wspomnień, rozmów. Jacyś Żydzi tu mieszkali – to wiedział, zmiotła ich wojna – to też wiedział. Słyszał, że urodził się tu Ludwik Zamenhof, twórca esperanto, widział zdewastowany cmentarz żydowski, na który katolicy wyrzucali ze swojego śmieci, ale najwięcej widział swastyk na murach.

Opowieść Rajznera to kronika wymazywania historii miasta z czynnym udziałem polskich sąsiadów.

Dwa razy w książce używa on słowa „Niemcy”. Mordują „naziści”, „hitlerowcy”, „zbrodniarze”. Pełno zapisów donosicielstwa, szabrownictwa, szmalcownictwa, scen okrutnych zbrodni, jakich dokonali białostoczanie na swoich żydowskich sąsiadach.

Do Białegostoku, jak pisze, najpierw wdarli się naziści, w piątek, 15 września 1939 roku. Żydzi się pochowali w domach. Na nic, bo zginęło od razu sto osób. Trzeciego dnia okupacji Żydzi się ucieszyli, bo pakt Ribbentrop–Mołotow przerwał hitlerowską rzeź i do miasta weszli Rosjanie. Żydzi wyszli ze swoich kryjówek, złapali świeże powietrze, dali upust nerwom i przywitani wyzwoleńcami kwiatami. Rosjanie znieśli ograniczenia nałożone przez nazistów, ale tylko na chwilę, bo zaczęły się wywózki na Syberię: Polacy i Żydzi trafiali do wagonów, a te odjeżdżały w białą dal.

Białystok pęczniał, bo przybywali Żydzi z zachodniej Polski, którzy uciekali przed Niemcami. Zajmowali synagogę, bożnicę, każde wolne miejsce. Represje nasiliły się w roku 1941, gdy deportowano siłą działaczy politycznych, przedstawicieli kultury, syjonistów, przedsiębiorców – wrogów władzy sowieckiej. Płacząc w wagonach na wschód, nie wiedzieli, że wyruszają z piekła ku ocaleniu.

22 czerwca 1941 roku Niemcy napadli na Rosję i znów weszli do Białegostoku. Spędzili blisko dwa tysiące Żydów do synagogi i podpalili. Ludzie w pośrodku przecinali sobie żyły, jakiś mężczyzna poprosił syna, by go powiesił, jak pisze Rajzner, na menorze za pasek od spodni.

Z części miasta wydzielono getto. Zamieszkało w nim pięćdziesiąt tysięcy Żydów. Na niewielkiej powierzchni miasta upchnięto połowę jego populacji. Żydzi utworzyli tam namiastkę życia, która daje pojęcie o skali ich przedsiębiorczości, ale i woli przetrwania. Judenrat, administrujący gettem za zgodą Niemców, zorganizował urzędy: finansowe, aprowizacji, zakwaterowania, budowlany, pomocy społecznej, zdrowia, służbę porządkową, straż pożarną, urząd kultury i wiele innych – a stanowiska kierownicze oddano w nich ludziom, którzy zajmowali się tym przed wojną. Działały prowizoryczne szkoły, szpitale, teatr, a wszystko przepełnione, nabite ludźmi.

Książka w wielu miejscach jest dla polskich sąsiadów bolesna. Rajzner pisze:

„Majętni Żydzi składali biednym Polakom mieszkającym na terenie getta propozycje zamiany domów. Piękne, pięciopokojowe mieszkania z wielkimi wygodami były wymieniane na maleńkie klitki bez bieżącej wody”.

„Polscy chuligani”, jak nazywa szabrowników, „atakowali bezbronne żydowskie kobiety i dzieci”. Z okolicznych wiosek samowolnie uciekają do getta tysiące Żydów. Przynoszą złe wieści: Polacy mordują ich we własnych domach. Żydzi z tych miasteczek obrony przed Polakami szukają u nazistowskich komendantów. Ten lęk nie pozwalał im uciekać z getta, by szukać iluzorycznej wolności w lasach, bo zaraz wracali – jeśli żywi, to bez butów, ubrań.

W Sokołach koło Łap, jak pisze Rajzner, komendant ostrzegł Żydów, że nazajutrz rozpocznie się akcja likwidacyjna. Uciekli do lasów. „Ale Żydom z Sokół nie udało się długo przetrwać w lesie. Polscy sąsiedzi, którzy obrabowali już ich domy, teraz zdradzili nazistom ich kryjówki. Chcieli mieć pewność, że Żydzi nie powrócą, by upomnieć się o swój dobytek”.

Nie wszyscy musieli kraść.

„Niemcy utworzyli agencje do spraw sprzedaży pożydowskich domów położonych poza gettem. Sprzedawano je po kilkaset marek za sztukę Polakom, głównie chłopom. Żydowscy furmani objeżdżający tereny poza gettem próbowali odkupywać te domy, żeby rozebrać je na drewno opałowe. Czasami się udawało, ale były to kosztowne transakcje. Zdarzało się, że taki furman odkupował z powrotem swój

własny dom. Dorośli mężczyźni płakali wtedy jak małe dzieci”.

Rajzner podaje przykłady pomocy ze strony Polaków, ale to kropla, która w książce rozlewa się na kilka zdań.

Getto, jak opisuje, żyło świadomością tragicznego końca. Jeśli niejasna, przerażająca wydaje się decyzja, by wyrzucić dziecko z pociągu jadącego do Trebłinki, Rajzner przybliży tego powody. Do getta białostockiego przybyło co najmniej kilku Żydów z getta warszawskiego albo uciekinierów z Trebłinki. Widzieli komory i płonące stosy, więc zaczęli w Białymstoku budować kryjówki.

Rzeź rozpoczęła się w lutym 1943 roku. Mordowano ich na miejscu lub wywożono. Icchok Malmed, młody Żyd, chlusnął jednemu z nazistów kwasem w twarz, zabrał broń i uciekł do lasu. Niemcy rozstrzelali w odwecie grupę żydowskich kobiet i dzieci, w tym jego żonę i córkę. Szykowali kolejną, ale Malmed wrócił, by się poddać.

To jeden z nielicznych śladów żydowskości, który Krzysztof znalazł w Białymstoku – ulicę imienia Malmeda.

Żydowskie dzieci w sierocińcu się wieszały, dorośli truli, rzucali z okien, w kryjówkach matki dusiły płaczące dzieci, a kaszlący byli wyrzucani pod kule. Naziści, jak pamięta Rajzner, byli skrupulatni – mordowali od rana dokładnie do siedemnastej, robili przerwę na obiad i już najedzeni mordowali do zmroku.

Podczas przerwy obiadowej i wieczorami też nie było spokoju. Przychodzili do getta Polacy, by wskazywać kryjówki, plądrować, mordować. Żydzi wymyślili hasło: cmokanie. Cmokał i Rajzner, który przechował się w kryjówce, gdy do obozów zagłady trafiły jego żona i córka.

Ostatni przywódcy społeczności żydowskiej w getcie białostockim zostali rozstrzelani w listopadzie 1943 roku w obozie w Poniatowej. Szli pod kule przy dźwiękach orkiestry grającej walce Straussa, która miała zagłuszyć krzyki i strzały.

Rajzner ukrywał się z kilkuset Żydami. Niemcy i Polacy wymyślali coraz to doskonalsze sposoby poszukiwań: owijali buty filcem, by zagłuszyć kroki, krzyczeli, że niby odchodzą, ale wyczekiwali kaszlnięcia, płaczu dziecka. Kilku przyjaciół Rajznera zaufało Polakom i poszło do nich w zamian za kosztowności. Czekają na nich gestapo.

W końcu wywleczono i Rajznera. Trafił do więzienia gestapo w Białymstoku. Gdy wieziono go autem, był pewny, że w ostatnią podróż. Obrazy, jakie wtedy zobaczył, są żywym opisem Białegostoku sprzed wojny:

„Ulice były ciche i opustoszałe. Jakbyśmy byli na cmentarzu. Nie było ani jednego Żyda, jak okiem sięgnąć, tylko zniszczenia. [...] Przypomniały mi się tętniące życiem żydowskie ulice. Szczęśliwe żydowskie dzieci, pociechy swych rodziców, bawiące się na podwórkach, śpiewające żydowskie piosenki. Były naszą przyszłością, studentami lub rzemieślnikami, robotnikami, murarzami, handlowcami. Nasi Żydzi ciężko pracowali, byli pilni i uczciwi! Budowali domy, zakładali rodziny, tworzyli firmy i miejsca pracy. Cały ten tłum ślusarzy, stolarzy, szewców, blacharzy, fryzjerów, tkaczy, brakarzy z damskich szwalni, sklepikarzy. Stanęli mi przed oczami myśliciele bez ustanku studiujący teksty hebrajskie i te pisane w jidisz, absolwenci wszelkich szkół, wolnomyśliciele, bojownicy lewicowi i zdeklarowani prawicowcy. Zrobiło mi się cieplej na duszy, kiedy wspominałem tych, którzy dostarczyli nam rozrywki: aktorów, piosenkarzy i sportowców. [...] Żydzi chodzili tymi ulicami – w dzień i w noc, w dni robocze i te wolne od pracy, w szabat i w wielkie święta! Szczęściarze i pechowcy pracujący

z wielkim zapalem i ci juz znuzeni, bogacze i zwykli ludzie, chasydzi i misnagdzi, mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy. Szli ulicami i znikali za bramami Wielkiej Synagogi, małych bóżnic i sztybli. [...] W tych czasach domy były piękne i pachnące, stoły wspaniale zastawione, a palące się świece roztaczały nieziemską poświatę. [...] Miasto zmieniło się w cmentarz. Modlitwa wzywa »Słuchaj, Izraelu«, ale nie było już Izraela. Wszędzie ziała pustka, nikt nie pozostał wśród żywych!».

Rajzner trafił do obozu w Stutthofie. Spotkał polskiego lekarza z Białegostoku, który wypominał mu, że miasto należało do Żydów, a on „nie dopuści do tego, żeby to się powtórzyło”. Potem był Oświęcim, ale przed komorą gazową uratował go fach drukarza. W 1944 roku trafił do Sachsenhausen, do specgrupy zajmującej się fałszowaniem brytyjskich funtów. Historia ta była kanwą filmu *Fałszerze*. Działali w sposób tajny, pilnowani przez niemieckich specagentów. Produkowali miliony fałszywych banknotów, które trafiały do obiegu, by osłabić brytyjską walutę. W komandzie było stu czterdziestu pracowników, głównie Żydów z całej Europy: drukarzy, fotografików, elektryków, intrologatorów, chemików, malarzy, wśród nich także niemiecki malarz Peter Hirsch, który popadł w niełaskę Josepha Goebbelsa. Proces produkcji był mozolny, wybrane banknoty poddawano kontroli – mieszano z oryginałami – a dopiero, gdy nie można było dojść, który jest prawdziwy, wprowadzano na rynek. Postarzano je, gniotąc i brudząc, by nie wzbudzały podejrzeń, odciskano na nich nawet ślad spinaczy biurowych, bo taki zwyczaj mieli Anglicy, gdy pakowali banknoty w pliki.

Rajzner miał tam dobre warunki, jadł prawie do woli, w radiu słuchał komunikatów o zbliżających się wojskach aliantów i Rosjan, widział na niebie amerykańskie bombowce lecące na Berlin.

Jego żona i córka zginęły w obozach koncentracyjnych, syn został zastrzelony podczas ucieczki z więzienia w Białymstoku, a on doczekał wyzwolenia w obozie w Ebensee. Ożenił się ponownie, wyjechał do Australii, zmarł w 1956 roku, nie dożywszy sześćdziesięciu lat. Książkę napisał w Melbourne, w 1948 roku. Żydowski Instytut Historyczny – wydawca, Instytut Pamięci Narodowej, który ją konsultował, nie mieli zastrzeżeń co do opisanych przez niego faktów.

Rajzner kończy ją słowami:

„Jedynie garstka Żydów pozostała do dzisiaj w Białymstoku. Odziedziczyli ruiny pełne bolesnych wspomnień, które zaścielają ziemię przesączoną krwią. Stanowią oni żywe świadectwo naszych męczenników. Chcą się poświęcić odtworzeniu żydowskiego życia w Białymstoku”.



## Tłumacz

Krzysztof nie może zasnąć, gdy czyta o płonących Żydach w synagodze białostockiej, o tym, jak syn wiesza ojca na pasku od spodni.

Wzrusza się na wieść, że polski stróż uchylił drzwi świątyni i odroczył śmierć dziesięciu Żydów.

Dziwi się, gdy czyta o teatrach, kabaretach, gazetach żydowskich, które pulsowały w sercu Białegostoku.

Po lekturze przystaje na ulicach, tych samych, które opisał Rajzner, a tak innych, wypalonych niemieckim ogniem, zburzonych rosyjskimi bombami, wytartych polską niepamięcią. Nie może się nadziwić, że w Białymstoku było tylu Żydów.

Jedzie do Treblinki. Patrzy na tory, przypomina sobie opis, jak pociąg staje nieopodal, wagony zostają odczepione, odjeżdżają w treblinecki las, a ludzie wyją. Pojechał tam z Niemcami z fundacji, która ich przysłała, by pracowali społecznie na cmentarzu zagłady. Jeden z nich, czterdziestolatek o społecznikowskim zacięciu, pyta Krzysztofa, jak w Białymstoku obchodzona jest rocznica powstania w Treblince. Krzysztof musi chwilę pomyśleć, nim pojmie, że nie jest obchodzona. Zostaje na chwilę sam, kładzie się na ziemi, by odpocząć, patrzy na niebo przecięte smugą zostawioną przez samolot. Czy oni tam, myśli, wiedzą, że lecą nad milionowym miastem? A gdyby tak pilot powiedział: „Droży państwo, minęliśmy Warszawę, pod nami Treblinka, milionowe miasto ludzkich prochów”.

Skoro w Australii książkę Rajznera wydali białostoccy emigranci, to dlaczego nie miałyby zostać wydana w Polsce, ich ojczyźnie? To takie proste, myśli Krzysztof. Ma tylko wątpliwości, czy Rajzner pisze prawdę i czy poprawne jest angielskie tłumaczenie. Szuka wersji w jidysz, chce porównać. Oryginał ma Tomasz Wiśniewski, regionalista. Wydawca australijski znalazł dwudziestu dwóch tłumaczy, by społecznie przełożyli książkę z jidysz, Krzysztof chce, by ukazała się też po polsku. Uda się, myśli, skoro Białystok to żydowskie miasto. Pyta koleżankę, tłumaczkę. Fajny pomysł, słyszy, ale nie da rady, może jej kolega o żydowskich korzeniach. Kolega ma dosyć historii o Holocauście, a jeszcze mąż koleżanki, pisarz, pyta Krzysztofa, czy aby ta książka naprawdę taka ważna.

Krzysztof sam tłumaczy z angielskiego. Strona po stronie, nocami, po powrocie z pracy.

Niewygodnie mu z papierową wersją, trzeba czymś przyciskać, oczy bołą, bo raz papier, raz komputer. Prosi Australijczyków, dostaje wersję elektroniczną. Gotowe fragmenty wysyła różnym wydawcom, uczciwie, z opisami, że Rajzner nie oszczędza Polaków. Pisz do Żydowskiego Instytutu Historycznego, bez odpowiedzi. Jedzie, czeka dwie–trzy godziny pod drzwiami dyrektorki, ale słyszy, że jej nie ma. Po pół roku daje spokój, do dziś nie wie, jakie były przyczyny milczenia.

Pisz do Centrum Badań nad Zagładą Żydów, do profesor Barbary Engelking. Odpisuje, że nie jest zainteresowana. Pewnie, sądzi Krzysztof, ma swoje plany wydawnicze.

Nie ma co się łamać, Rajzner miał podobne problemy – komitet żydowski w Nowym Jorku odmówił, więc poszedł do Centrum Białostockiego w Melbourne, założonego przez białostockich emigrantów.

W ŻIH zmienia się dyrektor, zostaje nim Paweł Śpiewak, którego żona pochodzi z Białegostoku. Śpiewakowi idea się podoba, zapewnia o wsparciu technicznym, ale nie ma wówczas pieniędzy w budżecie. Znajdą się, mówi Krzysztof. ŻIH daje redakcję, korektę.

Krzysztof kończy tłumaczenie, dokłada do wydania książki w 2013 roku, wykupuje prawie cały nakład, wysyła na festiwale żydowskie, do antykwariatów, jako nagrody w audycjach radiowych. Finansuje nagranie, emitowane w odcinkach przez lokalne radio.

Gdy spytam o książkę Rajznera białostockich historyków, pasjonatów historii, mieszkańców miasta, nie znają jej.

Krzysztof uśmiecha się przy kolejnym spotkaniu.

– Ha! A wie pan, dowiedziałem się, że ktoś jedną zamówił w ŻIH.

– To chyba ja... – mówię, nim zdążę się ugryźć w język.

Podczas kolejnego spotkania, w białostockiej klubokawiarni, Krzysztof nagle znika. Wraca po chwili smutny. Poszedł sprawdzić półki z książkami, Rajznera nie widział, choć przekazuje egzemplarze białostockim księgarniom za pół darmo. Spytał, nie było, może zeszła. Dlaczego nie zamawiają kolejnych? Nie wiedzą. Zamówił dostawę, będzie chodził po księgarniach białostockich i pilnował, by stały na półkach. Część przekaze do lokalnych więzień. „Holocaust – pisze do mnie Krzysztof w liście – może przecież uczyć odrazy do przemocy, przynajmniej te mniej zatwardziałe serca”.

# Więzienie

Tomasz Wiśniewski trafia do więzienia trochę przypadkiem. W 1980 roku jest adiunktem polonistyki w białostockiej filii Uniwersytetu Warszawskiego, idzie uczelnianym korytarzem, ktoś podsuwa mu listę poparcia dla opozycji i staje się „obywatelalem Piszczukiem”, jednym z założycieli Niezależnego Związku Studentów. Ale podpis rzuca go do najlepiej zapatrzonej wtedy na Podlasiu biblioteki – w więzieniu.

Dzisiaj to łysiejący pięćdziesięciolatek. Lubi zakłąć, by podkreślić powagę zdenerwowania, dla wielu to choleryk, ale i najlepszy w regionie znawca kultury żydowskiej, architektury, sakraliów. Autor książek, niezliczonych filmów dokumentalnych.

W więzieniu nie jest wojownikiem, nie wierzy w zmianę ustroju. Píše wiersze, gra na gitarze, chodzi do biblioteki. Ściąga z półki cacka, których nie ma w obiegu, w instytutach literackich. Władze PRL zgadzały się na druk podejrzanych pozycji, ale w małych nakładach – część szła do Polskiej Akademii Nauk, część do więzień. Choć Wiśniewski studiował polonistykę, to tam dopiero znajduje *Mój wiek* Aleksandra Wata albo książkę w szarej, niepozornej okładce, o której nigdy nie słyszał: *Ruch oporu w getcie białostockim. Samoobrona, zagłada, powstanie*, wydaną w latach pięćdziesiątych. Autor, Bernard Mark, był przewodniczącym związku dziennikarzy żydowskich, szefem Żydowskiego Instytutu Historycznego. Wiśniewski miał na uczelni elitę wykładowców z Warszawy zrzuconych tam karnie, jak Zygmunt Saloni, językoznawca, który przyjeżdżał rowerem ze stolicy, prawie dwieście kilometrów. Matka Wiśniewskiego знаła jakąś piosenkę w jidysz, a ojciec był wiceszefem lokalnej „Gazety Współczesnej”, szefem Radia Białystok, wysoko postawionym w partii, inteligentem. Słyszał od nich, że Żydzi byli w Białymstoku, ale z książki Marka dowiaduje się, że Żydzi byli Białymstokiem.

Wychodzi z pudła z dziurą w głowie, której nie potrafi zatkać. Snuje się po bibliotekach jak wygłodniały żydowskiej historii zombi. Czasu ma dużo, bo stracił pracę na uczelni. Odszukuje wszystkich, czyli kilku Żydów Białegostoku. Jest Kalman Kania, który zawsze zapomina, czy zamknął drzwi. Jest Feliks Malarewicz, z którym chodzi po mieście, robi notatki, odkrywa budynki, na których zostały tylko dziury po mezuzach, gwiazdach Dawida. Dostaje pracę w bibliotece dla dzieci, jego Żydzi przychodzą tam na sesje nagraniowe. Wiśniewski włącza wielki szpulowy magnetofon, by ocalić pamięć. Siedzą z flaszką pośród książek, bo jego Żydzi nie potrafią na trzeźwo wspominać przyjaciół, którzy płonęli na ich oczach z żonami i dziećmi. Malarewicz, drobnutki, z laseczką, nachyla się do magnetofonu, pokazuje ręką gdzieś za okno. O, tam, mówi, była knajpa żydowska, teatr, a tam dalej najlepsze w mieście żydowskie kurwy.

Przed wojną było w Białymstoku dwieście pięćdziesiąt burdeli – to często jeden pokój, jedna kobieta, najczęściej Żydówka, przyuczana do zawodu przez matkę. Kontrolowały je służby sanitarne, nadzorowała policja. Najwięcej było ich w dzielnicy Chanajki, pełnej ciemnych zaułków, zakapiorów, ale i muzyki, tańca. Dzielnicę zaludniali ciasno żydowscy robotnicy. Królem był tam Jankiel Rozengarten, zwany „Jankieczkie”. Kradł, podrabiał pieniądze, kontrolował rynek prostytutki. Drugim Szmul Gorfinkiel, ksywa „Kokoszkie”, hazardzista i szuler. Panowie nie potrafili podzielić rynku i się pomordowali.

Białystok, jak słyszy Wiśniewski, był też przed wojną miastem tolerancji. Podczas święta 11 listopada rabin szedł do kościoła katolickiego, a proboszcz do synagogi, śpiewali wspólnie *Hatikwę*, hymn żydowski, i *Mazurka Dąbrowskiego*.

Wiśniewski spisuje rozmowy, wertuje przedwojenne gazety, których było blisko pięćdziesiąt, połowa żydowskich. Pisze do „Kuriera Podlaskiego” felietony pod tytułem „Kartki z Atlantydy” o Żydach, ich zapomnianych cmentarzach, kulturze, przemyśle, zagładzie. Zostaje zaproszony na dyskusję o pięciuset latach osadnictwa żydowskiego w Polsce. Czuje wśród kolegów niechęć do tematu, płynącą po linii politycznej PRL. Wypomina, że są zaległości, że trzeba to naprawić. Zostaje uznany za oszołoma. Wzywa go Urząd Bezpieczeństwa, porucznik pyta: „dlaczego interesuje się pan Żydami, kto panu płaci?”. Legenda o jego zainteresowaniach dociera do Izraela, dostaje list od Michała Flikiera, białostoczanina, który uratował się z Holocaustu, a syna stracił w Izraelu podczas wojny sześciodniowej. Zaprasza go, Wiśniewski jedzie i przez miesiąc wyciska łzy z oczu białostockich uciekinierów, gdy rozmawiają o świecie, którego już nie ma.

– Wtedy zobaczyłem – mówi, gdy siedzimy na podłodze na poddaszu jego domu w Białymstoku – jakie to miasto miało dla nich znaczenie, siłę, jak dobrze im się tu żyło, bo endecja nie dotarła na Podlasie ze swoją opresją getta ławkowego. Opowiadali mi o teatrach, kinach, kabaretach, o klubie sportowym Makabi Brześć, o tym, jak żydowski bokser zabił na ringu polskiego, a gmina żydowska ufundowała wsparcie dla rodziny zabitego.

Wiśniewski zaprasza Żydów na rewizyty, wycieczki, oprowadza po mieście. Wskazują palcem nowe budynki, place, ulice i próbują przypomnieć sobie, gdzie te kabarety, teatry, ale wojna zdmuchnęła dawne punkty odniesienia. Wiśniewski widzi na ich twarzach strach, przekonuje, że w Polsce antysemityzmu już nie ma. Nie wierzą, pytają, dlaczego, jak to możliwe, po Holocauście? Myśli rok, pisze list, próbuje szukać argumentów, no choćby ten, że od XVI wieku na ziemiach polskich mieszkała większa część żydowskiej populacji świata. Ale nie odpisują.

Zakłada z przyjaciółmi Stowarzyszenie „Szukamy Polski”, tworzy stronę internetową w jidysz i hebrajskim, namawia miejscowe władze do kilku projektów, stawiają na mieście tablice w języku polskim, angielskim i esperanto, ale współpraca idzie opornie.

Jeździ po całej Europie, by zgromadzić kolekcję blisko trzydziestu tysięcy zdjęć dokumentujących przedwojenną wielokulturową rzeczywistość Białegostoku, w tym pamiątki żydowskie pozostałe w architekturze powojennej. Chce podarować je miastu, ale władze nie wiedzą, co zrobić z taką kolekcją. Wiśniewski, sfrustrowany, pisze list otwarty, że odda za darmo, byle w przestrzeń publiczną. Zgłasza się mała gmina, Michałowo, trzydzieści kilometrów od Białegostoku. Wiśniewski dostaje tam grant na muzeum, prowadzi warsztaty z młodzieżą, promuje elementy wielokulturowości. Przed wojną żyło w Michałowie około dwunastu procent Żydów. Dzisiaj w centrum miasteczka stoi pomnik poświęcony różnym wyznaniom – jest krzyż prawosławny, katolicki, ale gwiazdy Dawida nie ma. Mieszkańcy dowiadują się o sobie w muzeum, gdy Wiśniewski zaprosi zespół śpiewający w jidysz.

Pod budynkiem muzeum stoi Georg Lass, trzydziestotrzyletni Niemiec. W dżinsach, kurtce turystycznej, luźnym swetrze. Wąskie ramiona, okulary, twarz przydeptana smutkiem.

– Zadzwoił, że widział moje filmy, coś go tu ciągnie, nie do końca wiem, o co mu chodzi. – Wiśniewski wzrusza ramionami, rozbawiony, poznał Georga ledwie chwilę wcześniej.

Palimy papierosa pod muzeum. Georg, nauczyciel języków, jest jakiś zmieszany. Nostalgia, mówi płynną polszczyzną, ciągnie go tu, na polskie kresy. Jego dziadek, profesor literatury rosyjskiej, urodził się w dawnej Republice Czechosłowackiej w 1934 roku. Chciał studiować czeski, ale na niemieckich uczelniach nie było. Brat dziadka podczas II wojny światowej walczył w Wehrmachcie i zginął, drugi

trafił do rosyjskiej niewoli i przeżył. Po wojnie mieszkali w Berlinie Wschodnim, dziadek był pionierem w Wolnej Młodzieży Niemieckiej, obiecywał służyć NRD. Uwielbiał słowiańszczyznę, rosyjskiego nauczył się ot tak. Po dziadku Georg ma wstręt do broni. Gdy chcieli go wziąć do wojska, napisał list sumienia, że broni do ręki nie weźmie, bo jego dziadek przeżył wojnę, a bracia walczyli, i Georg ma tylko nadzieję, że nie popełnili zbrodni.

Nostalgia obudziła się dwadzieścia lat temu, gdy dziadek przeczytał w gazecie, że jest dom wakacyjny do wynajęcia, koło Słupska. Pojechali całą rodziną, potem jeździli co roku, a gdy dziadek spytał, kto chce się uczyć polskiego, Georg nauczył się ot tak, jak dziadek. Pamięta pierwszą lekcję:

„ja chcę”;

„ty chcesz”;

„on chce”;

i jeszcze „dzień dobry” i „cześć”.

Pamięta polskich chłopaków, mecze na trawie, kąpiele, pierwsze przekleństwa po polsku, które brzmiały zabawnie. Potem coś, czego przy papierosie nie da się opowiedzieć, bo polskich słów brakuje, a może takich nie ma. No bo skoro wszedł w pociąg do Kowna, a wysiadł w Białymstoku, trudno to wytłumaczyć. Ucina, kręci głową.

– Co ci? – pytam, bo smutnie w oczach.

– Czasem leżę w łóżku – mówi – i myślę, że najgorszego przestępstwa w historii dokonali ludzie z mojego kraju. Dlaczego nie urodziłem się na Litwie, w Portugalii, w Polsce? Jeszcze w szkole, na początku lat dziewięćdziesiątych, byłem w Sachsenhausen, w Ravensbrück, w Buchenwaldzie, nie byłem tylko w Oświęcimiu i wiem, że to będzie trudne, ale muszę. Nie chciałem tylko sam tam jechać, może z Żydami pojedę, na Marsz Życia. Miałem już praktykę w Berlinie, w szkole żydowskiej, to był mój pierwszy krok do tego świata, zobaczyłem ich wspólnotę, śpiewałem w jidysz.

– A co tu widzisz? – pytam.

– No właśnie – odpowiada – to dziwne, bo jestem tu kilka dni i zadaję sobie pytanie, czy Białystok pamięta.

Georg stoi pod pomnikiem spalonej synagogi wbitym w parking, niewidocznym, pod obeliskiem bohaterów getta wbitym w osiedle, gdzie trudno trafić. Widzi ślady po mezuzach na domach, ale tak mało tego. Chciałby przenieść się tutaj w czasie, by zobaczyć to bogactwo kultury żydowskiej, bo czuje żal, tęsknotę za tamtym światem, którego pełno było w Polsce przed katastrofą. Chciałby krzyczeć na ulicach: „Ludzie, uciekajcie, bo zaraz przyjdą moi rodacy i zawiozą was do Treblinki!”. A potem zostałby partyzantem. Dobrze, wzdycha, że tu tacy dobrzy ludzie, tylu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Kiwa głową, wilgotnieją mu oczy, popiół mojego papierosa spada na jego but.

Wiśniewski chciał przywrócić to, czego Georg nie mógł znaleźć. W 2009 roku zaproponował władzom miasta, by jedną z ulic nazwać imieniem Nory Ney. Urodzona na Podlasiu na początku XX wieku jako Sonia Nejman uczyła się w elitarnym Gimnazjum Dawida Druskina w Białymstoku dla zamożnych rodzin żydowskich. Występowała w szkolnym teatryku, ale ojciec nie chciał słuchać o aktorstwie, planował wydać ją za zamożnego żydowskiego starca. Uciekła z domu przez okno, pojechała do Warszawy, krytyka uznała ją za nową Polę Negri. Miała dziewczęcą twarz i smukłą figurę, była emancypantką, propagowała modę noszenia spodni na wzór Marleny Dietrich. W czasie II wojny światowej została zesłana w głąb ZSRR, po wojnie wyjechała do USA. Ofert żydowskiego teatru w Nowym Jorku nie przyjęła, nie знаła

jidysz, w Gimnazjum Druskina uczono po polsku. Jej córka Joanna Ney wylobbowała przyznanie Andrzejowi Wajdzie Oskara za całokształt twórczości.

Władze Białegostoku propozycję Wiśniewskiego przemilczały, dostał tylko list od jednego z mieszkańców: „Jak pan śmie proponować nazwę ulicy w Białymstoku nazwiskiem żydówki i dlaczego pisząc o żydach, nie skupia się pan na ich bezsprzecznych zdradach wobec Kościoła i Narodu Polskiego?”.

# Taksówkarz

„Weź kozuch, skoro wyjeżdżasz do Białegostoku” – powiedziała matka Katarzynie Sztop-Rutkowskiej, gdy ta w 2000 roku przyjęła ofertę pracy na Uniwersytecie w Białymstoku. Skończyła właśnie socjologię w Łodzi, pisała pracę magisterską o Żydach i od tego pisania śniło jej się, że siedzi w getcie. W Białymstoku ma nadzieję pisać o mniejszościach narodowych, bo jest tu profesor Andrzej Sadowski, ekspert w tej dziedzinie, który otwiera Instytut Socjologii. Spakowała się jednego dnia, a gdy pociąg minął Mazowieckie i zaczęły się podlaskie lasy, gęste, wszędobylskie, miała wrażenie, że mija magiczną granicę cywilizacji.

W Łodzi wsiąkała w temat żydowski, rozmawiała z ludźmi, którzy przeżyli getto. Ciągnie się za nią opowieść mężczyzny, który w pociągu bydlęcym pożegnał żonę i córkę i wyskoczył, a po wojnie założył nową rodzinę. Śni jej się, że siedzi w getcie, szuka jedzenia. Gdy wchodzi w las, pierwsza myśl, to gdzie można było się ukryć w czasie wojny, gdzie ona ukryłaby swoje dzieci.

Jej dziadek zginął na oczach rodziny, w domu babcia mówiła po niemiecku, ale ojca Sztop-Rutkowskiej urodziła na Białorusi. W Białymstoku była jakby bliżej rodzinnej historii. Miała nadzieję, że nakarmiła dybuka, że porzuci go, bo Podlasie to tygiel wielokulturowy mniejszości narodowych, raj dla socjologa. Ale odezwał się, szepcząc, że teraz tutaj ma niezłatwione sprawy.

Pierwszego dnia Sztop-Rutkowska kupuje mapę z zaznaczonymi miejscami historycznymi. Jest na niej kilkanaście gwiazd Dawida, ale chodzi ulicami i nie widzi tych miejsc, pozostają znaczkami na mapie. Jest tablica, że Icchok Malmed, bohater, oblał kwasem Niemca, jest ulica imienia Ludwika Zamenhofs, jest pomnik getta. Tam podchodzi do niej mężczyzna, pyta ją, czego szuka. Odpowiada, że pamiątek po Żydach. „A to proszę – mówi – pokażę”. Jest taksówkarzem, wiezie ją na cmentarz żydowski przy ulicy Wschodniej. Wielki i zaniedbany – krzaki, brudno, gruz, pijaczkowie siedzą pod macewami. Mur oddziela go od katolickiego, a w murze wyrwa, by łatwiej przerzucać śmieci. To miasto bez pamięci, myśli, gdy taksówkarz obwozi ją po Białymstoku. Przechadza się ulicami, uderza ją pustka, a przecież czytała, że Żydzi zbudowali to miasto, wciągnęli w tryby cywilizacyjnej maszyny. Brak Żydów, w Łodzi rozwodniony ogromem miasta, w mniejszym Białymstoku jest namacalny.

Widzi sierpniowe uroczystości poświęcone wybuchowi powstania w getcie białostockim – skromna, kameralna impreza. Kilkanaście osób, regionaliści, trzech Żydów, niechętnie mówiących o swoich korzeniach, i Sztop-Rutkowska, która ma przymus przyprowadzenia swoich synów. Po kilku dniach wielkie uroczystości poświęcone wywiezieniu Polaków na Sybir, pochód idący ulicami z dostojnikami, władzami, szkołami, flagami.

Gdy pierwszy raz szła na żydowskie obchody, szukała pomnika ofiar getta przy ulicy Żabiej. Kluczyła, błądziła, pytała ludzi, nie wiedzieli, nawet ci mieszkający blisko. Czarny obelisk, wysoki na dwa metry, latem niewidoczny, za drzewami, między osiedlowymi blokami. Co roku na obchodach widzi te same twarze, kilkanaście osób.

Doktorat musi więc zrobić z Żydów. Szuka tekstów historycznych, opracowań, ale są tylko stare gazety. Nikt się tu Żydami nie zajmuje, pomaga jej tylko Tomasz Wiśniewski. W starych gazetach czyta o rywalizacji polsko-żydowskiej, przepychankach do kluczy miasta, o współpracy elit, wspólnej ochotniczej straży pożarnej, pogotowiu dla chorych „Linias Hacedek”, które wyjeżdżało do wszystkich,



bez względu na narodowość, o bitwie, w której Żydzi zostali zepchnięci na margines administracji. Miasto, zauważa, było nie wielokulturowe, tylko żydowskie. To poprawność polityczna każe mówić o wielokulturowości, tak jak warto pisać dobrze o festiwalach żydowskich. Sztop-Rutkowska tego nie lubi, bo nie powinno się robić wesela, na którym można kupić Żyda z pieniążkiem, gdy jeszcze nie pochowało się zmarłych. Na panele dyskusyjne zaprasza duchownych prawosławnych i katolickich, ci pierwsi przyjeżdżają chętnie, drugich ściąga z Lublina.

Mówi miastu „sprawdzam”, ogląda je przez socjologiczną lupę. Pyta białostoczan o ich historię.

Jakie tematy historyczne poruszają z rodziną i przyjaciółmi? O Żydach rozmawia 3,7 procent, o Holocauście 1,8 procent; dominuje martyrologia Polaków.

Czy w twoim mieście są pamiątki zasługujące na ochronę? Pożydowskie wskazuje 17 procent mieszkańców.

Pomaganie Żydom w czasie wojny jako powód do dumy? Dla 5,7 procent.

Czy w wątkach żydowskich miasta coś było powodem do wstydu? Dla 7 procent białostoczan.

80 procent odpowiada, że Polacy pomagali Żydom podczas wojny, 12 procent wskazało, że byli wobec ich losów obojętni. Badanie zrobiła dziesięć lat po książce Jana Tomasza Grossa o Jedwabnem, które leży ledwie pięćdziesiąt kilometrów od Białegostoku.

Zagłada Żydów z II wojną światową kojarzyła się tylko 7 procentom białostoczan, choć to na Podlasiu był obóz w Treblince, a likwidacja getta białostockiego pochłonęła ponad pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców.

Wyparcie zobaczyła też na własne oczy, gdy realizowała ze studentami projekt edukacyjny „Złota Macewa”. Na otwarte wykłady zapraszała mieszkańców, przedstawiła wyniki badań, refleksje i zobaczyła oburzenie graniczące z agresją. Usłyszała z sali, że Polacy byli przyjaźni wobec Żydów od czasów średniowiecza, wyjątkowo ofiarni podczas wojny, a za tymi oskarżeniami stoją Żydzi, niewdzięczni i szkalujący Polaków, by odebrać swoje majątki sprzed wojny. Żydzi przecież sprzyjali komunistom, a Holocaust to „ich” historia, nie „nasza”. Ludzie krzyczeli, że pozwą studentów za obrazę narodu polskiego, że kłamstwem jest mówić o Białymstoku, że żydowski, bo przecież tak bardzo polski.

Ten podział na „my” i „oni” pokazało pytanie o wspólną historię grup religijnych i narodowych zamieszkujących Białystok. Ponad 80 procent badanych odpowiedziało, że każda społeczność miała swoją własną, co najwyżej ze wspólnymi elementami.

Pamięć o zagładzie Żydów ujawniła się w badaniu, ale uśpiona, odłożona do magazynu, niepodlegająca dyskusji, jak nieistotny element miasta. Jak pisze Sztop-Rutkowska: „związana bardzo silnie z traumą świadków, być może również z poczuciem winy”.

– Jeśli nie dokończymy zbiorowego rachunku sumienia – mówi mi – to agresja, brak tolerancji, uprzedzenia wobec różnych grup, nie tylko Żydów, będą się nasilały.

Białystok jest obecnie miastem wielu kultur, religii, narodów – z tym zdaniem zgodziło się aż 90 procent pytanых białostoczan.

Jakie obiekty są ważne ze względu na historyczną wartość? Pałac Branickich i dwa główne kościoły.

Białostoczan nie wskazali na obiekty pożydowskie, które stanowiły o architekturze miasta przed wojną, bo ich po prostu nie ma, a ślady, jak mezuzy czy gwiazdy Dawida, często usunięto. Katolicycy białostoczanie pominęli też w badaniu obiekty prawosławne, jak cerkiew, ale prawosławni o katolickich nie zapomnieli.

Czy marginalizacja pamięci o Żydach wynika tylko z „rachunku sumienia”? Sztop-Rutkowska jako kolejną z przyczyn wyparcia podaje okres PRL, gdy w oficjalnym przekazie historycznym ofiarami ludobójstwa podczas II wojny byli głównie Polacy.

Także struktura demograficzna Białegostoku po II wojnie światowej przybliży przyczynę niepamięci. Wszyscy białostoccy Żydzi, z kilkoma wyjątkami, zostali zlikwidowani. Zostawili po sobie puste ulice i domy, o ile nie zostały spalone. W 1945 roku wprowadzili się nowi lokatorzy, głównie ze wsi. Stworzyli tkankę miejską i nie mieli wspólnej z Żydami historii, z wyjątkiem uprzedzeń.

By upewnić się, czy to wyjątkowa sytuacja, Sztop-Rutkowska te same pytania zadała mieszkańcom Lublina. „Wydaje się, że lublinianie pełniej niż mieszkańcy Białegostoku przyswoili tę część dziedzictwa kulturowego miasta, która wiąże się ze społecznościami zamieszkującymi w przeszłości, a przynajmniej z dziedzictwem żydowskim. [...] Miejsce dla innych zasobów kulturowych [w Białymstoku], związanych z mniejszościami kulturowymi, istnieje o tyle, o ile przedstawiciele tych mniejszości sami o nich przypominają. Zasoby stanowiące pamiątkę po społecznościach zamieszkujących Białystok w przeszłości (przede wszystkim Żydach, ale również Niemcach czy Rosjanach) są zupełnie zmarginalizowane [...], a świadomość dziedzictwa tych grup wśród współczesnych mieszkańców Białegostoku jest znikoma”.

To dominacja, pisze Sztop-Rutkowska, „symbolicznej grupy najliczniejszej nad mniejszościowymi”. Odpowiedzialne za to są jej zdaniem władze lokalne. Choć pełno w mieście billboardów z hasłem „wielokulturowość”, to nazywa ją „wielokulturowością folderową”, na pokaz, w celach turystycznych.

95 procent badanych białostoczian odpowiedziało w badaniu, że ich miasto jest zróżnicowane narodowościowo i religijnie. Ale tyle samo w odpowiedzi na pytanie o swoją narodowość podało narodowość polską.

Prawie 40 procent badanych uznało, że Białystok w przeszłości był przede wszystkim polskim miastem.

„Jeśli będziemy dumni – pisze Sztop-Rutkowska – z naszych niemieckich fabrykantów czy żydowskich powstańców w białostockim getcie, to z pewnością łatwiej będzie nam przyjąć nowych mieszkańców, którzy choć wyznają inną religię, inaczej się ubierają i obchodzą inne święta, mogą stać się takimi samymi »mieszczanami« jak my – w naszym wspólnym mieście, wielokulturowym nie tylko »folderowo«. I nie będziemy zdziwieni, w jaki sposób w mieście o tak pięknej wielokulturowej tradycji mogło się zdarzyć coś tak strasznego. Przyszedł czas, by zapełnić folder konkretną treścią”.

– Poczytaj o Żydach – mówi mi Sztop-Rutkowska – na stronach Urzędu Miejskiego.

Czytam. Historia Żydów, których okresami było w mieście nawet 75 procent, została tam umieszczona w podrozdziale poświęconym „mniejszościom”. Są też przemilczenia. W 1919 roku władze polskie włączyły do Białegostoku okoliczne wsie, by w wyborach samorządowych pozbawić Żydów większości w radzie miasta. Na stronie urzędu: „Wszyscy mieszkańcy międzywojennego Białegostoku mieli równe prawa wyborcze, zarówno w wyborach do władz samorządowych, jak i polskiego parlamentu”.

W kalendarium „historii miasta” nie ma słowa o Żydach. Nawet okres wojny, gdy ludność żydowska wyparowała, opisuje zdanie: „1939–1944 – II wojna światowa – represje wobec ludności i zniszczenie 75 proc. białostockiej zabudowy”. Warte za to wzmianki w kalendarium jest wydarzenie z 1992 roku: „Białystok staje się metropolitalną stolicą arcybiskupią”.

W zakładce „tradycje” czytam: „Dzisiejszy Białystok z dumą odwołuje się do swych tradycji, pielęgnując wspomnienie wspomniałych polskich Kresów, gdzie ów tygiel narodów i religii pozostawił po

sobie niepowtarzalne zjawiska kulturalne. Białystok jest dziś jednym z ostatnich miast, gdzie owa tradycja jest wciąż obecna w codziennym życiu mieszkańców”.



Pomniki

# Orzeł

## Żydzi

Między uniwersytetem, sądem a gmachem nowej, aluminiowo-szklanej Opery Podlaskiej, dumy Białegostoku, stoi zalesiona górką – Park Centralny. Na trzech hektarach wysokie lipy, klony, wypielegnowane ścieżki, ławki, plac zabaw dla dzieci. Zimą park służy za górkę saneczkarską. Całoroczna atrakcja.

W 2014 roku Tomasz Wiśniewski psuje białostoczanom zabawę. Ujawnia w krótkim filmie, że pod placem zabaw, ławeczkami jest cmentarz żydowski. Pod tonami ziemi stoją w pionie setki żydowskich macew, pod nimi resztki ludzkie owinięte w całuny.

Andrzej Lechowski, dyrektor Muzeum Podlaskiego, wstaje od biurka i podchodzi do okna.

– Tam... – Pokazuje zamasyżcie na Rynek Kościuszki, pełen kawiarenek, ogródków piwnych, księgarni, lodziarni i turystów. Rynek otacza ratusz, w którym siedzimy. – ...A jeszcze dalej i dalej wszystko było żydowskie, w stu procentach. Tu, w moim gabinecie, przed wojną nie było okien ani ścian, tylko kram z żydowskim szewcem, może sprzedawcą pasmanterii, jeden z pół tysiąca na tym rynku.

Białystok, przyznaje, ma problem z tożsamością, bo po wojnie napisał historię na nowo, bez menory i mezuzy.

Do XVIII wieku był miastem prywatnym Jana Klemensa Branickiego, arystokraty, który postawił widokówkowy pałac, dał miastu administrację, ściągnął Żydów. Jego żona, Izabela, nie miała z nim potomstwa, spadkobiercami majątku zostają Potoccy, którzy sprzedają majątek królowi pruskiemu.

Pod zaborami Białystok przechodzi we władanie carów rosyjskich. Co lepsze w mieście car wywozi do Petersburga, a handel, przemysł, usługi, kultura to domena Niemców i Żydów. Granice przesuwają się jak pływy morskie – raz przychodzi fala pruska, raz rosyjska i wyrzucają na brzeg miasta narody mówiące różnymi językami. Są Niemcy zaborowi, Żydzi, których sprowadził Branicki, by dźwignęli handel i przemysł, Rusini, Białorusini, Polacy, Tatarzy. W XIX wieku prawie cały handel skupiony jest w rękach żydowskich. Rodzi się gospodarcza potęga. W połowie stulecia car buduje linię kolejową Petersburg–Warszawa, Białystok ma na niej swoją stację i awansuje do roli miasta tranzytowego. Polacy niewiele znaczą, są represjonowani po powstaniach, zwłaszcza styczniowym, które swój matecznik miało na Podlasiu.

Kluczowe jest ustanowienie granicy Królestwa Polskiego na Narwi i zaporowych ceł. Przemysłowcom, głównie Niemcom, którzy eksportowali towary na wschód, opłaca się postawić fabryki w Białymstoku, który od 1807 roku leży w Rosji. Przywożą personel, tysiące osadników, niczym kolonizatorzy na Dzikim Zachodzie. Poszlacheckie polskie mieszczaństwo nie ma szans w tym wolnorynkowym starciu. „Wokulskich” tu ledwie kilku, jak rodzina Wieczorków – dostarczająca maszyny dla żydowskich fabryk włókienniczych.

Starania polskich kupców, by stanąć w szranki z Żydami, ocierały się o groteskę. Przy jednej z ulic, zdominowanej przez Żydów, powstał polski sklep z mięsem, niekoszernym, zapewne złośliwie, bo Żydzi jedzą tylko koszerne.

Białystok w XIX i na początku XX wieku to wieża Babel, każde piętro to odrębny świat. Carat pozwolił Żydom zasiedlać miasta, a oni dali miastu nie tylko rozwój handlowy i przemysłowy, ale i ducha

kulturowego, gazety, instytucje dobroczynne.

Żydom nie w głowie były zrywy wolnościowe. Pozbawieni ojczyzny chcieli żyć i być wolni.

W 1919 roku, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, okazało się, że część białostoczan nie zna języka polskiego, nie może nic załatwić w urzędzie, bo na ulicach dominuje jidysz.

„Tak jak wszystkie ludy migracyjne czy mniejszościowe w innych okresach i miejscach, Żydzi białostoccy pragnęli integracji ze środowiskiem oraz utrzymania niezależności religijnej, społecznej i politycznej, jednak zamiast określać się przez przynależność narodową, Żydzi ci – tak jak Żydzi odescy, warszawscy czy petersburscy – postrzegali samych siebie przez pryzmat miasta i regionu. Byli przede wszystkim lojalnymi białostoczanami, odczuwali więc ambiwalencję i niepewność wobec dylematu określania się albo jako wierni poddani rosyjscy, albo jako Żydzi narodu polskiego” – pisze Rebecca Kobrin, w *Żydowskim Białymstoku i jego diasporze*.

Lechowski przeczytał chyba wszystkie międzywojenne gazety białostockie. Są tam apele Józefa Zeligmana, redaktora „Gołosu Biełostoka”, rosyjskojęzycznej gazety inteligencji żydowskiej, by odciąć się od jidysz. Zeligman ogłosił manifest, że Żydom w Białymstoku wszystko jedno, czy przyjdą Niemcy, czy inni, bo za każdym razem i tak będą ciemieni.

Traumą dla białostockich Żydów był rok 1906. Ich środowisko było ośrodkiem anarchizmów, nie było dnia bez strzelanin, rzucania bomb. Podjudzeni przez władze polscy kryminaliści, policja i wojsko carskie dokonali na ulicach miasta masakry, zginęło blisko stu Żydów. To jeden z pogromów, o którym Białystok zapomniał. W okresie międzywojennym polska prasa nie wspominała o tym wydarzeniu, ale Żydzi pamiętali, karmiąc swój strach powtórką. Postawili na cmentarzu żydowskim obelisk ku pamięci 1906 roku, Polacy udawali, że go nie widzą.

I wojna światowa zrujnowała Białystok – Rosjanie wywieźli lub spalili wszystko, co było symbolem rozwoju. Problemem w mieście stała się żywność, gazety pełne były komunikatów: przyjechał transport śledzi; prezydent miasta pojechał do Warszawy załatwiać węgiel; cukru nie będzie.

Żydzi nie byli wtedy dla Polaków częścią tkanki narodowej, bo nie angażowali się w zrywy wolnościowe, oszczędzali krew w powstaniach. Wybory samorządowe w 1919 roku oznaczały dla Polaków zagrożenie narodowego bytu. Skoro Żydzi stanowią nawet sześćdziesiąt pięć–siedemdziesiąt procent mieszkańców, to zapewne podobnie rozłożą się mandaty w radzie miejskiej. Resort spraw wewnętrznych włącza więc do miasta okoliczne wsie, zamieszkane przez Polaków – katolików i prawosławnych. W ciągu jednego dnia liczba Żydów w Białymstoku spadła o około piętnaście procent. Proponowano też, by radnym został tylko ten, kto ma poświadczoną znajomość języka polskiego, więc Żydzi trzaskają drzwiami i do 1927 roku nie uczestniczą w życiu administracyjnym miasta.

Zaczynają się konflikty. Gmina żydowska prowadzi szpital, prosi miasto o wsparcie finansowe. Samorząd da, ale chce, by Polakami obsadzić szpitalny personel. Żydzi na to: skoro tak, zabierajcie pieniądze, ale i chrześcijańskich pacjentów, których leczymy za nasze. Kłóć się o biblioteki, prasę, instytucje kultury.

Lechowski ma w zbiorach rozmówki niemiecko-polskie, które oficerowie pruscy dostawali do plecaka podczas I wojny światowej. Pierwszym zwrotem, gdy wchodzili do Białegostoku, było „*Guten Tag, Herr Bürgermeister*”. W 1939 roku „*Guten Tag*” już nie było.

## Kozy

Michał Bałasz, emerytowany dziewięćdziesięciodwuletni były architekt miejski, zamawia buzę, lokalny przysmak na bazie kaszy jaglanej. Siedzimy na Rynku Kościuszki, na tyłach muzeum Lechowskiego, w ogródku kawiarni Esperanto.

Ściska oburącz drewnianą laskę, patrzy w zamyśleniu w niebo i próbuje sobie przypomnieć, jak to było, gdy macewy stały jeszcze pod gołym niebem.

– Kozy tam chodziły, to co było robić... – mówi ze szczerym uśmiechem.

Pochodzi z Wilna, jego ojciec – prawosławny, brat ojca – katolik, trudno rozplątać, jak się te wiary w rodzinie pomieszały. Bałasz walczył w Armii Krajowej, potem został siłą wcielony do Armii Czerwonej. Po wojnie skończył architekturę w Poznaniu, z nakazu pracy trafił do Białegostoku.

– To był 1954 rok – mówi – same gruzy, te kozy, a jeszcze pijaki srali na te macewy, nikt nie pilnował. Żał mi było cmentarza, szczerze panu mówię, a nikt nie miał głowy, by to wykopać, przenieść. Wymyśliłem, by go zasypać. Po prostu, tak jak stoi. To się w głowach nie mieściło, ale koło placu miała stanąć siedziba Komitetu Wojewódzkiego PZPR. W mieście pełno gruzu, mówię więc towarzyszom: „taki piękny dom partii się buduje, a tu takie śmietnisko na cmentarzu”. Pytają, co robić, mówię, że trzeba zasypać. Sekretarz, czy kto to był, kiwał głową z aprobatą, ale patrzył w drugą stronę, bo wszyscy czuliśmy, że to powinno być inaczej zrobione. Jak przyjechały spychacze, koparki i gruz zwożono, to była tam tabliczka w jidysz, żeby nie wchodzić, bo to cmentarz, no to powiedziałem ekipie: „uszanujcie napis, zasypujcie równo”. Czasami, jak operator łyżką brał głęboko, to coś tam wyjął, no ale wiadomo, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Usypało się z tego wzgórze wysokie na ponad pięć metrów, wyrównaliśmy, wtedy powiedziałem wszystkim: „za lata będzie to robota dla archeologów”. Tylko że łysa ta góra była, w samym centrum, trzeba było coś z tym zrobić. Wymyśliliśmy park z zielenią. Nikt miejscowy nie chciał się tego podjąć, przyjechał ktoś z Warszawy. Specjalnie posadziliśmy tak dużo drzew, by jeszcze ładniej było.

Bałasz zasypał cmentarz żydowski prawdopodobnie gruzem z żydowskiego getta, spalonego podczas likwidacji, może też pogorzeliem z synagogi, w której spłonęło żywcem około dwóch tysięcy ludzi. Nie pamięta szczegółów, bo gruz był wszędzie, Białystok po wojnie, zwłaszcza w centrum, wyglądał jak las gołych kominów.

Park stał się wizytówką miasta. Schodzi się do niego pięć najbardziej uczęszczanych ulic, złączonych największym w mieście rondem. To punkt orientacyjny dla turystów, widok z okien towarzyszy z Komitetu Wojewódzkiego w PRL, a teraz kadry akademickiej.

## Hołd

Na początku lat siedemdziesiątych przed Białymstokiem otwiera się wielka szansa. Edward Gierek ogłasza, że odbędą się tu centralne obchody dożynek roku 1973. Ruszają prace, by godnie przywitać sekretarza KC.

Działacze partyjni wyglądający przez okna komitetu widzą rondo, sklep PSS Społem i pusty park. Za dużo przestrzeni, mimo dwudziestoletnich drzew. Powstaje koncepcja pomnika, który stanie u szczytu parku, tuż przy rondzie. Potężny, wysoki, przełamie przestrzeń i podkreśli historyczno-patriotyczny charakter wizyty. Ma nosić imię Bohaterów Ziemi Białostockiej, ale czasu mało, trzeba się spieszyć.

Mirosław Zbichorski jest wtedy architektem miejskim. Wśród prac konkursowych widzi nowatorską, ciekawą: dziewięć drzew z betonu, zwalistych, wysokich na siedemnaście metrów, zwieńczonych na szczycie gniazdem, w którym mości się orzeł z dumnie uniesionym łbem i rozpostartymi skrzydłami. Gotowy do lotu albo tuż po lądowaniu. To projekt Bohdana Chmielewskiego, znanego rzeźbiarza. Wygrywa, a Zbichorski bierze się do podstawy pomnika. Wymyśla kamienie, które mają komponować się z gniazdem orła. Na betonowych cokołach drzew mają być wyryte twarze żołnierzy, a władze każą Chmielewskiemu umieścić choćby jedną żołnierza radzieckiego w czapce uszatce. Chmielewski ponoć się zbuntował, zmienił wszystkie twarze na liście. Grozi im opóźnienie, robota idzie na gwałt, ale pomnik staje. Sieją w parku owies, bo szybciej rośnie i dobrze udaje trawę.

Wszystkie prace wokół pomnika ukończono w 1975 roku. U podnóża stanął kamień z napisem: „W hołdzie Bohaterom Ziemi Białostockiej poległym w walce o Polskę Ludową – Mieszkańcy”.

Zbichorski twierdzi, że wtedy, w latach siedemdziesiątych, nie miał pojęcia, że pod parkiem jest dawny cmentarz żydowski, nikt o tym nie mówił. Dowiedział się dopiero z filmu Wiśniewskiego.



## Honor

W 2007 roku, gdy trwa zawierucha polityczna, końcówka rządów koalicji PIS–Samoobrona–LPR, do Zbichorskiego zgłasza się grupa działaczy kombatanckich. Chcą umieścić pod pomnikiem napisy patriotyczne, które będą szły pod prąd ideologii PRL, jaką symbolizuje dla nich pomnik, i sentencję „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Byli u Chmielewskiego, ale ich pogonił. Zgodził się tylko, na prośbę władz, by pomnikowi zmieniono nazwę na „Orła Białego”, żeby zatrzeć wspomnienie po „Bohaterach Ziemi Białostockiej” kojarzonych z Armią Czerwoną.

Kombatanci mają nadzieję, że Zbichorski zgodzi się umieścić napisy na projektowanej przez siebie części, ale ten dostaje pismo od Chmielewskiego adresowane do niego, władz Białegostoku i arcybiskupa. To odpowiedź dla Tadeusza Waśniewskiego, kombatanta, inicjatora napisów, dla którego żołnierze z pomnika to „utrwalacze władzy ludowej”. Chmielewski pisze:

„Proponując zmiany w istniejącej postaci pomnika, zaskakuje mnie Pan interpretacją faktów historycznych i idei bohaterstwa, które w mojej artystycznej wizji miał on upamiętnić. Wydawało mi się, że niegodne praktyki z nieodległej przeszłości w ocenie, kto jest bardziej zasłużony dla Polski, kto większym patriotą – minęły bezpowrotnie”.

Chmielewski tłumaczy w liście, że inspiracją do budowy pomnika była dla niego legenda o mitycznym Lechu, orlim gnieździe, początkach grodu polskiego, a także Puszcza Augustowska, z grobami jego kolegów z AK, u boku których walczył podczas wojny.

„Polacy, którzy ginęli na wielu frontach II Wojny Światowej w walce ze śmiertelnym wrogiem, wierzyli – pisze Chmielewski – że przywrócą do życia Państwo Polskie, które przestało istnieć w 1939 roku. Nie mogli Oni mieć więc wpływu, jak to państwo będzie nazwane, a tym bardziej pomniki poświęcone Ich pamięci. Proponuje Pan, aby na pomniku umieścić imię Boga, a jednocześnie odmawia nazwania bohaterami rodaków pochodzących głównie ze wschodniej Polski, Sybiraków, żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego, którzy po uczestnictwie we Mszy Świętej ginęli pod Lenino, Warszawą, Gdańskiem, na Wale Pomorskim, w Berlinie. [...] Czy bohaterami nie byli Polacy, którzy po rozwiązaniu Armii Krajowej wrócili w 1945 do często zrujnowanych domów, podjęli naukę w szkołach, pracę od podstaw, przyjęli z determinacją jałtański wyrok zwycięzców, wśród nich USA i Anglii. [...] Dla mnie takim nakazem były słowa mojej Matki, która po wiadomości o wykonaniu wyroku na moim starszym koledze ze zgrupowania (po rozwiązaniu AK zdecydował on, że nie będzie już walczył, jest bowiem nauczycielem i będzie uczył polskie dzieci) powiedziała: macie patriotyczny obowiązek żyć, a nie ginąć w beznadziejnej, bratobójczej walce. Powróciło do życia Państwo Polskie i wy winniście zadbać o to, żeby kiedy przyjdzie odpowiednia pora – zmienić ustrój i nałożyć Orłu koronę. Proponuje Pan Orłu na pomniku nałożyć koronę. Piastowski Orzeł Biały był godłem Polski na przestrzeni wieków. Był umieszczany na pieczęciach, monetach, chorągwiach. Zmieniał swój kształt, zwijał i rozwijał skrzydła, brał na pierś herby różnych dynastii, przywdziewał koronę i zdejmował w ukłonie ludowi. Wciąż jednak był tym samym Orłem Białym, który strzeże teraz naszej Ojczyzny, wpisanej w dawne piastowskie granice.

[...] Oświadczam, że nie jestem przeciwny słowom Bóg–Honor–Ojczyzna. Mogą one w okazałej formie plastycznej znaleźć miejsce w otoczeniu pomnika. Każdą propozycję zaakceptowaną przez inż. Zbichorskiego bez zastrzeżeń przyjmę. Przy okazji chcę przywołać wspomnienie z dzieciństwa, że 13 pułk ułanów w Nowogródku, którego dowódcą był stryjeczny brat mojego ojca, miał na sztandarze, tak

jak przeważająca większość jednostek wojskowych, napis »HONOR i OJCZYZNA«. BOGA żołnierze nosili w sercu”.

Zbichorski ulega namowom kombatantów, zgadza się, by u stóp pomnika stanął głaz, ale z napisem „Honor i Ojczyzna”. Nie chce zgodzić się na „Boga”, zgodnie z sugestią Chmielewskiego, ale gdy kombatanci naciskają, znów ulega. Wykonuje projekt półmetrowych liter. Dla kombatantów za małe.

24 września 2011 roku, w sobotę nad ranem, pod pomnik podjeżdża auto ciężarowe z wysięgnikiem. Na ramię dźwigu wchodzi kilku mężczyzn. Do jednego filara przykręcają około metrowe litery „Bóg”, do drugiego „Honor”, do trzeciego „Ojczyzna”. Wysięgnik podnosi się do szczytu, orzeł dostaje metalową koronę. Akcja trwa półtorej godziny.

Aleksander Sosna, wiceprezydent Białegostoku, jest wtedy w domu. Ktoś dzwoni do niego, że na pomniku pojawiły się napisy. Zdumiony, natychmiast każe swoim urzędnikom znaleźć dźwig i je zdjąć. Kombatanci ustawiają pod napisami namiot okupacyjny, polskie flagi, nie pozwalają zdjąć napisów.

Sosna to pierwszy prawosławny wiceprezydent Białegostoku, choć prawosławnych jest w mieście dwadzieścia procent. Rządzi popierany przez Platformę Obywatelską Tadeusz Truskolaski, który ma też wsparcie kurii arcybiskupiej. Kandydaturę Sosny uzgodnił w umowie z hierarchami prawosławnymi w zamian za poparcie w wyborach. Prawosławni, Forum Mniejszości Podlasia, mieli dość bratania z SLD, które traktowało ich jak maszynkę do głosowania. W radzie miasta, dwudziestoośmioosobowej, mieli trzech przedstawicieli, pierwszy raz po 1989 roku.

Sosna, rocznik '63, z zawodu inspektor pracy, ma ojca batiuszkę, księdza prawosławnego. Działał w Bractwie Prawosławnym świętych Cyryla i Metodego, ale nie udzielał się politycznie, słynął z umiarkowanych poglądów, ugodowego charakteru. Szybko zdobył zaufanie środowisk walczących o pamięć miasta. Czyścił cmentarz żydowski, przenosił macewy, z których zbudowano miejską fontannę, porządkował fragment cmentarza ewangelickiego. Świadomy, że miasto przesiąknięte było Żydami, zainicjował akcję zbierania macew w całym mieście. Ktoś przyniósł płyty nagrobne, z których miał zrobione schody, napisami do góry, by się buty nie ślizgały.

– Z pochodzenia jestem Białorusinem, serce mam polskie, a ducha żydowskiego – mówi, gdy siedzimy w jego domu na przedmieściach Białegostoku. Urządzony w starym stylu, na ścianach pełno starych pocztówek, jego hobby. Pocztówki to świadectwo chwili, stwierdza, pokazując mi zdjęcie żołnierza nad truchłem konia – na odwrocie pozdrowienia dla matki. Zrobił je fotograf wojsk pruskich podczas I wojny światowej, wywołał kilkanaście odbitek, sprzedał, a żołnierze wysłali do domów. Unikat, Sosna przywiózł ją z targu w Kolonii.

Gdy został wiceprezydentem, wybuchła sensacja w silnie katolickim Białymstoku.

– Wszyscy byli przestraszeni – mówi. – Myśleli, że będę chciał budować republikę prawosławną, przyłączyć Białystok do Białorusi. Szedłem korytarzami z Truskolaskim, słyszałem za plecami szept: „o, prezydent i »ten ruski«”.

Sosna dostał w nadzór bezpieczne politycznie resorty: architekturę, straż miejską, śmieci, odśnieżanie, departament obsługi mieszkańców, ochrony środowiska. Temu ostatniemu podlegały pomniki.

– W sobotę, gdy zawisły napisy – kontynuuje – dzwonię do urzędników, domagam się, by wynajęli firmę i zdjęli je. Oddzwaniają, że nic nie pracuje, nie ma komu zlecić. Sam zaczynam dzwonić, szukać, bo to było jawne naruszenie prawa, samowola. W końcu znalazłem chętną firmę, ale nie mieli podnośnika, a napisy zawisły co najmniej sześć–osiem metrów nad ziemią, korona orła na szczycie zaś ponad

siedemnaście metrów.

W poniedziałek w urzędzie atmosfera gorąca. Sosna pyta prezydenta Truskolaskiego, co robić, ale ten zwleka. Pod pomnikiem miasteczko protestacyjne, Tadeusz Waśniewski dostaje wsparcie radnych Prawa i Sprawiedliwości, zapowiada, że spod pomnika nie odejdzie, pojawia się transparent: „Bronimy napisu Bóg, Honor, Ojczyzna”. W świetle kamer Waśniewski przekonuje, że wyczerpał wszystkie ścieżki prawne, że urzędnicy, autor pomnika, minister kultury byli przeciwni, a kombatan ci błagali go ze łzami w oczach, przynosili drobne z emerytury, by sfinansować napisy. Musiał dla nich, dla Polski. Powołał społeczny komitet do spraw odkomunizowania pomnika i zrobił to, co należało w wolnej Polsce. Krzyczy do kamer: „Teraz to jest polski pomnik!”.

Truskolaski i Sosna oglądają to w telewizji lokalnej. Truskolaski decyduje, by nic nie robić, poczekać na rozwój wydarzeń.

„Przecież to bezprawie, autor pomnika się nie zgodził, wytoczy nam proces o naruszenie praw autorskich” – przekonuje prezydenta Sosna.

„Nie każę zdjąć tych napisów, jak chcesz, działaj sam” – odpowiada mu Truskolaski.

– Czułem się czasami – mówi mi Sosna – jak kwiatek do kozucha, który ma podkreślić, że to miasto tolerancyjne dla mniejszości, szanujące historię, ale prawda wychodziła na jaw w takich chwilach. To ja wprowadziłem zwyczaj, by na uroczystości państwowe zapraszać również księży prawosławnych, pastora, bo zapraszano tylko katolickich. Urzędnicy patrzyli na to jak na wymóg pewnej przyzwoitości, którą należy tolerować.

Zbichorski też zdumiony samowolą. Dzwoni do Chmielewskiego, ten zły, zapowiada złożenie wniosku do prokuratury i ZAiKS o naruszenie praw autorskich. Ale ciężko choruje, nie może wyjść z domu. Zbichorski składa doniesienie do prokuratury, po dwóch tygodniach dostaje odpowiedź. Śledczy przyznają, że pomnik jest zabytkiem i jakakolwiek ingerencja wymagała zgody konserwatora zabytków, ale powieszenie napisów nie było przestępstwem. Zarzut zniszczenia pomnika? Musi to zgłosić sam pokrzywdzony, piszą śledczy. Doniesienie do prokuratury składa Sosna, ale ta pyta prezydenta Truskolaskiego, czy „wyraża wolę ścigania sprawców zawieszenia napisów”. Truskolaski nie odpowiada, prokuratura uznaje, że czyn „nie zawiera znamion wykroczenia”. Widząc taki opór, Sosna daje spokój.

Walczy jeszcze Zbichorski, także w imieniu Chmielewskiego. Skarży się prokuratorowi generalnemu, a ten po kontroli nakazuje prokuraturze białostockiej zająć się sprawą ponownie. Ale znów umorzenie, w 2013 roku. Marek Winnicki, szef prokuratury, tłumaczy: osoby, które umieściły napis, działały w usprawiedliwionej nieświadomości bezprawności czynu, bo kombatan ci przynieśli do prokuratury uzasadnienie od prawnika, który jeszcze przed umieszczeniem napisów powiedział im, że będzie to zgodnie z prawem. Prawnikiem był Jan Chojnowski, radny białostocki Prawa i Sprawiedliwości. Napisy i korona pozostały.

Tadeusz Waśniewski, blisko osiemdziesięcioletni doktor fizyki, w latach pięćdziesiątych za protesty przeciwko władzy ludowej trafił karnie do kopalni. Po roku 1989 prowadził ekshumacje ofiar stalinizmu, założył w Białymstoku Związek Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego. Ruchliwy, żywe oczy, opowiada z pasją, szyderczo, gdy wymienia kolejnych „komuchów”, którzy stanęli na drodze do odkomunizowania pomnika.

– Nieufny jestem, panie – mówi – bo podchodzą mnie tu różni. Związek na wykończeniu, sami starzy,

założyłem jeszcze Stowarzyszenie Rodzin Żołnierzy Wyklętych, by młodzież zachęcić, apelowałem, by tworzyć oddziały, ale pojawił się jakiś historyk, niby prawicowiec, i przyprowadził kolegę z Milicji Obywatelskiej.

Na pomysł napisów wpadł już w 2007 roku, ale na drodze stanął wiceprezydent Sosna. Rusofil i komuch, jak mówi Waśniewski. Postawił się też Zbichorski, wiadomo, komuch. Nie chciał dać zgody, a teraz twierdzi, że Waśniewski niby uszkodził pomnik. Dobrze, że arcybiskup udzielił „pasterskiego błogosławieństwa”, no ale jak walczyć, skoro sam budowniczy pomnika, Chmielewski, to też komuch. Pomogła opinia prawna Chojnowskiego, była podziękowaniem za akcję polityczną. Kilka lat wcześniej Waśniewski pomógł mu dostać się do rady miejskiej, kleił koperty, wysyłał listy do ludzi, by na Chojnowskiego głosowali, więc ten odwdzińczył się opinią prawną.

Waśniewski sam zaprojektował litery, wielkie na metr, wyliczył ich ciężar, oparł je na stelażu, zwołał przyjaciół ze związku, zamówił podnośnik na szóstą rano i przez telefon kierował, czy prosto idzie.

„Staszek? H z Honoru na wysokości J w Ojczyźnie”.

„Ale co?”

„H! Za nisko!”

„Jakie H?”

„A kto mówi?”

„Tadek! H na J”.

„Jakie H?”

„Gdzie ja dzwonię?”

„A gdzie chciałeś?”

„Stasiek?”

„Nie!”

Waśniewski przy H jak Honor zadzwonił omyłkowo do sąsiada. Z materiałami też lekko nie było, kilku dostawców się wycofało, musiał księdzem straszyć.

Dopóki żyje, mówi, będzie ścigał komuchów, a jeszcze musi tablica stanąć przy pomniku, jeszcze zostało dużo do zrobienia. Będzie łatwiej, bo pis wygrało wybory samorządowe w 2014 roku, pis-owski szef rady miasta już napisał odpowiedni list. Na tablicy będzie: „Bohaterom pomordowanym przez faszystów i komunistyczną Rosję”. Tylko pieniędzy mało, związek nawet za wywóz śmieci musi negocjować stawki, więc gdybym znał jakiegoś prawicowego, odważnego biznesmena, to... – Waśniewski wręcza mi numer konta, ale tak bez zobowiązań, po dobroci.

\*\*\*

Autor pomnika, Bohdan Chmielewski, nigdy się z napisami nie pogodził, zmarł w sierpniu 2014 roku. Zbichorski, rocznik '36, jeszcze się nie poddaje, zamierza składać kolejne doniesienia, ale narzeka na zdrowie.

– Gdzie zaczynają się groby żydowskie w parku? – pytam Bałasza, który zasypał je w 1954 roku.

– Pod pomnikiem „Bóg, Honor, Ojczyzna”.

Nieopodal nadal stoi plansza z regulaminem. Punkt pierwszy. Park przeznaczony jest do wypoczynku.

# Babel

## Popiersie

Ludwik Zamenhof zmarł w 1917 roku. Pomysł, by uczcić jego pamięć w rodzinnym Białymstoku, pojawił się dwa lata później, inicjatorem było powstałe właśnie Towarzystwo Esperantystów. Ulica Zielona, przy której wychował się Zamenhof, zostaje nazwana jego nazwiskiem. Wcześniej, przed I wojną światową, władze carskie nie popierały języka, któremu przewodziły środowiska żydowskie.

W 1921 roku towarzystwo chce przybić pamiątkową tablicę do ściany domu, z którego okien Zamenhof widział narodowościowe swary, a które zainspirowały go do pracy nad esperanto.

Na czele towarzystwa stoją głównie Żydzi. Nie uczestniczą w życiu administracyjnym miasta, a władze zdominowane są przez katolików, którzy niechętnie finansują i wspierają żydowskie pomysły. By zakupić okazałą, marmurową tablicę, proszą o pomoc emigrantów zza oceanu. Wpływa ponad dwadzieścia sześć tysięcy marek, ale pomysł upada, nie potrafią się porozumieć. Dopiero w 1927 roku powieszono tablicę, odnowiono ulicę Zamenhofa, a to dzięki Światowemu Kongresowi Esperanto, który odbywał się w Gdańsku. Zjechało się tam ponad dziewięćset osób z całego świata, a część chciała zobaczyć rodzinne miasto twórcy języka.

W 1931 roku powstaje nowa idea: pomnik wysoki na dwanaście metrów, w kształcie wieży Babel, symbol chaosu językowego. Władze dają skromną część potrzebnych środków, Żydzi znów proszą o pomoc miłośników esperanto z całego świata. Przy wejściu do Parku 3 Maja wmurowany zostaje kamień węgielny, pod aktem erekcyjnym podpisuje się wojewoda, starosta, uroczystość kończy się wielkim rautem. Rok później głos zabiera ksiądz Adam Abramowicz, proboszcz parafii Świętego Rocha. Miejsce, gdzie ma stanąć pomnik, tłumaczy w piśmie do władz miasta, jest nieodpowiednie „ze względów etycznych”. Bo stojący nieopodal postument Nieznanego Żołnierza, bohaterów I wojny światowej, znajdzie się w cieniu wielkiej budowli. „A przecież – tłumaczy ksiądz – pomnik choćby i sławnej jednostki musi ustąpić przed pomnikiem – symbolem zbiorowej duszy obrońców Ojczyzny”. Proponuje, by pomnik Nieznanego Żołnierza przenieść na Rynek Kościuszki, główny plac Białegostoku, a Zamenhofa na jego miejsce. To na uboczu, przyznaje ksiądz, ale miejsce „lubiane i uczęszczane przez całą żydowską ludność miasta”. Przekonywał więc, by pomnik swojego Żyda oglądali u siebie. Przeciwnie są władze wojskowe. Rynek Kościuszki miał charakter handlowy, to niedobre tło dla obrońców ojczyzny.

Wysycha kasa komitetu budowy pomnika. Organizatorzy nie oszacowali nawet kosztów monolitu, który miał być jednym z największych w Polsce, a kryzys gospodarczy lat trzydziestych doprowadził kasę miasta do bankructwa. Po śmierci Józefa Piłsudskiego w 1935 roku mocniej ujawniły się też w całym kraju ruchy endeckie, antysemityczne.

Tuż przed wybuchem wojny, w kwietniu 1939 roku, dom Zamenhofa przejmuje Polska Akcja Spółka Telefoniczna, ślad po tablicy ginie, dom zostaje rozebrany. Powstać tam miała centrala telefoniczna łącząca ludzi, ale wojna zniweczyła wszystkie plany.

Najbliższa rodzina Zamenhofa, jego córki Zofia i Lidia, pójdą w Warszawie na Umschlagplatz, w ostatnią podróż do Treblinki, ulicą imienia swojego ojca, jego syn zostanie rozstrzelany w Palmirach.

Komuniści uznawali esperanto za wymysł burżuazji, Stalin gardził wspólnotowym językiem. Dopiero

po jego śmierci, w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, na fali odwilży esperanto wychodzi z podziemia w krajach bloku komunistycznego.

Powrócono do idei pomnika w setną rocznicę urodzin Zamenhofa, w 1959 roku. Znow rusza zbiórka organizowana przez Żydów, którzy przetrwali Holocaust, i Polaków zafascynowanych esperanto. Więszym problemem jest brak lokalu, którego Towarzystwo Esperantystów nie może się doczekać od 1919 roku.

Tymczasem zarząd Światowego Związku Esperantystów decyduje, że kongres z okazji setnej rocznicy urodzin odbędzie się w Warszawie. Tu już nie ma żartów, przyjadą goście z całego świata, pieczę nad wydarzeniem obejmuje sam premier Józef Cyrankiewicz. Pomysł wielkiej wieży Babel uznano za nierealny, ogłoszono nowy konkurs, ale projektu nie wybrano. Oglądam zdjęcia nadesłanych prac. Na jednym z nich Zamenhof przypomina Lenina, siedzi na małej wieży Babel jak na beczce. Na innym – niczym ponury sfinks egipski. Porzucono pomysł, by pomnik stanął w Parku 3 Maja. Teraz kamień węgielny wmurowano przy ulicy Icchoka Malmeda, by Żydzi mieli pomnik jeszcze bardziej u siebie. W 1959 roku są zatem dwa kamienie węgielne pod pomnik Zamenhofa w dwóch miejscach, ale żadnego pomnika. Na pocieszenie esperantystów szkole budowanej właśnie przy ulicy Kościelnej nadano imię Zamenhofa, a do programu nauczania wprowadzono esperanto.

Kolejne podejście to 1960 rok. Znow konkurs, w którym pomnik jeszcze bardziej się kurczy. Zamenhof wygląda jak zawodnik sumo w szlafroku. Jest szansa na budowę, ale Towarzystwo Esperantystów nie dopełniło formalności sądowych i zostało skreślone z rejestru. Zakłada się ponownie, na czele staje prężny student medycyny. Chce ściągnąć zaległe składki i zakłada sekcję krótkofalowców, by zachęcić młodzież do nauki esperanto. Odkrywa też, że majątek towarzystwa, dokumentacja porozrzucane są po piwnicach członków, i dochodzi do wniosku, że formalnie towarzystwo nie istniało, a prośby o opłacenie składek wracają nieodebrane. Liczy członków: dwudziestu dwóch.

Miasto informuje go, że nie ma co liczyć na wsparcie finansowe, mimo że szef komitetu budowy pomnika to przewodniczący prezydium w komisji kultury Miejskiej Rady Narodowej. Znow rusza zbiórka wśród sympatyków, nowy termin odsłonięcia pomnika to 1965 rok. Pieniądze płyną wąskim strumieniem, pomysł odłożono na rok 1967, pięćdziesiątą rocznicę śmierci Zamenhofa i osiemdziesiątą rocznicę wydania pierwszego podręcznika do nauki języka.

Gdy do Białegostoku przyjeżdżał wtedy miłośnik esperanto, to jedynymi pamiątkami po Zamenhofie były tabliczka z nazwą ulicy i druga, na szkole podstawowej. Miasto uznało, że trzeba to zmienić, i choć pieniędzy na pomnik nie dało, to nakazało w szkole podstawowej imienia Zamenhofa stworzyć „gabinet pamięci”. Inspektor szkolny odpisał, że „izby pamięci” nie będzie, bo nie ma ani jednego wolnego pomieszczenia.

Pojawiają się pieniądze na pomnik: zrzuca się wytwórnia pasz, technikum rolnicze, młodzież szkolna, ale słychać już pomruk antysemickiej bestii, która przetoczy się przez Polskę w 1968 roku. Inicjatorzy budowy pomnika odpływają wraz z pomysłem przymusowo do Izraela.

Lata siedemdziesiąte. Pojawia się nowy konkurs na pomnik, ale w kasie komitetu pusto – wszystkie ściągnięte dyscyplinarnie składki poszły na poprzedni konkurs. Zamenhof skarłał zupełnie. Z wielkiej wieży do małego popiersia. Cieszą się organizatorzy konkursu, bo to mały wydatek, ale wszystkie pieniądze idą na samą organizację konkursu.

Przez trzy lata planowano, zbierano się, naradzano, skąd wziąć pieniądze, i w 1973 roku, wiosną,

w kanciastą pięćdziesiątą szóstą rocznicę śmierci Zamenhofa, popiersie postawiono. Ramiona i lekko przekrzywiona głowa zostały wbite w dwuipółmetrowy cokół. Przyszedł szef Komitetu Wojewódzkiego, komitetu budowy pomnika, zatrzymało się kilkunastu gapiów, dzieci, ktoś wyjrzał przez okno, ktoś zrobił zdjęcie.

Szkoła imienia Zamenhofa znika w 2001 roku. Władze miasta przekazały ją wraz z gruntem kurii, która utworzyła Zespół Szkół Katolickich. Dostała nowego patrona – Matkę Bożą Miłosierdzia. Do szkoły tej chodził historyk Andrzej Lechowski. Pewnie nie wypadało, sądzi, by Żyd był patronem szkoły katolickiej.

# Kongres

Elżbieta Karczewska, szeregową pracownicą Departamentu Ochrony Środowiska Urzędu Miejskiego w Białymstoku, latem 2007 roku zostaje wezwana do gabinetu zastępcy prezydenta Aleksandra Sosny. Za kilka dni odbędzie się Światowy Kongres Esperanto w Jokohamie w Japonii.

„Poleci tam pani” – mówi jej Sosna.

„Mam już plany urlopowe, nie mogę”.

„Mam lepszy. Poleci pani z prezydentem Truskolaskim, a on poprosi, by kongres w 2009 roku odbył się w Białymstoku”.

„To szaleństwo!”

„Wiem, ale inaczej nie da się powalczyć o pamięć Zamenhofa”.

„Nie mam paszportu”.

„Załatwimy w kilka dni”.

Karczewska jest miłośniczką esperanto, członkiem Białostockiego Towarzystwa Esperantystów. Wtedy, w 2007 roku, blisko przed emeryturą, nie spodziewała się, że za jej życia Białystok stanie się choć na chwilę centrum tego języka. Pomysł wydał jej się niedorzeczny, bo kongres to olbrzymia akcja, kilka tysięcy gości, program kulturalny, koszty.

W samolocie do Japonii uczy prezydenta Truskolaskiego przemowy w języku esperanto i prośby, by kongres w 2009 roku odbył się w Białymstoku. Jest zgoda, wyrażona z wielką chęcią, w końcu to miejsce urodzin Zamenhofa.

No i Białystok ma problem. Są na świecie miasta, gdzie znajduje się więcej pamiątek po ich rodowitym obywatelu. Sosna wymyśla więc, by utworzyć Centrum Ludwika Zamenhofa, miejsce dla rozwoju jego idei, spotkań, kultury. Zostaje urządzone w starej kamienicy przy ulicy Warszawskiej, na której zachowało się kilkanaście pożydowskich budynków. Wyremontowano ulicę imienia Zamenhofa, na jednym z budynków powstaje mural – Zamenhof zamyślony stoi na balkonie. Karczewska szczęśliwa i smutna – potrzebny był prawosławny wiceprezydent, by wziąć się do historii Żydów. W pośpiechu zamalowywane są swastyki na murach, ale trudno nadążyć, bo nocami powstają nowe.

Do miasta ma przyjechać ponad dwa tysiące miłośników esperanto z całego świata, także Krzysztof Zamenhof-Zalewski, jedyny żyjący potomek Zamenhofa, jego wnuk. Miasto nadaje mu tytuł obywatela honorowego. Fora internetowe lokalnych mediów rozgrzane. Czytelniczka „Kuriera Porannego” pisze: „To skandal, dlaczego nikt w tym mieście nie ma odwagi powiedzieć, co myśli... czyli nie! Co ma gówniarz żydowski do Białegostoku? Moja noga nie postanie w tym żydowskim padole. Jak się otwiera stronę, to wszędzie tylko wiadomości o Żydach. Gdzie my do cholery mieszkamy? W Izraelu czy w Polsce? Żydowski grajdołek...”.

Ale to dopiero uwertura.

22 lipca 2009 roku. Kilka dni do kongresu. Na terenie Politechniki postawiono namiot dla esperantystów. W nocy ktoś podchodzi do jego ściany, oblewa łatwopalnym płynem, podpala. Był pusty, nikt nie został ranny, ale miasto zwiększa patrole policji. Tej samej nocy przy ulicy Warszawskiej ktoś rozbija tablicę upamiętniającą naukę małego Zamenhofa w tamtejszym gimnazjum.

Następnego dnia w okolicach Politechniki kręcą się mężczyźni z napisami na koszulkach: „Nie przeprosimy za Jedwabne” i przekreślonymi gwiazdami Dawida.

Komentarze na stronach „Kuriera Porannego”:



„Trzeba powiedzieć krótko – półtora miliona Polaków zginęło przez Żydów po wkroczeniu ruskich na kresy i Podlasie. Chodził Żyd po domach z ruskim i wskazywał, kogo brać do wagonów. Syberia i śmierć. 1,5 miliona zabił Hitler. Wstyd robić takie imprezy w mieście, gdzie wielu Polaków wywinęło kozła przez Żydów. [...] A potem Truskolaski odda Żydom parę kamienic w mieście”.

„Nie potrzeba nam tutaj takich żydowskich imprez w mieście”.

25 lipca. Esperantyści idą z wizytą do szkoły, w której uczył się Zamenhof. Są w środku, gdy w okna szkoły lecą kamienie, jeden z gości dostaje w nogę. Gdy czeska delegacja wychodzi z hotelu, widzi, że ich autobus ma przebite opony.

30 lipca. Noc. Ktoś rzuca koktajlem Mołotowa w budynek Centrum Ludwika Zamenhofa. Pali się elewacja i chodnik.

31 lipca, popołudnie. Młody chłopak w kapturze podchodzi do popiersia Zamenhofa i rzuca workiem z różową farbą.

Sosnę najbardziej uderzyło, że stało się to na oczach wielu świadków siedzących na ławkach. Nikt nie zareagował.

Komentarz na forum „Kuriera Porannego”: „Widocznie w Białymstoku nie kochają tych, którzy sami siebie kochać nakazują”.

Karczewska przeszła na emeryturę, pracuje w bibliotece Centrum Ludwika Zamenhofa, opiekuje się zbiorem książek w języku esperanto, prawie wszystkie pochodzą z darów. Ma zapisanych stu osiemnastu czytelników, ale niewielu przychodzi.

Gdy rozmawiamy, gości działaczki esperanto z Włoch.

– Czy Białystok jest dumny ze swojej historii, czy dba o jej pamięć? – pytam Doer Fleur.

– Szczerze? – Patrzy przerażona na Karczewską, ta kiwa głową.

– No szczerze.

– Nie. Gdy mówimy o esperanto, Zamenhofie, białostoczanie machają ręką. Nie zdają sobie sprawy, że stąd pochodzi tak wielki człowiek.

# Esperanto

Zamenhof chciał przekreślić ideę dominacji poszczególnych narodów, dla których podstawą ekspansji był własny język. Zaproponował drugi, obok ojczystego, neutralny emocjonalnie, służący tylko do komunikacji.

Profesor Andrzej Sadowski, szef katedry socjologii wielokulturowości na Uniwersytecie Białostockim, który mi to tłumaczy, szykuje się właśnie do wyjazdu na Litwę na konferencję naukową. Trwa tam akurat ogólnokrajowa debata nad zminimalizowaniem języka rosyjskiego w akademickim użyciu. Obowiązujący na konferencji będzie angielski, choć rosyjski zna większość panelistów, bo przyjeżdżają z krajów słowiańskich.

Sadowski, patron naukowy Katarzyny Sztop-Rutkowskiej, jest specjalistą od mniejszości narodowych. Bada pogranicze polsko-białoruskie, tożsamość mieszkańców, wielokulturowość. Zamenhof, jego zdaniem, stanął pod koniec XIX wieku przed poważnym problemem: jak stworzyć płaszczyznę porozumienia dla podzielonego społeczeństwa, które zobaczył na ulicach Białegostoku. Jak wtłoczyć w nie ideę wspólnego języka, skoro każdy naród uważał swój język za najważniejszy na świecie. Jak pomóc ludziom zaakceptować inny język, by nie podważył kultury tożsamościowej płynącej z ojczystego.

Zmagania z tym problemem Zamenhof opisywał w listach. Język był dla niego tylko ideą, którą obudował koncepcjami filozoficznymi. Krótko przed śmiercią najbliższa była mu idea humanitaryzmu – odrzucała narodowość, zdaniem Zamenhofa, źródło wszelkich szowinizmów: „W każdym kraju ta grupa etniczna, która posiada większość, ma władzę nad innymi grupami etnicznymi i długo jeszcze nie zrozumie idei humanitaryzmu. Jednak żadna grupa etniczna nie może wiedzieć, co się z nią stanie jutro. Ale wcześniej czy później wszyscy uczciwi ludzie przekonają się, że rządy gwałtu mają naturę zwierzęcą, a nie ludzką, i że pokojowe współżycie na ziemi i zaprzestanie wojen jest możliwe nie przez nietrwałe i niesprawiedliwe kompromisy, ale wyłącznie przez absolutną sprawiedliwość, równą dla wszystkich grup etnicznych, w każdym miejscu i czasie”.

Esperanto staje się bardzo popularne w Europie Zachodniej na początku XX wieku. Zamenhof mieszka wtedy w biednej dzielnicy w Warszawie, jego praktyka lekarska to porażka, oszczędza każdą kopiejkę. Szuka swojej żydowskiej tożsamości, zafascynowany jest jidysz, nie jest pewny, czy tworzy język dla Żydów, czy dla wszystkich. Balansuje między swoim żydowsko-polsko-rosyjskim pochodzeniem. Wychował się w zaborze rosyjskim, lubił pisać i mówić po rosyjsku, więc dla Rosjan jest Rosjaninem, dla Polaków Polakiem żydowskiego pochodzenia. Jego żydowskość zostaje przemilczana na kongresie we Francji w 1905 roku. Francuzi zażądali, by wyrzucił z przemówienia zdanie, „my, wszyscy chrześcijanie, żydzi i muzułmanie, jesteśmy dziećmi Boga”. Nawet w esperanckiej encyklopedii z 1986 roku nie ma wzmianki, że był Żydem.

Esperanto, język prosty w obsłudze, miało być symbolem tej prostej idei. Zasady językowe można opisać na kilku stronach. Rzeczownik w liczbie pojedynczej zawsze kończy się na „o”, przymiotnik w liczbie pojedynczej na „a”, czas teraźniejszy ma zakończenie „as”, przeszły „is”, przyszły „os”, a każdy wyraz czyta się fonetycznie, tak jak pisze. I nie ma wyjątków od reguł.

Hymn esperancki autorstwa Zamenhofa brzmiał tak:

Dzięki słowom wspólnej wszystkim mowy,  
Pojmie jeden, co mu rzecze inny;

Ludzkość zgodnie stworzy całkiem nowy  
Na tej ziemi wielki krąg rodzinny.  
(przeł. J. Zawadzki)

Esperanto miało być otwartą ideą, Zamenhof nigdy nie zastrzegł praw autorskich, dopuszczał poprawki na zasadach demokratycznej dyskusji.

Uczył się go Leszek Kołakowski, wielu innych znanych twórców, ale język nie przebił się, nie stała za nim siła kulturowa. The Beatles, Nirvana, Hollywood to język angielski. Biznes, technologie, internet, rozrywka – angielski.

Esperanto nie przyjęło się nawet w skali mikro w Białymstoku, miejscu urodzenia Zamenhofa.

Z okna pokoju uniwersyteckiego, w którym siedzimy, w gmachu po dawnym Komitecie Wojewódzkim PZPR, widać pomnik z napisem „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Sadowski wzdycha. Nie przyjął się, mówi, bo w Białymstoku nie traktowano Zamenhofa nawet jako twórcę esperanto, tylko jako Żyda. Mieszkańcy Podlasia to społeczności ludowe, kształtowały swoją tożsamość na wsiach, gdzie dominowało pojęcie „swój–obcy”, a obcym był Żyd z miasta – karczmarz, sprzedawca, bankier. Polacy mieszkali wspólnie z prawosławnymi, prawosławny to też był obcy, ale swój, w biedzie, niedostatku. Żyd przejął dobra, w ich mniemaniu, nie dzielił się, a to bolało. Dlaczego jest bogatszy, pytali siebie Polacy, skoro nawet nie ma swojego kraju, państwa? Żyd w osobie Zamenhofa, jak widzą go elity Białegostoku, ma pochodzenie mityczne, ludowe.

– Ale prosiłbym pana – dodaje zaraz Sadowski – by pisać o tym delikatnie, z wyczuciem, bo łatwo o rozjątrzenie ran.

Sadowski opisał strukturę społeczną Białegostoku. W XIX wieku mieszkańcy okolicznych wiosek przyjeżdżali tu na zakupy furmankami i mówili: „jedziemy do miasta żydowskiego”. Po 1919 roku idee Zamenhofa nie trafiały do Polaków, bo odczuwali oni potrzebę budowania swojego państwa, wyrwanego zaborcom, a Żydzi nadal zamieszkiwali w centrum miasta, wszystko należało do nich, wielu mówiło po rosyjsku i stali się symbolem niechcianej przeszłości. Białystok nie jest miastem kultury uniwersalnej, miejskiej, otwartej, tylko zlepkiem kultur lokalnych.

– Do dziś – mówi Sadowski – nie wypracowaliśmy modelu miasta heterogenicznego kulturowo. Gdy zaczyna się w Białymstoku mówić gwarami regionalnymi, to wywołuje się zaraz potrzebę przystosowania ich do języka polskiego.

Trwa więc odwieczna walka o czystość Białegostoku i jego jednorodny kulturowo charakter. Gdy Żydzi znikają po wojnie, Białystok buduje swoją nową tożsamość na mieszkańcach regionu przybywających z wiosek. Miasto to dla nich lepszy świat z blokami, czystymi kuchniami, toaletami. Miasto polskie, katolickie, albo niewierzące. Nawet prawosławni dają się wtłoczyć w ten schemat, tylko na wsiach mówią „po naszemu”, mieszkanką polskiego, białoruskiego, może i jidysz.

Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte to Białystok zgodny. W latach osiemdziesiątych katolicy szukają w kościołach schronienia przed opresją PRL. Prawosławni pochodzenia białoruskiego, którzy aspirowali do polskości, nauczyli się polskiego, kultury, zrobili wszystko, co należy, ale nie mogli pójść dalej, bo brama Kościoła katolickiego była dla nich zamknięta. Bo w mieście i tak wiedzą, „żeś ty nie nasz”, że prawosławny. Wtedy przypomnieli sobie o Cerkwi.

## Patron

W 1997 roku Uniwersytet w Białymstoku uzyskał samodzielność, wcześniej był filią warszawskiej uczelni. W 2009 roku studenci Instytutu Socjologii organizują plebiscyt na patrona uczelni. Wygrywa Zamenhof, wyprzedza Jana Klemensa Branickiego, Juliusza Słowackiego, Zygmunta Augusta. Studenci zbierają podpisy pod poparciem Zamenhofa, przekazują je uczelnianemu senatowi. Nie dochodzi do głosowania. Sadowski, członek senatu, zwolennik Zamenhofa, słyszy o lepszej kandydaturze Izabeli Branickiej, żonie Klemensa, budowniczego pałacu, największej atrakcji turystycznej miasta.

– Ale nie słyszę wtedy wprost – mówi mi Sadowski – że chodzi o żydowskość Zamenhofa, to pozostaje niedopowiedziane.

Sadowski w liście do kolegów wyraża dezaprobatę. Przypomina, że choć Zamenhof mieszkał w Białymstoku do czternastego roku życia, to „cała jego działalność naukowa i społeczna wiązała się z wielokulturowym charakterem miasta i regionu”. Że misja Zamenhofa i uniwersytetu ma wspólny mianownik, „dążenie do pokazania historycznej i współczesnej prawdy o polskich pograniczach, o utrzymującym się tam tyglu kulturowym i jego następstwach”.

Przecież Zamenhof, przekonuje, symbolizuje wyjście mniejszości kulturowych z wykluczenia. Kto, jeśli nie piewca zbudowania świata bez konfliktów religijno-etnicznych, idealnie nadaje się na patrona uczelni na granicy zderzenia kultur tak często popadających w konflikty? List pozostaje bez odpowiedzi.

Komentarz na forum „Kuriera Porannego”: „Zamenhof? Jeny, jakby nie było lepszych patronów! Żydek?”.

Studenci organizują debaty w przestrzeni miasta. W jednej udział wzięła Elżbieta Karczevska. W pamięć wbiło jej się wystąpienie młodego człowieka z publiczności, który bez żenady spytał: „Czy mam rozumieć, że popieracie Żyda?”.

Temat wraca w 2012 roku. Rektor uczelni ogłasza poparcie dla Ryszarda Kaczorowskiego, prezydenta na uchodźstwie. Podobnie jak Zamenhof, spędził w Białymstoku dzieciństwo, w bibliotece uniwersyteckiej ma symboliczny gabinet, podarował uczelni zbiór książek, dostał tytuł doktora honoris causa, jest honorowym obywatelem miasta. Ale uniwersytet nadal pozostaje bez patrona.

Studenci i asystenci Instytutu Socjologii zorganizowali szlak kultury żydowskiej w Białymstoku, by przypomnieć miejsca z nią kojarzone. Były tabliczki, spotkania. Sadowski odebrał kilka anonimowych telefonów: „Dlaczego nie robicie ścieżki polskiej?”.

– Proszę pamiętać – mówi mi – że tu, na Podlasiu, było kilkadziesiąt pogromów na Żydach. Dokonali ich mieszkańcy wiosek, w zasadzie katolickich. Potem przywieźli do miasta swoje uprzedzenia, przekazali następnym pokoleniom. Potrzeba czasu.

# Stodoła

## Parafianie

Spalone, wbite w kamień drzwi na targanym wiatrem wzgórzu Jedwabnego wyglądają jak brama do piekła. Gdyby je otworzyć, widać byłoby jednorodzinną zabudowę miasteczka. Z boku, na kamieniu, inskrypcja:

PAMIĘCI ŻYDÓW Z JEDWABNEGO I OKOLIC  
MĘŻCZYŹN, KOBIET, DZIECI  
WSPÓŁGOSPODARZY TEJ ZIEMI  
ZAMORDOWANYCH  
ŻYWCEM SPALONYCH  
W TYM MIEJSCU  
10 LIPCA 1941 ROKU  
JEDWABNE  
10 LIPCA 2001 R.

Inskrypcja powstała mocą wyrozumiałości. W niedopowiedzeniu zostawia to, co opisał chwilę wcześniej Jan Tomasz Gross w słynnej książce *Sąsiedzi* wydanej w 2000 roku. Kilkunastu mieszkańców Jedwabnego, pięćdziesiąt kilometrów od Białegostoku, przy aprobacie reszty, podjudzanych przez proboszcza, nieprzymuszonych przez nazistów, przez kilka godzin pastwiło się nad swoimi żydowskimi sąsiadami. Katowali, topili, gwałcili, w końcu zaprowadzili na wzgórze, do stodoły. Nim Gross to opisał, widniał tam napis, że dokonali tego hitlerowcy.

Na obwodzie spalonej stodoły jest kamienny murek. Stoję pośrodku tego murka, próbuję sobie wyobrazić stłoczonych dwustu, trzystu, może więcej mieszkańców, bo spory trwają, a liczby minimalizowane są przez „prawdziwych polskich patriotów”. Wyobraźnia ustępuje, nie dźwiga siły dramatu. Słyszę dzwon kościoła. Może bił i wtedy, gdy sąsiedzi pilnowali, by ogień szedł równo. Ze wzgórza rozciąga się doskonały widok na okolicę. Dobry jest też z dołu, ku wzgórzu, by widzieć, czuć, słyszeć. Gorący czerwiec, wtedy gorący był lipiec. Słucham. Czy słyszeli to samo? Szum wiatru, muczenie krów, rżnięcie desek w tartaku, świergot wróblowatych. Podjeżdżają uśmiechnięci turyści, zdjęcie, selfie, uśmiech, ktoś woła, że jeszcze na tyłach pooglądać można sobie stary żydowski cmentarz, w leszczynach, gdzie macewy wystają z ziemi jak pokrzywione kości.

Schodzę do miasteczka. Wzdłuż ulic flagi polskie i biało-niebieskie – szlak po procesji Bożego Ciała. W parku, w którym nie ma słowików, kosów, niemiłosiernie drą się wrony i szpaki, choć południe, upał. Władze montują siatki na drzewach, ale nadaremnie. Na ławce niedobitek z piątkowej zabawy chrapie w rytm jazgotu. Park zadbany, ławki nowe, prowadzą szlakiem do pomnika zesłańców na Sybir. Skoro tam, na wzgórzu, nasi mordowali, to tu są męczennikami. Skoro tam, na wzgórzu, nie napisali, że palili Polacy, tu brakuje, że donosili Żydzi. Równowaga niedopowiedzeń. W tym parku zaczęła się gehenna, tu sąsiadów sprowadzili mieszkańcy, nim pognali ich do stodoły kilkaset metrów dalej.

Trzydziestoletni mężczyzna prowadzi budkę z kebabem, otwiera właśnie brzuch automatu do gry. Wojna była, mówi, na wojnie się dzieje różnie, a w ogóle to historii nie lubi, wołał przedmioty ścisłe. Trzaska maszyną, wyciąga osiemdziesiąt złotych, nędza, w Jedwabnem nikogo nie stać na hazard. Nawet 10 lipca, w dzień rocznicy pogromu, Żydzi nie schodzą do miasta. Przyjeżdżają autokarami, wysiadają,

odjeżdżają. Ale na kebab, wzdycha mężczyzna, pewnie i tak by nie przyszli, bo koszerne kebabu nie zjedzą. Jedyny kontakt z Żydami ma właściciel stacji benzynowej koło cmentarza, wpuszcza ich za dwa złote do toalety.

Pod sklepem spożywczym leniwe sobotnie zgromadzenie sąsiadów, stoją i gaworzą. Młoda kobieta z dzieckiem na ręku kołysze się w rytm macierzyństwa.

– No nie wiem, co myśleć, bo w internecie jedno, a słyszę drugie. Starsi lepiej wiedzą – uśmiecha się, reszta się śmieje. – Żyjemy terazniejszością.

– A pomnik? – pytam.

– Nie przeszkadza mi, nie chodzę tam.

– Dlaczego?

Gromadka w śmiech.

– Kto chce, to idzie się pomodlić. To byli takie same ludzie, jak wszystkie. Mówią, że to nasi mordowali, a przecież naszych była garstka i nie robili dobrowolnie, nie? – Przykłada palec wskazujący do skroni.

– A co pani sądzi? – pytam następną.

Przyjezdna. A pani, pan, a ty, młody chłopaku? Przyjezdni. Parskają śmiechem. A młoda właścicielka sklepu, która zamiata koło nas? Nie w temacie, nie słuchała. Śmiech.

– Jednej rzeczy szkoda – mówi młoda matka. – Na tyłach pomnika, gdzie jest ten stary cmentarz, były leszczyny. Chodziliśmy rwać orzechy, a teraz ogrodzili, spryskali i nie ma.

Podchodzi mężczyzna, czerwona twarz, krok chwiejny.

– Wyyypełnisz? – pyta młodą matkę.

– Jak wytrzeźwiejesz. – Śmiech.

Kobieta wypełnia wnioski o dopłaty unijne, jej mąż pracuje na budowie. Skończyła szkołę średnią, nie zamierza wyjeżdżać z Jedwabnego, ma tu dom i sąsiadów pod ręką.

Na tyłach kościoła pod wezwaniem Świętego Jakuba Apostoła stoi piętrowa plebania zbudowana na wzór rozłożystego dworu, dach zwieńczony anteną satelitarną. Brukowany dojazd z okrągłym dziedzińcem, żółta elewacja. Proboszcz Jerzy Dembiński, który parafią zawiaduje od 2005 roku, zagoniony, ale na chwilę przysiadła.

Ludzie żyją tu z rolnictwa, mówi, biedni, skrzywdzeni, bo za daleko to poszło, za dużo kłamstwa. Gross skłamał z liczbą zamordowanych, bo maksymalnie było stu sześćdziesięciu, dwustu, a jeśli Polacy brali w tym udział, to z pistoletem przy głowie. I nie całe miasto, tylko ledwie dwóch zostało przecież skazanych, zostali ukarani.

– Skąd ksiądz to wie? – pytam, bo z dokumentów historycznych wynika, że co najmniej dziesięciu.

– Ludzie mówią, a ja im się nie dziwię, bo skoro niewinni, to skąd mają brać poczucie winy. Pozamykali się, rozmawiać nie chcą. Póki tak będzie mówione, nic się nie zmieni. Stoi pomnik na wzgórzu, na Wszystkich Świętych świece są zapalane, jedna z parafianek nawet na mszę dała za poległych Żydów, ale trudno, by procesje tam organizować.

– Dlaczego?

– Bo ludzie czują się poszkodowani. Nawet jeden urzędnik z Warszawy, jak były obchody, przyszedł do mnie i powiedział, że błędem było oskarżenie całej społeczności. Szkoda, że wstrzymana została ekshumacja, jakby ktoś prawdę chciał ukryć.

– Za kilka tygodni będą kolejne uroczystości, siedemdziesiąta czwarta rocznica. Pójdzie ksiądz pod pomnik?

– Nie byłem i nie pójdę. Dopóki nie będzie powiedziana cała prawda, a społeczeństwo jedwabieńskie jej przyjmie, nie pójdę. Nie mogę ranić moich parafian.

Biskup łomżyński Stanisław Stefanek w kazaniu po publikacji książki Grossa powiedział, że powodem ataku na Jedwabne są roszczenia majątkowe Żydów.

Ksiądz Edward Orłowski, proboszcz parafii w Jedwabnem, poprzednik Dembińskiego, uznał, że „cała akcja medialna oparta na książce *Sąsiedzi* jest ewidentnym kłamstwem, mającym dać zielone światło dla żądań o odszkodowania”.

W 2001 roku podczas pierwszych obchodów tragedii w Jedwabnem, gdy pod pomnikiem przeproszał prezydent Aleksander Kwaśniewski, na uroczystości byli ksiądz Wojciech Lemański i ksiądz Adam Boniecki. Nie było żadnego kościelnego hierarchy. Dlaczego? Boniecki próbował zmierzyć się z tym w „Tygodniku Powszechnym”. „Odpowiadam, że nie wiem, bo nie wiem” – pisał.

Na corocznych obchodach brak mieszkańców Jedwabnego, proboszcza, ulice miasteczka pustoszeją. W 2011 roku, w siedemdziesiątą rocznicę zbrodni, mieszkańcy obserwowali obchody zza płotów i przez lornetki.

## Sąsiedzi

Czasy stanu wojennego, wszystko na kartki, a teatr Gardzienice wędruje przez wioski we wschodniej Polsce. Krzysztof Czyżewski, przygotowując jedną z takich wypraw z późniejszą swoją żoną Małgorzatą, zapuszcza się na krańce Podlasia, pod litewską granicę. Starszy Litwin na furmance zatrzymuje się przy drodze, widzi ludzi objuczonych plecakami, daje im jedzenie, nie chce pieniędzy. Poszli i nie mogli zapomnieć.

– Zawsze mi przeszkadzało – mówi mi Czyżewski, gdy siedzimy na pomoście w Krasnogrudzie pod Sejnami – że pojawiajemy się z wędrownym teatrem w jakiejś społeczności, zaczynamy dialog, bierzemy od ludzi dobroć, intymność, tworzymy sztukę, ale to trwa krótko, urywa się, wyjeżdżamy, zostawiamy ludzi z niedosłuchaną historią. Tym razem zostaliśmy. Po odejściu z „Gardzienic” założyłem w Poznaniu swój teatr „Arka”. Wyruszyliśmy ponownie na wschód, ale tym razem zostaliśmy.

Osiedlają się w Sejnach. Miejscowi nie wierzą, myślą, że aktorzy to wariaci, znikną po zabawie, pociągnie ich do wielkiego świata, bo po co komu siedzieć na jego końcu?

Czyżewski chce odkrywać, być z ludźmi, budować dialog, a widzi społeczność podzieloną historią jak siekierą, równo na pół. Polacy, Litwini żyją na dwóch wyspach – nie słuchają się, nie widzą. Sejny to małe miasteczko, Polacy mają swój dom kultury, Litwini swój, a pomiędzy nimi Czyżewski z Bożeną i Wojciechem Szroederami zakładają ośrodek Pogranicze, w dawnej synagodze. Zapraszają mieszkańców, by przyszli, zaśpiewali swoje pieśni, podzielili się opowieściami. Przychodzą, siadają w kręgu, rozmawiają pierwszy raz, śpiewają, także w imieniu Żydów, po których została świątynia przerobiona w PRL na magazyn nawozów sztucznych. Przyprowadźcie dzieci, mówi Czyżewski. Przyprowadzili. Maluchy przenoszą symboliczne świece od jednej grupy do drugiej, by starsi opowiadali po raz pierwszy, co ich boli i uwiera. Dzieci wracają do domów, pytają: „nie mówiliście nam tego, dlaczego?”. Przekaz pokoleniowy, jak widzi Czyżewski, był zerwany nienawiścią, ale dzieci go zszywają. Starsi się buntują, mają swoją pamięć. Bo strzelali do nas, mówią, zabijali, nie zapomnimy. Ale weź nasze dzieci, wnuki, słyszy Czyżewski, zrób z nimi coś dobrego, dla ich przyszłości, bo idzie nowe, Europa tuż za drzwiami, przypomniawszy sobie nawet o Podlasiu.

„Spotkanie z innym, czyli o cnocie tolerancji” – tak nazywały się warsztaty, na które na początku lat dziewięćdziesiątych przyszły sejneńskie dzieci. Arek, dwunastolatek, pisze pracę o tolerancji. Są goście specjalni, jak poeta Tomas Venclova, jest społeczność litewska i polska. Arek odbiera gratulacje, ale uśmiech mu schodzi z twarzy. Wstaje i mówi, że napisał, by wygrać, ale nienawidzi Litwinów, bo spalili mu dziadka w stodole, a w jego domu na ścianie jeszcze wisi szabla, gdyby jakiś Litwin chciał przekroczyć próg. Litwini chcą wyjść, wzburzeni. Czyżewski mediuje, zostają.

Pamięć starszych, mówi mi Czyżewski, przechodziła przez rodzinę, kościół, szkołę, nie było na nią odtrutki. Na ścianach były napisy „Litwini do gazu”, a konsulat litewski zaraz po wybudowaniu został w nocy obrzucony jajkami. Tolerancja była dla Arka pustym słowem, musiała nabrać treści.

Synagoga, w której ulokowano ośrodek, pozostała po Żydach sejneńskich wywiezionych do Treblinki. Czyżewski czuje w niej energię historii. Pierwszym spektaklem wystawionym przez Pogranicze jest tam *Dybuk* Szymona An-skiego. Gdy trwa próba, otwierają się drzwi, wchodzi starszy pan w jarmułce, za nim rodzina. Chodzi po kątach dawnej świątyni, śpiewa pieśni. Przedstawia się: Max Furmański, Żyd urodzony w Sejnach przed wojną. Przysiągł sobie, jako jedyny ocalały z rodziny, że nigdy tu nie wróci, wyjechał do Izraela, ale rodzina namawiała. Aktorzy prowadzą go do jego dawnego domu. Mieszkańcy



pamiętają go, rozmawiają z nim, wspominają, ale gdy wyjeżdża, zostają z lękami, czy nie wróci i nie upomni się o swój dom. Burmistrz Sejn dostaje też list z gminy żydowskiej z roszczeniami wobec połowy miasteczka, więc ludzie przestają mówić Czyżewskiemu „dzień dobry”, czują się oszukani, bo obiecywał, że wywoływanie dybuków jest ozdrowieńcze.

Pogranicze organizuje spotkanie, przyjeżdża Max, ludzie pełni niepokoju. Oficjalne uroczystości mają mieć charakter żydowski, dla uczczenia mieszkańców, którzy trafili do Treblinki. Burmistrz nie chce pisać mowy, proboszcz przyjdzie, ale incognito. Dzień uroczystości: zjawia się burmistrz, jest Max Furmański z rodziną, ambasador Izraela Szewach Weiss. Gdy Max ze swadą opowiada, że trzy razy uciekł z transportów, bo szybko biegał, napięcie opada. Nagle wstaje, śpiewa z Weissem „Jeszcze Polska nie zginęła”, choć od pięćdziesięciu lat nie mówił po polsku. Wielu ma w oczach łzy. Burmistrz wygłasza przemówienie, które chwyta za serce, no to wstaje proboszcz i śpiewa po hebrajsku „Ojcze nasz”. Magia. Choć Czyżewski wyobraża sobie czasem, że Max nie trafia do nich, do synagogi, tylko idzie w inną stronę, widzi macewę w chodniku, słyszy jakiś antysemicki warkot i ucieka, a demony nadal chowają się pod podłogami polskich-niepolskich domów.

W ramach warsztatów tożsamościowych zapraszają do Sejn Jana Tomasza Grossa. Wieczorami Gross opowiada o mrocznej, niewiarygodnej historii z Podlasia, ale na razie zbiera materiały, czeka, aż temat dojrzeje. Czyżewski pamięta tamte gorące dyskusje, spory, pytania o granice człowieczeństwa, do których doszli nie tylko naziści. Czy mamy prawo o tym opowiedzieć tu, na Podlasiu? – pytali siebie. Tak, jeżeli traktujemy poważnie pobyt w Sejnach, pracę z ludźmi, swoje życie, to opowiadamy.

– Nie potrzebowaliśmy – mówi mi Czyżewski – skandalu medialnego.

Gdy Gross, mieszkający w USA, relacjonuje im kolejne odkrycia, rozumieją, że muszą *Sąsiadów* wydać najpierw po polsku, by przedyskutować u siebie, bo to nasza, polska sprawa. Czyżewski czyta książkę i dostaje obuchem w głowę, choć znał ustalenia. Jeszcze bardziej przekonuje się, że musi ją wydać, że jeśli tego nie zrobi, straci wiarygodność także wśród swoich, w Sejnach, gdzie każdego dnia namawia, by rozliczać się z historią.

– Nie wiedziałem – przyznaje – jaka będzie skala uderzenia, ale Jan przekazał nam książkę z nadzieją, że zbuduje coś dobrego, a nasze Pogranicze jest do tego dobrym miejscem.

Wydanie książki w 2000 roku było ciosem dla Polski, a dla Pogranicza chwilą niepewności, bo w sejmiku podlaskim Liga Polskich Rodzin złożyła wniosek o likwidację „antypolskiego ośrodka”. Ktoś przed sądem oskarża Czyżewskiego o szkalowanie narodu polskiego, ale nie musi bronić się sam, wystarcza pismo pani sędzi z sejneńskiego Sądu Rejonowego, która umarza sprawę. Przykrości płyną też z Warszawy, z ośrodków decyzyjnych, dla których Pogranicze pozostaje miejscem „które wydało Grossa”. Gdy starają się o fundusze w ministerstwach, słyszą: „no dobrze, ale czy to prawda, że chcecie teraz wydać jego kolejną książkę?”.

– Musiałem wydać – dodaje Czyżewski – bo jestem organicznym patriotą, nie mogłbym żyć z tchórzostwem, na ugiętych nogach. Jak inaczej spojrzalbym w oczy Maxowi Furmańskiemu?

Tolerancja nabrała dla Arka treści. Po ćwierć wieku współpracy z ośrodkiem Czyżewskiego został w 2014 roku burmistrzem i walczy, by jego zastępcą był Litwin.

Jedwabne jest symbolem pogromów dokonanych przez Polaków na Żydach podczas wojny, ale wedle ustaleń historyka Andrzeja Żbikowskiego do podobnych mordów doszło na Podlasiu w dwudziestu dziewięciu miejscowościach. Sprawcami byli polscy katolicy w Radziłowie, Wąsoszu, Goniądzu,

Grajewie, Kolnie, Suchowoli, Szczuczynie, Stawiskach.

Gross nie dokonał śledztwa historycznego, nie odnalazł zaginionych archiwów. Wyciągnął to, co dostępne w piwnicach Żydowskiego Instytutu Historycznego, Instytutu Pamięci Narodowej, w pamięci mieszkańców Podlasia i w głowach historyków. Przepłynął ocean, by zebrać wszystko i wydać.

Gdy dziennikarz „Rzeczpospolitej” pół roku po wydaniu jego książki pojechał do Jedwabnego, w kilka godzin potwierdził w rozmowach z mieszkańcami, że zbrodni dokonali ich przodkowie.

Źródło było bez liku:

Zapis z procesu polskich mieszańców Jedwabnego, który odbył się w 1949 roku.

W 1966 roku historyk Szymon Datner opublikował w biuletynie ŻIH artykuł o zbrodni w Jedwabnem.

W archiwum ŻIH była notatka Szmula Wasersztajna, mieszkańca Jedwabnego, który drobiazgowo opisał pogrom.

W 1996 roku Morlan Ty Rogers, nowojorski prawnik, publikuje w „New York Timesie” list *Poles Have Yet to Face Their Postwar Past*. Miał dziadków z Jedwabnego, jeden z nich wyemigrował do Ameryki w końcu XIX wieku. Wśród zamordowanych przez polskich sąsiadów w Jedwabnem byli przodkowie Morlana. W połowie lat osiemdziesiątych wyjechał na wymianę studencką do Polski, był w Jedwabnem. Nie znalazł żadnego śladu po żydowskich krewnych. Za miastem zobaczył tylko kamień, na którym napisano, że spalono tam tysiąc sześciuset Żydów, a odpowiedzialni są hitlerowcy. Wyjechał, jak pisał później w innym miejscu, „świadom faktu, że prawda o tym, co się stało, została sfalszowana. Przynajmniej w Polsce”. Znał prawdę z książki wspomnień Żydów amerykańskich. Po upadku komunizmu wszedł w dyskusje na polskich forach internetowych, spytał o Jedwabne, przytoczył wspomnienia przodków i został obrzucony antysemitkami obelgami, oskarżony o rewizjonizm, sympatie nazistowskie, motywacje finansowe. Gdy jego znajomy odwiedził Jedwabne w 1994 roku, zauważył, że nazwa na pomniku nie została zmieniona. „To zajmie więcej czasu, by zmieniły się postawy, które przyczyniły się do fałszowania historii” – napisał Rogers w liście do „NYT”.

# Odwaga

Pierwszym białostockim historykiem, który zajął się sprawą Jedwabnego, był profesor Edmund Dmitrów, szef Zakładu Historii Społecznej Uniwersytetu w Białymstoku. Ale dopiero po Grossie, w 2002 roku, gdy przyłączył się do prac nad dwutomową publikacją IPN *Wokół Jedwabnego*.

O Jedwabnem nie napisał Adam Dobroński, najbardziej znany historyk regionu. Znał prawdę o Jedwabnem, choćby z ustaleń powojennych.

– Nie napisałem – mówi mi – bo mam inny historyczny warsztat. Miałem też słabszy kontakt ze środowiskiem żydowskim.

Dobroński uważa, że w czasach PRL temat był wykluczony ze względu na ograniczenia cenzuralne. A po 1989 roku?

W luźnym felietonie w periodyku „Medyk Białostocki”, trzynastce lat po książce Grossa, Dobroński w kilku zdaniach oceniał, że jednym z powodów pogromu mogło być kolaborowanie Żydów z NKWD. „Wśród ludności żydowskiej aktywni byli nosiciele ideologii lewicowych, a wśród katolików rząd dusz zachowali narodowcy w wydaniu prowincjonalnym [...]. Nadciągnęły oddziały Armii Czerwonej i rozpoczął się terror w wykonaniu NKWD [...]. Do domów, także rodzin ofiar z Kobielnego, przychodzili funkcjonariusze sowieccy w towarzystwie miejscowych milicjantów żydowskich; ci drudzy budzili szczególną nienawiść, jako niedawni jeszcze »sąsiedzi«. Sytuacja stawała się zapalna i wtedy powrócili okupanci niemieccy”.

– Teraz powiem jeszcze mocniej – mówi mi Dobroński. – Bo w Instytucie Sikorskiego trafiłem na mało znane relacje Sybiraków, którzy pochodzili z Jedwabnego. Zostali aresztowani w 1940 roku, przeżyli piekło w więzieniu NKWD. Nie można wysuwać zbiorowych oskarżeń, ale część młodzieży żydowskiej musiała w Jedwabnem ofiarnie służyć NKWD, bo te relacje to potwierdzają.

To mogła być, zdaniem Dobrońskiego, jedna z iskier zapalnych pogromu.

– Nie mówię tu o rozgrzeszeniu, ale Sybiracy wrócili z więzień z nienawiścią do Żydów, którzy zgotowali im piekło w NKWD.

– Ale dlaczego pogromów w tym regionie było blisko trzydzieści? Czy zawsze powodem była zemsta? – pytam.

– Czasami zemsta za donoszenie na partyzantów, ale też zachęta środowisk antyżydowskich, brak inteligencji na wsiach, retorsje ze strony chłopów za ich ciężki los, grabieże przez Sowietów, inspiracja niemiecka. Niestety, także księża katoliccy na wsiach często nie spełnili roli przywódców duchownych.

Książki nie napisał Andrzej Lechowski, dyrektor Muzeum Podlaskiego w Białymstoku. Studiując historię, obcował z najlepszymi wykładowcami, dysydentami, zrzuconymi do Białegostoku przez władzę. W pobliskim Tykocinie, mieście żydowskim, był od 1983 roku kierownikiem muzeum. Mieszkańcy miasteczek, w których doszło do pogromów żydowskich, mówili mu: „o, tamten mieszka po Żydzie, bo jak Żydów zabrano, to nasi jeszcze tego samego dnia wchodzili pod ich pierzyny”.

– W latach osiemdziesiątych – mówi mi jednak Lechowski – miała na nas oko bezpieczeństwa, nie utrzymywaliśmy stosunków dyplomatycznych z Izraelem, a gdy przyjeżdżały wycieczki Żydów, ubecy ciągle pytali, kto przyjedzie, z kim przyjedzie.

– A w latach dziewięćdziesiątych? – pytam.

– Pojawiła się ustawa reparyacyjna, miejscowi bali się utraty majątku, że Żydzi przyjadą, wyrugują, wykupią. To nie był czas na pisanie o pogromach.

Profesor Andrzej Sadowski, gdy pytam, dlaczego na okładce *Sąsiadów* nie ma jego nazwiska, przyznaje, że od lat osiemdziesiątych wiedział o prawdziwej historii Jedwabnego, w końcu konflikty etniczne to jego konik, zajmował się nimi od lat sześćdziesiątych.

– W latach dziewięćdziesiątych – zdradza – namawiałem trzech studentów na napisanie o tym pracy magisterskiej. Żaden się nie zgodził. Był wśród nich jeden z Jedwabnego. Powiedział, że to się nie uda, że ludzie nie chcą rozmawiać, by nie zdradzić tajemnicy, nie być pociągniętym do moralnej odpowiedzialności.

– A pan? Inni historycy z Podlasia? Dokumenty były dostępne, relacje świadków tak blisko.

Sadowski składa dłonie, splata palce, gdy siedzimy w pokoju z widokiem na pomnik „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Bierze głęboki oddech.

– Mogłem to napisać, nie przekłamując niczego, ale zabrakło mi cywilnej odwagi. Nie chciałem być wykluczony ze środowiska, potępiony, nie chciałem ryzykować swojej zawodowej drogi.

Gdy wychodzę z jego gabinetu, odnoszę wrażenie, że ma wilgotne oczy.

# Obcy

Na terenie parafii kościoła farnego w Białymstoku działa kino Ton. W latach dziewięćdziesiątych budynek był ośrodkiem kulturalnym młodzieży alternatywnej, ale razem z gruntem zwrócono go Kościołowi. Ton organizuje spotkania, dyskusje pod patronatem białostockiej kurii.

Kino, od czasu wydania książki przez Grossa, często podejmuje temat Jedwabnego. Zimą 2013 roku zaprosiło Leszka Żebrowskiego, ekonomistę związanego ze środowiskiem prawniczym. Pracował w Urzędzie do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, zajmował się weryfikacją „fałszywych kombatantów”. Oglądam zapis ze spotkania. Żebrowski siedzi na scenie przed pełną salą, głównie starszymi ludźmi. Przez dwie godziny obala twierdzenia książki *Sąsiedzi*, porównuje Grossa do „naukowego głupka”. To, że Gross ma tytuł profesora, nic nie znaczy, uważa Żebrowski, bo nie potrafi posługiwać się źródłami, nie potrafi nawet napisać tego w złej wierze tak, żeby było wiarygodne.

Spotkanie prowadzi Bożena Korzińska, szefowa białostockiego klubu „Gazety Polskiej”. Białostoczanka z dziada pradziada, mówi mi, gdy siedzimy w barze na jednym z białostockich osiedli. Siedemdziesięcioletnia, czujna, bo dowiedziała się, że reprezentuję „środowisko jej obce”. Niechętna rozmowie, przyszła z grzeczności. Pyta, czy badałem swoje pochodzenie. Niezbyt głęboko, odpowiadam. Mruży oczy, potakuje głową. Mam na twarzy cechy semickie, mówi, a poza tym przecież „Gazeta Wyborcza”, w której pracuję na co dzień, reprezentuje moje naturalne środowisko, żydowskie.

Do działania napędza ją troska o ojczyznę, zwłaszcza teraz, gdy wróg na wschodzie podnosi głowę. Czy ja, pyta, w razie agresji wziąłbym broń do ręki, walczyłbym o Polskę? Czy umiem strzelać? Nie, nie umiem, nie wiem, co bym zrobił, może zabrał dzieci i uciekł z tego kraju. „Ten kraj” podnosi Korzińską znad stołu. Z zaciśniętymi mocno ustami chwyta torebkę. Stoi chwilę nade mną, ale siada. Wyjmuje plik kartek, prosi, bym przeczytał. To wydruk z internetu: „Pedofilia – brudny sekret Talmudu. Od niemal wieku – czytam we wstępie – zdominowany przez Żydów przemysł filmowy Hollywood i duże media w widoczny sposób wpływają na chrześcijańską Amerykę poza biblijnymi moralnościami i wartościami”.

To chyba najgorszy okres w całej nowożytnej historii Polski, mówi mi Korzińska, bo Polski już prawie nie ma, a jeśli nie odzyskamy tego, co było kiedyś, to jej nie będzie. Zna też prawdziwą diagnozę problemów, ale nie chce wyjść na całkowitą antysemitkę, więc mi oszczędzi. Kultura żydowska jest ekspansywna od wieków, a to niebezpieczne dla innych narodów. Dlatego, stwierdza, nie ma Żydów gejów, boby wyginęli, a nie mogą sobie na to pozwolić.

A swastyki na ścianach miasta? Nie przeszkadzają Korzińskiej?

Jakie swastyki? Żadnych nie widziała.

Po kwadransie kończy spotkanie. Nie zamówiła nawet herbaty. Bo, jak uważa, są okoliczności, gdy z braku zaufania nie spożywa się wspólnie posiłku.

# Rondo

## „Bury”

22 września 2014 roku radni Prawa i Sprawiedliwości wnieśli pod obrady rady miejskiej uchwałę, by nowo powstałe rondo w Białymstoku nosiło nazwę Żołnierzy Wyklętych. Protestowali radni prawosławni, ale uchwała przeszła.

Żołnierze Wyklęci, czyli zbuntowane oddziały Polskiego Państwa Podziemnego, które nie chciały rzucić broni i walczyć o Polskę Ludową, utworzyli Narodowe Zjednoczenie Wojskowe. Walczyli głównie na Podlasiu, gdzie wielu mieszkańców deklaroowało narodowość białoruską. Mieszkańcy ci byli prawosławnymi, którzy od wielu lat, z dziada pradziada, żyli w tym rejonie, skazani na granice rysowane ołówkiem kapryśnej historii.

Zygmunt Błażejewicz, ps. „Zygmunt”, podlegał legendarnemu Zygmuntowi Szendzielarzowi, ps. „Łupaszka”. W maju 1945 roku, prawie rok po skończonej na tym terenie wojnie, kilka dni po kapitulacji Niemców, szwadron „Zygmunta” wszedł do wsi Potoka, dwadzieścia kilometrów od Białegostoku, zamieszkałej przez prawosławnych. Zawierucha II wojny światowej ominęła wioskę, ludzie żyli tu spokojnie. Michał Bołtryk, dziennikarz „Przeglądu Prawosławnego”, zebrał wspomnienia jej mieszkańców z maja 1945 roku:

Witalis Romańczuk miał jedenaście lat. Pamięta, że wieś musiała żywić polskich żołnierzy, którzy ukrywali się w lasach, ale sołtys związany był z partyzantką radziecką. Polscy żołnierze przyjechali 16 maja, Witalis akurat bronował pole. Do szopy z drewnem wpadł sąsiad, wziął karabin i granaty, po chwili słysząc było strzelaninę. Witalis idzie przez wieś i widzi sąsiada przy studni, martwego, dalej braci Małaszewskich, nieżywych, żołnierza Wojska Polskiego (oddziały WP walczyły ramię w ramię z Armią Czerwoną) z rozbitą głową. Był to efekt potyczki partyzantów „Zygmunta” z żołnierzami Wojska Polskiego, którzy przyjechali po zboże. Witalisowi myliły się te oddziały, mundury mieli prawie takie same.

Anatol Bekisz miał dziesięć lat. Widział samochód żołnierzy, który przyjechał po zboże, ale przyjechali też inni, wyklęci. Jego ojcu, który był zastępcą sołtysa, wyklęci kazali sięść pod studnię. Ojciec zrobił jeszcze znak krzyża, po czym dostał kulę. Anatol uciekł do sąsiada, gdy wrócił, znalazł ciało szesnastoletniego brata. Jego matka będzie potem nosić polską kulę, która zabiła jej męża.

Nina Małaszewska miała trzynaście lat, gdy widziała strzelaninę Wojska Polskiego i partyzantów, z którymi były dwie sanitariuszki. Partyzanci odjechali z rannymi, ale wrócili i zabrali jej ojca i stryja. Znalazła ich pod płotem, poobijanych, martwych.

Witalis pamięta, że kilka dni później mieszkańcy poszli do Michałowa, do cerkwi, na nabożeństwo odpustowe. Tam od Polaków usłyszeli, że „dziś Potoka będzie płonąć”. Partyzanci zjawili się wieczorem, jakieś osiemdziesiąt osób. Zabrali z domów mężczyzn i odczytali im wyrok: tu mieszkają przeciwnicy prawdziwej polskiej władzy, wieś spłonie, za jedną skrzywdzoną polską wieś zginie dziesięć wsi białoruskich.

Aleksander Gierasimczuk miał wtedy rok i trzy miesiące. Historię zna od matki. Ojciec Gierasimczuka walczył w polskim wojsku, w Armii Poznań, trafił do niemieckiej niewoli, wrócił po wojnie piechotą. Gdy płonął jego dom, poparzył się, by ratować swoje dzieci. Spłonęło troje, w wieku sześciu–dziesięciu

lat. „Zygmunt” krzyczał wtedy: „Skurwysyny! Kacapy! Mnie tu, w waszej wsi postrzelono, ale żyję. Teraz zobaczycie, jak wasze domki będą płonąć”.

Bołtryk, prawosławny dziennikarz, nie może się też pogodzić z przekazem, jaki dominuje o Żołnierzach Wyklętych. Podaje przykłady.

W monografii *Rozstrzelany oddział*, sfinansowanej w 2007 roku przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, mowa jest o Potoce, że została spalona w odwecie za niszczenie polskiego majątku w pobliskim Hieronimowie: „za stawianie oporu zginęły cztery osoby”.

W 2002 roku wydano monografię „Łupaszka”, „Młot”, „Huzar”. *Działalność 5 i 6 Brygady Wileńskiej AK (1944–1952)*, przy wsparciu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. O Potoce napisano, że „zaszła konieczność ukarania tamtejszej skomunizowanej ludności, wysługującej się NKWD i władzom bezpieczeństwa [...]. Osoby, które nie posłuchały zakazu, zostały zastrzelone”.

Także sam „Zygmunt” wydał w 2003 roku swoje wspomnienia *W walce z wrogami Rzeczypospolitej*. Bołtryk cytuje z niej fragment: „Mieszkańcy Patoki i Domanowa byli wrogo nastawieni do nas, posiadali broń i współpracowali z NKWD. W odwet za ich postępek z rozkazu majora 20 maja obie te wsie spaliłem (pomimo gróźb dalszych represji ze strony komendanta NKWD). [...] W większości zabudowań eksplodowała amunicja. Zlikwidowany też został sołtys Bekiesz, jego syn i jeszcze ktoś”.

W 1988 roku w książce *Pseudonim „Łupaszka”. Z dziejów v Wileńskiej Brygady Śmierci i Mobilizacyjnego Ośrodka Wileńskiego AK* Dariusz Fikus, późniejszy redaktor naczelny „Rzeczypospolitej”, napisze: „Szwadron »Zygmunta« udał się do wsi Potoka w gminie Zabłudów. Mieszkańcy tej wsi byli uzbrojeni i ostrzelali oddział. Drużyna wycofała się do lasu i po ściągnięciu posiłków przeczesła wieś, z której oczywiście wszyscy mężczyźni uciekli. W odwecie wieś podpalono. Ofiar śmiertelnych nie było”.

Romuald Rajs, ps. „Bury”, również wchodzący w skład oddziału „Łupaszki”, przyszedł do wsi Zaleszany. Jego ludzie zastrzelili szesnastoletniego syna sołtysa i sąsiada. „Bury” zwołał zebranie mieszkańców w jednym z domów, zamknął drzwi i podpalił. Partyzanci obstawili budynek, strzelali do uciekających. Zabito tych, którzy nie chcieli iść na zebranie, jak rodzinę Niczyporuków – małżeństwo i troje dzieci. Nie chcieli iść ze wstydu, byli biedni, nie mieli nawet butów. Partyzanci spalili dzieci Leończuków, w tym noworodka, a gdy inny mieszkaniec uciekał ze swojego domu, został zastrzelony z trzyletnim i sześciomiesięcznym dzieckiem.

W podobny sposób wyglądały pogromy w Wólce Wygonowskiej – dwie osoby, koło Puchał Starych – trzydziestu mężczyzn, w Zaniach – zastrzelone i spalone dwadzieścia cztery osoby, w Szpakach zastrzelonych pięciu mężczyzn, spalone domy. Jedna z kobiet, osiemnastoletnia Maria Pietruczuk, nie dała się zgwałcić, strzelili jej w plecy. Widziała to jej koleżanka i oddała się partyzantom dobrowolnie.

„Bury” po wojnie, za masakrę ludności cywilnej, został aresztowany i skazany na karę śmierci. Proces odbywał w Białymstoku, w budynku, w którym dzisiaj jest kino Ton. W 1995 roku sąd wojskowy zrehabilitował go, a rodzinie wypłacono odszkodowanie. Uzasadnienie: „działania zmierzały do realizacji celu nadrzędnego [...]. Miały one na celu zapobieżenie represjom wobec bliżej nieokreślonej liczby osób prowadzących walkę o niepodległy byt Państwa Polskiego”. Wydane przez „Burego” rozkazy pacyfikacji ludności cywilnej sąd nazwał „stanem wyższej konieczności, który zmusił ich [oddział »Burego«] do podjęcia działań nie zawsze jednoznacznych etycznie”.

Instytut Pamięci Narodowej ponownie jednak przebadał dokumentację, zeznania blisko stu

siedemdziesięciu świadków, materiały z ekshumacji mieszkańców pacyfikowanych wsi. Uznał, że brak dowodów, by ofiary „działały w strukturach państwa komunistycznego, a ich działanie było wymierzone w rozbięcie tej organizacji podziemnej”. Motyw działania Żołnierzy Wyklętych, zdaniem IPN, to „skierowanie działania przeciwko określonej grupie osób, które łączyła więź oparta na wyznaniu prawosławnym i związanym z tym określaniu przynależności tej grupy osób do narodowości białoruskiej. Reasumując, zabójstwa i usiłowania zabójstwa tych osób należy rozpatrywać jako zmierzające do wyniszczenia części tej grupy narodowej i religijnej, a zatem należące do zbrodni ludobójstwa, wchodzących do kategorii zbrodni przeciwko ludzkości”.

Po podjęciu przez radnych uchwały o nadaniu nowemu rondu imienia Żołnierzy Wyklętych Stefan Nikiciuk wyszedł z sali posiedzeń rozdygotany. Był w grupie Forum Mniejszości Podlasia jednym z jej trzech prawosławnych radnych kadencji 2010–2014.

Siedzimy w małej salce w Urzędzie Miejskim. Prawosławnych Białorusinów, Ukraińców, mówi Nikiciuk, jest w Białymstoku około dwudziestu procent, blisko sto tysięcy. To mieszkańcy, którzy opuścili swoje tereny wschodnie, szukali pracy albo byli tu od zawsze, tylko granice ktoś im nad głowami przesuwiał. Są z Hajnówki, Michałowa, Gródka, Narwi, Zabłudowa. Z miast, miasteczek, gdzie prawosławni stanowią większość, niektórzy przyjechali stamtąd po wojnie, za chlebem.

Nikiciuk przyjechał w latach pięćdziesiątych, do szkoły średniej. Jego rodzina pochodzi ze wsi koło Zatoki. Dwadzieścia domów, większość prawosławnych, od pradziada, z czasów dawnej Rusi. Mieszkał w domu z gliny, dziadek był krawcem w wojsku carskim, ojciec skończył dwie klasy szkoły podstawowej. Byli tam prawosławni, kilka rodzin katolickich, nikt się nie kłócił, dopóki nie przyszli partyzanci. Najpierw po jedzenie, ubrania, żywność. Ojciec i dziadek Nikiciuka spali w stodole, bali się, że partyzanci ich zabiorą i rozstrzelają, jak w innych wioskach. W nocy, jak opowiadała Nikiciukowi matka, rozległo się stukanie do okna. Podeszła z córką na rękach, gdy partyzant wybił szybę i krzyknął: „Gdzie mężczyźni?!”. Był mróz, matka zachorowała, a starsza siostra Nikiciuka zmarła. Nikiciuk tłumaczył na komisji radnych, że wyklęci mają krew na rękach, że dla jego rodziny nie są wyklęci, tylko przeklęci, że robili dobre, ale i złe rzeczy, mordowali kobiety, dzieci. Zagłosował przeciw, jego koledzy z Forum także. Spytał później radnego prawosławnego z SLD, dlaczego się wstrzymał. „Bo u nas nie było morderstw” – usłyszał.

Wstrzymała się też Hanna Wasiak, radna Platformy Obywatelskiej. Siedzę w jej domu na przedmieściach Białegostoku, w dzielnicy Dojlidy Górne. Za oknem ogród zimowy, jej oczko w głowie. Pochodzi z Hajnówki, ojciec partyjny, pracował w przemyśle drzewnym, mama była prezesem spółdzielni, wyznania baptystycznego. W jej rodzinie są katolicy, prawosławni. Siostra, co tu częste, obchodzi podwójne święta, bo mąż prawosławny.

Wasiak mieszkała z mężem, profesorem uniwersyteckim, w Warszawie, w elitarnej dzielnicy w Konstancinie. Za sąsiada miała aktora Karola Strasburgera. Zmęczyły ją jednak wielkomiejskie obiady, pogaduchy, zatęskniła za zielonym krajobrazem Podlasia. Roznosiła ją energia, urządzała dom, ogród, organizowała życie na nowym osiedlu, wybrano ją do rady miasta. Wstąpiła do Platformy, bo bez partii, jak tłumaczy, nie dałaby rady, ale nie podoba jej się to kupczenie, stawianie partyjnego interesu ponad potrzeby lokalne.

Rondo? Pamięta, że prawosławni byli przeciwni, ale to wszystko przez PIS, bo naciskali. Sama słyszała, jak mówili, że prawosławni to wrogowie narodu polskiego. Nawet chciała coś powiedzieć, ale



się powstrzymała. Jak głosowała? Nie pamięta. Wstrzymała się. Dlaczego? Wzdycha. Na początku uważała, że prawosławni mają rację, no bo ten „Bury”, ale ktoś wrzeszczał w kuluarach, że prawosławni gnębili mu ojca.

– Ale pan chce o tym pisać? – pyta mnie czujnie. – No jakoś tak wyszło, że siedziałam obok naszego radnego, spytałam, co robimy, a on, że się wstrzymuje, to i ja się wstrzymałam.

Malutką łyżeczką miesza herbatę w malutkiej filiżance.

– Czy interesują pana inne ważne sprawy? Organizuję akcję „Nasz czysty Białystok”. Mogę panu przeczytać wierszyk.

Koleżanko i kolego,  
dbaj o czystość miasta swego,  
bo porządek musi być,  
jeśli chcesz przyjemnie żyć.  
Trzeba kochać nasz Białystok,  
dbać o piękno naszych ulic,  
myślą sięgać w dalszą przyszłość,  
a kierować nią już dziś.

# Czorna soroczka

Ania ma szesnaście lat, chodzi do liceum w Białymstoku, nosi koszulki z The Doors, słucha Pearl Jam. Jest 2000 rok. Siedzi w klubie na pokazie filmów dokumentalnych. Dym, tłum, piwo, kolejny film. Na ekranie grupa starszych kobiet wokół rozkopanego grobu, prawosławny batiuszka, kadzidło, modły, jęki. Dostrzega znajomą twarz babci, więc szklanka z piwem prawie wypada jej z ręki.

W głowie ma mgliste wspomnienia rodzinne, że jakieś duchy, czy nawet kosmici, zabrali brata babci, a ona opłakiwała go na rodzinnych uroczystościach. Ania odstawia kufel, rozkleja się. Przypomina sobie, jak babcia mówiła „po swojemu”, mieszkanką białoruskiego, ukraińskiego, polskiego, ale rodzice chronili Anię przed tą gwarą, by nie komplikować jej życia; jak w podstawówce czekała na korytarzu, aż koledzy wybiegną z katolickiej religii z okrzykiem: „Nie uznajecie papieeeeeża! Jecie kartofle w ceeeeerkwi!”.

Wychodzi z knajpy i chce poznać młodych jak ona. Jedzie na festiwal Basowiszcz w Gródku. To taki rockowy, prawosławny Jarocin. Znajduje tam innych stęsknionych za swoją tożsamością, którzy nie słuchali albo nie załapali się na dziadków, nie usłyszeli, co jest „moje, a co najmojsze”. Czyta Sokrata Janowicza, który osadził Białorusinów w perspektywie wielkiej historii, dał im białoruski język literacki na równi z polskim. Dowiaduje się, że Adam Mickiewicz też pisał po białorusku. I choć to tylko mit, dowartościowuje ją. Słucha białoruskiego radia Racja, prowadzonego przez prawosławnych hobbystów, dzięki radiu uczy się białoruskiego.

Anna to delikatna brunetka, ma lekko skośne oczy.

– Przecież nikt mnie tu nie przywiózł – mówi z pasją – jesteśmy tu urodzeni, wychowani, to nasz kraj.

Jej babcia wojnę spędziła na robotach w Prusach Wschodnich, obywatelstwo miała polskie, ale Niemcy wpisali białoruskie. Wróciła po wojnie do Krasnej Wsi, do wioski rodziców, którzy leżą tam na cmentarzu prawosławnym. Ludzie „Burego” zabrali stamtąd trzynastu furmanów, wróciło tylko kilku, jeden katolicki. Reszta zaginęła, bo nie-Polacy, kacapy. A przecież ojciec babci Jan, choć prawosławny, był ułanem, walczył wspólnie z Piłsudskim, a w babcinej kuchni jeszcze wisi kita ułańska prapradziadka Nikity, którą mała Ania bawiła się, pytając zawsze, a co to ta „kita”, a co to ten „ułan”.

Na filmie, który Anna oglądała przed laty w knajpie, jej babcia i inne kobiety szukały furmanów, mężów, braci, synów. Zimą 1946 roku do ich domów zapukali ludzie „Burego”, kazali się ubrać, zaprząć wozy, konie i wyjść, że niby trzeba podwieźć wojsko. Wzięli też brata babci Ani. Furman katolicki, gdy wrócił, powiedział, że nic nie wie, i przez sześćdziesiąt lat, przy okazji każdego święta, spotkań rodzinnych, babcia płakała. Aż do dnia, gdy znaleziono dół, w którym kobiety rozpoznały swoich mężczyzn po butach, zębach, strzępach ubrań. Dopiero po latach sąsiad katolik zaczął babcię na wsi i mówi: „Znajesz no, czornu soroczku, na mene nasadili i ne moh niczoho skazati”. Nosił „czarną koszulę” milczenia, bo za dużo widział.

Mama Ani nie chciała rozmawiać „po naszemu”, gdy poszła za mężem do innej wsi, ale na próżno, wszyscy i tak wiedzieli. W domu, w którym wychowała się Anna, rodzice trzymali zamknięty w szafce portret Jana Pawła II, na wszelki wypadek.

Kolega Anny podczas imprezy towarzyskiej powiedział raz, że jego dziadek był w AK i „komuchów tępił”. Co to te komuchy? – spytała Anna. To „czerwoni, co chcieli rusyfikować”. Była w tych słowa agresja, jakby kolega sam spał w liściach i robił partyzanckie porządki. „A te spalone dzieci, niemowlaki, to też komuchy?” – chciała spytać, ale nie spytała, bo już na niej leży jak ułan „czarna soroczka”. Nauczyła się, że wystarczy na głos powiedzieć, jak było, a oskarżenie o niepolskość gotowe.

Przełożonym Anny był mężczyzna, który ma szlachecki herb i należy do rady honorowej czasopisma o charakterze narodowym, dla którego „Bury” to bohater, pochwała polskości. Pogratulowała mu i znów włożyła „czarną koszulę”, a gdy przychodzi prawosławne święto, bierze wolne i jedzie do babci popatrzeć w jej zapłakane oczy. Gdy słyszy śpiew cerkiewny, też ma łzy w oczach, czuje, że tam jest jej korzonek, początek. Na cmentarzu prawosławnym siedzi godzinami, jakby wróciła do siebie. Ale ma problem z cerkwią, światopoglądowy. Nie nadaje się na parafiankę, denerwują ją stare obyczaje, że dziewczyny nie mogą iść do komunii i spowiedzi w trakcie menstruacji, ale temat „Burego”, poruszony w rozmowach czy w mediach, wywołuje w niej prawosławną do kwadratu.

Może dlatego ze szkolnej biblioteki najbardziej zapamiętała książkę o Ajnach, wyniesioną pod swetrem, o ludach mieszkających w Japonii, starszych od Japończyków, ale uznanych tam za mniejszość narodową.

Odczuwa atawistyczną solidarność z Białorusią, martwi ją, gdy Łukaszenka po raz kolejny przykręca śrubę. Ale nie ciągnie jej, była może trzy razy, by pokręcić się różnymi ścieżkami.

Białoruś to nie jest jej kraina, bo czuje się podlaska, polska. Więź z Białorusią to nie więź z państwem, tylko z krainą Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Anna ma swój pomnik w Bielsku Podlaskim, pięćdziesiąt kilometrów na południe od Białegostoku. Stoi tam zbiorowa mogiła pomordowanych przez Żołnierzy Wyklętych. Jeździ co roku i martwi się, że zawsze jest tam najmłodsza.

Rondo imienia Żołnierzy Wyklętych postawione w mieście, w którym żyje, oglądała w Google Street View. Zobaczyła nowo wybudowane, czyste ulice. Co poczuje, gdy na nim stanie? Nie wie. Może ból w żołądku, a może zdejmie „czarną koszulę” i rzuci jajkiem.

## Basia

Na Facebooku jest profil „»Bury« – nie mój bohater” i trwa na nim wojna. Motto profilu: „Niewinni ludzie zginęli dlatego, że nie chcieli sugerowanej przez władzę ludową emigracji, a zbrojne podziemie pragnęło »Polski dla Polaków«”.

Jadę na front tej wojny, która nadal toczy się w wioskach spalonych przez „Burego”, a centrum dowodzenia obraduje między Bielskiem Podlaskim a Hajnówką, czterdzieści kilometrów od Białegostoku, w prawosławnych bastionach. Droga jak przez baśniową krainę – stare drewniane domy, cerkwie malowane żywymi, pogodnymi kolorami: niebieska, zielona, biało-niebieska. To świat prawosławia, katolicy są tu mniejszością.

Na rozstaju dróg, pod Krywiatyczami, stoją dwa krzyże. Na jednym Chrystus katolicki, na drugim prawosławny, jak rozdzieleni, udręczeni bliźniacy. Pod krzyżami: uchowaj nas Panie od głodu i niebezpieczeństw. Stąd już tylko kilka kilometrów do białoruskiej granicy.

Tablica Krywiatycze jest po polsku i cyrylicą, bo prawie wszyscy we wsi są prawosławnymi Polakami pochodzenia białoruskiego, katolików może dwie rodziny.

Przed starym piętrowym domem z żółtych desek wita mnie Tomasz Sulima, trzydziestojednolatek, szczupły, przystojny, długie włosy związane w koński ogon, kilkudniowy zarost. Etnograf, przewodniczący Stowarzyszenia Dziennikarzy Białoruskich, radny w Bielsku Podlaskim, reprezentant mniejszości prawosławnej i twórca profilu „»Bury« – nie mój bohater”. Mijamy ławeczkę przed płotem, na której latem siadają starsi. Mężczyźni na jednej, kobiety na drugiej, by rozmawiać albo tkwić.

Przodkowie Tomasza, prawosławni, prości ludzie, mieszkali tu dłużej niż najstarsze dęby. W XIX wieku pod zaborami w spokoju odrabiali pańszczyznę, XX wiek poplątał im życie jak sznur do snopowiązałek.

Wybucha I wojna światowa i słyszą od Rosjan zwijających zabór, że Niemcy będą kobietom obcinać piersi. Zaczyna się bieżenstwo, uchodźstwo. Rosja bolszewicka to jednak nie ich kraina, wracają do Polski, ale już do państwa, którego nie znają, do języka, którego nie rozumieją. Nie ma ich domów, bo spalone przez wycofujących się Rosjan, swoją ziemię, zarośniętą brzoźkami, rozpoznają po studniach. Po lasach biegają białoruscy buntownicy, rozgoryczeni, bo w szkołach tylko polscy nauczyciele, polski język, a przecież konstytucja z 1921 roku miała gwarantować równość.

II wojna światowa to dla nich kilka zagubionych na niebie bomb. Strach przychodzi w 1945 roku i ma oczy Żołnierzy Wyklętych. Dziadek Sulimy zamiast w polu, stoi z grabiami na krańcu wsi. Znają los Zaleszan, Potoki, Krasnej Wsi, gotowi są walić w krowie dzwonki, gdyby z lasu wyszli wyklęci.

Tomasz, gdy idzie do szkoły podstawowej w Bielsku Podlaskim, piętnaście kilometrów dalej, zna to z przekazów. Jego szkoła nazywana jest białoruską, bo ma dodatkowe lekcje jego ojczystego języka i nosi imię Jarosława Kostycewicza, budowniczego białoruskiej oświaty w mieście. Potem idzie do liceum imienia Taraszkiewicza, twórcy podręczników białoruskiej ortografii i gramatyki. W klasie tylko dwóch katolików. Obok polskie liceum imienia Tadeusza Kościuszki. Na pierwszych mówią „białorusy”, na drugich „kościuchy”.

W Bielsku Podlaskim jest pięć parafii prawosławnych i cztery rzymskokatolickie. Nawet inwestycje dzielone są według wiary. Powstają dwa ronda – jedno Rzeczypospolitej Obojga Narodów dla prawosławnych, drugie księdza Jerzego Popiełuszki dla katolików. Jeśli parki i skwery, to jeden imienia prawosławnej polskiej królowej Heleny Moskiewskiej, drugi Izabeli Branickiej, polskiej arystokratki.

Stańc miał jeszcze pomnik papieża Jana Pawła II, ale że nie ma prawosławnego odpowiednika, prawosławni się nie godzą, staje więc przy katolickim kościele.

Sulima konfrontuje to, co usłyszał w domu, z treścią podręczników. Czyta, że zabór rosyjski ciemniył polski naród, ale prawosławni dziadkowie tego nie pamiętają. Dopiero gdy pójdzie na studia etnograficzne, szukać własnej tożsamości białoruskiej, losy swoich przodków na ziemiach polskich ogarnie intelektualnie. Czyta etnografa Ivana Čolovicia o ostatnich bastionach na granicach, które czują mentalne zagrożenie, znaczą teren symbolicznie, jak tymi dwujęzycznymi tablicami.

Granica staje się dla Sulimy pojęciem ulotnym, niepaństwowym, jest kreską narysowaną ołówkiem w rękę Stalina, który wbrew granicom etnicznym wrzuca jego dziadków w strefę obcego języka, historii i na pastwę wyklętych.

Granica na Podlasiu tnie po rodzinach. Nieopodal jest wioska Babinka, już na Białorusi, ale jej kolonia, choć rzut kamieniem, została w Polsce. Do innej wioski w 1945 roku wybrał się piechotą młodzienc, by omówić z narzeczoną ślub. Doszedł, ale zamknięto granicę, dostał sowiecki paszport, stał się Białorusinem, a jego brat i rodzice pozostali Polakami. Są też wioski białoruskie, którym Stalin zabrał cmentarze. Jeśli dzieli je rzeka i nie ma mostu, na groby przodków ludzie jadą trzydzieści kilometrów.

Sulima, przekonuje mnie, nie rozpoczął wojny, to prezydent Bronisław Komorowski w 2011 roku podpisał ustawę, która ustanowiła 1 marca Narodowym Dniem Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Wtedy powstał profil „»Bury« – nie mój bohater”, a na prawicowym portalu Salon24 Sulima umieścił tekst o Ince Siedzikównie, sanitariuszce wyklętych, że oddała życie, owszem, ale za „Polskę tylko dla Polaków”, a oddział, do którego należała, kradł miejscowym wódkę tylko dlatego, że byli Białorusinami. Został nazwany ruskim trollem, stalinistą, Białorusinem. Podpisał się własnym nazwiskiem, przedstawił jako radny z Bielska, zaprosił na swój dyżur. Dowiedział się, że wśród przodków ma współpracowników UB – nieprawda, zignorował. Ktoś szukał jego domowego adresu – przestraszył się.

Przyszła do Sulimy starsza kobieta, wyciągnęła z dna szuflady wspomnienia, spytała, co robić. Były w nich opisy, jak wyklęci palą ludzi, były nazwiska jej żyjących sąsiadów, którzy w tym pomagali. Ma pani wnuki, naprawdę pani tego chce? – spytał ją Sulima.

Każdego dnia na jego profilu pojawia się jednak scena mordu, okaleczenia prawosławnych przez wyklętych.

„We wsi Strękowizna oddział likwidacyjny AK »Zygryda« zamordował 15-letniego Floriana Strękowskiego”.

„Na kolonii Łosośna [...] banda win zamordowała mieszkańca tej kolonii – Józefa Czeremchę, lat 52, jego żonę Annę – lat 38. Wracając z dokonanego mordu, banda spotkała syna w/w Anatola, którego też zamordowała. Miał on 18 lat. Tej samej nocy zamordowali też Aleksandra Kuryłę, a jego żonie wyznaczyli 3-dniowy termin opuszczenia kraju i wyjazdu do ZSRR”.

„W Sokółce uzbrojeni bandyci win wtargnęli do...”

Największe spory Sulima prowadzi z członkami Narodowej Hajnówki. To młodzież związana z ruchem kibicowskim Jagiellonii Białystok. Wśród nich Basia Poleszuk, bardzo aktywna na Facebooku. Z zarzutami mordowania przez wyklętych kobiet i dzieci rozprawia się w krótkich zdaniach. „Wyłącz bajki chłopcze i zobacz, jak świat wygląda. Wojna to nie gra w scrabble... a kobiety i dzieci, bla bla bla”.

Sulima wrzuca wyrok IPN, że „Bury” brał udział w ludobójstwie, Basia wyrok sądu z 1995 roku, który go zrehabilitował.

Sulima pyta o mordowane dzieci, Basia odpowiada, że na „wojnie zawsze są przypadkowe ofiary”.

Jaka wojna, pyta Sulima, była w 1946 roku?

Wojna o wolną Polskę, odpowiada Basia.

Z Basią rozmawiam na Facebooku, bo spotkać się nie chce, nie ufa, nie wierzy. Jadę jednak pod jej dom w Teremiskach, gdzie mieszka z ojcem, matką i bratem. Basia przestępuje pod płotem z nogi na nogę, nie wpuszcza, bo grill rodzinny. Ma dwadzieścia jeden lat, ładna, z długimi, czarnymi włosami, o dziewczęcym uśmiechu i dużych oczach.

Ładnie rysuje. Na jej profilu jest ołówkowa Marilyn Monroe z uwodzicielskim spojrzeniem, ale i Inka Siedzikówna, tą samą techniką. Jest wezwanie na Marsz Niepodległości, który organizuje jej brat, piosenka narodowej kapeli: „Ta ziemia była dla mnie matką, kiedy mi było w życiu źle...”, i wezwanie „Raz sierpem, raz młotem, czerwoną hołotę”. Jest kilka wierszy wzywających do kultywowania pamięci:

Gdyby nie przelali krwi,  
kim byś teraz był?  
Gdyby bali się jak ty,  
gdzie dzisiaj byś żył?  
Salutuj!

Są pojedynki z Sulimą i bardziej zawzięte z Arkadiuszem Panasiukiem, prawosławnym dziennikarzem z Hajnówki.

Panasiuk: „Dziewczyno, nie napinaj się z tym prowincjonalnym nacjonalizmem, na nikim normalnym nie robi to żadnego wrażenia”

Basia: „»Gazeta Hajnowska«, w której pracuje Panasiuk, to takie samo gówno jak »Wyborcza«, tylko gorzej się pali”.

Jest zdjęcie żubrów, które podchodzą pod dom jej rodziców, kolejny patriotyczny wiersz, kolejny rysunek – pejzaż z domem, zaproszenie do kina Ton na spotkanie z bohaterami Polski podziemnej. Denerwuje ją, gdy ktoś z mniejszości narodowej nazywa ją „polską suką”. Zacztytuje się w kryminałach i poleca każdemu, kto lubi tematykę porwań i morderstw.

Działa w Narodowej Hajnówce razem z trzy lata starszym bratem Dawidem, który ma na koncie wyrok za rozróbę po meczu Jagiellonii i wznoszenie ksenofobicznych haseł: „Polska dla Polaków, my ich załatwimy, a jak nie, powróci Hitlerjugend i oni to zrobią”. Do ruchu narodowego trafili ze stadionu Jagiellonii Białystok. W wywiadzie dla prawicowego portalu Dawid skarży się, że prawosławni, którzy dominują w regionie Hajnówki, czczą kolaborantów, budują im pomniki, a Żołnierze Wyklęci to dla nich bandyci. „I to chcemy zmienić!” – wykrzykuje. Uważa, że konflikty są sztucznie podsycane, ma przecież dziewczynę prawosławną, a winne są władze Hajnówki, które nie lubią polskiego patriotyzmu. Choć policja napastuje jego rodzinę, będzie walczył, a plan jest prosty: „organizować się, uczyć, trenować i budować Wielką Polskę, opartą o konkretne, narodowe wartości”. Chce „zmienić myślenie ludzi [...], odkłamać historię i pozbyć się pamiątek po czasach PRL-u”. Czołem wielkiej Polsce!

Na początek walki o wielką Polskę Basia i Dawid zapraszają do Narewki.

## Katecheta

W 2006 roku w zamieszkałej przez prawosławnych Narewce na terenie parafii katolickiej staje tablica poświęcona Ince Siedzikównie, rozstrzelanej w wieku siedemnastu lat, w 1946 roku, za działalność w ruchu oporu.

Dla narodowców jest symbolem walki z komunistyczną władzą i krwawej opresji komunistów. Dla prawosławnych donosicielką, przez którą rozstrzeliwano ich przodków, bo w relacjach miejscowych Inka miała wskazywać kolaborantów władzy radzieckiej. Urodziła się niedaleko Narewki, stąd tablica ku jej czci tu, pod kościołem, bo prawosławny burmistrz nie zgodził się, by stanęła na terenie miasta – taka była wola prawosławnych mieszkańców.

Młodzież Narodowej Hajnówki rozpoczęła batalię o narewską szkołę, która nosi imię Aleksandra Wołkowickiego, nauczyciela. W 1945 roku oddział „Łupaszki” wyprowadził go z lekcji i zastrzelił, wedle legendy, na oczach dzieci, tak samo jak burmistrza i komendanta. Miał to być odwet za ich działalność w strukturach komunistycznych, za donoszenie na partyzantów. W zasobach białostockiego IPN brak jednak takich informacji, jest notatka o sympatyzowaniu Wołkowickiego z socjalistami, napisana przez samych partyzantów.

Rodzice Marii Lewszy, dyrektorki szkoły imienia Wołkowickiego, są prawosławni, mąż i jego rodzina to katolicy. Żyją w zgodzie. Lewsza, nauczycielka muzyki, od czterech lat dostaje anonimowe maile, których autor nazywa ją „komuszką” i wzywa do zmiany patrona szkoły.

Katechetą w jej szkole jest Bogusław Łabędzki, nieoficjalny przywódca Narodowej Hajnówki. Łabędzki nie wypowiada się publicznie w sprawie Wołkowickiego, ale 1 marca organizuje marsze, które przechodzą przez Narewkę, a młodzież lży Wołkowickiego i domaga się zmiany patrona. Śpiewają pieśni patriotyczne, wychwalają „Burego”, niosą polskie sztandary, kręci to telewizja „Trwam”. Łabędzki stoi z boku, przygląda się, wie, że Lewsza wie, że to on, jej własny katecheta, inspiruje młodzież. Wie, bo mu to powiedziała. Przyjął do wiadomości.

– Nie zmienię patrona – mówi mi Lewsza – bo nie chcą tego rodzice. Wołkowicki cieszy się tu szacunkiem jako dobry pedagog, uczciwy człowiek. Spytałam IPN, czy prawdą jest to, co krzyczy narodowa młodzież, odpowiedzieli, że nie mają na to dowodów, że najwyżej sympatyzował z komunistami.

Łabędzkiemu katechecie Lewsza nie może niczego zarzucić, bo w szkole pracuje solidnie, skarg nie ma, mijają się na korytarzu, mówią sobie mrukliwe „dzień dobry”.

– Zresztą – macha ręką Lewsza – nie mam na to wpływu. O obsadzie stanowiska katechety decyduje proboszcz.

Kościół stoi niedaleko. Mijam pomnik ku czci Inki z podpisem „Chwała poległym w walce z władzą nieludzką, za niepodległość Polski, wiarę katolicką i wolność człowieka”. W drzwiach plebanii stoi ksiądz Grzegorz Kułakowski. Około czterdziestu lat, jowialny, przy kości, z brodą, sympatyczny uśmiech.

Są tu katolicy, mówi, i prawosławni, a tych drugich pięć razy więcej. Utożsamiają się z Białorusinami, nie z Polakami, dlatego nie chcieli Inki.

Ksiądz Kułakowski, jak przekonuje, od kilku lat czeka, aż miejscowi przyjdą i wyjaśnią, co do niej mają, ale na obietnicach się skończyło, nie przyszli. Na tablicę zgodził się w sześćdziesiątą rocznicę śmierci Inki, gdy z propozycją wyszedł katecheta Łabędzki, mądry człowiek, który ma dobry wpływ na

młodzież. Wołkowycki? No wiadomo, mówi ksiądz, przyczynił się do aresztowania matki Inki, jak donoszą miejscowi katolicy, więc jego rozstrzelanie to poniekąd kara.

Niby dobrze księdzu Kułakowskiemu w Narewce, piękne krajobrazy, czyste powietrze, czas wolniej płynie, ale czuje tu jakąś niechęć. Zwłaszcza gdy wspomina przy ludziach wojnę, to zamykają się, nie chcą mówić, bo w rodzinach ktoś ginął i żale mają. Bali się „Łupaszki”, prawda, ale bali się ci, co krzywdzili AK, niewinny się nie bał.

Trzeba szanować siebie nawzajem, kiwa głową, mają prawo czuć się Białorusinami, ale nie wolno zakłamywać historii. Nadzieja w młodszych pokoleniu, bo nie jest już tak przywiązane do białoruskiego, prawosławia, bardziej kontaktowe.

Na facebookowym profilu Basia zaprasza do Hajnówki na odsłonięcie pomnika ofiar katastrofy smoleńskiej.

Miał stanąć na terenie miasta, na jednym z placów, ale nie zgodził się burmistrz, bo Hajnówkana froncie ideologicznym – siedemdziesiąt procent mieszkańców stanowią prawosławni, niechętni narodowo-prawicowym inicjatywom.

Miał też stanąć w parafii Świętych Cyryla i Metodego, ale tam już panuje patriotyczny przepych. W przedsionku kościoła wisi tablica ku czci „Łupaszki”, drewniany krzyż ku pamięci Sybiraków z napisem „Pomóż przebaczyć”, tablica Solidarności na cześć księdza Jerzego Popiełuszki, tablica dla Inki, tablica z orłem, któremu w piersi wtopiono Matkę Boską – dar premiera Jarosława Kaczyńskiego – i biało-czerwone flagi. Nad kościelnymi ławami i ołtarzem wiszą olbrzymie żyrandole wykonane z poroża zwierzyny, która hasała po białowieskiej puszczy.

Proboszcz parafii, ksiądz Zygmunt Bronicki, nosi na ręku zegarek z logo Solidarności.

Tablice są ważne, mówi, bo wychowują patriotycznie, a dla księdza zaraz po Bogu największą miłością jest Polska, jak w haśle „Bóg, Honor, Ojczyzna”, o którym człowiek zapomni i się zagubi.

– Niektórych kłują w oczy te moje tablice – przyznaje – ale trudno zapomnieć o przeszłości historycznej. Choć na Sybir wieziono prawosławnych i katolików, to jednak druga strona oceniła to dopiero, gdy przyszło jej wspólnie z Polakami przeżywać dramat. Nie chodzi o prawosławnych, tylko o Żydów, bo wiele jest świadectw, że wskazywali Polaków do wywózki.

Ważniejsze jednak, co teraz, a teraz problemem w Hajnówce jest alkoholizm, wolne związki, wyludnienia, ucieczki młodych, więc niełatwo krzewić patriotyzm. Bez ingerencji Pana Boga przyszłość Hajnówki będzie niewesoła, lepiej mają, mówi ksiądz Bronicki, prawosławni duchowni, bo ich młodzi też wyjeżdżają, ale wracają, tu ich matecznik.

Tablica ku czci ofiar katastrofy w Smoleńsku stoi pod zwiewną sukmaną pod klasztorem sióstr Klarysek. Jest dziewiąta rano, powiewają flagi, wstęgi, uroczystość łąda chwila. Przełożona zakonu, siostra Bogumiła Banecka, wygląda gości, sunie już auto biskupa. Stoimy pod siedmiometrowym krzyżem, nieopodal schodów do świątyni.

– Zgodziłam się na tablicę – mówi – bo nikt w Hajnówce nie chciał. Wolałabym się pomodlić za poległych w katastrofie, ale skoro ludzie potrzebują pomników, niech stawiają. Nie boję się, że podzieli miasto, bo nie modłę się za tego czy tamtego prezydenta, ale za ojczyznę. Jeśli ludzie będą źle patrzeć, to trudno, zniosę to – uśmiecha się bez fałszu od ucha do ucha.

Siostrą żyje się w Hajnówce dobrze, bo prawosławni, jacy by nie byli, to jednak mają szacunek do



duchowieństwa. No, ale życie katolików łatwe tu nie jest. Jak są mieszane rodziny, to jeszcze, ale czysto katolickiej trudniej o pracę albo załatwić coś w urzędzie, bo te zdominowane przez prawosławnych. Siostra wie, bo ludzie przychodzą, skarżą się, że nawet w mieszanych rodzinach przy stołach wbijają sobie szpile. Ale musi kończyć, bo nadchodzi pan Łabędzki, dla siostry człowiek głębokiej wiary, który wie, czego chce, i nie wstydzi się powiedzieć tego na głos.

Arkadiusz Panasiuk, dziennikarz hajnowski ze środowiska prawosławnego, zna Łabędzkiego z lat osiemdziesiątych. Panasiuk grał nową falę, Łabędzki śpiewał w kapeli rasta, nosił dredy, organizował imprezy na chacie, w pokoju miał plakaty z Bobem Marleyem. Palili marihuanę, klęli na komunistów, byli pacyfistami.

Ich drogi rozeszły się w wolnej Polsce. Panasiuk poszedł na rusycystykę, Łabędzki na teologię. W 2010 roku Panasiuk założył pismo kulturalne, Łabędzki pisał tam na jednych szpaltach z byłym pracownikiem Służby Bezpieczeństwa.

Hajnówka po upadku PRL wolna była od skrajności. Spory szły po linii kadrowej: będący w mniejszości katolicy mieli żal do prawosławnych, że ci nie chcą się podzielić stanowiskami w administracji.

W 2012 roku Panasiuk spaceruje po mieście i zauważa swastyki, których poprzedniego dnia nie widział. Na sklepie, bibliotece, ścianach bloków, wielkie, czarne jak pająki. W jego mieście? W którym dziadkowie leżą nierozpoznani w zbiorowych mogiłach po fali hitlerowskiej przemocy? Nie może uwierzyć. Wchodzi do sklepu, prosi, by zmasać, słyszy: „To tylko jakieś bazgroły”. Dzwoni do znajomego policjanta, słyszy: „Daj spokój, nie byłeś małolatem?”. Pojawia się napis „Polska dla Polaków”. Święto 3 Maja tamtego roku odbywa się pierwszy raz w towarzystwie krótko ostrzyżonych młodzieńców, którzy krzyczą: „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę”. Panasiuk ich nie zna, domyśla się, że to kibice Jagiellonii z Białegostoku. Niosą krzyże celtyckie, wyglądają jak brunatna armia. Łabędzki jest wtedy hajnowskim radnym PIS, nieoficjalnie przewodzi patriotycznej młodzieży. Panasiuk podchodzi do niego. Źle się bawisz, mówi, robisz tym dzieciakom wodę z mózgu. Łabędzki nie odpowiada. Panasiuk nie oszczędza mu złośliwości w gazecie, na Facebooku, pisze o nim: „pewien pan katecheta”.

– Kiedyś paliliśmy marihuanę, teraz nie podam mu ręki – mówi mi Panasiuk.

Gdy proponuję wspólne z Łabędzkim spotkanie, by wyjaśnić spory, odmawia, bo pewna granica została przekroczona. Nie może zgodzić się na brunatne pochody, szowinistyczne hasła, nawoływanie do nienawiści.

– A może – stwierdza smutno – chcę zatrzymać obraz swoich kolegów, tak jak ich zapamiętałem, a nie Bogusia kryptoszowinistę.

Łabędzki zgodził się na rozmowę, a potem mnie unikał, nie odbierał telefonów. Wykorzystuję odsłonięcie pomnika smoleńskiego, nim przyjadą oficjele, na kwadrans rozmowy.

Wysoki, atletycznie zbudowany, ogolony gładko na łyso. Profil ostry, spojrzenie stanowcze. W odpowiedziach konkretny, w tonie głosu kurtuazyjny. Miał trzynaście lat, gdy milicja znalazła w jego pokoju ulotki opozycyjne, wyładował na dołku i wszyscy katolicy w Hajnówce wiedzą, że to człowiek od dziecka niezłomny.

Wielokulturowość, tłumaczy mi, jest w stolicach państw kolonialnych, a na Podlasiu kojarzy się z tym,

że jedna kultura chce przytłoczyć inną. Nazywa to, za pisarzem Józefem Mackiewiczem, „procesem wyjaławienia ziemi z żywiołu polskiego”. Bo przecież Rzeczpospolita jako twór państwowy w środku Europy zawsze była wrzodem na tyłku, a proces wyjaławiania zaczął się już dawno. Ludność polska i prawosławna to dwie różne kategorie, ale jest sporo prawosławnych, którzy czują się Polakami i ten żywioł polski mogą zasilać.

– Pan wie – pyta – że językiem urzędowym w czasie okupacji niemieckiej był tu język białoruski, a szkoły białoruskie najlepiej się wtedy rozwijały?

Podkreśla jednak, że używa kategorii „żywiołu polskiego”, ale otwartego na elementy kulturowe występujące obok siebie, nie dzieli ludzi według wyznania. Można to łączyć, przykładem mogiła „Jastrzębia”, żołnierza wyznania prawosławnego, który walczył pod rozkazami „Łupaszki” o jedną Rzeczpospolitą.

– Kiedy – pytam – znalazł pan w sobie paliwo, by powstrzymać wyjaławienie „polskiego żywiołu”?

Zamyśla się, patrzy w kierunku krzyża.

– To było zakończenie przedszkola – mówi – miałem sześć lat, przedszkolanka przypisała mi rolę prowadzącego tekst *Katechizmu polskiego dziecka*.

Stał przed grupą i zadawał pytania: „Kto ty jesteś?”. Tak, kiwa głową, to było bardzo ważne przeżycie, które go zbudowało.

Reggae? Marihuana? Łabędzki macha ręką. Nadal lubi muzykę, a narkotyki to legendy tworzone przez „pewnego dziennikarza”.

– Zapanuje pan nad tym „żywiołem”? – pytam i pokazuję na młodzież, która rozwija pod krzyżem transparent „Narodowa Hajnówka”. Widzę Basię, jej brata, ich matkę i kilku nastolatków w krótkich spodenkach i bojowych pozach.

– Nie będę ich przecież krótko trzymać za mordę. Jesteśmy razem, ale nie są moją własnością.

Przeprasza, bo goście już się zjechali. Msza, dostojnicy, hierarchowie kościołni stają wokół zasłoniętej tablicy z napisem „Pamięci 96 Polaków na czele z prezydentem RP...”.

Łabędzki podchodzi do mikrofonu, apelowym głosem mówi: „Tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem, Polska jest Polską, a Polak Polakiem”. Intonuje hymn, trzecią i czwartą zwrotkę śpiewa już sam. Zaprasza honorowych gości, posła p i s i radnego p i s, do odsłonięcia tablicy. Świącą ją biskup katolicki i prawosławny, a poseł czyta list od Jarosława Kaczyńskiego.

Podchodzę do młodzieży z Narodowej Hajnówki, próbuję zagadnąć, ale Basia puszcza ostrzegawczy szept. Chłopcy milkną, wybrzmiewa Rota.

\*\*\*

Pomysłodawcą ronda imienia Żołnierzy Wyklętych w Białymstoku był Mariusz Gromko, radny p i s. Po wyborach samorządowych w 2014 roku został przewodniczącym rady miasta. Chodzi w modnym, dobrze skrojonym garniturze.

Rondo, tłumaczy mi, to ukłon dla wojska, które stawiało opór, należy im się, skoro przez siedemdziesiąt lat byli zapomniani. Pewne zdarzenia może i zaszły, ale to nie powód, by przekreślić dorobek ludzi, którzy poświęcili życie, którzy są jasną stroną naszej historii.

– „Bury”? Potoka, Zaleszany, inne wsie? – pytam.

Milczy dłuższą chwilę, ostrożnie dobiera słowa:

- Przyjmuję do wiadomości prawdę historyczną, że oprócz zasług zdarzały się rzeczy, które należy potępić.
  - Ludobójstwo.
  - To zbyt radykalne określenie. Kto tak twierdzi?
  - IPN.
  - Bardziej skupiamy się na sprawach dzisiejszych. Nie widzę sporów na tle historycznym. Sprawa ronda to problem mediów, nie wyszła poza sesję rady. Mieszkańcy Białegostoku tego nie podnoszą, każdego bardziej interesuje teraźniejszość.
  - Pana mama jest prawosławna, prawda?
- Jest zmieszany.
- Schodzi pan z tematu – mówi.
  - Chodzi do cerkwi?
  - Nie jest Białorusinką, jest stąd, w naszym domu wszystko odbywa się w obrządku katolickim. Pan zadaje jakieś dziwne pytania. Poza tym prawosławie i katolicyzm to wiary chrześcijańskie, nie mam z tym problemu.
  - Rozmawiał pan z mamą o Żołnierzach Wyklętych? Ma jakiś pogląd w tej sprawie?
  - Nie.
  - O rondzie?
  - Nie. Poza tym to prywatne sprawy.

\*\*\*

Jadę przez Guszczewinę, wieś, w której urodziła się Inka. Wśród drewnianych chałup stoi Tamara Zubrycka. Tłumaczy mi, że z przodków Inki nikogo tu już raczej nie znajdę, sami prawosławni, jak Zubrycka. Wręcza mi robione przez siebie deseczki, na które przykleja zdjęcia Jana Pawła II, Inki. Za darmo, bo sezon na turystów jeszcze nie ruszył, wtedy pójda za kilka złotych.

- Pani jest prawosławna, a robi ikonki z Inką? W Narewce wojna o Wołkowickiego...
- Turyści z agroturystyki wolą takie, są jeszcze z papieżem... – mówi z uśmiechem i przybija na deseczkach pieczątki-wizytówki, ale tę z papieżem omija, bo na Ojcu Świętym, jak twierdzi, nie wypada. – Inka poświęciła się za to, w co wierzyła, Wołkowicki też, a dzisiaj, panie, to tylko każdy mocny w gębie.



**White**

# Klatka

Annie Kłozie, wicedyrektorze VI Liceum Ogólnokształcącego w Białymstoku, śni się, że jest małą dziewczynką z białostockiego getta, ubraną w sukienkę, trzewiki. Siedzi na ulicy albo ukrywa się w lesie, w ziemiance. Nic nie słyszy, kręci się, wpada w czarny wir, jest ciemno, duszno, ma klaustrofobię, budzi się złana potem. Czyta, że Hanna Krall, ocalona z Holocaustu reportażystka, boi się ości, bo nie po to przetrwała Holocaust, by się głupio zadławić. Kłozka nie chce umrzeć w jakimś głupim, ciemnym pomieszczeniu. W 2013 roku idzie do terapeuty, pomaga.

Dzieciństwo spędziła w Białymstoku, w robotniczej dzielnicy Antoniuk. Babcia, prawosławna, była krawcową, pochodziła ze wsi, spod Hajnówki. Nauczyła ją empatii i tolerancji. Mogła ich nabyć w rozmowach z klientkami, gdy cierpliwie słuchała, kręciła maszyną, a one siedziały obok i mówiły o problemach katolickich, prawosławnych, małych i dużych. Z każdym rozmawiała, każdemu współczuła. W latach pięćdziesiątych, gdy zakazano Romom koczowania, przyjęła ich na pół roku. Ale co ją tak naprawdę do ludzi nastawiło, tego Anna nie wie, bo nie zdążyła zapytać. Pamięta jeszcze prababcię dziewięćdziesięciolatkę, która krótko przed śmiercią oświadczyła, że już po polsku nie gada, teraz będzie „po naszymu” i Anna nie potrafiła z nią rozmawiać.

Dzieciństwo kończy się, gdy ma dziesięć lat i czyta *Dymy nad Birkenau* Seweryny Szmaglewskiej. Wstrząs. W piątej klasie, na początku lat osiemdziesiątych, wychowawczynie, matematyczka, zabiera uczniów do Oświęcimia. Mówili sobie, że jadą na „wycieczkę do Auschwitz”. Taki wesoły autokar, zabawa, piosenki, pani coś tam opowiada, że mordowano Polaków. Dojeżdżają do Krakowa, jest Smok Wawelski, Kościół Mariacki, lody, piosenki. Potem wjazd do Oświęcimia, przewodnik, ubrania, włosy, buciki, coraz duszniej, ciszej, komory gazowe, pokaz filmu z pokrzywionymi dziećmi doktora Mengele, koleżanka Anny mdleje, pokaz zostaje przerwany, wychodzą bladzi. Dalej do Wieliczki jedzie milczący, pogrążony w katatonii autobus. W kopalni soli już tylko cisza.

Anna nie pamięta, by podczas wycieczki padło słowo „Żydzi”. Byli Polacy, Rosjanie, ofiary hitlerowskich Niemców, w podręcznikach też nic o Żydach. Nauczyciel historii, gdy mówił o Katyniu, stawiał jednego ucznia przy lekko uchylonych drzwiach i szybko zmieniał temat, gdy czatownik meldował o zagrożeniu.

Anna czyta jeszcze *Królową śniegu*, dwadzieścia razy, a gdy Andersen uśmierca „dziewczynkę z zapalkami”, nie chce już kolorowych bajek, bo współodczuwa. Bawi się z kolegą samochodami, a gdy babcia szyje koronki przy sukienkach, odrywa je.

Kłozka jest atrakcyjną czterdziestolatką. Szczupła, czarne włosy, oczy, mocna kreska brwi, czerwone usta. Mówi szybko, zdaniami bez oddechu.

– Pierwszy raz słowo „Żyd” pojawia się w moim życiu w 2005 roku. Jestem polonistką, pracuję w szkole, podczas ferii nuda, znajduję ogłoszenie o szkoleniu, na którym będą Sprawiedliwi wśród Narodów Świata. Biorę koleżankę, jedziemy. Poznajemy panie ze Stowarzyszenia „Dzieci Holocaustu”. Krysia, księgowa, była przechowywana w komórce, dusznej, ciasnej, w nocy wychodziła na dwadzieścia minut, by zobaczyć gwiazdy i księżyc. Siedziała tam jak zwierzątko, bo miała „zły wygląd”, śniada, czarna. Wracam wstrząśnięta, czytam, że w Białymstoku mieszkało nawet osiemdziesiąt tysięcy Żydów, że to było miasto żydowskie. Ale gdzie? Ulice puste, nowe osiedla, dlaczego nikt o tym nie pisze, gdzie

są dziennikarze, artyści? Czy są tu „dzieci Holocaustu”? Mówię koleżance, nauczycielce: „napiszmy projekt o tej historii, jesteś historykiem, masz wiedzę, spróbujmy działać razem z uczniami”. Zdobywamy tylko dwa namiary w całym województwie, do dwóch panów. Zbieramy piętnaście uczennic, a dyrektor sugeruje, że może lepiej byłoby zrobić projekt o papieżu, Syberii, ale nie zabrania, gdy tworzymy pozalekcyjne koło naukowe „Pamięć”.

Chcemy wysłać dziewczyny na wywiady z ocalonymi, ale są nieprzygotowane, też nic nie wiedzą, na historii tego nie było, w domu nikt o Żydach nie rozmawia.

Robię w klasie ankietę o mniejszościach, pytam, z czym się kojarzą. Litwini z sękaczem, Białorusini z cerkwią i brakiem opłatka, Ukraińcy z niczym, a Żydzi z ludźmi, którzy gdzieś są, ale chyba się ukrywają. Pytają mnie, czy Żydzi to przezwisko.

Przez rok przygotowujemy dziewczyny, by wiedziały, czym jest koszerowanie, jakie są żydowskie święta, by nie było przed ocalonymi kompromitacji. Okazuje się, że jeden mieszka tutaj, ale nie jest stąd. Jest jeszcze drugi. Dzwonię przez kilka miesięcy, ale albo źle się czuje, albo za bardzo się wzrusza, albo żona nie może tego słuchać, a jego dzieci to w ogóle nie znają tej historii. Nie wiedziałam, jak przekonywać, podchodziłam na czekoladki, ciasto, na piękną dziewczynę. Zdarzało się, że dwie godziny przed rozmową dzwonił, że jest chory, no i zmarł.

Dzwonię do „Dzieci Holocaustu”, ale innych w Białymstoku nie mają.

Czego bali się nasi ocaleni? Czytałam o Żydzie przechowanym na Ukrainie, który mówił, że najbardziej bał się sąsiadów. Myślałam wtedy: no tak, ale to Ukraina, w Polsce niemożliwe.

W 2006 roku Kloza zabiera uczniów na Marsz Żywych do Oświęcimia, w tym samym roku jedzie do ośrodka Wannsee w Berlinie. Podczas wojny Niemcy podpisali tam decyzję o likwidacji Żydów, po wojnie stworzyli centrum, które naucza o Holocaustie. Kloza od Niemców dowiaduje się, jak szczerze o tym opowiadać. Widzi wystawy, fotografie, rozmawia z profesorami Uniwersytetu Humboldta, którzy naświetlają historię Niemiec od lat dwudziestych XX wieku – pokazują cały proces dochodzenia do ludobójstwa w wymiarze społecznym, bez pomijania wstydliwych wątków.

Wraca, znów myśli o projekcie ocalonych, chodzi po Białymstoku, ogląda stare kamienice, choćby na ulicy Warszawskiej, starej, żydowskiej. Coś musiało po nich zostać, myśli, przecież stworzyli tu zagłębienie kultury. Pyta białostockich historyków, socjologów. Młodzi naukowcy czują to samo, też chcą robić jakieś projekty, by przypomnieć.

W telewizji ogląda obchody wyzwolenia Oświęcimia. Przemawiają notable, jest smutno, pompatycznie, gdy do mikrofonu podbiega starsza kobieta w białym sweterku. Wskakuje na mównicę, przed prezydenta i krzyczy:

„Tu więzili moją rodzinę i wszystkich spalili! Tu zabrali mi imię i dali numer! Nie byłam więcej Merka Szewach, byłam numerem. Dlaczego spalili mój żydowski naród? Dlaczego dali nam żółte łaty? Jestem Żydówką z Izraela. Mam kraj, mam armię, mam prezydenta, mam flagę. Niech to nigdy nie wróci. Stałam tu naga, w tym obozie, miałam szesnaście lat”.

Na drugi dzień Kloza kupuje gazetę, czyta, że to Merka Szewach z Białegostoku.

– Myślę wtedy: mam swoją ocaloną Żydówkę, naszą! Merka mieszka w Izraelu, ale dzwonię do muzeum w Oświęcimiu, mówię, że jestem nauczycielką, realizuję projekt, potrzebuję jej, dzieciaki chcą rozmawiać. Wysłuchał mnie jakiś mężczyzna, zrozumiał, ale ochrona danych osobowych. „No, ale ja pana błagam – mówię – muszę mieć tę panią”. Nie da rady. Piszę: „Szanowny panie, nie zrobię nic bez

pana...”, oni odpisują, że adresu nie dadzą, ale dali namiar na osobę, która ją zna. Z życiorysu Merki tworzę przedstawienie „Nie chcę pamiętać. Nie mogę zapomnieć”.

Przodkowie Merki Szewach zostali wygnani z Hiszpanii w średniowieczu. Merka ma ciemną karnację, urodziła się w Białymstoku. Gdy wybuchła wojna, miała dwanaście lat, trafiła z rodzicami do getta. Podczas jego likwidacji załadowali ją do wagonu, choć matka obciąła jej włosy, by zamaskować wygląd. Jechała pociągiem, Ukrainiec dał jej przez okienko butelkę wody za złoty pierścionek, a gdy łapczywie wzięła łyk, splunęła – były w niej szczyny. Rozległ się krzyk, że jadą do Treblinki. Patrzyła, jak ludzie podrzynają sobie żyły, krew tryska, miesza się z jej potem, ścieka do ust i przynosi ulgę. Gdy biorą cyjanek, żałuje, że nie ma dla siebie. Pociąg staje jednak, Niemcy mówią, że wjazd do Treblinki nieczynny, ponoć wybuchło powstanie. Pociąg pełen trupów, z żywą Merką, zjeżdża na inny tor, trafia na Majdanek. Merka była jeszcze w Oświęcimiu, przeżyła. Coś ciągnie ją do Białegostoku, powie po latach, ale nie wie, co to jest.

Spektakl uczennice Klozy grają na festiwalu w Teatrze Żydowskim w Warszawie, zajmują pierwsze miejsce. W przedwojennych strojach, długich sukniach, kapeluszach pędzą na pociąg powrotny, bo nie zdążyły się przebrać. Ulewa, boso, przez Warszawę, na dworzec, jak mokre duchy Żydówek.

Luty 2006 roku, zbliża się północ, gdy do Klozy dzwoni Krzysztof, jeden z jej uczniów. Grobowym głosem prosi, by weszła na stronę o nazwie Redwatch. A co to jest? – dziwi się Kloza. Pani tam jest, oni o pani wiedzą, mówi Krzysztof.

Otwiera stronę, patrzy na zdjęcie, na którym siedzi z jednym z ocalonych Żydów. Podpis: „Anna Janina Kloza. Polonistka, nauczycielka w VI LO w Białymstoku. Zaangażowana w lokalne akcje antyrasistowskie »Każdy inny, wszyscy równi«. Interesuje się kulturą żydowską, organizuje spotkania z żydami oraz osobami, którzy ukrywali ich w czasie II w.ś.; oskarża i wskazuje uczniów podejrzanych przez siebie o sympatie z neonazistami”.

Redwatch to strona faszystowska, antysemitka, serwery ma w USA, od lat nie można jej zamknąć. Amerykańskie władze odmawiają, powołują się na wolność słowa. Redwatch publikuje listy Żydów, sympatyków, nawołuje do ich eksterminacji.

„Kluczem do sukcesu jest wiedza i samodyscyplina. Musimy zbierać informacje na temat marionetek systemu, ich działań i powiązań” – piszą jej twórcy.

Klozie robi się słabo, bo na stronie jest jej mail, adres, telefon. Idzie na komisariat, traktują ją poważnie. Policjant prosi, by nie zmieniała numeru, bo trzeba obserwować. Przychodzą SMS-y: „Spalisz się w piecu z Żydami, którym pomagasz”, „Spójrz, kto stoi pod drzwiami”, „Zginiesz z nożem w plecach”. Są głucho telefony, maile: zdjęcia z egzekucji Żydów w Oświęcimiu połączone z twardą pornografią. Do domu zawsze odprowadza ją dwóch uczniów, boi się o córkę. Nie zawiesza działalności, przyjmuje młodzież z Izraela, lokuje ją w domach uczniów, ci są zdziwieni, że młodzi Żydzi cały czas noszą przy sobie paszporty. Po co? – pytają uczniowie. Bo to całe nasze życie, słyszą.

Marek Edelman pisze do niej list, Wisława Szymborska przesyła książkę. Dostaje też listy ze szkół, całe klasy piszą, że antysemityzmowi mówią „nie”.

W 2008 roku dostaje prestiżową nagrodę Ireny Sendlerowej. W szkole mało kto jej gratuluje. Nagrodę odbiera z rąk przedstawicieli rządu Donalda Tuska, którzy życzą jej wytrwałości. Wraca do Białegostoku, wchodzi do klatki schodowej, na skrzynce pocztowej widzi namalowaną swastykę, a na ścianach wyrżnięte aż do trzeciego piętra szubienice z gwiazdami Dawida. Osiedle strzeżone, szlabany,

dobrzy sąsiedzi, ale kamer nie ma, sprawców więc nie złapano.

Dowiedziała się od znajomych, że napisy mógł wyróżnić młody chłopak, którego znała. Ale nic z tym nie robi, sumienie jej nie pozwala. Zostawiła go matka, nie miał kto odbierać z przedszkola, przyklejał nos do szyby. Spotyka go na ulicy, a on chowa łysą głowę w kaptur.



# IV Edycja

Sierpień 2007 roku. Na cmentarzu żydowskim przy ulicy Wschodniej w Białymstoku trwają przygotowania do uroczystości rocznicowych likwidacji getta białostockiego. Cmentarz sąsiaduje z katolickim, jeszcze rok wcześniej dzielił je mur z dziurą, przez którą parafianie katoliccy przerzucali śmieci. Aleksander Sosna, pierwszy prawosławny wiceprezydent, kazał go uporządkować, śmieci zabrać, trawę przyciąć, macewy odnowić.

Pracownicy miejskich usług komunalnych, którzy przycinają trawę przed obchodami, widzą napisy na murze, wewnątrz cmentarza. Długi na kilka metrów „Arbeit macht frei”, „ss”, „88” (zaszyfrowany zwrot „Heil Hitler”), swastyki, na macewach szubienice z gwiazdą Dawida, „Jude raus” na grobie rabina. - Niektóre swastyki jak faszystowskie dzieła sztuki: czarna obwódka, w środku czerwone. Sprawcy bawili się, czas ich nie popędzał.

Przyjeżdża policja, szuka świadków. Młoda dziewczyna mieszka niedaleko, ale nic nie widziała. Wie tylko, że na cmentarz przychodzą bezdomni, młodzież pije alkohol.

Za trzy dni uroczystości, Sosna prosi policję o zwiększenie patroli. Departament Ochrony Środowiska pisze w piśmie do policji, że chodzi też o to, by „Urząd Miejski nie musiał ponosić kosztów ich [swastyk] usuwania”. Koszty to będzie jedna z sił napędowych i hamulcowych śledztwa.

Policyjnych patroli za mało, co kilka godzin ktoś dzwoni, że napisy pojawiają się w całym mieście, a pomnik upamiętniający likwidację getta, czarny obelisk przy ulicy Żabiej, zbryzgany białą farbą. Miasto w wakacje 2007 roku wygląda, jakby przeszedł właśnie faszystowski marsz. Swastyki na szkołach, sklepach, kościołach, przystankach, murach, ogrodzeniach, nawet na budynku prokuratury przy ulicy Suraskiej. Stare, nowe albo odnowione. W mediach białostockich, znużonych tematem, w tytułach pojawia się słowo „znów”.

Sosna, bezradny, apeluje – do faszystów, gówniarzy albo wariatów, bo nie wie, z kim ma do czynienia, nikt nie został zatrzymany – by się opamiętali, bo zbliża się uroczystość, przyjadą żydowscy goście.

Swastyki „znów” powodują wzruszenie ramion u administratorów budynków.

Departament Ochrony Środowiska chce ścigania sprawców, bo koszt usunięcia jednej swastyki to czterysta złotych, z kogoś trzeba ściągnąć. Dyrektor przedszkola numer 10 nie chce. Administracja osiedla Centrum też nie, ze względu na „małą szkodliwość czynu”. Nie chcą trzy właścicielki sklepów z ubraniami i mięsnego ani właściciel garażu. Zarząd Mienia Komunalnego odstępkuje od ścigania za swastyki na trzech ulicach, bo „mała szkodliwość społeczna czynu”. Nie chce też wojewódzki szpital imienia Dłuskiego, a spółdzielnia mieszkaniowa Rodzina Kolejowa pisze do policji, że nie ma co ścigać, bo „szkoda niewielka”. Prywatna firma z ulicy Kijowskiej też nie, bo budynek idzie do rozbiórki. Ksiądz Jan Boreczko z parafii Świętego Ducha mówi policjantom, że nie będzie ścigał za faszystowskie znaki na ogrodzeniu parafii, bo są już od kilku lat, a straty niewielkie. Zbyt małe straty zanotował też basen należący do miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji.

Ścigania domaga się za to szef policji w Białymstoku, bo swastyki wymalowano na murze otaczającym policyjne garaże.

Policja rozpytuje białostoczan, ktoś mówi, że swastyki się tak pojawiają, znikają od paru lat, może miesiący, trudno już się połapać. Dozorca przedszkola przy alei Piłsudskiego ucieszył się nawet, że

napisy są świeże, bo wystarczy mokra szmata. Kobieta przy ulicy Ludwika Zamenhofs dyktuje do protokołu, że obudziły ją w nocy głosy, widziała młodych chłopaków, ale napisy, jak wiadomo, raz są, raz nie ma.

Młoda dziewczyna z ulicy Sienkiewicza pamięta, że wracała w nocy, zobaczyła ubranego na czarno mężczyznę w kominiarce, malował na ścianie „Jude raus” i poprawiał swastykę, by była grubsza. Odprowadzał ją wzrokiem, gdy patrzyła na machnięcia pędzlem. Z okien klatki schodowej widziała, że ciągle tam stał i dopieszczał swastykę, a jak skończył, to sobie poszedł.

Niektórzy musieli mieć bardzo dużo czasu lub artystyczny komfort. Na jednym z bloków napisali: „We must secure the existence of our race and the future for white children”, cytat za Davidem Lane’em, amerykańskim neonazistą.

Wiaty przystankowe wymalowane swastykami przy głównych ulicach Sienkiewicza i Piłsudskiego oraz Zamenhofs wyglądają jak budki hitlerowskich strażników, w których ludzie, gdyby nie autobusy, mogliby czekać na ostateczne rozwiązanie.

Uroczystości na cmentarzu żydowskim odbyły się z pompą, nikt nie wspomniał o napisach. Tylko na głównym monumencie nie dało się zmasać swastyk, zamalowano go razem z nimi na niebiesko. To barwa Izraela, więc podczas obchodów nikt nie spytał, dlaczego akurat ten pomnik zmienił kolor.

Kilka tygodni później Lucy Lisowska, pełniąca funkcję jednoosobowej gminy żydowskiej w Białymstoku, oprowadza znajomą z Izraela, idą ulicą Zamenhofs. Domu twórcy esperanto już nie ma, stoi tablica pamiątkowa, a na niej czerwona swastyka.

Z wycieczką przyjechała też Maya Charny z Izraela. Odłączyła się od grupy, spaceruje samotnie, mija swastyki, także tę czerwoną. Z Białegostoku pochodziła jej matka.

„Co pani czuje?” – pyta ją dziennikarka.

„Przecież w tym państwie nie ma już Żydów” – odpowiada zdziwiona Charny.

Przyjeżdża policja, pyta sąsiadów. Widzieli rano łysych mężczyzn, którzy patrzyli na tablicę, jakby podziwiali. Rzecznik policji mówi, że to bardzo ciemny zaułek, trudno było dojechać. Departament Ochrony Środowiska już siedzi na kalkulatorze, informuje policję, że koszty renowacji to 2450 złotych i trzeba ścigać sprawców, „by zadośćuczynili szkodom”.

Atmosfera się zagęszcza. Przy klatce schodowej jednego z bloków pojawiają się kilkumetrowe, jaskrawe napisy: „Kurwa z ABW” i „Zbrodniarz z ABW”. Domalowana strzałka wskazuje na mieszkanie funkcjonariusza Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Na chodniku leżą ulotki:

O czym nie wiedzą Polacy a co powinni wiedzieć  
co za państwo stworzyła wam lewica  
broń do wykańczania niszczenia człowieka  
naukowcy rosyjscy i ich służby specjalne  
a u nas też zbrodniarze z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego  
usłyszane nazwy UFO-Mesjasze  
Manipulacja Cybernetyczna psychotroniczny system  
Szef ABW to zbrodniarz Dariusz Łuczak [pochodzi z Podlasia, podano jego adres domowy]  
Wykończono w ten sposób całe pokolenia Polaków...

ABW boi się o bezpieczeństwo swoich pracowników. Píše do policji, że ktoś może ich obserwować. Może to niejaki Adam Cz., znany w Białymstoku z antysemitkich wystąpień. Agencja prowadziła przeciwko niemu dochodzenie, podczas przeglądania akt mógł wynotować nazwiska agentów,

a funkcjonariusz tej sprawy dostaje obraźliwe anonimy z Austrii. Adama Cz. sprawdzono – wykluczone, by był autorem.

Ulotki pojawiają się w całym mieście, przybite do płotów i drzew. Dyrektor ABW jest pewny, że stoją za nimi ruchy faszystowskie, tylko niezrozumiały jest kod na ulotkach: swastyka+NKWD+PZPR=SLD. Ale że mowa o SLD, to do sprawy przyłącza się młodzieżówka lewicy.

W mieszkaniu szefa ABW dzwoni telefon, słychać obelgi i trzask słuchawką. Policja zaczyna sprawę traktować poważnie, powołuje specgrupe, nadaje jej numer R TOR 52/07 i kryptonim „Zbrodniarz”. Przepytuje swoich agentów, młodzież na podwórkach. Niejaki „Dziki” chwalił się, że swastyki na cmentarzu to jego robota.

Krzysztof D., ps. „Dziki”, ma siedemnaście lat, w kartotece bójki, udział w grupie kibicowskiej Jagiellonii Białystok i wygląd skina: łysy, glany, koszulki z napisem „White Power”. Policjanci wchodzą do mieszkania jego rodziców, w łazience znajdują ubrania poplamione farbą, w pokoju młodego flagę z napisem „skinhead”, książkę *Stanisław Staszic a kwestia żydowska*. Ojciec zaskoczony, ale i niemrawy. Krzysztof to jego adoptowany syn, mieszkają sami, bo żona, sprzątaczką, ma zaburzenia neurologiczne, wyprowadziła się. Ojciec pracuje na budowie, z młodym same problemy, kilka razy był na izbie wytrzeźwień, wyrzucili go z liceum za wagary. Gdzie jest teraz? – pyta policja. Ojciec nie wie, nie widział go od poprzedniego wieczora. Nocował w domu? Tego też nie wie, bo syn nie mówi, gdzie wychodzi, z kim ani kiedy wróci, nie zna jego kolegów.

Zatrzymują „Dzikię” następnego dnia. Siedzi na komisariacie, głowa opuszczona. Opowiada bez oporów, z fascynacją.

Miał trzynaście lat, chodził jeszcze do gimnazjum, gdy razem z „Białym”, „Zajkiem”, „Sochą”, „Tomeczkiem”, „Chudym”, „Klaudiuszem” i innymi przystąpili do IV Edycji. To oznaczenie kategorii wiekowej, najmłodszej w neofaszystowskiej grupie. Wyżej są osiemnasto-, dwudziestolatkowie, potem seniorzy i starzy skini.

Najmłodsi zwołują się przez telefony i Gadu-Gadu, spotykają w każdy piątek o osiemnastej na placu przy internacie na ulicy Warszawskiej albo na końcu dróżki rowerowej przy ulicy Ciołkowskiego. Przychodzi zawsze dziesięć–piętnaście osób. Spotkania nie są obowiązkowe, ale dobrze być, bo jak nie, to wyrzucają. Rozmawiają o lewakach, firmowych ubraniach, czasami idą na miasto, by kogoś złać. Ostatnio byli na juwenaliach, ganiłi się z punkami.

To „Biały” na ostatnim spotkaniu rzucił, że jest rocznica powstania w getcie żydowskim, że dobrze będzie wymalować cmentarz, oblać pomnik żydowski na Żabiej, by pokazać Żydom, że nie są tu mile widziani. „Biały” przyniósł pomysł od starszych skinów. Zrzucili się na farbę, „Dziki” miał jeszcze zapas w piwnicy i spreje.

13 sierpnia, tuż przed północą, zebrali się pod blokiem „Dzikię”. „Chudy” przyniósł torby, do których przelali farbę. „Dziki” i „Siemień” mieli pójść na cmentarz, a reszta pod pomnik na Żabiej, ale nie wiedzieli, jak go znaleźć, choć urodzili się w Białymstoku. „Dziki” pokazał. „Marcinek”, „Chudy” i „Klaudiusz” stanęli pod obeliskiem upamiętniającym pięćdziesiąt tysięcy żydowskich ofiar białostockiego getta. Mieli tylko czarny sprej, więc malowanie na czarnym obelisku uznali za bezsens. Zrucili torbami foliowymi wypełnionymi białą farbą. Jak zobaczyli światła radiowozu, uciekli za Biedronkę.

„Dziki” poczekał na „Siemienia”, który przyjechał po niego skuterem. Na stacji benzynowej wzięli

jednorazowe rękawiczki, by nie zostawić po sobie śladów. Podjechali pod cmentarz, skuter ukryli w krzakach i choć wejścia na cmentarz żydowski nie strzeże brama, przeskoczyli przez płot.

Inne miejsca? Policjanci pokazują „Dziemu” swastyki z połowy miasta. Te na Warszawskiej mógł zrobić „Litwin”, właśnie wrócił z zagranicy. Te w centrum miasta to chyba „Susek”. Po czym poznaje? Bo są dokładne, wypieszczone, a „on” tak lubi, jego swastyki mają „precyzję wykonania”.

Po akcji „Dziki” kupił w kiosku „Kurier Poranny”, by na pierwszej stronie zobaczyć swoje dzieło. Poszedł po spreje schowane w krzakach i zajął na cmentarz, ale byli tylko panowie, którzy spokojnie kosili trawę. Namalował jeszcze jedną swastykę, koło swojego bloku, ale dawno temu.

Po co ci to? – pytają policjanci „Dzkiego”. Bo jestem antysemitą, odpowiada, faszystą, nienawidzę Żydów. Skąd ci się to wzięło? – pytają. Czyta książki i czasopisma o tematyce hitlerowskiej, które można kupić w każdej księgarni, gada ze starymi skinami, ale policjantom ich nie wystawi.

Policja zatrzymuje kolejnych małych. W telefonach komórkowych mają numery do działaczy Narodowego Odrodzenia Polski, kuratorów sądowych, matek, dziewczyn i kolegów o śmiesznych pseudonimach „Maciora”, „Królik”.

Najmłodszy, czternastolatek, zostaje puszczony wolno, idzie pod kuratelę sądu. „Dziki” siedzi na komisariacie, bo skończył piętnaście lat. W jego telefonie zatrzymanym przez policję wyświetla się SMS: „Dziku właśnie siedzimy w pubie patrzymy w puste szklanki pamiętamy o Tobie i zawsze będziemy pamiętać wiemy że teraz tego nie przeczytasz ale piszemy bo tylko tyle teraz możemy – see you invalhalla, Dziadek, Piter, Ślepy, Kodzios”.

Na komisariacie siedzi Łukasz S., „Siemień”, jeszcze nie ma piętnastu lat, przesłuchują go w obecności mamy, pielęgniarki po rozwodzie. „Siemień” nie utrzymuje kontaktów z ojcem, chodzi do trzeciej klasy gimnazjum. Przyznaje się do swastyk na cmentarzu, narzeka, że wolno szło malowanie, bo mieli tylko jedną końcówkę do spreja – jak jeden namalował, to przekładał i dawał koledze.

„Siemień” miał napisać po niemiecku, że „praca czyni wolnym”, ale nie umiał, napisał „Dziki”. Po wszystkim wyrzucił chustę, którą miał na twarzy, a „Dziki” swoją kominiarkę wsadził w majtki.

„Siemień” wspomina jedno ze spotkań, gdy przyszedł „Dragon”, dwudziestoletni skin, ich autorytet. Udzielał instruktażu, bo szykował się mecz z Cracovią Kraków. Uprzedzał, że będzie ostra jazda, trzeba wziąć maczety, kastety, pały. Trochę się młodzi bali, bo na ostatnią rozróbę z Radomiakiem Radom poszło czterdziestu skinów, ale radomiaków czekało stu.

„Siemień” dopowiada to, czego nie chciał „Dziki”. Starsi skinie to „Litwin” i „Dragon”. By im się przypodobać, planowali jeszcze wrzucić koktajl Mołotowa do klubu Trzy Korony podczas punkowego koncertu, ulubionego miejsca antyfaszystów.

Julita, mama „Siemienia”, która siedzi obok, przyznaje, że od roku miała sygnały od wychowawczyni, że syn zadaje się z niebezpiecznym towarzystwem. Raz ich widziała, przyszli pod okno. Zabroniła synowi wychodzić, bo ma już w sądzie sprawę o pobicie kolegi. Matka nie rozumie, co się stało, bo pół roku temu zmienił towarzystwo. Nie widywała go ze skinami, miał nakaz, by być w domu przed godziną dwudziestą drugą. Tego 13 sierpnia poszedł wieczorem do łazienki, a ona przysnęła przed telewizorem. Obudziła się, w łazience paliło się światło, syna nie było. Drzwi wyjściowe od domu były zamknięte od wewnątrz, pewnie wyszedł przez okno w korytarzu. Nie było też skutera w garażu, zaczęła dzwonić po kolegach. Wrócił około trzeciej w nocy, alkoholu nie czuła. Spytała, gdzie był, powiedział, że kolegów nie wyda. Ma to być ostatni raz, przestrzegła matka, bo jak nie, to zabierze skuter. Od tamtej pory zawsze

wracał na czas.

Nie wiedziała, czy syn jest w jakiejś grupie. Przyniósł kiedyś czarną koszulkę z jakimś z napisem, kupił na Allegro. Zabroniła mu w niej chodzić, no, najwyżej do ogrodu.

Policja sprawdza SMS-y w telefonie „Siemienia”.

„Zasmakuj podwójnie: dwie laski, dwie sexy gry, 2 zeta! wyślij PARA pod 72555 (2,44 z VAT)”

„Łukasz do domu!”

„Jesteśmy pod klatką Dzika”.

„Teraz nie mogę”.

„Fantastyczna gra erotyczna, poderwij śmiało ciało! Gorąca tapeta gratis! Ślij pod 73555 (3,66 zł z VAT)”

„Siemień” po powrocie z cmentarza usiadł do komputera, włączył Gadu-Gadu, napisał do „Dzikiego”:

„Wjechałem jak wracaliśmy z cmentarza”.

„Jak to?”

„O 3 wróciłem mam ujebane ciuchy farbą”.

„?”

„Wszystko w pralce, dzięki Dziki”.

„Za?”

„Za nas i ideały”.

„Ciekawe kiedy to będzie w gazecie”.

Mama piętnastoletniego Mateusza, który ochlapał farbą obelisk na Żabiej, powiedziała policji, że jest zdziwiona, bo w pokoju syna widziała tylko popielniczkę ze swastyką. Syn chodzi do zespołu szkół budowlanych, przed rokiem zaczął późno wracać i dostał nakaz, by zawsze być w domu przed zmrokiem. Przekonała się co do jego towarzystwa, gdy przyszli pod dom. Zakazała synowi wychodzić, to jej naubliżali. Dała mu całkowity zakaz wychodzenia z domu i korzystania z komputera. Sprawdzając jego zeszyty, znalazła rysunki swastyk. Okazał skrucę, ale nie chciał nic mówić. Jest pewna, że nie spotykał się już ze skinami, raczej z kolegami z podwórka, dlatego jest zaskoczona, że oblał farbą pomnik żydowski. By wzmocnić dyscyplinę i ograniczyć kontakt z tym towarzystwem, kazała synowi chodzić po szkole do babci. Pilnowała go, był zawsze pod telefonem.

SMS-y w telefonie Mateusza:

„Do domu! Chodź szybciej bo się pies zesra”.

„I co można do ciebie czy stara jeszcze jest?”

„Obiad!”

„E cipko! To mam przychodzić?”

„Wpadaj do mnie starej nie ma”.

Po co ci to? – pytają Mateusza policjanci. Czytał w internecie o faszystowskiej ideologii, chciał poczuć moc, siłę, władzę, przychodził na spotkania. Pomagali sobie. Taki „Scyzoryk”, jak miał problemy na osiedlu, to poszli i powiedzieli, że jak go który ruszy, to dostanie w pałę. O starszych skinach Mateusz nie powie, bo są pewne zasady, ale przychodzili na ich spotkania, dawali adresy stron internetowych, na przykład Blood & Honour, Narodowego Odrodzenia Polski, a na tych spotkaniach klęli na Żydów, Murzynów i punków.

Do bandy wciągnął go „Biały”, który mieszkał blisko jego babci i razem z nim zwerbował na osiedlu

prawie wszystkich kolegów.

Mama Klaudiusza, ucznia liceum, prowadzi biuro nieruchomości. Wie, że syn zaczął słuchać dziwnej muzyki, nosić ubrania skinów, na drzwiach swojego pokoju napisał „praca czyni wolnym” i chciał się ogolić na łyso. Gdy przeczytała w gazecie, że wymalowano swastyki na cmentarzu, od razu spytała, czy ma coś z tym wspólnego.

Przyznał tylko, że spotkał się z kolegami i któryś z nich rzucił farbą w pomnik.

Klaudiusz był w pierwszej klasie liceum, gdy koledzy zaprosili go pod internat przy Warszawskiej. Przyszedł, było jakieś dziesięć osób i taki jeden Tomek wyzwał go na pojedynek, na solo, no to się zgodził, ale nie zaczęli się bić, chcieli tylko sprawdzić, czy nie cyka.

Po akcji pod pomnikiem „Biały” ich zwyzywał, bo żadnych napisów i farby nie było. Były przecież! Ale ktoś rano zamalował. Długo Klaudiusz w IV Edycji nie siedział, bo bił się z punkiem i na oczach kolegów powiedział „dość”, punk był za silny. Stracił honor, bo nie wolno się poddawać. „Biały” przysłał mu wtedy SMS-a: „Chuj ci w dupe wielki skinie”.

Mama szesnastolatka „Kuriego” sprzedaje na bazarowym stoisku. Policja pyta o syna – nie wie, gdzie jest, wyszedł, miał być o godzinie siedemnastej, ale go nie ma. Nie wie, czy należy do skinheadów, nawet nie wie, co to znaczy. Syn ubiera się normalnie, w dżinsy, koszulki.

Policja wchodzi do jego pokoju, na ścianie wielki napis „White Power”. Matka wzrusza ramionami, bo nie zna angielskiego. Antysemita? Jej syn? Skądże, nic złego o Żydach nigdy nie mówił.

„Kuri” na komisariacie przyznaje się do malowania swastyk na ulicy Żytniej i Włókienniczej. Mówi, że należy do Kinderów, to kategoria wiekowa wyższa od IV Edycji. Chciał właśnie jechać ze starszymi na koncert nazistowskiej kapeli w Mońkach, ale nie pojechał, bo wyjazd był za stowę. Nie koleguje się z IV Edycją, bo to gówniarze, trzyma ze starszymi, chodzą na mecze w koszulkach „Prawicowa Jagiellonia”. Policja przeszukuje jego pokój, znajduje fragment niedokończonego listu, którego jeszcze nie wysłał:

„Witaj Wójek! Na początku mego listy chciałem ci powiedzieć, że nic ale to nic się nie zmieniło. Jude Raus!”.

Małolaty mówią, że ulotki wymierzone w ABW to nie ich sprawa. Policja zatrzymuje Andrzeja Pochylskiego, działacza, który nie stroni od prawicowej ekstremy. Owszem, mówi, działa publicznie, politycznie, ale ulotek nie drukował, na ścianach nic nie malował, raz nawet zmazywał, gdy na ulicy zobaczył napis „Pochylski chuj”.

Mohammed Mousa, student Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku, kilka razy w tygodniu przychodzi do meczetu. To nazwa na wyrost. Za meczet służy dom jednorodzinny w szeregu innych, wtopionych w ulicę Hetmańską. Pod koniec sierpnia, gdy małolaty już siedzą, Mohammed widzi swastyki na drzwiach, oknach, napisy „Polska dla Polaków”, „White Power”. Świadców nie ma. Kobieta, która stróżuje nieopodal, w budynku PSS Społem, słyszała w nocy tylko odgłosy pijackiej imprezy na sąsiednich działkach.

Policjanci obiecują młodemu, że jak sypną starszych skinów, to nie zapiszą tego w protokole. Tak trafiają do mieszkania Moniki. Wchodzą, w środku tylko Piotr G., „Litwin”, dwudziestolatek, który siedzi

w małym pokoju pod banerem z wielkimi swastykami i napisem „White Power”. Zakuwają go w kajdany, przeszukują mieszkanie. Monika przychodzi po godzinie z koleżanką Sylwią, a po nich mężczyzna, który tacha karton z sześćdziesięcioma litrami spirytusu bez akcyzy. Policja zabiera towarzystwo na komisariat.

Dziewiętnastoletnia Monika od roku mieszkała sama, bo jej rodzice wyjechali do USA, za pracę. Dziewczyna pracuje w białostockiej fabryce, na taśmie do sortowania. Najpierw wprowadziła się do niej Sylwia, potem „Litwin” i inni jego koledzy. Monika nie zaprzecza, lubi ich ideologię. Nie ma chłopaka, ale ma „Sebę”, który siedzi w więzieniu, choć nie wiadomo za co, i przysyła jej piękne listy z rysunkami. Na jednym, w rogu, obok powitania „hej Monika”, hitlerowski żołnierz rzuca granatem z okrzykiem „Jude raus!”. „Seba” pisze, że dużo ćwiczy, że „jest teraz przystojniejszy, he, he”, i prosi, by Monika uważała na Żydów, bo:

„...To, co dziś nazywamy wytworem ludzkiej kultury, sztuki, nauki, i techniki, jest prawie wyłącznie dziełem aryjczyka. Jest on prometeuszem ludzkości, z którego jasnego czoła wyskakiwały boskie iskry geniuszu zawsze od nowa zapalając ogień poznania, który rozjaśniał noc milczących tajemnic i w ten sposób umożliwiał człowiekowi wspinanie się po drodze prowadzącej do podporządkowania sobie innych istot na tej ziemi... Adolf Hitler, Mein Kampf”.

A ten baner na ścianie? – pyta policja. Nudziły się z Sylwią, to namalowały, miał zawisnąć na ulicy Sienkiewicza. Jak to, po co? By ludzie widzieli. „Litwin” nie malował, tylko patrzył, czy napis prosto idzie.

Monika oglądała dużo filmów o Führerze i przekonuje ją ta idea, by Polska była tylko dla Polaków, bo nie lubi Żydów, ludzi o innym kolorze, bo należy bronić Polski przed innymi narodami. Nie, Monika nie jest skinem, ma po prostu faszystowskie poglądy.

W notesie ma rysunek Hitlera, swastyki, a obok odręczną instrukcję: „trzy łyżki sodы zmieszaj z wodą, płucz jamę ustną przez 2–3 sekundy, wypłuj i użyj żelu wybielającego Plus White”.

Brat Sylwii siedzi w areszcie, dlatego przyszła mieszkać do Moniki. Nie chodzi o to, że lubi faszystów, po prostu nie lubi Żydów, tak samo jak Murzynów, którzy powinni siedzieć w swoich krajach. Polacy mogą do nich jeździć, ale jak tamci przyjeżdżają, to zabierają Polakom pracę. Od kiedy tak myśli? Od małego.

„Litwin” siedzi na komisariacie zakuty w kajdanki. 190 centymetrów wzrostu, 80 kilogramów wagi, skończył technikum mechaniczne. Kartoteka bogato zapisana. Rok temu bił się przed meczem Jagiellonii z kibicami Widzewa Łódź na siekiery, noże, rurki, drągi. Jeden z pokłutych ledwo przeżył, kilkunastu było rannych. „Litwin” dostał odsiadkę, ale w zawieszeniu na pięć lat.

Policja pyta o swastyki, „Litwin” bierze na siebie prawie wszystkie, jakie wymalowano na białostockich murach, także baner w domu Moniki. Po co to robił? Bo nie ma pracy, nudzi się, chciał zwrócić na siebie uwagę. Widział, że gazety publikują zdjęcia swastyk, miał nadzieję, że „znów” zobaczy je w prasie. IV Edycji nie zna, ani żadnych skinów, pierwszy raz słyszy pseudonim „Litwin”.

Poza protokołem policja ustala jeszcze, że materiały szkoleniowe podrzuca młodym Robert Ż. ps. „Herbciak”, trzydziestodwulatek. Handluje na bazarach nielegalnym alkoholem, podrobionymi perfumami, czarnym kawiozem. Inni przywódcy to „Beton”, „Dragon”, „Rudy”, „Romek”. Ale policja nie ma na to dowodów.

Agent ABW, któremu napisano koło mieszkania „Kurwa z ABW”, coraz bardziej się boi, podejrzewa, że jest śledzony. Dyrektor agencji naciska na policję, by w końcu złapała szajkę, która sieje strach

w strukturach jego specsjuzby.

Policjanci patrolujacy miasto widza szejdzieciolatka, ktory jezdi rowerem i przykleja do drzew jakiejs karteczki. Podchodza, czytaja – to ulotki. Meczyczna wyjasnia, ze od dziecka slyszy glasy, ktore mowa mu, ze jest nic niewart, ze chodzil do ABW, policji, prokuratury, ale go olewali i wysylali do psychiatryka. Leczy sie, ale bez sensu, bo wszystko przez implant wszczepiony w glowe przez sluzby specjalne.

Choc „Litwin” i mlodziez przyznali sie do swastyk z prawie calego miasta, zostalo jeszcze kilka bezpanskich. Policjanci dopisuja je wariatowi z implantem, a ten przytomnieje: nie mogl propagowac swastyk, bo nie lubi faszystow!

W aktach sprawy IV Edycji przegladam zdjecia notesow malolatow, ich zeszytow szkolnych, zapiskow wykonanych miedzy lekcjami, nieodrobionymi zadaniami domowymi. Jest piosenka *Skrzydla walki* zespołu Honor:

Chociaz raz chcialbym zabic w tobie lek,  
Wstrzymac dlo, ktora wciaz zakrywa usta twojej nacji.  
Chociaz raz twe okowy rozniec w pyl,  
Nowym dniem, krwawych lez zatrzymac bieg.  
Wiem, ze slyszysz, jak do ciebie mowie, gdy  
Okrywa ziemie jasny swit,  
I smiesz sie, bo wiesz, ze wiernosc ma  
Do konca bedzie trwac!

Zeszyty pelne hasel „ein volk, ein reich, ein fuhrer”, „White Power”, a litery pieczolowicie wydziergane, z zawijasami, zdobieniami. Sa rysunki skinow ubranych wzorcowo w markowe ciuchy, w kurtki z kapturami zdobionymi kozuszkami, a wszyscy o posepnych spojrzeciach, w pozycjach kogucio-ofensywnych. Jeden z malolatow lubi malowac swoje nazwisko, wstawiajac zamiast „s” swastyke. Inny w zeszytie od polskiego przy temacie „Opowieci wigilijne”, dorysowal swastyki i napis „White Power”. Nawet plan lekcji narodowo-patriotyczny:

Matma  
Polak – jutro skrocone lekcje  
historia  
plastyka  
Anglik  
WF  
Mlodziez Wszechpolska White Power

W telefonach zdjecia, na ktorych pozuja z gestem „Heil Hitler!” na tle swoich dzieł na bialostockich scianach. Sa tez estetyczne detale: stojace rowno, bialo zasznurowane, wypastowane na glanc, czarne, wysokie, wojskowe buty.

W ich mieszkaniach troche literatury: zeszyt szkoleniowy Mlodziezy Wszechpolskiej, *Roman Dmowski a Kosciol* – broszura autorstwa Macieja Giertycha.

Prokuratura nie oskarzyla malolatow, oddala ich kuratorowi. Przed sadem staneli „Litwin”, „Dziki”, Patryk O., trzeci ze skinow, ktory zostal zatrzymany podczas sledztwa. Mlodzi przyszli na sale rozpraw jako swiadkowie. Przed sadem staje Klaudiusz, ktorego kumple wyrzucili, bo przegral bokse z punkiem.



Jest w trzeciej klasie gimnazjum, nadal ubiera się jak mały nazista. Sędzia, zdziwiony taką demonstracją, wchodzi z nim w dydaktyczną pogadankę.

„Byłem skinem, już nie jestem, ale nie uważam antysemityzmu za coś złego – mówi przed sędzią Klaudiusz. – Nie do końca też utożsamiam się z narodowym socjalizmem, bo nie uważam, że naród słowiański jest gorszy”.

„Dlaczego nie lubisz Żydów?” – pyta sędzia Janusz Sulima.

„Za wszystko. Za historię, za to, że obwiniają Polaków o Holocaust, za ich mniemanie o sobie, że chcą się znaleźć w elitach, rządzić naszym krajem. Dobry jest przykład naszego byłego prezydenta [Aleksandra Kwaśniewskiego]. Wiem, że na tej sali są Żydzi, o, choćby oskarżyciel posiłkowy jest Żydem” – pokazuje na Lucy Lisowską z gminy żydowskiej.

„Ktoś jeszcze?” – pyta sędzia.

„O ile wiem, to nie”.

„Co chciałbyś zrobić z Żydami?”

„Nie chodzi o to, by ich pozabijać, ale skoro tyle wieków walczyli o swoje państwo, to niech tam wracają”.

„Kogo jeszcze nie lubisz?”

„Cyganie mają opinię bandytów i złodziei, i to jest prawda. Z nimi trzeba zrobić to samo, co z Żydami, wysiedlić do swojego kraju, do Rumunii”.

„Ktoś jeszcze?”

„Ukraińcy są jakoś związani z Polską, ale nie jest ich jeszcze dużo, mogą mieszkać. Białorusini też”.

„Niemcy?”

„Oczerniają Polaków, ale tu nie mieszkają. Litwini też nas nienawidzą, powinni do siebie wrócić”.

„A młodzi Polacy, którzy wyjeżdżają za chlebem?”

„To zdrajcy, bo w Polsce jest praca dla każdego”.

„Prawosławni?”

„Nie potępiam, bo jesteśmy zjednoczeni pod krzyżem. Islamu nienawidzę, tak jak judaizmu, a homoseksualistów trzeba leczyć, choć niektóre przypadki są tak zaawansowane, że nie wiem, co z tym zrobić”.

Gdy sędzia pyta, czy żałuje tego, co zrobił, Klaudiusz potakuje, ale tylko dlatego, że musi się teraz „ciągać po sądach”, bo jednak zniszczenie żydowskiego cmentarza jest w porządku.

„A gdyby w Algierii ktoś zniszczył groby katolickie?” – pyta sędzia Sulima.

„To nie byłoby dobre. Ale Żydów nikt na świecie nie lubi i nie ma [do nas] pretensji. Poza tym ten islam... nie nazwałbym ich ludźmi, zachowują się jak zwierzęta. Dobrze, że ktoś wymalował ten meczet w Białymstoku, a ten w Kruszyńskich powinien zostać zniszczony”.

„Tatarzy?”

„Nie słyszałem o nich”.

„Też muzułmanie”.

„To trzeba wygonić”.

„Jesteś katolikiem?”

„Tak”.

„Jak to godzisz? Bo filarem chrześcijaństwa jest szacunek dla ludzi”.

„To tak jak z nazizmem, ze wszystkim nie trzeba się zgodzić, więc nie zgadzam się we wszystkim w wierze chrześcijańskiej”.

Świadkiem tej rozmowy jest mama Klaudiusza. Co ma zrobić, mówi sędziemu, próbowała z synem rozmawiać, na nic.

Lucy Lisowska z gminy żydowskiej bała się, siedząc na korytarzu sądowym, otoczona grupą łysych młodzińców. Złożyła wniosek o ściganie za dewastację zabytków żydowskich, gdy prawie wszyscy się wycofali.

Sąd wzywa ją na salę, podaje jej imię, nazwisko.

„A może sąd poda jeszcze mój adres?!” – pyta wściekła, gdy widzi twarze oskarżonych. Niektórych zna, to jej sąsiedzi. „Litwin” mieszka kilka domów dalej.

Lucy wraca do domu, dzwoni telefon: „Ty żydowska kurwo!”. Ktoś pisze jej w liście: „Oby twoje dzieci, stara żydowska kurwo, nie siedziały w jednej ławce z moimi”. Wraca do domu zawsze przed zmrokiem, unika komunikacji miejskiej. Po jednej z rozpraw na schodach sądu młoda dziewczyna krzyczy do niej: „Wynoś się, Żydówko! Czego przylazłaś?!”.

Na ulicy Lisowska mija dobrze ubrane małżeństwo w średnim wieku.

„Co tu robisz, na polskiej ziemi?” – słyszy.

Podchodzi bliżej.

„Coś jeszcze?” – pyta.

„Spierdalaj do Izraela!”

„Nagrałam to – mówi im. – Teraz zrobię wam zdjęcia”. – Wyciąga telefon, para ucieka. Blefowała, nie wiedziała, co powiedzieć, bała się.

Lucy urodziła się w Białymstoku, jej matka, z domu Goldstein, pochodzi z Królewca, w 1939 roku uciekła z rodzicami do Rosji. Dziadek tam zmarł, mama wróciła z babcią do Polski, jeździły po całym kraju, osiadły w Białymstoku. Nie była wychowywana w duchu religijnym, choć zapalali świeczki szabasowe. Mieli i choinkę, i macę. Nie czuła religii, nie była jej potrzebna, żyła codziennością. Matka Lucy była antyreligijna. Nie przeżyła traumy Holocaustu, w domu nie mówiło się o tym, choć rodzina dziadka zginęła w jednym z obozów. O swoim ojcu Lucy nie chce opowiadać, nie podaje powodu.

Lucy ma pięćdziesiąt lat, jest szczupła, żywiołowa, z nieodłącznym papierosem.

To koleżanka, mówi mi, namówiła ją dziesięć lat temu na kontakt ze społecznością żydowską.

– W Białymstoku nie znałam żadnych Żydów. Pojechałam do Warszawy, pokazałam dokumenty świadczące o moim pochodzeniu. Zaczęłam działać jako oddział gminy żydowskiej w Białymstoku i straciłam przyjaciół. Jedna z koleżanek, gdy ujawniłam, że jestem Żydówką, po prostu zerwała ze mną kontakt. Spotkałam ją na ulicy. „Spójrz na mnie – powiedziałam – przecież nic się nie zmieniłam”. Odwróciła się, odeszła. Czuję tu antysemityzm przez wymuszone podanie ręki, ukradkowe spojrzenia. Nie mam kontaktów z kurią białostocką, której duchowni nie przychodzą na żydowskie uroczystości, a i od nich zaproszenia nie przychodzą.

Katarzyna Sztop-Rutkowska i Tomasz Wiśniewski mówią mi, że z Lisowską trudno się współpracuje, bo uparta, zaborcza, torpeduje ich pomysły na żydowskie projekty. Ale Lisowska wydaje się tym nie przejmować. Cieszy ją, że zmienia się nastawienie policji, czuje się coraz bezpieczniej. Prowadzi od 2013 roku warsztaty w szkołach – „Równolandia”, „Każdy jest inny – wszyscy są wyjątkowi”. Policja wzmożła patrole, uważa na swastyki, choć napis „Żyd nie Polak” jest do dziś, tylko trochę wyblakł.

Patryk O., jeden z oskarżonych, gdy czekał na proces, zrobił sobie w celi tatuaż na głowie – podobny do swastyki. Na sali rozpraw sędzia każe, by podszedł do ławy sędziowskiej, ogląda łysą głowę, ale nie potrafi rozpoznać, tatuaże zbyt pogmatwane.

Dwoje świadków nie przychodzi, przestraszyli się grupki łysych mężczyzn czekających na schodach. Jeden z młodych, „Kuri”, uczeń drugiej klasy liceum, zostaje za swoje zeznania pobity, staje przed sądem roztrzęsiony. Wszystko zmyślił na przesłuchaniu, zeznaje, kontakty w jego telefonie są wirtualne, a mówił to, co kazała mu policja, i boi się, że znów zostanie pobity.

Mama „Kuriego” twierdzi, że była zaskoczona zatrzymaniem syna.

Sędzia: „Przecież na ścianie w pokoju miał wielką swastykę”.

Matka: „No tak, ale jak pytałam, co to jest, powiedział, że symbol takiego zegara. Wojskowe stroje i buciory sama mu kupiłam, bo mówił, że dla wygody”.

Sędzia Sulima skazuje „Dzikiego” na rok więzienia i osiem miesięcy, „Litwina” na półtora roku, a Patryka O. na rok. Monikę uniewinnia. Wyroki byłyby wyższe, gdyby wszyscy działali w grupie przestępczej, ale sędzia uznaje, że grupą nie byli, bo nie było rozkazów ani struktury, tylko raz zaplanowali i popełnili przestępstwo. W uzasadnieniu wyroku napisał:

„Zaskakujące, a zarazem przerażające jest to, że oskarżeni wychwalali ideologię nazistowską, która doprowadziła do śmierci ok. 6 mln Polaków. Dla tych, którzy ponad 60 lat temu na mundurach nosili swastyki, oskarżeni również byliby podludźmi. [...] Popełnionych przez oskarżonych czynów żadną miarą nie wolno bagatelizować. Jest bardzo cienka granica pomiędzy czynami polegającymi na publicznym propagowaniu nienawiści do ludzi o innej narodowości czy wyznaniu a biciem ludzi tylko z tego powodu, że mają odmienny kolor skóry”.

Sędzia przypomniał, że w Białymstoku nierzadko dochodzi do zaczepek, a nawet pobić na tle rasistowskim. Wymierzył im kary bezwzględnego więzienia, bo byli już karani i tylko odsiadka „może ich czegoś nauczyć”. Pozwolił sobie również na uwagę, że „dla niemałej części społeczeństwa czyny popełniane przez oskarżonych wydają się błahymi występkami, naruszającymi jedynie poczucie estetyki”.

Sąd apelacyjny uznał, że wyroki są zbyt surowe i zawiesił ich wykonanie na pięć lat. Wytknął też Sulimie brak „oczekiwanego obiektywizmu”. Zdanie o „cienkiej granicy między malowaniem swastyk a biciem ludzi” uznał za „teoretyczne dywagacje”, jakby sędzia Sulima „chciał się odpłacić za inne ekscesy w Białymstoku”. A przecież, uznał sąd apelacyjny, „Dziki” się uczy, „Litwin” ma kobietę w ciąży, a Patryk O. był najmniej winny w przestępstwie. No i wszyscy siedzieli w areszcie, powinni wyciągnąć z tego wnioski.

Nie zgodził się z tym Sąd Najwyższy. Miał wątpliwości, czy aby IV Edycja nie była grupą przestępczą.

W kolejnym procesie, po pięciu latach, już jako dorośli ludzie zostali skazani za udział w grupie przestępczej, bo kolejny sędzia uznał, że jednak zbierali się potajemnie, głosowali, a spajała ich faszystowska idea.

„Litwin” poszedł w międzyczasie siedzieć za inną bójkę, „Dzikiemu” urodziło się dziecko i został jedynym żywicielem rodziny, a Patryk O. pod celą zabił współwięźnia, za co dostał osiem lat.

Znów jako świadek stanął przed sądem Klaudiusz, który na poprzednim procesie dał sędziemu Sulimie wykład o antysemityzmie. Czy coś się zmieniło? Nie, zeznał, poglądy ma te same.

# Teatr

## TrzyRzeczce

Między stalowo-szklanymi osiedlami, na niegdyś zabytkowej ulicy Młynowej, stoi czarna, drewniana chata jak z baśni braci Grimm. To dawny dom rodziny Flikierów, żydowskich przemysłowców. Jak kilkaset innych takich domów w Białymstoku, pozostawiony z meblami, talerzami, pościelą, jakby właściciele tylko na chwilę wyjechali do Treblinki. Większość domów spłonęła podczas wojny, dom Flikierów został i służy.

Jesień, mglisto, wchodzę po schodach, pachnie stare drewno. Rafał Gawęł, prezes Stowarzyszenia Teatralnego Dom na Młynowej „Teatr TrzyRzeczce”, i Konrad Dulkowski, reżyser, wyglądają jak postacie teatralne: pierwszy średniego wzrostu, z okrągłą buzią, drugi wysoki, chudy, łysy, lekko zgarbiony. Prowadzą teatr alternatywny, łapią tematy z rzeczywistości, zdrapane z białostockich tynków jak swastyki. Gdy teatr za chwilę upadnie, przygnieciony swastykami, szef Młodzieży Wszechpolskiej w Białymstoku, wróg teatru TrzyRzeczce, spyta mnie: „Skąd ten Gawęł? Nikt nie wie, znajda jakiś”.

Pradziadkowie Gawła w drugiej połowie XIX wieku poparli powstanie styczniowe, musieli zmienić nazwisko i uciekać do Ameryki. Pradziadek wrócił po I wojnie światowej z walizką dolarów, zbudował młyn koło Lichenia, otworzył kino, ale ludzie bali się przychodzić na diabły skaczące po ścianach. W latach trzydziestych, gdy antysemityzm endecki eskalował, a w szkołach powstały ławkowe getta, jego córka Irena, babcia Gawła, na przekór temu siedziała w ławce z żydowską przyjaciółką. Sąsiadów to gorszyło, ale dziadek, który w USA widział wielokulturowość, mówił jej: „idź za głosem serca”.

Wybuch II wojna światowa, wchodzą Niemcy, przejmują młyn, dziadka degradują, a Żydów zapędzają do wagonów. Irena bierze mąkę, chleb i wciska przyjaciółce na oczach żandarmów. Sąsiedzi znów krzywo patrzą. W niedzielę w kościele siedzą w pierwszej ławce, bo mają wysoką pozycję społeczną. Ksiądz pociesza: „nie ma się co litować, Żydzi zabili pana Jezusa, Hitler porządek zrobił”. Irena, trzynastolatka, wstaje, patrzy księdzu w oczy i wychodzi, waląc drzwiami. Nigdy już do kościoła nie pójdzie, nawet na starość, przed śmiercią, zagrozi, że jak ksiądz będzie na pogrzebie, to ona wróci jako demon. Rodzina bierze tylko trębacza.

Po Niemcach przyszli Rosjanie. Były kradzieże i gwałty. Pradziadek przerażony, w domu lokują się radzieccy oficerowie. W jednym z nich siedemnastoletnia Irena zakochuje się z wzajemnością. Znów nienawidź sąsiadów, bo to okupant, a zakochani chodzą pod rękę. On idzie z frontem na Berlin, ona czeka. Szuka go po wojnie przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż, ale w tajemnicy, bo wychodzi za mąż za kuzyna. To dziadek Gawła, weterynarz, dobry człowiek, były AK-owiec, zna łacinę, francuski, niemiecki. Przeprowadzają się na Mazury, żyją na poziomie, mają pierwszy w okolicy samochód. Babcia Gawła pracuje w księgarni, przepuszcza pensję na książki, ale kończy tylko liceum.

Była wysoką blondynką z niebieskimi oczami. Nie piła, nie paliła, mówi mi Gawęł, wyśmiewała się z ludzi, którzy chełpią się pochodzeniem. Miała fioła na punkcie sztuki, kupowała dzieła, które czarną wołgą przywoził kierowca dziadka, powiatowego weterynarza.

– Wydawało nam się, że była szczęśliwa. Miałem dwadzieścia lat, gdy umierała w szpitalu i opowiadała o swoim życiu. Byłem z niej wtedy dumny. Uparta, nonkonformistyczna, miała kilka tysięcy

książek, które stały się kapitałem na ciężkie czasy. W PRL, zimą, woziłem je z mamą na sankach do antykwariatu, by było na jedzenie. Wyznała nam w szpitalu, że całe życie kochała się w tym radzieckim oficerze. Krótko przed śmiercią dostała odpowiedź, za pośrednictwem Czerwonego Krzyża, że on też jej całe życie szukał, ale go do Polski nie puścili. Zdjęcie Rosjanina trzymała do końca życia, znaleźliśmy je w pozostawionych przez nią rzeczach. A z badań krwi wychodzi mi, że moja mama jest tego oficera córką. Jeśli tak, mam w sobie krew polską, rosyjską i minimalną domieszkę żydowskiej.

Rodzice Gawła, matka – nauczycielka, ojciec – historyk, w latach osiemdziesiątych pracują w Zabroście Wielkim, wiosce zamieszkałej przez Ukraińców. Żyją tam w izolacji, bo Ukraińcy, osiedleni w ramach akcji „Wisła”, zabraniają swoim dzieciom mówić po polsku. Gawłowie są dla nich synonimem polskiej opresji, matkę próbują nawet zgwałcić. Pewnej nocy piorun uderza w sąsiednie gospodarstwo, ojciec Gawła wyprowadza sąsiadom konie, bydło, budzi ludzi. Następnego dnia odmiana – pełna akceptacja, przyjaźń. Mały Rafał dostaje mamkę, Ukrainkę.

Później rodzice dostają pracę w Blizanowie koło Kalisza. Gaweł jeździ kilka kilometrów na lekcje pianina. Na przystanku PKS ludzie się tratują, by wsiąść – to były zabór rosyjski. Nieopodal, w Pleszewie, stoi zdyscyplinowana kolejka – to zabór pruski.

W drugiej klasie szkoły podstawowej czyta *Pięć lat kacetu* Stanisława Grzesiuka o obozach koncentracyjnych i to wyostrza mu wzrok. W klasie jest Ewa, córka lekko prowadzącej się kobiety, która ma cztery córki z różnymi mężczyznami. Piękne, o ciemnych włosach, ciemnej karnacji, ale nikt z nimi nie rozmawia. Ewa siedzi na końcu klasy, brzydko ubrana, bawi się tylko z siostrami, bo „jej matka to kurwa”. Gaweł pierwszy raz widzi okrucieństwo tłumu, jak w książce Grzesiuka, ale nie potrafi się dosięść do Ewy, jak jego babcia do Żydówki.

W piątej klasie znów przeprowadzka, do Suwałk, gdzie Żydzi, prawosławni, Romowie, Litwini, ulica mówi w trzech językach i dyskryminuje wedle zamożności.

Gaweł zakochuje się w Cygance o imieniu Phabuj, czyli Jabłko. Ma długie, kręcone włosy do pasa, chodzi w spódnicach. W liceum przyprowadza ją na połowinki, wychowawczynie chce ich wyrzucić, choć szkoła stała przy ulicy, przy której mieszkali Cyganie. Bano się tam chodzić: biednie, baraki. Klasa uważa, że Phabuj to kolejny odpał Gawła, bo ten gra na saksofonie, ma długie włosy i chodzi w kobiecej chuście na szyi. A klasa najgorsza w szkole. Dwóch się onanizuje na lekcji, wachają klej, jeden skacze do studni, bo nie dostał seksu od koleżanki. Gaweł rozlepia plakaty kinowe, w zamian za darmo ogląda *Marcowe migdały*, *Dworzec dla dwojga*. Chodzi z Phabuj na cmentarz żydowski, na którym rolnik wypasa konia, na prawosławny, na którym pije żulernia. Szkoły nie lubi, bo nauczyciel od przysposobienia obronnego mówi z radością, że przed wojną polował na Żydków.

W liceum, pod koniec lat osiemdziesiątych, poznaje Konrada Dulcowskiego. Wdrażają w życie ideę Pomarańczowej Alternatywy. Na siedzibie Komitetu Wojewódzkiego w Suwałkach piszą, że chcą reform, i dorysowują majtki, na siedzibie Solidarności wymalowują napis „Seksualność”. Otwierają szmateks, wożą ciuchy spod Łodzi pociągami osobowym, za łapówkę dla konduktora. Na zaplecze przychodzą przyjaciele, słuchają jazzu i zastanawiają się, jakie studia wybrać. Dziadek namawia Gawła na weterynarię, Gaweł oddaje jednak na egzaminie czystą kartkę. Idzie na pielęgniarstwo, ale widzi, jak dziecku pobiera się szpik bez znieczulenia, jakaś kobieta wyje po wycięciu nerki, bo szkoda pieniędzy na znieczulenie, a pielęgniarki oglądają seriale brazylijskie. Upomina się o niego wojsko, rodzina ukrywa go w gospodarstwie na drugim końcu Polski. Czyta książki i z gnojem za paznokciami jedzie do

Warszawy na egzamin, na stosowane nauki społeczne. Widzi młodzież z dobrych liceów, prawie rezygnuje, ale komisja pyta, co sądzi o crash testach z użyciem ludzkich ciał. To tylko ciała, odpowiada. Są zdziwieni, bo to pierwszy, który tak odpowiedział. Gaweł sądzi, że wpływ na nasz stosunek do ciała, śmiertelności ma religijność, a on nie wie, czy Bóg istnieje, czy nie. Studiują z Konradem zaocznie, pracują w Radio 5, prywatnej stacji w Suwałkach. Dostają malucha z wielką anteną, relacjonują mecze, posiedzenia rady miejskiej. Nagrywają dwóch radnych, pobożnych, którzy nieświadomi mikrofonu chwala się, „którą kurewkę zaliczyli”. Właściciel radia, człowiek o etosie solidarnościowym, nagrania kasuje. Gaweł rzuca dziennikarstwo, Dulkowski jeszcze wierzy, pracuje w Trójce, w Warszawie.

Gaweł wyjeżdża na Zachód robić pieniądze. Pracuje fizycznie na granicy niemiecko-holenderskiej, spotyka codziennie starszego Niemca z psem i pozdrawia go „*guten Morgen*”. Kiedyś Niemiec podchodzi nieśmiało, mówi, że był w ss i mordował Polaków. Miły, starszy człowiek, który ma łzy w oczach. Gaweł nie potrafił mu następnego dnia nie odpowiedzieć „dzień dobry”.

Spotkał tam innych, którzy pokomplikowali mu świat. Był sikh, przemycony do Niemiec. Wspominał, jak odsunął plandekę w Suwałkach i widział napis „Kino”.

Widział Kurdów, dyskryminowanych przez Polaków, którzy dyskryminowali Afrykańczyków. To go nauczyło, że ofiary rasizmu przenoszą go dalej.

Wraca do Polski pod koniec lat dziewięćdziesiątych, za zarobione pieniądze kupuje audi. Jedzie z żoną do kina, w połowie seansu zapala się światło, bileterka pyta: „Kto przyjechał audi, bo chyba ukradli?”. Idzie na policję, podaje numer nadwozia, z błędem, nieświadomie. Ktoś dzwoni, że może samochód wykupić, podają numer nadwozia, z błędem, tym samym, który Gaweł podyktował policji. Dzwoni po policjantów z Warszawy, łapią gang, w tym skorumpowanych policjantów. Na koncie mają kradzieże i zabójstwo czternastolatka. Policja proponuje, by Gaweł zeznawał incognito, odmawia.

Herszt tamtego gangu powinien być już na wolności.

– Boisz się? – pytam Gawła.

– Nie sądzę, by sześćdziesięcioletni facet myślał o zemście. Zresztą... teatr i tak jest pod dyskretną ochroną policji – mówi mi jesienią 2014 roku.

Gdy policja rozbija gang, Gaweł ma już dziecko, znów chce robić pieniądze. Handluje w korporacjach syropami, tabletkami. W firmie Libella klejem Distal – zostaje tam najmłodszym „product managerem”. Tyje do stu kilogramów, wynajmuje wielki dom, wakacje spędza na Bliskim Wschodzie. Współzałożycielem Libelli był Tadeusz Mazowiecki. Gaweł sprzedawał kleje, by utrzymać Klub Inteligencji Katolickiej, Wydawnictwo Więź.

Przenosi się z żoną do Białegostoku w 2002 roku. Na murach widzi swastyki, kibice krzyczą „Żydzi do gazu”. Gaweł protestuje, gdy dzieci romskie w poradniach skazywane są na szkoły specjalne. Mówi Dulkowskiemu, który nagrywa o tym reportaż do radia, ale ten już jest zmęczony dziennikarstwem, każą mu robić materiały z za biurka. Obaj sprzedają swoje samochody i w 2010 roku znajdują budynek na Młynowej, po rodzinie Flikierów, właścicielu tłoczni oleju, którego żona słynęła z działalności społecznej.

Zawsze marzyli o teatrze, mówią. Dulkowski skończył szkołę dramatu Tadeusza Słobodzianka. Intryguje ich forma teatru dokumentalnego, robią adaptacje znanych dramatów.

Na drodze z Suwałk do Białegostoku widzą drogowskaz „Trzyrzecze 1 km”. Skręcają w resztki wsi, na rowerze jedzie pijany mężczyzna, opowiada im legendę: mieszkali tu Żydzi, Białorusini i Polacy, każdy

miał swoją stronę i z każdej wypływał strumień, którego nie wolno było nazywać, a łączyły się w rzecze Biebrzy. Uznali, że te trzy nacje, jak trzy rzeki, to świetna metafora, a zakaz nazywania, bo wszystkie języki równe – symbol równouprawnionej społeczności. Teatr TrzyRzeczce znajduje się u zbiegu trzech ulic.

Wystawiają współczesną dramaturgię ze skromną scenografią. W Białymstoku nie ma takiej oferty, brakuje prywatnych scen. Jest Teatr Dramatyczny, słynny Teatr Lalek. TrzyRzeczce to teatr autorski, pomysły czerpią z życia. W *Majtkach* wykorzystują wątek Ewy z Blizanowa, co „miała matkę kurwę”. Wystawiają *Blackbird* Davida Harrowera, o pedofilii, ale kładą nacisk na relację psychologiczną, nie seksualną. Miasto z teatrem współpracuje, daje dotacje. Wymyślają warsztaty dla licealistów. Licealista, P., wspólnie z Anną Pawłowicz, młodą dramatopisarką, pisze sztukę *Jak być gejem w Białymstoku i przeżyć*. Urzędniczka mówi wtedy Gawłowi: „wiem, że miała być dotacja, ale zabrakło”. Jak to? – pytają. Przecież było klepnięte. To za promocję gejostwa, słyszą, ale oficjalnie za źle księgowane wydatki.

Gratuluje szczęśliwym rodzicom  
mają państwo geja!  
10 punktów, trzy dwieście, 53 centymetry  
Gdybyśmy tylko wiedzieli wcześniej...  
To co?  
kazałbyś mi usunąć?  
pozwoliłbyś usunąć tę ciążę?  
Naszego syna?  
Jakiego syna?  
Lekarz wyraźnie powiedział  
GEJA  
pogratulował nam GE-JA.  
jak można gratulować rodzicom w takiej chwili  
można oznajmić to inaczej.  
Mamy geja...  
Lekarza prowadzącego możemy podać do sądu  
za niedoinformowanie pacjentki  
o zagrożeniu życia matki  
i ojca  
To moje życie.  
Nowoczesna aparatura do USG  
i nic nie wykazała?  
Może  
można było  
leczyć to już w zarodku  
a Ty? nic nie czułaś?  
naprawdę nic nie czułaś?  
Gdzie się podział ten cały instynkt  
Macierzyński

Dramat powstał, gdy P. miał siedemnaście lat, był w drugiej klasie liceum, a koleżanka powiedziała mu: „hej, skini na ciebie polują”.

– Jestem wysoki – mówi mi, gdy rozmawiamy przez Skype’a, bo wyjechał z Białegostoku – mam dwadzieścia lat, szczupłą, delikatną twarz, wydatny nos i wyglądam jak homoseksualny Żyd.

Dziadkowie P. ze strony matki pochodzą spod Białegostoku. Dziadkowe ze strony taty byli zesłani na Syberię. Więcej nie pamięta, bo gdy prababcia opowiadała, nudziło go to, nie dotyczyło, teraz żałuje. Pamięta opowieść, jak podczas wojny w prababci zakochał się Niemiec, ale była zadziorna i uciekła do dziadka, który schował się w lesie nad Narwią. Płynęła do niego łódką, z jedzeniem. Dziadek po wojnie był mleczarzem, pracował w PGR, babcia – księgową.

Rodzice P. przyjechali do Białegostoku w latach dziewięćdziesiątych ze wsi. Koło ich osiedla Nowe Miasto, nowiutkiego, była stacja kolejowa. Ludzie ze swoich wsi wchodzili prosto na to osiedle.

P. dobrze wspomina tylko szkołę podstawową, bo dzieci otwarte, nie interesuje ich seksualność, wszystko platoniczne, proste. Rodzice chcieli, by jak najlepiej się wykształcił, skończył studia. Zwłaszcza tata, który u siebie na wsi był kolejną parą rąk do pracy i nie chciał, by syn to powtórzył.

W gimnazjum P. zapisuje się na kurs kroju i szycia w Domu Kultury. Prowadząca nie chce go przyjąć, bo chłopaki przychodzą tylko na rozróby i podrywać dziewczyny.



Budzi się w nim seksualność, siedzi z nią sam w pokoju i ryczy, bo na korytarzach gimnazjum wyzwiska: „gej”, „pedał”, „ciota”. Może był trochę przegięty, delikatny, zawsze z dziewczynami, ale nie wiedział jeszcze, co oznacza „ciota”.

Matka P. idzie z interwencją do szkoły, gdy P. ogarnia histeria po kolejnych przezwiskach. Słyszy, że syn dostanie kuratora sądowego, bo bezczelny, sugeruje nauczycielom niekompetencję. Poza tym nikt nie słyszał wyzwisk pod jego adresem, nie widział agresji, to taka młodego fanaberia.

P. ryczy w pokoju, chodzi jak naćpany. Na Facebooku jako drugie imię daje sobie Izaak, bo czuje się jak Żyd, na którego trwa nagonka i nie ma się gdzie ukryć.

– Czytam teraz – opowiada mi przez Skype’a – historię czternastoletniego Dominika, który powiesił się w pokoju, bo miał inne ciuchy, fryzurę, w szkole mówili na niego „pedzio”. Myślę sobie, że jestem zajebistym szczęściarzem, bo też wtedy myślałem o śmierci. Pomagało mi to szycie, siedziałem w pracowni nawet do północy, bo to przyjazny świat kobiet, rozmów, nie musiałem myśleć o szkole. Gdy koleżanka mówi mi, że polują na mnie skini, znów ryczę, uciekam do pracowni. W liceum poznaję polonistkę, prowadzi teatr, wciąga mnie, a ja dzięki temu łapię oddech.

Zaczynam siebie akceptować, mniej się przejmuję, nawet ostentacyjnie demonstruję swoje gejostwo zachowaniem, gestami, ubiorem. Jedni mnie lubią, inni reagują psychiczną agresją. Ale mam szczęście, na ulicy nie natknąłem się na nazioli.

Nie widzę dla siebie miejsca w Białymstoku, nie wyobrażam tam sobie homoseksualisty. Chcę się rozwijać, żyć, po ulicy chodzić z chłopakiem za rękę. Studiuję na Zachodzie, w nocy jestem tu „babcią klozetową” w pubie, w ciągu dnia pracuję w sklepie z butami, jestem szczęśliwy. Nie pisz, proszę, mojego imienia, mój ojciec o mnie nie wie.

## Swastyka

Gaweł chodzi ulicami Białegostoku i nie opuszcza go wrażenie, że widzi ludzi uwikłanych w zbrodniczą historię, przyjezdnych ze wsi, w których dochodziło do pogromów. Jedzie autobusem, wchodzi mużmanka w chuście, a starsi, wyglądający kulturalnie ludzie mówią: „O! Patrz, w szmatach weszła!”.

Rozmawia z kobietą, która podczas wojny musiała zasypiać w łóżku w domu zajęтым przez jej rodziców. Dwa dni wcześniej mieszkała w nim żydowska sklepikarka, u której kupowała cukierki. A teraz ona czuła jej zapach w pościeli, miała sklepikarkę przed oczami, jak stoi na rynku miasteczka, bita, potem zamordowana przez jej ojca chrzestnego.

Żyjemy w domach, mówi Gaweł, które nie należały do nas, chodzimy po ulicach, na których zabrakło sąsiadów. Pochodzimy z miasteczek, gdzie wszyscy wiedzą, kto zabijał, i gdzie leżą kości niewinnie zamordowanych. Spotykamy nieukaranych morderców, ich dzieci o wszystkim wiedzą i obawiają się, że ktoś zabierze dom, który uznali za swój, ale na drzwiach widać ciągle ślad po mezuzie. A swastyki są symbolem zapomnienia.

Znajomi podśmiewali się z Gawła i Dulkowskiego, gdy w 2013 roku ogłosili akcję „Zamaluj zło”.

Ale nieukarany nastolatek, mówią, który maluje swastyki, będzie dalej agresywny, potrzebne są działania systemowe.

Występują do Fundacji Batorego o dotację, uruchamiają stronę, na którą przychodzą informacje o napisach.

Przy pierwszej swastyce zgłoszonej na białostocką policję na przesłuchanie idzie pracownica teatru. Słyszy, że policjant ma złodziei na głowie, a nie gówniarzy malarzy. Wraca przestraszona, no to idzie Gaweł i siedzi, póki policja nie uruchamia oficjalnego śledztwa. W ciągu kilku miesięcy zgłosili sto pięćdziesiąt spraw. Malunki znikają.

W czerwcu 2013 roku Dawid Roszkowski z Prokuratury Rejonowej Białystok-Północ po kolejnej zgłoszonej swastyce powołuje się na Wikipedię i ocenia, że nie ma podstaw do ścigania, bo swastyka to symbol szczęścia i pomyślności. „Nazwa »swastyka« – pisze w uzasadnieniu umorzenia śledztwa – pochodzi z sanskrytu i oznacza »przynoszący szczęście«. Obecnie w krajach Europy i obu Ameryk symbol ten kojarzony jest prawie wyłącznie z Adolfem Hitlerem i nazizmem, natomiast w Azji jest powszechnie stosowanym symbolem szczęścia i pomyślności”. Sprawę swastyki umarza.

Wybucha afery, piszą o tym media nawet w Azji. Prokurator generalny Andrzej Seremet oprócz oburzenia wyraża też żądanie sprawdzenia, czy idea „symbolu szczęścia” to w Prokuraturze Białystok-Północ incydent czy reguła. Roszkowski ma postępowanie dyscyplinarne.

W zdawkowej rozmowie telefonicznej, bo na osobistą się nie zgadza, Roszkowski tłumaczy mi, że swastyki na murach nie mogą być propagowaniem faszyzmu, bo nie wszyscy rozumieją ich znaczenie. Cytuje mi też jakiegoś bohatera serialu *Gra o tron*, że kłamstwo wsparte odrobiną prawdy nadal jest kłamstwem, dlatego rozmawiał ze mną nie będzie.

Szef Prokuratury Białystok-Północ składa rezygnację pod naciskiem przełożonych. Kontrola wykazuje, że spośród trzydziestu spraw mających podłoże rasistowskie sześć zostało w tej prokuraturze w ciągu kilku dni umorzonych błędnie, a dwie przedwcześnie. Większość doniesień złożył teatr TrzyRzeczce.

W obronie Roszkowskiego staje związek zawodowy prokuratorów. Uznaje, że doniesienia medialne to „nagonka” i „wpływanie na decyzję organów ścigania”. Roszkowski przez branżowy sąd zostaje uniewinniony.

Gaweł i Dulkowski podczyścili ściany miasta i wzięli się do białostockich portali, na których trwa ksenofobiczny festiwal: „Wystrzelać wszystkich brudasów”, „Wynajmę mieszkanie. Murzynom dziękujemy”, „Ty żydowski śmieciu”, „Za polowanie na romów zawsze piwko”, „Białystok to tak wielkie i atrakcyjne miasto, że czarnuchy ciągną tam całymi plemionami”, „Pamiętajcie o złotej zasadzie – dobry muzułmanin to martwy muzułmanin”. Składają stertę doniesień o podobnych wpisach, ale w Prokuraturze Białystok-Południe, bo Białystok-Północ, ta od swastyki, raczej nie widzi dowodów przestępstwa.

Umieszczają w internecie zdjęcie chłopca o ciemnej karnacji z podpisem „Boję się wyjść do sklepu w Białymstoku”. Młodzież Wszechpolska umieszcza w internecie przerobione zdjęcie: „Boję się iść do sklepu w Białymstoku, odkąd zatrudniono tam ochroniarzy i zainstalowano monitoring”. Prokuratura umarza sprawę, nie potrafi dojść, kto umieścił przeróbkę.

„Rafał Gaweł Trzyrzecze – tacy nietolerancyjni faszyci jak ty już niedługo przestaną zatruwać przestrzeń życiową innych, zabiję was buraki...” – wpisuje dwudziestopięciolatek na stronach białostockiego portalu randkowego. Sąd odstępuje od ukarania – jest młody, ma stałą pracę, wystarczy grzywna.

Prawnik z Białegostoku, Piotr R., na forum białostockiej gazety lokalnej pisze o Romach: „Jak długo jeszcze mamy w swoim kraju ustępować wszelkiej maści BRUDASOM?”. Gaweł składa doniesienie, prawnik zostaje skazany na dwa i pół tysiąca grzywny.

Złożyli ponad pół tysiąca zawiadomień. Wszczęto około stu osiemdziesięciu śledztw.

– Mam wrażenie – mówi mi Gaweł – że przewartościowaliśmy w całej Polsce podejście do mowy nienawiści, doradzaliśmy Prokuraturze Generalnej, jak sobie z tym radzić. Departament Stanu USA daje nam pieniądze, bo miasto odmawia. Dla narodowców jesteśmy wrogiem, bo „niszczymy dobre imię miasta”. Młodzież Wszechpolska chce z nami debaty, ale nie gadamy z przestępcami, mają rasistowskie wybryki na sumieniu.

## Niezlomny

Adam Andruszkiewicz, białostoczanin z Młodzieży Wszechpolskiej, na portalach społecznościowych marzy o lepszej Polsce:

„Nie mogę zrozumieć, kiedy widzę poważne traktowanie pana Bęgowskiego ps. »Anna Grodzka« w mediach, w czasie publicznych spotkań... jak mogło do tego dojść? To najlepszy dowód na ostateczny upadek »salonu« i »elit« III RP. Jak można wielkiego faceta w spódnicy nazywać »kandydatką« na prezydenta RP?

Nasz kraj przypomina obecnie cyrk w wielu wymiarach. To bardzo boli. Mam nadzieję, że jako młode pokolenie zrobimy z tym porządek i podniesiemy na nowo naszą kochaną Polskę do rangi silnego i godnego państwa. To nasz obowiązek!”

Andruszkiewicz jest pełen energii, robi akcję za akcją. Organizuje spotkanie w kinie Ton z Leszkiem Żebrowskim, który oskarża Jana Grossa o kłamstwa, Marsz Pamięci Żołnierzy Wyklętych, a pod biurem Platformy Obywatelskiej w Białymstoku protest przeciwko przyjmowaniu do Polski imigrantów z Afryki.

„To skandal – czytam na profilu Młodzieży Wszechpolskiej – że nasze państwo nie robi nic, albo bardzo niewiele, w celu repatriacji naszych rodaków z pogrążonego w wojnie Donbasu czy dalekiego Kazachstanu. [...] Każdy, kto odwiedził jakiekolwiek państwo zachodnie, wie, co oznacza ideologia multikulti w praktyce”.

Andruszkiewicz ma chłopięcą twarz, nosi krótkie, zaczesane na bok włosy. Do tego zakłada marynarkę, koszulę ze sztywnym kołnierzykiem. Jest bardzo zajęty, trudno się z nim umówić, właśnie został ogólnopolskim szefem Młodzieży Wszechpolskiej. Jesienią 2014 roku promuje kandydata na prezydenta, ultraprawicowego Mariana Kowalskiego, którego jednym z haseł wyborczych jest „Wkurwieni ludzie za nami stoją”.

Siedzimy w chińskiej restauracji w Białymstoku, Andruszkiewicz zamawia zieloną herbatę. Żadnych używek, zdrowe odżywianie i siłownia.

Wszystko, co kocha, wyniósł z rodziny i samodzielnej lektury książek historycznych. Dziadek ze strony matki pochodził z kresów, był więźniem stalinowskim za działalność antysowiecką. Pradziadek też trafił na Syberię, potem do Ostaszkowa (Adam jest do niego podobny z urody), ale uratowało go, że był weterynarzem i pracował przy koniach. Pradziadek ze strony ojca podczas wojny był żołnierzem, działał w konspiracji, sabotował. Wylądował w obozie niemieckim, stracił nogę, ale wrócił na gospodarkę i orał ziemię. Twardy charakter, to Adam ceni, to go napędza. Dziadek nie lubił komunizmu, wychował się w domu, w którym sowieci gwałcili, mordowali, a gdy jego brat rzucił czymś w portret Stalina, wywieźli go na wschód.

– Żałuję – mówi – że nie notowałem ich przeżyć, że przepadły.

Ale szukał. Dotarł do początku XIX wieku, w szpargałach parafialnych znalazł wzmianki o szlacheństwie w swoim pochodzeniu, po ojcu. Znalazł i romans, gdy pradziadek, swatany na siłę, uciekł do innej kobiety.

Nie boi się, że szukając na tej zmieszanej i spulchnionej wieloetnicznej historii ziemi, znajdzie w sobie Żyda, bo i tak najbliższy jest mu rodowód chrześcijański. Gdyby nawet tkwiło coś gdzieś głębiej, to przecież nie miało wpływu na jego wychowanie.

Matka Adama jest nauczycielką nauczania początkowego, ojciec pracował w TP SA, ale kupili ją Francuzi i ojca zwolnili. Genetyczna twardość charakteru wygrała, ojciec poszedł pracować fizycznie.

To też zbudowało Adama, by nigdy się nie poddawać.

Jako chłopak na podwórku w Grajewie na Podlasiu gra w piłkę, chodzi na siłownię i biega za partią antyklerykalną, kradnie jej ulotki. Słucha opowieści o niezłomnym dziadku, widzi w domu medale wojenne i czyta. Piłsudski czy Dmowski? Dmowski, bo miał realną myśl i silną reprezentację w ruchu politycznym przed wojną. Wchodzi w spory na forach internetowych, a że jest wygadany, do Grajewa przyjeżdża szef MW z Białegostoku. To 2005 rok. Koalicja PiS, Samoobrony i Ligi Polskich Rodzin rozpada się z hukiem dwa lata później, a szef LPR Roman Giertych odcina się od swoich młodzieżówek. Andruszkiewicz bierze chłopaków z podwórka, rozkręca Młodzież Wszechpolską w Grajewie, plakatuje sklepy – „Kupuj polskie produkty”.

– Mam zdolności propagandowe – mówi. – Zauważyłem, że jak wysłać do portali internetowych gotowe materiały prasowe, zdjęcia, filmy, to wklejają bez poprawek.

Lubi historię, w szkole wygrał wszystkie konkursy, aż mu nauczyciel powiedział, by nie przychodził, bo demotywuje innych. Jeszcze pani od geografii mu docina: to ten od skrajnej prawicy. Czyta *Myśli nowoczesnego Polaka*, odkrywa, że Dmowski był synem prostego robotnika, a trafił na Wersal – jakże aktualna książka.

– Wiadomo więc, skąd jestem, kim jestem! – Andruszkiewicz szeroko rozrzuca ramiona. – A kim jest Gaweł? Wiem, że z Suwałk przyjechał i zrobił sobie ten teatr. OK, lewica się aktywizuje, trudno, ale Gaweł przekroczył granice. Wpisał się w retorykę, że Białystok jest miastem nienawiści, zaczął udzielać wywiadów, mówił niestosowne rzeczy, że tu nie lubi się czarnoskórych.

– A swastyki? – pytam.

– Zamalowywanie ich jest słuszne, nie widzę dla nich miejsca.

– Hajlowanie młodych ludzi?

– Wielu interesujących się historią wie, że to salut rzymski, pozdrowienie, ale znak został zniszczony przez Hitlera, nie ma sensu się do tego odwoływać. Hitler był zaburzony, bo jak inaczej postrzegać człowieka, który sądził, że sam może podbić cały świat. Gdybym był świadkiem hajlowania, zwróciłbym uwagę, bo nie wypada, tak samo jak gdy dwóch gejów trzyma się za rękę.

Andruszkiewicz uważa, że Białystok jest wolny od ruchów lewicowych, zwłaszcza homoseksualnych. LGBT nie ma tu czego szukać, przekonuje, to leży u podstaw społeczeństwa podlaskiego, które takich rzeczy nie toleruje.

Marsz równości tu nie przejdzie, mówi, ale nie można udawać, że nic się nie dzieje.

– Wyszło kiedyś kilka osób, niby że parada równości, ale ich zakrzyczeliśmy. Na *Golgotę Picnic* do TrzyRzecz przyszło może trzydzieści osób, nas było około tysiąca. To pokazuje skalę. Gaweł stchórzył, gdy zaproponowałem mu debatę. Osobiście widziałem go tylko raz, w sądzie, gdy przegrał z nami w pierwszej instancji, ale się odwołał, wygrał, trudno mi pojąć, jakie były motywy tego sądu.

Andruszkiewicz nie interesuje, co kto robi u siebie w domu, jeśli jednak wychodzi z tym na ulicę, no to jest granica, której przekroczyć nie pozwoli.

– Nigdy nie widziałem – dodaje – dwóch gejów w moim mieście, a jeśli zobaczę, będę reagował. Jest jakiś Normalny Białystok, jakieś stowarzyszenia, ale to dla nas żadne zagrożenie, towarzystwa, które spotykają się przy herbacie. Białostocka „Gazeta Wyborcza” uruchomiła w 2013 akcję „Wykopmy rasizm z Białegostoku”. Powiedziałem wtedy „dość!” – Andruszkiewicz uderza pięścią w kolano – Białystok nie może być tak kojarzony! Ludzie znają nas z disco polo, żubrów, ładnych dziewczyn, a tu pokazuje się

miasto, w którym ludzi się bije, pali, gnębi. Świat pisał o Białymstoku jak o stolicy faszyzmu. Turyści przestaną przyjeżdżać, biznesmeni nie zainwestują, a przecież wskaźniki przestępczości były tu niższe niż w innych regionach, dlatego zrobiliśmy kontrakcję „Wyborczej dziękujemy”. Doszło do tego – Andruszkiewicz z dezaprobatą kiwa głową – że Gaweł chciał wejść do szkół z projektem edukacyjnym, by uczyć tolerancji, w przekonaniu, że Białystok to miasto zła. Szkoła nie powinna być bazą dla takiej ideologii. Niech robi w swoim teatrze, co mu się podoba, ale jeśli chce kształtować umysły młodych ludzi, budzi to nasz sprzeciw. Byliśmy przygotowani na jego wejście do szkół, szykowaliśmy mobilizację społeczną, bo wśród nas jest wielu księży, katechetów, przedsiębiorców, sportowców, nauczycieli, którzy byli gotowi z nami protestować. Także urzędnicy nieoficjalnie nas wspierali. Sami organizujemy pokazy historyczne dla dzieci, w szkołach i domach dziecka, werbujemy nową młodzież, by wychowywać w duchu hierarchii, dyscypliny i koleżeństwa.

# Wyprowadzka

W połowie grudnia 2014 roku Gawęł dzwoni do mnie przestraszony.

– Wzywają nas na przesłuchania, także znajomych, pytają o interesy sprzed lat.

Do teatru wchodzi policja. Nakaz przeszukania wychodzi z tej samej prokuratury, która umorzyła sprawę swastyki, symbolu szczęścia.

Do Gawła dzwoni znajomy kontrahent, z którym robił interesy, nim założył teatr. Mówi, że nachodzi go policja, pyta, czy ma obciążające materiały.

Gawęł sprawdza w ratuszu miejskim dokumenty swojego teatru, widzi fiszki z notatkami: „Sprawdzić dokładniej; jeśli jest podstawa, wszcząć sprawę”. Jest tam też korespondencja z Prokuraturą Białystok-Północ. Asesor Adam Białas pyta prezydenta, czy teatr na pewno jest autorem swoich sztuk.

„Czy pan prowadzi przeciw nam jakieś śledztwo?” – pyta Gawęł prokuratora.

„Skąd pan wie?” – śledczy wzburzony.

„Znalazłem dokumenty”.

„Nie ma pan prawa tego wiedzieć, niczego panu nie powiem, to tajemnica śledztwa”.

Wezwanie na przesłuchanie przynieśli Gawłowi trzech policjanci. Wzięli butelkę z płynem na grzybicę stóp. Gawęł, gdy pracował w koncernach farmaceutycznych, opatentował go ze znajomymi laborantami. Produkują specyfik na jego zlecenie, zyski zasilają działalność teatru.

Podłamany, siada z żoną i Dulkowskim, robią rachunek sumienia, bo przecież prokuratura nie byłaby tak bezczelna, by mścić się za swastykę. Może chodzi o kartę bankową, z której korzystała żona Gawła, gdy przed laty zrobiła na niej debet? Może o źle wystawioną fakturę w firmie żony? Nieprawidłowo zapisane koszty? Stłuczkę samochodową?

Ubezpieczyciel nie chce wypłacić pieniędzy. Poszli do sądu. Gawęł pyta znajomego policjanta, ten mówi, że prokuratura kazała kilka razy badać, czy stłuczka nie była sfingowana.

Prokurator blokuje konto Gawła i jego żony, na którym mają blisko trzysta tysięcy złotych.

„Gawęł was ośmieszył, a wy po roku szykujecie mu zarzuty?” – pyta szefa Prokuratury Białystok-Północ Jakub Medek, dziennikarz »Gazety Wyborczej« w Białymstoku. – Mogliście przekazać sprawę innej prokuraturze”.

„Sprawa opiera się na bardzo solidnych dowodach i nie ma to nic wspólnego ze szczytną akcją, którą prowadzi pan Gawęł”.

„Po co interesowaliście się stłuczką samochodu, poprzednią pracą Gawła, sprawdzaliście, czy sztuki to nie plagiaty?”

„Takie stawianie sprawy jest bardzo daleko idącą, niesłuszną nadinterpretacją” – odpowiada prokurator.

Mateusz Martyniuk, rzecznik Prokuratury Generalnej, zdziwiony:

„Czy to na pewno ta sama prokuratura, w której swastyka była »symbolem szczęścia«?”

– Ta sama.

Prokurator Białas postawił Gawłowi zarzuty oszustwa. Uznał też, że Gawęł zgodził się płacić wysokie alimenty do sześciu tysięcy złotych, by udaremnić egzekucję mandatów drogowych i skarbowych. Jego dawna spółka, prowadzona przez żonę, miała nie spłacić karty bankowej na dwieście czterdzieści tysięcy złotych i zalegać z opłatą za towary – miód, zapalniczki.

Kto zgłosił doniesienie na Gawła? Jeden z kontrahentów, któremu rzekomo zalegał za towary. Gawęł

uważa, że to kłamstwo, że jest niewinny. Ale skąd prokuratura miała mandaty, dlaczego pytała miasto o prawa autorskie do sztuk? Adam Kozub, rzecznik prokuratury białostockiej, nie potrafił odpowiedzieć na te pytania.

Fundacja Batorego uznaje jednak, że teatr źle rozliczył około stu tysięcy złotych dotacji na monitorowanie zachowań rasistowskich w internecie. Zgłasza się Fundusz PAFPIO, wspierający organizacje pozarządowe, też udzielił teatrowi sto tysięcy złotych pożyczki. Gawęł i Dulkowski kupili za te pieniądze używany sprzęt – komputery, meble biurowe. Zakupy zrobili za pośrednictwem kontrolowanej przez nich spółki, która następnie odsprzedała stowarzyszeniu towary po wyższej cenie. Część pieniędzy z dotacji przeznaczali też na produkcję płynu dezynfekcyjnego.

Gawęł pokazuje mi dokumenty, widzę, że struktura finansów teatru, stowarzyszenia, powiązanej z nimi spółki jest splątana. Spółka działa niezależnie od stowarzyszenia, mówi, ale to mnie nie przekonuje. W jej władzach są jego znajomi, rodzina.

Gawęł się wścieka, że przecież nie przejada pieniędzy, że oddaje na teatr. Że za te „gówniane pieniądze” doprowadził do zupełnie innego spojrzenia na faszystowskie znaki w całej Polsce, że to po swastyce w Białymstoku, po eskalacji przemocy, szef MSWiA powiedział skinom: „Idziemy po was!”.

Fundacje nakazały mu zwrócić pieniądze. Do akcji wkracza Prokuratura Białystok-Północ. Z własnej inicjatywy bada sprawę i stawia Gawłowi zarzut wyłudzenia pieniędzy. Ewa Kulik-Bielińska, szefowa Fundacji Batorego, zdumiona, rozsyła do mediów oświadczenie: Stowarzyszenie Teatralne Dom na Młynowej „Teatr TrzyRzecz” nie wyłudziło dotacji od Fundacji imienia Stefana Batorego, otrzymało ją w wyniku konkursu.

Gawęł nie ma za co zapłacić czynszu w budynku przy Młynowej, ma zablokowane konta. Dulkowski też splukany, zapewniają, że do teatru dokładali prywatne pieniądze.

– Wynosimy się stąd, zrobimy teatr od nowa. – Gawęł jest w furii, gdy rozmawiamy wiosną 2015 roku. – Wartość tego, co zrobiliśmy, jest dużo większa niż te cholerne dotacje.

Władze Białegostoku w raporcie przesłanym do MSWiA w 2013 roku opisują walkę z mową nienawiści: dzięki projektowi „Zamaluj zło” zorganizowanemu przez Teatr TrzyRzecz doszło do całkowitej zmiany pejzażu miasta, który przestał straszyć swastykami, krzyżami celtyckimi i innymi hasłami o treści rasistowskiej i ksenofobicznej. W praktyce system sprawdza się doskonale.

Teatr TrzyRzecz znika z Białegostoku. Gawęł i Dulkowski przenoszą się wiosną 2015 roku do Warszawy, wygrali tam konkurs na zagospodarowanie dawnego kina Tęcza.

Adam Andruszkiewicz, gdy siedzimy w chińskiej restauracji, uśmiecha się zadowolony.

– W Białymstoku – mówi – nie ma już nikogo, kogo byśmy się obawiali. Na wszelki wypadek monitorujemy organizacje, które składają wnioski o projekty w szkołach, wyłapiemy tych, którzy będą chcieli siać w umysłach młodzieży złe nawyki. Znamy się na tym, bo mamy w organizacji wykształconych ludzi.

Na facebookowym profilu napisał: „Rafał Gawęł [...] oficjalnie potwierdził swój wyjazd z Podlasia do Warszawy! [...] Jest to nasz sukces – środowiska narodowego, patriotycznego, kibicowskiego w Białymstoku. Wszyscy, ramię w ramię, broniliśmy miasta przed wpływami lewackiego cyrku przy ul. Młynowej – jak widać, w końcu zwycięsko;) [...] W Białymstoku nie ma miejsca na rozwój lewactwa siejącego kłótnię, dzielącego mieszkańców. W imieniu mieszkańców Podlasia wyrażam nadzieję, że szybko już się nie spotkamy...”.



# Drzwi

## Wojna

Wiosną 2014 roku do marszałka województwa podlaskiego przychodzi list podpisany przez białostockie organizacje prawicowe. Apelują, by sprawdził, czy za publiczne pieniądze nie odbywa się „antypromocja naszego miasta” i „przyklejanie mu łatki regionu ksenofobicznego”. Uważają, że przedstawienie teatralne *Śmierć wrogom ojczyzny*, które organizują „lewicowe środowiska”, może godzić w tradycyjne wartości Boga, Honoru i Ojczyzny, może być „propagandą przeciwko Żołnierzom Wyklętym”. Data wystawienia spektaklu, 19 kwietnia, blisko Wielkiego Piątku, to ich zdaniem nie przypadek. Twórcy bali się zapewne protestów ruchów patriotycznych i wybrali czas, gdy będą oni w kościołach. Sygnatariusze listu to między innymi: Bożena Korzińska z klubu „Gazety Polskiej”, Adam Andruszkiewicz, z Młodzieży Wszechpolskiej, stowarzyszenie kibiców. Piszą do marszałka, bo to z jego stypendium powstał spektakl w ramach projektu „Co ma murzyn białego?”.

Przedstawienie o grupie młodzieży, która przyjeżdża na Podlasie, by rozpoznać rodzące się ruchy faszystowskie, zostaje pokazane w ramach białostockich Dni Sztuki Współczesnej. Organizatorzy dzwonią na policję, proszą, by pod teatrem stanął radiowóz. Policyjni tajniacy mieszają się z publicznością, przychodzą na próbę.

Reżyserem spektaklu jest wywodzący się z Białegostoku Michał Stankiewicz. Wysoki trzydziestodwulatek, blondyn. Jego brat jest aktorem, Michał reżyseruje, bo, jak mi mówi, szuka wolności, ryzyka, pola do przełamywania standardów. Dlatego uciekł od młodzieńczych marzeń o pisaniu reportaży. W sztukach czerpie z dokumentów historycznych. Dlaczego? Taka karma, odpowiada mi Stankiewicz.

Robi kolejny spektakl o Żołnierzach Wyklętych – z udziałem publiczności.

Stoję na środku małej sceny w operze, mam na sobie naklejkę z numerem 2, odmawiam Ojcze nasz, by udowodnić partyzantom, że nie jestem prawosławny, chcę ocalić siebie i rodzinę. Milknę na moment, nie pamiętam, co mówić dalej, bo na widowni siedzi Anna, a ja właśnie włożyłem „czorną soroczkę”. Kilka scen później, gdy partyzanci wybili dwie rodziny, mówię do kobiety z numerem 8: „wybierz córkę”, bo reżyser spektaklu kazał jej stanąć w płonącym domu, nie ma czasu, by ratować dwoje dzieci. Dziewczyna, która wciela się w rolę prawosławnej matki, autentycznie dygocze. Po spektaklu niektórzy się tulą, obejmują, obcy sobie ludzie, którzy przez chwilę byli w Potoce, Krasnej Wsi, Zaleszanach. Chciałem, by w spektaklu udział wzięli Adam Andruszkiewicz z Młodzieży Wszechpolskiej i Anna – „czarna soroczka”. Andruszkiewicz nie miał czasu, Anna nie miała odwagi, została na widowni.

Pierwszy spektakl z tryptyku historycznego Stankiewicz zrobił jednak wiosną 2013 roku. Pomysł narodził się podczas warsztatów teatralnych w białostockim Stowarzyszeniu Edukacji Kulturalnej Widok, które tworzy projekty artystyczne poruszające problemy społeczne. Na warsztaty zaproszono Czeczenów, którzy uciekli do Polski przed wojną. Stankiewicz spisał relacje małoletnich i postawił ich na scenie, by sami odegrali główne role.

Bersan, siedemnastolatek, stoi przed publicznością na lekko rozstawionych nogach. Stremowanym, ale donośnym głosem recytuje z pamięci własne wspomnienia:

„Kiedy byłem mały, to jak zrzucali bomby, trzeba było chować się do piwnicy. Ojciec tłumaczył, że to

jest normalne i dzieje się w każdej wsi na świecie. Rodzice wypalili lampą naftową na betonowym suficie imiona wszystkich z rodziny. Tato tłumaczył, że w razie gdyby nas zabili, wiadomo będzie, kto tu żył, pozostanie po nas jakiś znak”.

Tak zaczyna się przedstawienie *Import/Eksport*.

Matka Bersana, Marina, nie chce, by podawać jej nazwisko. Siedzimy w stowarzyszeniu, pod drzwiami czeczeńscy mężowie, zaniepokojeni. Marina jest ładną brunetką, ma około trzydziestu lat, ciemną karnację, mówi mieszaniną polskiego i rosyjskiego.

Mieszkali w małej wiosce w Czeczenii. Miała dwóch braci, trzy siostry, za mąż wyszła między wojnami. Teściowa pochodzi z Polski, poznała się z teściem na Syberii.

Gdy wybuchła druga wojna, pod koniec lat dziewięćdziesiątych, prawie co noc były strzelaniny, bo wojsko rosyjskie stacjonowało koło wsi. Uciekali do piwnicy. Żeby było szybciej, przebili dziurę. Bała się o męża, bo prawie codzienne Rosjanie chodzili po domach, zabierali z dziesięć osób. Pewnej nocy okrążali dom po cichu, ale mąż czuwał, słyszał, jak się skradają, ustawiają. Obudził żonę, zaczęła płakać. Łomot do drzwi. Bała się, bo gdy zabierali mężczyzn, ślad po nich ginął. Rosjanie wpadli w kominiarkach, rozbiegli się po pokojach, mieli broń. Trzymali ich na korytarzu, dzieci wyły. „Zabieramy męża”, powiedział jeden z żołnierzy. „Znasz bojowników?” – spytał dowódca. „Znam – powiedział mąż Mariny – bo z jednej wioski jesteśmy. Nie wiem, gdzie są, nie jestem bojownikiem”. „Zabieramy go”, powiedział znów żołnierz. Dzieci wyją, Marina ledwie przytomna ze strachu i hysterii. „To chyba nie ten dom”, mówi dowódca. Poszli. Wtedy, w 2004 roku, zdecydowali, by wyjechać.

Było zimno, styczeń, spakowali się po cichu. Nie wiedzieli, jak długo potrwa podróż. Mąż Mariny był stolarzem, zostawił warsztat. Teściowie za starzy, by emigrować, siostra chciała się nimi opiekować. Wzięli plecak z ubraniami, dużą torbę z jedzeniem, autobusem pojechali do Groznego, pociągami do Moskwy, młodszy syn dostał gorączki. Potem do Terespoła, cały dzień, a tam pogranicznicy trzymali ich pod bronią. Chcieli do dalszej rodziny, na Śląsk, ale przewieziono ich do zamkniętego ośrodka pod Warszawą, potem busem z innymi uchodźcami, którzy akurat przekroczyli granicę, do ośrodka w Białymstoku. Podróż trwała cztery dni bez mycia, mieli tylko zimne jedzenie z torby.

Marina i jej rodzina są już w Białymstoku dziesięć lat. Wyszli z ośrodka po dwóch, gdy dostali azyl. Ona pracuje w Fundacji Dialog, pomaga uchodźcom wypełniać dokumenty do ośrodka pomocy rodzinie, do szkół. Nie ma wykształcenia, całe życie zajmowała się dziećmi, domem, w jej kulturze mężczyzna zapewnia utrzymanie. Zaczęła w Czeczenii kurs pielęgniarski, przerwała go wojna. Bersan chodzi do liceum, młodszy syn i córka do podstawówki. Mąż Mariny pracuje dorywczo, jak nie ma pracy, zajmuje się domem, gotuje.

Chciałyby wrócić z rodziną do domu, tęskni za rodzicami, rodzeństwem, własnym domem, ale ogląda wiadomości. Wojsko rosyjskie stoi we wsi obok, na Grozny znów spadły bomby.

Katarzyna Siwerska ze Stowarzyszenia Widok mówi mi, że czeczeńskie kobiety lepiej sobie radzą niż mężczyźni, łatwiej się asymilują, są aktywniejsze, prowadzą dzieci do szkoły, robią zakupy. Zna tylko jednego, który wybił się aktywnie – instruktora tańca Achmeda Tashaeva, który prowadzi zespół Lowzar. To sześciu tańczących chłopców, którzy dostali się do finału *Mam talent* i pozdrawiali do kamer Białostok.

Elsa mieszkała we wsi koło Groznego. Wielu mężczyzn zaginęło tam bez wieści, zabranych przez rosyjskich żołnierzy. Bomby spadły na jej małą wioskę i zabiły trzydzieści trzy osoby. W jednej rodzinie

babcię, dziadka i czworo dzieci, w innej dwóch braci. Pochowano ich w jednym grobie, na szybko, w kawałkach, bo Rosjanie strzelali do tłumów. Uciekła w 2006 roku, gdy zabrakło nadziei, z mężem, trzema młodymi synami, a już w Polsce urodził im się następny. Pamięta pierwszy dzień w ośrodku – wszystko obce, wiele rodzin na dużej sali, przestraszeni. Z jej wsi kilka rodzin uciekło do Białegostoku, dzwonili, że tu dobrze, bo bezpiecznie, nie ma wojny. W 2012 roku dzięki stowarzyszeniu dostała pierwszą pracę, w szkole wspiera dzieci innych uchodźców. Wstaje o szóstej rano, wysyła własne dzieci do szkoły, autobusem jedzie do pracy, pomaga tam innym dzieciom odrabiać lekcje, wypełniać dokumenty. Wraca z pracy z myślą, że jedzie do domu, to chyba dobry znak.

Czuła się w Białymstoku bezpiecznie, choć ma ciemną karnację, bo najważniejsze, że nikt nie zabierze jej męża. Tylko w sylwestra, gdy słyszy fajerwerki, boi się, że to wojna, albo gdy sąsiedzi trzasną drzwiami, wtedy kuli się w sobie. W dzień zamyka drzwi na jeden zamek, w nocy na dwa. Po co, pytam, skoro czuje się bezpiecznie? To po tych podpaleniach, mówi.

# Ogień

Podszedł pod Białystok już w 2009 roku, ale nieśmiało. Kilka płomieni w budującej się szkole koranicznej, pod samochodem Czeczena. Nikogo nie złapano.

W listopadzie 2012 roku Sultan Daszajew i jego pięcioro dzieci, uchodźcy, budzą się w oparach dymu. Podpalono drzwi ich wynajmowanego mieszkania. Chcieli uciec, ale były zablokowane, ktoś zapchał zamek. Daszajew przyjechał do Polski z wojny, wyjechał prosto z pożaru. Sprawcy nieznani.

Cztery miesiące później, o czwartej nad ranem, na osiedlu Zielone Wzgórza dym poczuła Raisa. Płomienie lizały podłogę pod drzwiami, więc obudziła rodzinę, dwoje dzieci, zgasili czym popadnie, na klatce czuć było smród benzyny. Policja bagatelizuje sprawę, nie przesłuchuje nawet sąsiadów. Rodzina Raisy to również uchodźcy z Czeczenii, od kilku miesięcy byli zaczepiani w sklepach, na ulicy, słyszeli „won do siebie!”. Po podpaleniu sąsiedzi szepczą za jej plecami: „Jak was nie było, był spokój”.

Ewa Kowalczyk często jeździła do ciotki do Londynu. Skończyła pedagogikę w Białymstoku, w Anglii chciała podszkolić język, znaleźć pracę. Pojechała w 2011 roku, wynajęła pokój w mieszkaniu. Gdy poszła tam pierwszy raz, z łazienki wychodził akurat młody mężczyzna. Ciemne włosy, karnacja, duże oczy. To Naresh Nayi, z Indii. Zakochali się od pierwszego wejrzenia. Kończy mu się wiza studencka, więc lecą do Indii, biorą tam ślub. Ewa chce wrócić z nim do Polski, pokazać męża rodzicom, ale Naresh nie dostaje wizy, urzędnicy podejrzewają, że to ślub fikcyjny, ludzie przecież tak szybko się nie pobierają.

Przyjeżdżają dopiero w marcu 2013 roku. Rodzice mieszkają na osiedlu Leśna Dolina. Ojciec Ewy mówi zięciowi: „masz moje błogosławieństwo, ale jak ją skrzywdzisz, to cię wszędzie znajdę, nawet w Indiach”.

To zimny marzec, Naresh nie ma grubych ubrań, chodzi w kilku swetrach, czapce, szaliku. Ale podoba mu się w Białymstoku, bo u niego biednie, gęsto, a tu spokój, zieleń, przepych. Jeżdżą rowerami, Naresh uczy się polskiego, sąsiadów rozbawia jego „dzen dobra”. Decydują się zostać dłużej, Kowalczykowie go meldują, by wystąpić o kartę stałego pobytu i by łatwiej mógł znaleźć pracę. Czasami, gdy wychodzą na spacer, to młodzi skini krzyczą na niego, jak małpy.

Mieszkanie Czeczenów płonie kilka bloków dalej. Ewa jest przerażona, proponuje, by lepiej nie wychodzić na razie z domu, nie drażnić. Grażyna, jej matka, obaw nie rozumie, przecież to Czeczeni, muzułmanie, do Hindusów skini nic nie mają.

Idą na obiad do rodziny, zatrzymuje się samochód, otwiera się tylna szyba: „E, czarnuchu! Wypierdalaj z Polski!”. Ewa tłumaczy Nareshowi, on macha ręką. Daj spokój, mówi, nie przejmuj się, wszędzie są dziwni ludzie. Ale Ewa widzi, że twarz mu się zmieniła, też się boi. Idą do sklepu, widzą skinów, czują ich spojrzenia, Ewa ma wrażenie, że coś planują.

Prokurator Roszkowski umarza sprawę swastyki, bo to symbol szczęścia w Azji. Naresh zdziwiony, swastyka jest u niego, w Indiach, symbolem szczęścia, ale na historii w hinduskiej szkole uczył się, że w Europie to niekoniecznie.

9 maja, dzień przed odebraniem karty stałego pobytu dla Naresha, około drugiej w nocy, ojciec Ewy siedzi przy komputerze. Ewa z Nareshem śpią w jednym pokoju, Grażyna ze starszą córką Małgorzatą w drugim. Ojciec myśli, że to korki wysadziło, gdy kątem oka widzi w przedpokoju jasną łunę, ale komputer działa. Zrywa się, podłoga bucha ogniem, dym idzie chmurą pod sufit. Krzyczy, by wstali, bo pożar, niech ktoś dzwoni po straż. Otwierają okna, kaszel już złapał, biegną do kuchni po garnki, ale

przez okno wpada kamień, tłucze szybę.

Ewa płacze, gdy mi o tym mówi. Rozmawiamy przez Skype'a.

Gasić, uciekać przed kamieniami? Co robić? Chwytają za miskę, biegają z wodą, z daleka od okna, by nie dostać następnym kamieniem. Małgorzata chce wybiec, by zobaczyć, czy napastnicy nie szykują kolejnych koktajli, chwyta za klamkę, gorąca, parzy dłoń. Drzwi palą się z drugiej strony. Więcej wody, woła. W końcu wszystko ugaszone. Na klatce czarno od dymu, ściany osmolone, pod drzwiami ich mieszkania leży plastikowa butelka, śmierdzi benzyną.

Musieli ich obserwować, jak gasną kolejne lampy w mieszkaniu, bo atak zaczął się chwilę po tym, gdy ostatnią zgasła Małgorzata. Czekali, aż zasną.

Przyjeżdża policja, nikt nic nie widział.

„Wczoraj Czeczeni, dzisiaj my, róbcie coś! – krzyczy Małgorzata, a policjanci wzruszają ramionami. – Idziemy do telewizji!”

„Nie ma sensu, ściągniecie sobie na głowę jeszcze gorsze kłopoty” – mówi jedna z policjantek. Naresh stoi na klatce schodowej, płacze, że to przez niego, że wszyscy mogli zginąć.

Następnego dnia zerknęli do internetu, na forach lokalnych mediów przeczytali, że dobrze się stało. Bo „jakiś Hindus dopiero co przyjechał, a już ma mieszkanie”, bo „ponoć dostał zasiłek”, „pracę dostał”.

Przez kilka dni Naresh nie wychodzi z mieszkania. Gdy wyjdzie, ledwie pod blok, już stoi trzech krótko ostrzyżonych, w dresach, biegnie czwarty, zwołują się. Grażyna wychodzi z mężem, by demonstrować swoją obecność, tamci to widzą, wycofują się. Naresh krąży po mieszkaniu jak w więzieniu, policja stoi pod blokiem, więc na forach wściekłość, że „czarnuch dostał ochronę osobistą”. Naresh nie daje rady, chce wyjechać, choćby już. Występują o wizę do Anglii dla Naresha, szybko dostają, zamieszkują w Londynie, w dzielnicy Wembley, skupisku różnych nacji.

Przyjechali z powrotem tylko raz, na Wielkanoc w 2015 roku. Dzielnicowy prosił, by uprzedzić, i dał radiowóz, który całe święta nocami stał pod blokiem.

– To moje najgorsze święta – mówi mi Ewa. – Bałam się wyjść z domu, mój synek miał siedem miesięcy. – Znów płacze, przerywa rozmowę. – Szłam w nocy zrobić mu mleko, ale najpierw patrzyłam, czy w przedpokoju, pod drzwiami, nie ma jakiejś cieczy, która za chwilę zapłonie.

Nie spała, czuwała we własnym mieszkaniu. Wyjeżdżała z Białegostoku z ulgą, odespała święta w Londynie. Chce przyjechać, może niedługo, ale wie, że w Białymstoku chyba nigdy już nie zaśnie.

Małgorzata, siostra Ewy, jedzie autobusem. Kiedy kieruje się do wyjścia, podchodzi nieznany chłopak, odkrywa kurtkę, na koszulce napis „White Power”.

„Wypierdalaj stąd, brudasko!” – krzyczy i podkłada jej nogę.

Małgorzata wystąpiła w telewizji, mówiła o pożarze. Wie, że nie zazna już spokoju w Białymstoku, ucieka do Wrocławia.

Grażyna stoi na przystanku, widzi nalepkę „White Power”, zaciśniętą pięść, logo Jagiellonii Białystok. Podchodzi, próbuje zerwać, ale trzyma mocno, zdrapuje paznokciami, wściekle. Czuje na sobie zdziwiony wzrok ludzi, ale drapie, póki po nalepce nie zostanie tylko klej. Ma pretensje do siebie, że tyle lat wisiały swastyki, nalepki, a dopiero teraz, gdy jej dzieci uciekły, dotarła do niej ich siła.

Na chodniku krzesło, na nim projektor rzucający na ścianę bloku twarz czarnoskórej kobiety, która właśnie zdjęła białą maskę. Artyści wchodzą na podnośnik i odrysowują twarz. Blok stoi na osiedlu, na którym podpalono mieszkanie Czeczenów i Kowalczyków. Prezes spółdzielni dał zgodę, by wykonać symboliczny mural.

Akcję wymyślili Zbigniew Krzywicki i Dariusz Szada-Borzyszkowski, twórcy facebookowego profilu Normalny Białystok. Nie znali się, połączył ich marsz.

Wrzesień 2011 roku. Przez Rynek Kościuszki w Białymstoku maszeruje w ciszy około dwustu mieszkańców i Włodzimierz Cimoszewicz, były premier, który mieszka na Podlasiu. Niosą transparent „Marsz Jedności”, protestują przeciwko wydarzeniom sprzed kilku tygodni. Na obelisku w Jedwabnem, postawionym w miejscu stodoły, w której mieszkańcy spalili żydowskich sąsiadów, pojawiły się napisy: „Nie przepraszam za Jedwabne”, „Byli łatwopalni”, i swastyki. Mieszkańcy miasteczka, którzy obchody upamiętniające pogrom oglądają przez lornetki, tym razem nic nie widzieli, sprawców nie złapano.

Antysemickie hasła pojawiły się zaraz potem na synagodze w Orli; w Białymstoku zdewastowano Centrum Kultury Muzułmańskiej; w okolicach Puńska zniszczono tablice z polskimi i litewskimi nazwami miejscowości. Brak świadków, brak sprawców.

Jest ciepło, słonecznie, maszerujący idą w koszulkach z napisem „Izrael kultywuje tradycje Białegostoku”, w ogródkach pełno ludzi przy kawie, piwie, patrzą zaciekawieni. Marsz mija fontannę na Rynku Kościuszki, gdy pojawia się grupa około trzydziestu ogolonych na łyso, dobrze zbudowanych młodzińców. Krzyczą: „Polska cała tylko biała”, „Naszą bronią nacjonalizm”, „Nie przepraszam za Jedwabne”. Nie są zamaskowani, nie wstydzą się swoich twarzy i krzyków, mimo wielu kamer, aparatów.

Szada-Borzyszkowski czuje się jak żydowski bohaterowie *Naszej klasy* Tadeusza Słobodzianka, którym sąsiedzi kazali srebrnymi łyżeczkami czyścić bruk na rynku. Mieszkańcy Białegostoku siedzą przy stolikach kawiarnianych, patrzą z zaintrygowaniem. Łysi wyją, przy stolikach cisza.

Kilku krzyczących rozpoznaje policja, mieli na koncie podobne wybryki, związani byli z ruchem kibiców Jagiellonii. Stanęli przed sądem za hasło „Nie przepraszam za Jedwabne”. Bronił ich mecenas Juliusz Kołodko z Białegostoku, który powołał się przed sądem na badania sondażowe: blisko pięćdziesiąt procent Polaków nie chce przecież przepraszać za Jedwabne. Dostają wyroki w zawieszeniu za sianie nienawiści.

Krzywicki i Szada-Borzyszkowski zaczynają działać razem, zakładają z przyjaciółmi profil Normalny Białystok. To inicjatywa nieformalna, wirtualna, ale w miejskiej przestrzeni. Nazwę wymyślili przy herbacie, gdy ktoś spytał: czy warto walczyć o normalny Białystok, który szanuje i odgrzebuje swoją tradycję? Na ich apel o wskazywanie swastyk na murach przychodzą dziesiątki zgłoszeń. Biorą pędzle, farbę, wyręczają władze.

Szukają pamięci na ulicy. W murze fontanny w parku Planty wmurowane są macewy żydowskich grobów. Organizują happening z artystami, układają kamienie przy fontannie jak na żydowskich grobach, wręczają przechodniom niezapominajki.

Chcą przenieść macewy na cmentarz, ślą w tej sprawie pismo do Urzędu Miejskiego. Nie dostają odpowiedzi, bo co to za organizacja, tylko profil w internecie, nie ma pieczętki, pisma firmowego. No to drukują pismo z niby-logo Normalny Białystok. Działa, dostają odpowiedź, że „rzekome macewy” będą

przeniesione podczas renowacji parku, a na razie nie ma pieniędzy. Macewami zainteresował się ksiądz Wojciech Lemański, napisał list otwarty, macewy przeniesiono.

11 listopada 2014 roku. Stoję na Rynku Kościuszki koło pomnika Józefa Piłsudskiego, po prawej pomnik Jana Pawła II, po drugiej stronie ulicy księdza Jerzego Popiełuszki. Nad nim karmnik-kapliczka przybita do drzewa. Dziurka dla ptaka, pod nią Chrystus, który urwał się nieco z krzyża, nogi go trzymają, patrzy w ziemię jeszcze bardziej.

Tysiące ludzi na Rynku, cisną się, wyciągają głowy, by obejrzeć łańców na Święto Niepodległości. Z kościoła farnego wychodzi prezydent, zastępcy, hierarchowie, posłowie, wojewodowie. Prezydent przemawia, dostojnie, o pamięci, ojczyźnie, potem hymn z czterema zwrotkami. Po drugiej śpiewają tylko dzieci, może miały na lekcji wychowania obywatelskiego, tłum rusza ustami, ja też. Po hymnie śmiech – jeden z koni za nic ma patos i ojczyznę, macha wesoło ogonem nad brązowym plackiem między tylnymi kopytami.

Przeciskam się przez tłum, wychodzę na luźny plac.

– Mogę cię przytulić? – Szada-Borzyszkowski bierze mnie w objęcia, choć nie znamy się jeszcze, wręcza mi fotografię starego Białegostoku, biało-czerwony kotylion. Co roku ogłaszają na swoim profilu „Dzień przytulania”, by zlikwidować bariery, obcość, nieufność. Zawsze na koniec uroczystości państwowej, by przytulić jak najwięcej osób.

Co was boli? – pytam nad herbatą.

Miasto bez pamięci, mówią, wykorzenione przez mieszkańców, którzy przybyli tu po wojnie z okolicznych wiosek, nie interesują się własną historią.

Szada-Borzyszkowski przyjechał do Białegostoku w 1985 roku, z Bydgoszczy. Coś mu nie pasowało w tutejszym klimacie, nie potrafił tego zdiagnozować, ale czuł, że miasto jest jak palimpsest, pod nowoczesnym styropianem, kolorowym tynkiem ścian zapisana jest inna historia. Pamięta jakieś spotkanie, na które nie przyszedł kolega, ale wytłumaczono, że nie może, bo „oni mają swoje święto”. A kto to „oni”? Ano prawosławni. Dotarło do niego, że są tu jacyś „inni”, że mają swoje życie, że mówią na nich „ruskie”, i też chowają swoją historię, bo chcą być polscy, tutejsi. Gdy robi filmy telewizyjne, chodzi po wsiach, pyta o historię, ludzie trzaskają drzwiami, nie chcą przeszłości.

Krzywicki odczuł marzec 1968 roku w Lublinie. Stracił pracę. Przyjechał do Białegostoku i poczuł obecność tego samego palimpsestu, wspólnego dla żydowsko-polskich miast. Nie mógł się sobie nadziwić, że z humanistycznym wykształceniem tak niewiele o tym wiedział.

Krzywicki dokumentuje forum internetowe „Kuriera Porannego”, wpisy o rasie panów, komuszkach, Żydkach, pisze do redakcji, prosi, by zdjęli, dostaje odpowiedź, że regulamin tego nie przewiduje. Musi używać innego komputera, bo zablokowali mu dostęp do forum.

Dostał zaproszenie od jednego z liderów białostockich przedsiębiorców, by przyszedł na spotkanie, będą goście specjaliści. Krzywicki sprawdza listę: Leszek Bubel, jeden z mecenasów spotkania i wydawca pism antysemickich. No co ty, protestuje kolega, to tylko biznesmen, hobbysta, stare srebra zbiera.

Krzywicki i Szada-Borzyszkowski stoją pod blokiem, patrzą, jak na ścianie pojawia się wyraźny zarys muralu, kobiety ściągającej maskę. Podjeżdża bmw, wychyla się łysa głowa.

„E! Za chuja to nie powisi!” – Łysy odjeżdża z piskiem opon.

Kilka dni później mural zostaje oblany białą farbą. Sprawcy nie złapano.

# Pieść

Na początku lat siedemdziesiątych Rogers Cole-Wilson wyjeżdża z Sierra Leone na stypendium do Astrachania, potem na Ukrainę, by studiować nawigację morską. Tam poznaje białostoczanę i przyjeżdża z nią do Białegostoku. Na ulicach widzi uśmiechy, bo w białym totalitaryzmie PRL czarnoskóry jest jak pomarańcza rzucona do sklepów na święta. Gdyby wiedział, co przyniesie demokracja, to do wolnego kraju by nie przyjechał.

Kontakt z sąsiadami z bloku ma luźny, nie zna nikogo w klatkach obok, choć mieszka tam już trzydzieści lat. „Asfalt”, „bambus”, słyszy każdego tygodnia albo widzi wycelowany w siebie palec babci, która pokazuje wnuczkowi goryla. Dziwi się, bo starsi ludzie tyle tu mówią o umiłowaniu bliźniego.

Pracuje w prywatnej, lokalnej telewizji, prezentuje pogodę. Białostoczanie masowo przełączają kanały na niszową stację, by zobaczyć czarnoskórego, który na tle podlaskiej mapy, pełnej śniegu i mrozu, owinięty szalikiem, kaleczy polski i tęskni za Afryką. Internauci mają bekę.

Rogers nie wychodzi z domu, gdy jest ciemno albo gdy maszeruje Młodzież Wszechpolska. 11 listopada to nie jego święto. Nie wychodzi, gdy Jagiellonia Białystok gra u siebie, a jak przegra, to nawet do okna nie podchodzi. Skoro kibice opluli własnego czarnoskórego piłkarza, to wyobraźni Rogersowi nie starcza, co by jemu zrobili. Na ulicy, gdy słyszy „asfalt”, „bambus”, udaje, że nie rozumie.

6 lutego 2013 roku wychodzi z domu do apteki, ale zapomniał pieniędzy, wraca. Jest koło pawilonów przy ulicy Branickiego w centrum miasta, gdy słyszy: „E, bambusie! Co tu robisz?!”. Kątem oka widzi, że mężczyzna jest wysoki, dobrze zbudowany, w ciemnej kurtce, dżinsowych spodniach i stoi z kobietą. Rogers idzie dalej, spokojnym krokiem, udaje, jak zwykle, że nie rozumie. Podchodzi do klatki schodowej, wkłada klucz, ktoś stuka go palcem w ramię. Odwraca się i dostaje pięścią w twarz. Chwieje się na nogach, traci równowagę. „Co ty tu robisz?!” – krzyczy mężczyzna i wali drugi raz. Rogers chce się wyrwać, ale tamten uderza i uderza. W końcu Rogers ucieka, wzywa pomocy, krew tryska z rozbitego łuku brwiowego, policzek puchnie. Przyjeżdża policja z psem, ale śnieg pada, po napastniku żadnego śladu. Świadkiem jest młody chłopak, Łukasz, szesnastolatek, stał niedaleko, widział napastnika – kawałek twarzy, kaptur kurtki otoczony futerkiem, słyszał jego głos.

Sąsiadka mówi, że słyszała krzyki, ale myślała, że to z telewizora. Wyjrzała potem przez okno i zobaczyła Rogersa we krwi, zna go przelotnie, mówi mu tylko „dzień dobry”, choć mieszka tu kilkanaście lat.

Policjanci typują Tomasza G., dwudziestoczworolatek. Zatrzymują go po kilku dniach w markecie, gdzie pracuje. Jest zdziwiony, bo 6 lutego pracował, a o godzinie czternastej pojechał na siłownię Magic Gym, najpopularniejszą w Białymstoku. Nie zna Rogersa, nie wie, kto mógł go pobić.

Ale Rogers go rozpoznaje. Także Łukasz – po rysach twarzy, sylwetce, po głosie – jest pewny na dziewięćdziesiąt procent, że to on. Matka Łukasza, słysząc to, prosi, by policja utajniła dane syna.

Policjanci wydają teczkę Tomasza G. Jest zdjęcie operacyjne, na którym stoi w koszulce „White Power Białystok”. Jest lista jego dorobku: 2012 rok – pobicie, 2008 – udział w bójce, 2006 – pobicie z niebezpiecznym narzędziem, 2004 – udział w bójce.

Tomasz G. ma łagodne oczy, delikatną twarz, wyraźnie zarysowane usta i gdyby nie łysa głowa, mógłby być modelem. Na zdjęciu wygląda jak manekin, który robi gest „Heil Hitler!”. Policja go wypuszcza, by zebrać mocniejsze dowody, ale po dwóch tygodniach przychodzi na komisariat osiemnastoletni Dominik Ch., który jest podejrzanym o podpalenie mieszkania Kowalczyków. Dominik



Ch. mówi, że to on napadł na Rogersa. Zbił sąsiada, bo pokłócił się z dziewczyną, chciał się wyżyć. Sumienie go ruszyło, że kogoś niewinnie oskarżono, chce poddać się karze. Tomasza G. nie zna, nigdy nie widział.

Klub Magic Gym potwierdza policji, że G. ma u nich kartę klubową, ale nie zarejestrowali, by przyszedł 6 lutego, no chyba że wszedł bez karty, co też możliwe.

Ojciec G. nie pamięta, co syn robił tamtego dnia, nie wie, czy syn należy do jakiejś grupy. Nosi koszulki z napisami, ale ojciec ich nie rozumie, bo nie zna angielskiego.

Z kolei ojciec Dominika zapamiętał, że syn opowiadał, jak pobił czarnoskórego, że się zgłosi, bo oskarżono niewinnego człowieka, a zaraz potem przyszedł dzielnicowy w sprawie innej awantury sprzed roku, gdy Dominik z kolegami pobili kastetem i metalowym prętem szkolnego kolegę. Poza tym ojciec nie wie, co robi syn, mija się z nim w drzwiach. Matka Dominika też niewiele wie, bo syn nie jest wylewny, nosi jakieś koszulki z napisami, ale matka nie zna angielskiego, poza tym wychodzi do pracy rano, wraca około godziny dwudziestej, syna mało widuje. Miał przykazane, by wracać do domu o dwudziestej trzeciej, no chyba że szedł na dyskotekę.

Policja sprawdza telefony. Dziewczyna Tomasza G., który się nie przyznaje, dwa tygodnie po pobiciu pięć razy kontaktowała się z Dominikiem Ch. Spotkali się, tłumaczy Tomasz G., bo chciał się dowiedzieć, kto pobił czarnoskórego. Ale telefon G. logował się do stacji przekątnikowej 6 lutego w miejscu i czasie pobicia. Jak to możliwe? Miał być na siłowni. Tomasz nie wie. Dlaczego Dominik powiedział, że się nie znają? Bo nie chciał jeszcze bardziej pogrążyć Tomasza.

Sąd nie uwierzył w to alibi. Tomasz G. jeszcze jesienią 2013 roku słyszy wyrok: dwa lata i osiem miesięcy więzienia, ale sąd apelacyjny uznaje, że nie można przesądzić, która wersja jest prawdziwa, trzeba zebrać więcej dowodów. Kolejny wyrok: Tomasz G. znów winny. Ostatni: niewinny, bo popełniono za dużo błędów w śledztwie, były za słabe dowody.

Rogers rozżalony, uważa, że państwo go zawiodło, bo jest pewny, że pobił go Tomasz G. Widuje go czasami, mieszka niedaleko. Rogersowi zostało kilka miesięcy do emerytury, zapowie kilka prognoz pogody i zamierza wyjechać, jak jego czarnoskórzy znajomi.

# Kotłownia

## Eskalacja

Czytam w białostockich sądach akta spraw związanych z IV Edycją, pobiciami, rasizmem, porachunkami kibolskimi. W zeznaniach sprzed dziesięciu lat widzę nazwiska, telefony, pseudonimy, adresy, miejsca pracy, powiązania lokalnych skinów. Nikt nie doglądał tych ludzi, nie poszedł za śladami, dopiero tragedie nagłośnione medialnie skłaniały policję do działania.

Trudno zliczyć antysemickie ataki w Białymstoku i okolicach w ciągu ostatnich lat. Łatwiej wymienić te, które zapadały w pamięć, także ze względu na łagodne postępowania z nimi sądu, prokuratury, policji.

Zaczęło się w latach dziewięćdziesiątych. Skini maszerują głównymi ulicami Białegostoku, a ich szlak jest krwawy. Po uroczystościach związanych z rocznicą śmierci Romana Dmowskiego atakują cudzoziemców na bazarze, biją mężczyznę w autobusie, podczas koncertu szantowego maltretują trzy osoby, jedną przypalają papierosami. Wydają hitlerowską gazetę „Czarny Front”. Ich działalność zbiega się z powstaniem Radia Maryja, a każdą krytykę radia uznają za „dyskryminację katolików”. Mają swoją księgarnię, która należy do Dariusza Wasilewskiego, członka Młodzieży Wszechpolskiej, dyrektora podlaskiej Kasy Chorych. Po jednym z meczów Jagiellonii centrum miasta i osiedli pokrywają nazistowskie napisy, które zostały na lata: „Nazi Glory”, „Polska dla Polaków”, swastyki. Po raz pierwszy płoną wtedy mieszkania Romów. Nie ma jeszcze programów wymiany studenckiej, Czeczeni nie uciekają przed wojną.

Wydarzenia białostockie monitoruje Stowarzyszenie Nigdy Więcej, walczące z mową nienawiści.

2001 – w Białymstoku odbywa się zlot neofaszystów i koncert nazistowskich zespołów Szwadrony Śmierci, Honor. Koncert ochrania policja.

2002 – podczas promocji książki Szewacha Weissa pojawiają się transparenty z napisami „Stop żydowskim interesom”, „Ambasador morderców”, sprawcy zostają skazani na grzywny.

2003 – podczas spotkania na białostockim uniwersytecie poseł Ligi Polskich Rodzin mówi: „Do tej pory nie zastrzeliłem jeszcze żadnego Żyda ani pedała”.

2006 – białostoccy skini napadają na piknik dla kibiców – w ruch idą rurki, pałki, noże, kilka osób zostaje rannych. To efekt wojny o trybuny stadionu.

Ponad dwustu skinów wynajmuje statek Żeglugi Augustowskiej i podczas kilkugodzinnego rejsu organizuje koncert muzyki nazistowskiej. Policjantów stojących na brzegu pozdrawiają gestami „Heil Hitler!”.

Grupa skinów katuje na osiedlu Zielone Wzgórza dwóch mężczyzn, bo mają długie włosy.

2007 – swastyki i antysemickie napisy pojawiają się na cmentarzu żydowskim i na pomnikach związanych z tragicznym losem getta.

2009 – koktajlem Mołotowa zostaje obrzucony budynek dawnej synagogi przy ulicy Pięknej. Brak sprawców.

Trzydziestoczteroletni czarnoskóry Francuz Legre Karamoko przyjechał do narzeczonej. W drodze na boisko zostaje pobity. W jego obronie stają dwie starsze kobiety. Jeszcze tego samego dnia zostaje zaatakowany ponownie. Dziennikarzom mówi: „Zaczęło się od razu po moim przyjeździe do Białegostoku. Mam wrażenie, jakby trwało polowanie na mnie. Wszędzie widzę gesty nienawiści, słyszę

rasistowskie pokrzykiwania. Zarówno na ulicy, jak i w autobusie, nawet w sklepie”. Sprawców brak.

Czarnoskóra Szwedka zostaje zwyzywana i uderzona w sklepie, sprawca powie policji, że nie wiedział, jak zachować się w obecności osoby o innym kolorze skóry. Uniwersytet Medyczny powołuje linię zaufania dla swoich zagranicznych studentów.

2009–2013 – grupa kibiców przez cztery lata znęca się nad nastoletnim Romem, ich adwokaci przekonują, że to tylko koleżeński konflikt, sąd skazuje ich na symboliczne kary w zawieszeniu, bo to „incydent”.

2011 – przy cmentarzu żydowskim w Białymstoku ułożona była z bukszpanu gwiazda Dawida. Ktoś wyrywa rośliny, układa z nich swastykę. Sprawę umorzono, sprawców brak.

Pracownik Straży Granicznej z ośrodka dla uchodźców w Białymstoku pisze w internecie, że Czeczeni to „ścierwo”. Sędzia uznaje, że „ścierwo” nie jest obraźliwe.

2012 – dwaj skini atakują maczetami ochroniarza pubu, Ormianina Oxena S. Policja zatrzymuje siedem osób, w tym Oxena, postawiono mu zarzut usiłowania zabójstwa. Kilka dni później napadnięto na dom jego rodziców, a jakiś czas potem on sam został pokłuty nożami, jest ciężko ranny. Świadkowie są zastraszani przez skinów, by wycofali zeznania.

Na stadionie w Białymstoku zawieszona zostaje flaga z symbolami Hitlerjugend, pod klubem zostaje pobity mężczyzna, bo nosi czerwone spodnie.

Podczas meczu tak zwany gniazdowy, intonujący przyśpiewki, skanduje: „Jazda z k...ami, jazda z Żydami!”, „Jebać Żydów”. Tłum podchwytuje.

Grupa zamaskowanych mężczyzn demoluje Centrum Kultury Niezależnej, które wystawia przedstawienie dla dzieci w ramach Afrykańskiego Dnia Dziecka.

Sympatycy Młodzieży Wszechpolskiej zrywają i palą flagi Unii Europejskiej. W internecie ogłaszają: sezon polowań na unijne szmaty uważamy za otwarty!

Podczas juwenaliów pobici zostają studenci, bo z wyglądu „nie pasują do wizerunku prawdziwego Polaka”.

Czterech mężczyzn napada na siedemnastoletniego Czeczena. Sąd nie zgodził się na ich aresztowanie, kilka dni później jeden z nich dokonał kolejnego napadu.

Mężczyzna uderza w twarz ośmioletnie dziecko czeczeńskie. Matka stoi w sklepie, słyszy krzyk, wybiega, widzi, że jej syn leży na ziemi. Ucieka z dzieckiem do domu, napastnik idzie za nimi. Kobieta zagląda w wizjer, widzi gest podcinania gardła. Mężczyzna dostał półtora roku więzienia w zawieszeniu na trzy lata.

Grupa skinów atakuje mieszkanie Czeczena – rzuca kamieniami, butelkami i młotkiem. Czeczen wybiega z domu, jednego z nich rani nożem. Wracają większą grupą, próbują wtargnąć do mieszkania, obrzucają okna kamieniami, ranią dwumiesięczne dziecko.

2013 – podczas programu *Szkoło kontaktowe* emitowanego z Festiwalu Przystanek Woodstock dwudziestopięcioletni Oskar W. z Białegostoku wbiega na scenę i uderza w twarz dziennikarza Grzegorza Miecugowa.

Trzech mężczyzn atakuje słownie dwie Czeczenki, jedną z nich opluwają.

Uczestnicy marszu Narodowego Odrodzenia Polski na cmentarzu wojskowym wykonują gest hitlerowskiego pozdrowienia i skandują „Polska tylko dla Polaków”.

Podczas seminarium w Narewce na temat ochrony Puszczy Białowieskiej radny Leon Chlabicz

z Polskiego Stronnictwa Ludowego mówi w referacie, że winę za niszczenie puszczy ponoszą Żydzi: „Będąc na pustyni, gdzie poprzez odpowiednie procedury, obrzezanie na ósmy dzień skrzywiające ogonek ludzki, czy codzienne hodowanie, później określili się jako Naród Wybrany.[...] I właśnie ci ludzie wyobcowani, których genetyka, psychika została ukierunkowana na tworzenie sztucznego świata, realizują ten program i my pośrednio przyjęliśmy to”. Nikt nie reaguje na jego wypowiedź.

Adam Cz., były działacz Młodzieży Wszechpolskiej z Białegostoku, publikuje w internecie film, w którym mówi o podpaleniu mieszkania Kowalczyków i Naresha: „Białystok nie jest miastem tego pana, tylko jest moim miastem, a ten pan wróci tam, skąd przyjechał [...]. Białystok nie jest jego miastem, ponieważ ten pan nie jest biały. Białystok jest dla białych, podkreślam. A co o tej pani [Ewa Kowalczyk] możemy powiedzieć? Zdrajczyni rasy, zdrajczyni białej rasy. No i cóż. Tragedia narodowa”. Został skazany na pół roku więzienia.

Kazimierz Skalimowski, szef rady adwokackiej w Białymstoku, w wywiadzie dla białostockiego „Kuriera Porannego” mówi: „Imigranci stają się w wielu europejskich państwach coraz większym problemem. Często ludzie tacy chcą »doić cudzą krowę«. W tym sensie, że liczą w obcym państwie np. na zasiłki socjalne. Bić? Nie, ale nie lubić – tak”. Reaguje biuro Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców, przeprasza Naczelna Rada Adwokacka.

Dopiero podpalenie dwóch mieszkań dało obraz zagrożenia, jakie czyhało w Białymstoku. To wtedy Bartłomiej Sienkiewicz, minister spraw wewnętrznych i administracji, pogoniony przez Małgorzatę Kowalczyk, która wbrew radom policjantki zadzwoniła po telewizję, rzucił słynne: „Idziemy po was!”.

MSWiA po pół roku działań przygotowało raport, chwając się, że do końca 2013 roku przeszkolono wszystkich policjantów służby prewencyjnej i kryminalnej, by rozpoznawali przestępstwo z nienawiści albo nauczyli się, jak wyglądają swastyki. Wojewoda podlaski powołał specjalny zespół do przeciwdziałania rasizmowi, a w samym Białymstoku specjalną grupę dwunastu „najlepszych policjantów służb patrolowych”.

Raport pełen jest zagadek. W 2013 roku w Warszawie, jak czytam, i właśnie w województwie podlaskim wszczęto najwięcej spraw związanych z mową nienawiści. MSWiA oceniło, że to efekt „zwiększonej aktywności podlaskich służb”. Ale czy to znaczy, że w innych województwach „aktywności” nie zwiększono, a może uznano, że tam nie warto walczyć o tolerancję? W Białymstoku dziewięćdziesiąt procent takich spraw zakwalifikowano jako przestępstwo, a w Warszawie tylko pięćdziesiąt procent. Czy to znaczy, że w Warszawie nie są to już przestępstwa?

MSWiA przyznało w raporcie, że w drugiej połowie 2013 roku w Białymstoku wszczęto sprawy związane z przemocą na tle przynależności narodowej, etnicznej i rasowej, „które w pierwszym półroczu, jak i latach poprzednich, nie zostały w ogóle odnotowane”.

Policja podlaska w 2013 roku tylko z artykułu 256 Kodeksu karnego, propagowania ustroju faszystowskiego i nawoływania do nienawiści, wszczęła osiemdziesiąt pięć takich śledztw, ale przed wystąpieniem Sienkiewicza, w pierwszej połowie 2013 roku, było ich tylko sześć.

Jako przykład walki z ksenofobią i rasizmem raport ministerstwa podaje głównie inicjatywy pozarządowe, a nawet facebookowy profil Normalny Białystok. Tyle że autorzy raportu nie zrozumieli intencji Krzywickiego i Szady-Borzyszkowskiego.

„Mieszkańcy popierają akcję i nie godzą się z obrazem wykreowanym przez media, jakoby Białystok stał się stolicą rasizmu” – piszą urzędnicy. Sugerują tym, że Normalny Białystok skierowany jest

przeciwko mediom, które zafałszowują obraz miasta tolerancyjnego. Skąd MSWiA wzięło takie sformułowanie? Raport ministerialny w tym fragmencie pochodził od władz Białegostoku, które broniły się również tak: „można domniemywać, że ciemna liczba przestępstw z nienawiści [w innych regionach kraju] jest wyższa”.

Z kolei prokuratury prowadziły w 2013 roku w całym kraju 719 postępowań związanych z atakami rasistowskimi. Najwięcej, bo 202, w Warszawie. Połowę z nich umorzono z powodu niewykrycia sprawców. Białystok był na drugim miejscu – 172 sprawy, również połowę umorzono. W 67 przypadkach nie wykryto sprawców, w 25 nie dopatrzone się przestępstwa. Pozostałe większe miasta to znikoma część tej statystyki. Kraków – 90 spraw; Katowice – 50, Szczecin – 38, Poznań – 29, Wrocław – 95.

Pocieszające, że w 2013 roku żadnej sprawy nie umorzono z uwagi na znikomą społeczną szkodliwość czynu, ale po kontroli prokuratora generalnego okazało się, aż blisko trzydzieści procent spraw umorzono bezpodstawnie.

W porównaniu z okresem sprzed dziesięciu lat, liczba spraw prowadzonych z paragrafów dotyczących ksenofobii i rasizmu zwiększyła się w Polsce ponad dziesięciokrotnie, z blisko 70 do ponad 800. Zmniejszyła się przy tym ich wykrywalność. W 2007 roku wynosiła 40 procent, w 2013 tylko 18 procent.

Grupą najczęściej atakowaną werbalnie byli Żydzi – 199 spraw, czarnoskórzy – 95, Romowie – 62, Arabowie – 30, muzułmanie – 85, Rosjanie – 19, Łemkowie – 2. To głównie nawoływanie do nienawiści, groźby i blisko sto pobić.

W większości spraw skierowanych do sądów zapadały wyroki skazujące na karę więzienia z zawieszeniem na okres próbny.

W pierwszym półroczu 2014 roku prowadzono 427 nowych postępowań, najwięcej znów w Warszawie – 196 i na Podlasiu – 141 spraw.

W 2013 na terenie Białegostoku mieszkało 1200 obcokrajowców, 154 przebywało w ośrodku dla uchodźców, 700 studiowało.

# Opera

Jeden z białostockich policjantów przyznaje mi, że do wezwania Sienkiewicza „Idziemy po was!” nie mieli bladego pojęcia o aktualnych powiązaniach środowiska białostockich skinów, nie śledzili poczynąń znanych sobie wcześniej małolatów, teraz dorosłych już mężczyzn, którzy pierwsze swastyki malowali kredkami w zeszytach do języka polskiego.

Skoro jednak Sienkiewicz żądał wyników, powołano specgrupę. Latem 2013 roku dwoje policjantów CBŚ, kobieta i mężczyzna, którzy udawali parę skinów, zaprzyjaźniło się z niejakim „Gonzo”, jednym z białostockich skinów. Trafili za nim do agencji towarzyskiej w Białymstoku. Mieściła się w domu jednorodzinnym, pracowało w niej kilka Polek i jedna Białorusinka. Kupili też od skinów, w sposób kontrolowany, kilka kilogramów marihuany. Ustalili, że skini i kibice to przenikające się środowiska, w których występują różne frakcje. Są „wąsy”, czyli gówniarze, ultrasi, Prawicowa Jagiellonia, ale to skini są elitą, tworzą bojówkę do zadań specjalnych, chuliganerii, ustawek z innymi kibicami, działalności przestępczej. Nie ma tu wyraźnego przywództwa. Po wpadce IV Edycji powołują samorząd, na którym omawiają swoje interesy i idee. Spotykają się na siłowniach, ćwiczą tężyznę, wspomagają się sterydami, są w gotowości. W ścisłym zarządzie byli „Dragon”, „Buben”, „Staszyn”. To oni wzywali pozostałych, gdy trzeba było spuścić łomot albo wzmocnić ochronę burdelu, którą „Staszyn” miał zarządzać.

„Dragon” to tak naprawdę trzech braci. Tomasz G., najstarszy, to lider. Miał zarzuty pobicia, zastraszania świadków. Działał od lat w ruchu kibicowskim, studiował stosunki międzynarodowe w Wyższej Szkole Administracji Publicznej w Białymstoku.

Latem 2014 roku „Dragon”, „Staszyn”, „Buben” i ponad dwudziestu skinów po roku śledztwa zostało zatrzymanych. Po kilku miesiącach kolejni, razem sześćdziesiąt osób. „Dragon” w celi zaczął pisać pracę: „Propagowanie patriotyzmu na stadionie Jagiellonii Białystok”. Zapewniał policję, że nie jest faszystą, tylko narodowcem, patriotą, więźniem sumienia. Kibice Jagiellonii podczas meczów wywieszają dla niego pozdrowienia: „Dragon trzymaj się”.

Jest też „Myszka”, który napadł na księdza chodzącego po kołędzie i zlecił podpalenie samochodu obcokrajowca. Jest „White”, który robił kolegom tatuaże.

Sprawę powierzono prokuratorowi Grzegorzowi Masłowskiemu z białostockiego wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną.

Masłowski wygląda jak księgowy, biurokrata. To krępy pięćdziesięcioletniak o twarzy zamyślonej, bez emocji. Skończył prawo w latach osiemdziesiątych i poszedł do milicji. Po kilku miesiącach uznał, że nie lubi apeli, musztry, nie chce siedzieć trzy lata na krawężniku. Zrobił aplikację prokuratorską, szybko awansował, bo zagadki, pozornie nierozwiązywalne, to jego specjalność. Lubi czytać kryminały, zwłaszcza Agathę Christie, a Herkules Poirot to jego ulubiona postać. Wychodzi z prostego założenia – trzeba wiedzieć wszystko o wszystkim. W 2014 roku ma nadzieję, że rozbijając grupę „Staszyna”, „Dragona”, dojdzie do sprawców podpalen mieszkań. Traktuje to honorowo.

„Staszynowi” i kilku kompanom zarzuca czerpanie korzyści majątkowych z nierządu, kilku innym handel narkotykami, pozostałym propagowanie faszyzmu i udział w bójkach. Dowody na faszyzm znajdują się w komputerach zatrzymanych, którzy nie spodziewali się zapewne zatrzymania – dziesiątki zdjęć - chłopaków pozujących z gestem „Heil Hitler!” w miejscach publicznych.

„Dragon” mówi podczas przesłuchania, że robi się z niego faszystę, a jest patriotą. Masłowski

pokazuje mu zdjęcie, na którym stoi pod stadionem, otoczony przez kordon policji, i wyciąga rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. Uważa, że „Dragon” to cwaniak, chce iść w politykę.

Do prokuratury przychodzi pismo z Opery Podlaskiej. Dyrektor Damian Tanajewski prosi w nim, by prokurator wypuścił z aresztu Dominika G., operatora sceny, świetnego w swoim fachu. Masłowski, który postawił mu zarzut udziału w bójkach kibicowskich, nie wyraża zgody. Przychodzi jeszcze prawnik opery, składa poręczenie. Dominik G. to „Grucha”, trzydziestotrzylatek, neofaszysta ze starej gwardii. Opera zapewnia, że jest z niego doskonały pracownik, ale dyrektor z pewnością wiedział o przeszłości „Gruchy”. Gdy w 2014 roku gościł w operze prezydent Bronisław Komorowski, „Grucha” nie przeszedł weryfikacji Biura Ochrony Rządu, musiał opuścić budynek. Po co „Grucha” na gwałt operze? W *Skrzypku na dachu* gra Żyda, niesie na scenie stół szabasowy. Damian Tanajewski, dyrektor Opery Podlaskiej, mówi mi, że nie interesuje go przeszłość „Gruchy”, że trzeba dać szansę, bo każdy ma prawo do błędów.

Po naradzie z żoną „Grucha” nie chce ze mną rozmawiać. Choć policja znalazła w jego mieszkaniu pisma faszystowskie, zapewnia mnie, że to starocie, zerwał z neofaszyzmem, ma dziecko, lubi pracę w operze.

Masłowski próbuje zdefiniować pojęcie skina.

„Jesteś skinem?” – pyta jednego z zatrzymanych.

„Tak”.

„Co to jest?”

„Filozofia organizacji patriotyczno-faszystowskiej”.

Masłowski widzi wytatuowane dłonie, prosi, by podwinął rękawy. Na jednym przedramieniu znak „Polski Walczącej”, na drugim swastyka.

„Jak to godzisz?” – pyta.

Mężczyzna patrzy w sufit, zamyśla się i pozostaje w tym stanie. Masłowski zastanawia się nad powołaniem psychiatry, ale skoro obrona o to nie wniosowała, uznaje, że nie będzie demolował aktu oskarżenia. Policja fotografuje zatrzymanych, półnagich. Tatuaze mają być dowodami w sądzie: są tam hasła i swastyki, jeden ma niemiecki czołg, który jedzie mu przez pół nogi. Wśród dowodów są też zdjęcia z komputera i film, na którym grupa mężczyzn stoi w kominiarkach z maczetami i wznosi ręce w geście „Heil Hitler!”. Film chcieli wysłać do Antify, organizacji antyfaszystowskiej, jako ostrzeżenie.

W śledztwie pomaga jeden z zatrzymanych, skruszał. Rozpoznaje zamaskowanych na filmie mężczyzn.

Bezdiskusyjne dla prokuratury są powiązania skinów z kibicami Jagiellonii Białystok. W dokumentach Stowarzyszenia Dzieci Białegostoku, organizacji zrzeszającej kibiców, są pokwitowania za karnety na siłownię, kupowane dla skinów. Gdy kibice trafiają do aresztu, na trybunie pojawia się baner: „Pozdrowienia do więzienia”, i obowiązkowe zrzutki na paczki, czterdzieści złotych miesięcznie od kibica.

Zagadką dla Masłowskiego pozostaje, kto podpalił mieszkania. Zatrzymani nie chcą o tym mówić, a w śledztwie pojawia się nowy gracz, młody mecenas Rafał Gulko. Gdy policjanci przywieźli grupę do prokuratury, w ubikacji zarejestrowali jego dialog z „Gruchą”.

Mecenas Gulko podchodzi do pisuaru. Z kabiny, pilnowanej przez policjantów, rozlega się rozpaczliwe pytanie.

„Rafał? To ty?”

„No”.

„Broń mnie też!”

„Ty kto?”

„Grucha”.

„Dobra! Aha, pamiętaj, mów mi w sądzie: »panie mecenasie«”.

– Tak, to jest pewien problem – stwierdza nieco zażenowany Gulko, gdy siadamy w białostockiej restauracji przy porannej kawie. Dwudziestoośmiolatek, wysoki, w szykownym garniturze. Pewny krok, mocny uścisk ręki, szelmowski uśmiech. Zna prawie wszystkich zatrzymanych przez Masłowskiego z dyskotek, imprez. Zna „Dragona”, „Gruchę”, „Staszyna”. Na stadion nie chodzi, za piłką nie przepada, ale to jego rówieśnicy, podobny krąg kulturowy, bo przecież to nie prymitywy, porządni ludzie, inteligentni, tylko media robią z nich nazioli. Ci młodszy to gówniarze, silni w grupie, w pojedynkę to leszcze, żaden gang. Jeśli są jakieś zdjęcia z „Heil Hitler!”, swastyki, to głupota, oni nie rozumieją, co mówią, nie znają pojęcia patriotyzmu. Neofaszyzm to moda, potrzeba bycia w stadzie, przeminie.

Wszyscy zatrzymani koledzy Gulki mają w swoich telefonach jego numer i gdy rano puka do nich Centralne Biuro Śledcze, to dzwonią, a on zjawia się po chwili. Nie ma rodziny, dzieci, jest dyspozycyjny, to jego atut. Pamięta tamten dzień zatrzymania. Zadzwonili, pojechał. Widzi w prokuraturze tłum, który rzucił się na niego, a jeszcze „Grucha” w toalecie, wszyscy po imieniu, nawet na sali sądowej, więc musiał im przypominać, by mówili per „mecenasie”, bo obciach.

Gulko pracuje w kancelarii adwokata Leszka Kudryckiego, znanego białostockiego prawnika, który zasłynął w latach dziewięćdziesiątych jako adwokat mafii, broniąc choćby „Dziada”, szefa grupy wołomińskiej. Kudrycki jest mężem Barbary Kudryckiej, posłanki Platformy Obywatelskiej, byłej minister nauki i szkolnictwa wyższego.

Gulko poszedł na prawo za namową ojca, jubilera, który sam miał zatarg z prawem, gdy policja zatrzymała go za paserstwo i grożenie bronią, przesiedział czterdzieści osiem godzin. Ojciec jest porywczy, ale uczciwy, mówi Gulko junior. Jak syna traktuje go też mecenas Kudrycki, który ma dwie córki. Dzięki niemu Gulko łapie bakcyła adwokackiego. Tłumaczy, że Kudrycki ma opinię „obrońcy faszystów”, ale niesłuszną, bo to Gulko nagania takie sprawy. Klienci jak każdy inny, tylko media się na chłopaków uwzięły. Uważa, że są perspektywiczni, mają przecież rodziny, każdy potrzebuje pomocy prawnika. Za dziesięć, piętnaście lat przyjdą dzieci tych klientów, praca pewna. Za darmo ich nie broni, choć się znają. Jeśli nie mają pieniędzy, organizują zrzutki, po pięćdziesiąt–sto złotych, a za każde uniewinnienie i tak dostanie od Skarbu Państwa zwrot kosztów.

Prokurator Masłowski? Gulko kiwa głową z uznaniem. Potrafi nękać jego klientów, nie daje widzeń, a jeśli, to przez plastikową szybę. Uparty, twardy, od żadnego prokuratora się tyle nie nauczył, ale spokojnie, Gulko dopiero zbiera doświadczenie, pracuje na swoją markę. Gdy policjanci CBŚ zatrzymują kiboli, ci już mówią: „dzwońcie do Gulki, jedziemy na dołek”.



## „Staszyn”

„Dragon” odsiaduje zaległe wyroki, „Grucha” naradził się z żoną i nie porozmawia. Idę do pubu Kotłownia, nieopodal pomnika „Bóg, Honor, Ojczyzna”, zostawiam barmance kartkę z numerem telefonu, proszę, by oddzwonił do mnie właściciel. Oddzwania Adam S., ps. „Staszyn”, bo Masłowski zwolnił wszystkich z aresztu, uznał, że materiał dowodowy ma już mocny, szykuje akt oskarżenia. Uważa, że to „Staszyn”, trzydziestopięciolatek, rządził gangiem, kierował burdelem, że jest najbardziej zdemoralizowany. Znalaziono przy nim broń, którą dwanaście lat wcześniej skradziono policjantowi. W komputerze, oprócz faszystowskich zdjęć, „Staszyn” miał też zdjęcia syna, od chrztu w kościele do pierwszej klasy. Na plecach „Staszyn” ma wytatuowane dwie swastyki, anioła śmierci i napis „No Remorse” [bez wyrzutów sumienia].

Stacja benzynowa na przedmieściach Białegostoku wygląda o drugiej w nocy jak każda korporacyjna stacja nocą. Tylko że w tej siedzi „Staszyn”, sączy kawę i pyta, czego od niego chce. Ma jakieś 190 centymetrów wzrostu, 100 kilogramów wagi, budowę atletyczną, ale nie sterydową, prawie łysy. Twarz poharatana niechęcią do świata, nonszalancki, ledwie słyszalny głos. Nie chce mu się gadać, ale przyjechał z ciekawości, bo nigdy jeszcze nie rozmawiał z dziennikarzem.

Jaki gang? Jakie kurwy? Jacy faszyści? „Staszyn” prycha. To nagonka, sprawa medialna. Przez te pseudopodpalenia drzwi przez jakichś gówniarzy minister zaczął robić naloty, policja zatrzymuje jak leci, nie wiadomo za co, bo „Staszyn” połowy ludzi, którymi miał rządzić, nie zna, na oczy nie widział. Zna „Gruchę”, „Dragona”, kilku innych, nie będzie się wypierał. Stał na bramce w burdelu, prawda, ale to nie on czerpał korzyści, nie zatrudniał ludzi. Faszyści na zdjęciach w komputerze? Z internetu można ściągnąć, podobieństwo przypadkowe, a poza tym skąd Masłowski może wiedzieć, skoro wszyscy tam stoją w kominiarkach.

„Staszyn” jest z Białegostoku, o rodzicach nie będzie mówił, o siostrze, która pracuje w białostockiej policji, też, a na pewno nic nie powie o siedmioletnim synu. Zrobił średnią szkołę, bez matury, pracował na budowie, był kierowcą, dwa lata za granicą. Pytam o swastyki na plecach, uśmiecha się tajemniczo.

– Osiedle, koledzy, zacząłem w to wierzyć. Dlaczego? Coś tam z domu się wynosi, czasami rodzice, choć nie mówię o swoich, siedzą przed telewizorem, komentują: „O, ten Żydek, tamten Żydek”, ale moi to dobrzy ludzie, dali mi kulturę osobistą, nie wychowali na kryminalistę, mieli dla mnie czas, może nawet za dużo. Buntowałem się, bo zakazy, nakazy, odbiłem w drugą stronę, szukałem czegoś swojego. Swastyki na plecach to młodzieńcza głupota, miałem chyba siedemnaście lat, kolega wydzierał mi zaostrzoną struną połączoną z wkładem do długopisu i silniczkiem od walkmana, taki bunt. Po ulicach zaczęli chodzić Czeczeni, hotel za darmo, żarcie za darmo. Ja zapierałem na budowie, a te bydlaki siedziały w hotelach, nie można było przejść koło nich spokojnie, bo ich, dla nich. Budzili nienawiść, bo we własnym mieście jestem gorzej traktowany niż te bydlaki. To nie tak, że my atakujemy, to oni nas zaczepiali, taka banda Czeczenów nie stoi spokojnie, szuka zaczepki. Potem te „erasmusy” zaczęły przyjeżdżać, to są prawdziwi rasiści, wykorzystują wolność, zaczepiają, a jak dostaną to „wina białych!”. W USA biadolą, że biednego Murzynka zastrzelili, że policjanci rasiści, ale to nadużywanie słowa, nikt nie mówi, jak zachowują się czarni policjanci wobec białych.

Pamiętam, jak na Wierzbowej w Białymstoku szedł chłopak, Czeczen zaczął gonić go do sklepu z nożem. Zebrał kolegów, nawrzucał kamieni przez okno, ale wszyscy pisali, że banda chuliganów obrzucała porządną rodzinę czeczeńską, że dziecko dostało.

Pan tego nie rozumie, ma pan inny światopogląd, patrzy obiektywnie, a ja nie potrafię. Bo nie chodzi o to, że oni mają ciemną karnację, że tu przyjeżdżają. Każdy normalny obywatel idzie do pracy, płaci podatki, wynajmuje mieszkanie, a naród czeczeński trzyma się w bandzie, nie płaci za nic, tylko na garnuszkę miasta, państwa. Przecież te mieszkania dla nich były po eksmisjach, taka jest prawda. Ludzi wyrzucono, bo ich nie było stać, a dali tym za darmo. No to jak człowieka może kurwica nie strzelić? Miał pan styczność z Czeczenami? I co? Tęsknią za ojczyzną? (*śmiech*) Stałem raz pod klubem, trzeźwy, bo nie piję, podszedł Czeczen, trąca barkiem, z gębą, ja odchodzę, a potem się dowiaduję, że wrócił z bandą, z pałami, szukali mnie, bo poczulili się urażeni. Nie chciałem wchodzić w zaczepki, byłem na zwolnieniu warunkowym, cichutki, przykładowy obywatel.

Albo to podpalenie – wybryk gówniarzy, pewnie ktoś inny zrobił, a zrzucili na skinów. Tam mieszkał jakiś Hindus, a czy pan wie, że przed nim mieszkali normalni ludzie, tylko eksmitowani? Kowalczykowie mieszkali? Od lat? No nie wiem, mówię tylko, co słyszałem.

Tutaj jest moje miejsce, moje miasto, chcę żyć normalnie, mam knajpę, zarabiam na siebie, ale komuś nie pasowało, że taka osoba jak ja... Przez błędy młodości niszczą mi życie, nie chcą odpuścić, choć się zmieniłem. Faszizm? Dajmy spokój! No był Holocaust, Hitlera poniosło troszeczkę, ale z drugiej strony, gdyby nie zrobił takiej czystki, to co by się teraz działo na świecie? No? W Białymstoku, mówi mi pan, było tylu Żydów? Nie wiedziałem. To co by było, gdyby nie Hitler, gdyby nie czystka? Ale jestem starszy dzisiaj, jak byłem młody, byłem bardziej radykalny.

„Staszyn”, który ma na plecach dwie swastyki, pomieszczenia swojego pubu Kotłownia dzierżawi od Uniwersytetu w Białymstoku – są pod podłogą gabinetu profesora Andrzeja Sadowskiego.

## Zasady

– Ja tego, kurwa, nie rozumiem, znam wszystkich, ale nie rozumiem! Słyszałem, że jeden sobie wytatuował „Polskę Walczącą” i swastykę. Kto ich historii uczył? Co to za świat?

Sławomir Z., ps. „Mycha”, szeroki, łysy pięćdziesięciolatek o sympatycznym uśmiechu, ma więzienne tatuaże na przedramionach. Były podlaski gangster, żołnierz słynnego „Baraniny”, z kryminalną kartoteką zapisaną połową Kodeksu karnego, siedzi ze mną w restauracji Sztuka Mięsa i między kęsami dokonuje syntezy współczesnej przestępczości Białegostoku.

– Kiedyś narkotyki były zakazane, tak sobie powiedzieliśmy w więzieniu: nigdy nie będziemy tym handlować. A teraz patrioci handlują prochami? Gdzie zasady, grypsierka, no straszne rzeczy, jakaś patologia, nie godzę się z tym wszystkim, nie pasuję do tego.

„Mycha” rzuca widelcem o talerz.

Podchodzi jego znajomy, wysoki na dwa metry, szeroki, w złocie i nike’ach.

– Słuchaj no – mówi mu „Mycha” – mam chłopaka, handluje telefonami w galerii, w centrum, dobry dzieciak, a jego ojciec, jak i mój ojczym, był wojskowym, ale się powiesił, matka zapła i on teraz opiekuje się siostrą, handluje samochodami, telefonami i jakiś, kurwa, leszcz chce od niego pieniędzy. Czy ty możesz to załatwić, czy ja mam się za to wziąć? Powiedz temu, co go straszy, żeby się odpierdolił, bo to dobry dzieciak, no bardzo cię proszę... Dobra?

Wysoki potakuje głową, że dobra, i wychodzi.

– No taki jestem – „Mycha” nakłada mięsną sałatkę – że pomogę, jak widzę uczciwego człowieka, ale ludzie myślą latami osiemdziesiątymi, że jedzie ekipa, spuszcza wpierdół. To nie te czasy, od tego są prawnicy, sądy i ja chcę – podnosi widelec – by moje dzieci żyły w kraju, w mieście, w którym jest mocna policja i skuteczne prawo. Nie dziwię się, że Sienkiewicz mówi: „Idziemy po was”. Ja też im mówię: „Dzieciaki, po co szcacie pod wiatr? Nie możecie zgodnie z literą prawą? Drzwi ludziom podpalacie? Nie zgadzacie się, to załóżcie partię!”.

„Mycha” jest „stąd”, dziadek był w Armii Krajowej, ojczym dyrektorem szkoły muzycznej, ale rozwiódł się z matką, nauczycielką, i „Mycha” widział go kilka razy w życiu. „Mycha” stał na bramkach po knajpach, kręcił lewe interesy, wyjechał za granicę i został żołnierzem Jeremiasza Barańskiego, „Baraniny”, zabójcy, złodzieja, gangstera.

– Niedaleko, koło Sokółki, w latach dziewięćdziesiątych – kontynuuje „Mycha” – miałem zorganizować dla „Baraniny” centrum handlowe dla Rosjan, ponad tysiąc boksów, ale interes nie wypalił, bo był nie w smak handlarzom z Białegostoku. Na Podlasiu było raczej spokojnie, dużo prawidłowych złodziei, którzy jeździli na Zachód, żadnych zadym, morderstw, bomb. No raz takiego Cześka odstrzelili, dwóch zaginęło bez śladu, ale jednak był spokój. Teraz szajki się skinami wysługują, ale to niezgodne z moimi poglądami, bo szanuję wszystkie rasy, choć jestem już gangsterskim emerytem. Tylko nie rozumiem... jak to się ma, te ich poglądy, patriotyzm, do historii, bo jeśli biorą się za burdele, prochy... wszystko się pomieszało... nabici sterydami, obwieszeni złotem i swastykami.

Mam swoje wartości, które szanuję. Jestem wierzący, postrzegam wiarę przez maryjność, a to pewnie lokalne, wyniesione z domu, bo tu katolicy na wschodzie są silni wiarą, a prawosławni to dobrzy, spokojni ludzie.

Matka Boska zawsze mi towarzyszyła, chroniła mnie. Pamiętam lata dziewięćdziesiąte u „Baraniny” w Austrii, zawsze najpierw zmawiałem modlitwę, by nikomu nic się nie stało, wchodziłem do kościoła,

a potem dopiero na akcję. Nocne bary, kasyna, Serbowie, Ruscy, nasza ekipa, wszyscy w marynarkach, wiedeński szyk. Raz zginął taki „Maserati”, miałem jechać za niego na akcję do Innsbrucka, bo Turcy tam otworzyli kasyno. Najpierw jednak do kościoła, modłę się, także za „Rudego”, kolegę, który dostał akurat nożem, i coś mnie tknęło, podpowiedziało, by nie brać tej roboty. Jedzie za mnie kto inny, a Turcy stoły do góry i strzelają. Temu, co za mnie pojechał, szyja pękła jak pomidor.

Także mam zasady, zaszczepiam je moim dzieciom, syn tu w parafii w Białymstoku jest lektorem Pisma Świętego, wstaje o dziewiątej rano w niedzielę, idzie do kościoła i czyta. Ale żeby pan nie myślał sobie, że pieprzę ot tak, to proszę, zawsze to noszę przy sobie...

„Mycha” wkłada rękę głęboko do kieszeni spodni, wyciąga i otwiera dłoń. Leży na niej malutki drewniany różaniec.

\*\*\*

Siedzę w stołówce Sądu Okręgowego w Białymstoku w przerwie między lekturą archiwalnych spraw dotyczących antysemityzmu, ksenofobii, IV Edycji. Zamawiam kawę, biorę gazetę z regału. Na dole leżą gazety wydawane przez Leszka Bubla, wielokrotnie sądanego za antysemityzm. Tytuły na okładach: „Lista najgorszych Żydów 2014”, „Talmud: studnia żydowskiego przemysłu porno – gdy dzieci gwałcą dzieci”, „Dlaczego Żydzi w Polsce mogą bezkarnie kraść?”, „Kim są żydowscy przywódcy w Polsce?”, „Prokuratura odmawia śledztwa przeciwko żydowskim złodziejom miliardów”.

Idę na górę, do prezesa sądu Przemysław Wasilewski. Właśnie awansował, to jego pierwszy dzień na nowym stanowisku. Pokazuję mu gazety Bubla, który za antysemityzm sądzony był także w tym budynku. Sędzia przegląda nagłówki, kręci głową z niedowierzaniem.

– To jest w ogóle legalne? Gdzie to można kupić?

# IV

Power

# Disco

## Boys

Wnory Wiechy, czterdzieści kilometrów na zachód od Białegostoku. Zadbane gospodarstwa żyjące głównie z produkcji mleka i źródło, z którego dwadzieścia lat temu wytrysnęła prawdziwie polska ludowa muzyka rozrywkowa.

Gdyby spytać miejscowych, co drugi ma na nazwisko Kulesza, jak nazwa gminy – Kulesze Kościelne. Tu dzieciństwo spędził Cezary Kulesza, twórca discopolowej potęgi, właściciel muzyki i muzyków, klubu Jagiellonia Białystok, niezliczonej ilości gruntów, kamienic, galerii handlowych, król Białegostoku i kuzyn żony białostockiego prezydenta. Człowiek, który Podlasie wciągnął nosem.

Trzy razy mijam autem jego najsłynniejszą podlaską dyskotekę we Wnorach Wiechach, Scorpio, bo wygląda jak porzucona w polu kukurydzy hurtownia. Goła cegła i wybite szyby zaklejone czarną folią, pstrokate reklamy, pokruszone schody, na piaszczystym podwórzu stłuczka szklana, dywan petów, ale coś tam w środku jednak lekko dudni:

Na zabawie tej wszyscy bawią się,  
a ja stoję sam, bo dziewczynę,  
która skradła serce me,  
porwał jakiś pan.

Stoję sam przed wejściem, za wcześniej przyjechałem, choć to piątek, godzina dwudziesta pierwsza. Wchodzę w inny wymiar estetyki: gra laserów, świateł, srebrno, czarno, kolorowo, scenograficzne cuda, bary za szybami, chillout na westernowo, barmanki ubrane bez obciachu, sprzęt nagłaśniający na światowym poziomie. Z zewnątrz – nie przychodźcie, wewnątrz – nie wychodźcie. Na tyłach szykuje się zespół Akcent. Słyszę warkot silników, auta otaczają dyskotekę jak dzika banda, która przemierzyła prerię. Podjeżdżają bmw, audi z małolatami, którym ojcowie dali kluczyki. Na tylnych siedzeniach gimnazjalistki o karminowych ustach i niebieskich powiekach jak własne matki, obok siostry, kuzynki, koleżanki, flaszka wódki między ich kolanami, bo wejście po piętnaście złotych, a drinki drogie jak w Warszawie. Siedzą w samochodach i czekają do pustej flaszki. Scorpio wpuszcza każdego, bez ograniczeń wiekowych. Parking już pełny, kręcą bączki, kurzawa idzie, małolaty gotowe, ochrona na bramce w pozycjach obronnych, didżej pod parą i start – poszły szlagiery po polu kukurydzy:

Odkąd zobaczyłem ciebie,  
Nie mogę jeść, nie mogę spać.  
Jak do tego doszło, nie wiem,  
Miłość o sobie dała znać.

– Pieniądz w disco polo musi być widoczny – mówi mi Robert Sasinowski, czterdziestolatek, współtwórca słynnego discopolowego zespołu Boys – bo jak przyjeżdżam do miasteczka dobrym samochodem jako gwiazda wieczoru, to wychodzi do mnie burmistrz.

Sasinowski ma urok scenicznego amanta, perliste białe zęby pod zalotnym uśmiechem i szyk muzyka rockowego.

Urodził się w Prostkach, osiemdziesiąt kilometrów od Białegostoku. Przyjechał do stolicy Podlasia do

szkoły średniej, mieszkał w internacie. Ojciec, muzyk z wykształcenia, uczył w szkole, a mama była nauczycielką matematyki. Sasinowski grał najpierw w garażu, z kolegą – electropop, kawałki Depeche Mode, Republiki. Na ich zabawach tanecznych ludzie stoją, słuchają, a na imprezach Bayer Full, Top One, discopolowych potęg początku lat dziewięćdziesiątych, tańczą i śpiewają. Boys też idzie w disco polo, ale nie dla pieniędzy, zarzeka się Sasinowski, dla pasji. Pierwszy koncert dają w stodole. Chłopy w kufajkach zakładali dyskoteki, bo w Polsacie zobaczyli potencjał tej muzyki, transmisję „Gali piosenki popularnej” z Sali Kongresowej, na którą zabrakło biletów. Z jednej strony Sasinowski widział siano, z drugiej – scenę zbitą z surowych desek. Stodoły stały w co drugiej wiosce, bo jak jeden zrobił, drugi podpatrywał. Na jedną zabawę przychodziło po kilkaset osób, kosztów nie było, zyski trzeba było ważyć, bo na liczenie nie starczyłoby życia.

W 1992 roku powstaje pierwsza profesjonalna dyskoteka discopolowa, Panderoza, w Janowie koło Białegostoku. Zbudowali ją na nielegalnym wysypisku śmieci dwaj bracia, którzy nie mieli co robić z walutą zarobioną na budowach w USA. Z dyskoteki zadowolone były gminne władze, choć powstała nielegalnie. By ominąć przepisy, sanepid, nadzory budowlane, bracia udawali, że stawiają gospodarstwo, a dyskotekę otworzyli w oborze. Na ścianie położyli terakotę, jak w basenie, by nieśmiali, opierając się o nią nogami, nie brudzili jak świnie. Pomyśleli o transporcie – autobusach, które zwoziły klientów z odległości pięćdziesięciu kilometrów. Lokalne gazety zamieszczały specjalne informatory z rozkładem jazdy tylko do podlaskich dyskotek discopolowych. W połowie lat dziewięćdziesiątych stało ich już dwadzieścia, grało osiemdziesiąt zespołów klonów Bayer Full – chłopców z tlenionymi grzywkami, w spodniach „marmurkach”, białych skarpetkach, w czarnych mokasynach z frędzelkami. Nawet Boys zakładają własną dyskotekę, w Ciechocinku, koszty zwróciły się w kilka tygodni. Klub, jak pamięta Sasinowski, działał w weekendy. Proboszczowi nie przeszkadzało, że nawet w niedzielę, niepokoił się o piątek, bo to przecież post.

Tak jak Śląsk był zagłębiem węglowym, tak Podlasie wyrosło na zagłębie discopolowe.

Cezary Kulesza kończył wtedy karierę piłkarską, niezbyt udaną. Grał w Jagiellonii, bez sukcesów w Belgii, wszedł z braćmi do spółki, otworzyli firmę Green Star. To nawiązanie do Blue Star Sławomira Skrety, wtedy potentata wydawniczego pod Warszawą, który produkował kasety z muzyką jak pieczywo. To on wymyślił nazwę „disco polo”, organizował pierwszą galę w Sali Kongresowej.

– Nie znałem jeszcze Kuleszy – mówi Sasinowski – graliśmy u braci. Do Blue Star wysłaliśmy kasety z kawałkami nagrany w jeden wieczór, w garażu, na zwykły magnetofon. Słysząc na niej turkot ulicy i trzaskanie garażowymi drzwiami. Miała pół godziny, zostało cztery minuty wolnego miejsca, dograliśmy piosenkę *Niech żyje wolność i swoboda*, przerobioną z wolnego walczyka. Okazała się hitem. Pojechaliśmy do wytwórni – to był hangar, przy jednej ze ścian stali ludzie i przekładali nagrane kasety na ścianie pełnej magnetofonów, naklejali nalepki. Dotarło do mnie, na jaką skalę to biznes. – Sasinowski mruży oczy i zaciska zęby, jakby zobaczył blask diamentów.

Pierwszą kasety Sasinowski oddał Blue Star za darmo, cieszył się, że idzie w Polskę, a gdy na dworcu kolejowym w Białymstoku usłyszał, jak cały peron rezerwistów śpiewa jego *Wolność i swobodę*, zobaczył swoją przyszłość. Właściciel Blue Star dzięki tej kasecie podskakiwał w nowym samochodzie wartości domu, bo każda, z przebojami, sprzedawała się w półmilionowym nakładzie. Nie istniały wtedy umowy prawne, zespół oddawał materiał na gębę i na gębę dostawał gotówkę. Starczyło na samochód – używany, jeśli na kasecie nie było żadnego hitu.

Zespołów, głównie na Podlasiu, było wkrótce ponad sto, więc studio pod Warszawą pracowało na trzy zmiany, w jednym tygodniu wydawało trzy nowe kasety. To był szczyt disco polo.

W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych cały ten rynek kontrolował już Cezary Kulesza, bo jeden z braci miał słabość do alkoholu, a drugiego wykupił. Kulesza miał problemy, by policzyć wszystkie swoje kluby, Sasinowski został jego menedżerem.

– Miałem numery stacjonarne do każdego zespołu – mówi – ich dziewczyn, matek, kochanek, szkół i internatów. Obstawiałem dla Czarka wszystkie dyskoteki na Podlasiu, nie dawałem rady, więc kupił mi telefon komórkowy, w walizce. Starczało baterii na pół godziny, a jak wyjeżdżałem z miasta, musiałem stawać w każdym napotkanym barze.

Skoro mieli zespoły i dyskoteki, to po co wysyłać nagrany materiał do firmy pod Warszawą i zarabiać złotówkę na kasecie. Green Star zaczyna samodzielnie nagrywać, kontroluje całą linię produkcyjną i dyskotekową. Jeśli jakiś klub nie należał do Kuleszy, to był od niego zależny, bo Kulesza był właścicielem wszystkich znanych na Podlasiu zespołów. Kupował prawa do utworów, łącznie z nazwą kapeli. Żaden bez jego wiedzy nie mógł wyjść na scenę. Decydował, gdzie grają, za ile i dla kogo. Jeśli chciał ukarać klub, który do niego nie należał, to zespoły tam nie jechały. Jeśli klub chciał się dogadać, płacił Kuleszy abonament za wypożyczenie zespołu.

Pojawił się problem – mafia wołomińska i pruszkowska, dla której Białystok był dzielnicą Warszawy. Przyjeżdżali do nowej dyskoteki, nim wstęgę zdążył przeciąć wójt, wymuszali haracze, wstawiali swój alkohol i ochronę. By podzielić rynek sprawiedliwie, uznali, że dyskoteki będą ze sobą sąsiadować w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Te, które stały w mniejszej odległości i nie należały do nich, przypadkowo spłonęły.

Dla mafii, podobnie jak Kuleszy, dyskoteki były złotym interesem. Koszt niewielki: sala, barman, alkohol. Ale tym, co przyciągało ludzi, była muzyka, a ta należała do Kuleszy. By ratować swoje dyskoteki, dogadał się z mafią wołomińską. Muzycy stali się wtedy częstymi bywalcami sądów i prokuratur, by zeznawać po każdej podłożonej bombie, z których na szczęście żadna nie wybuchła. Sami muzycy mieli szacunek u bandytów, także z powodów artystycznych. *Wolność i swoboda* wyzwalała w nich tożsamościowe emocje więzienne. Jeden z prokuratorów białostockich przyznaje mi, że w latach dziewięćdziesiątych sam Kulesza bez żenady zwalczał dyskoteki, które robiły mu konkurencję, ale kartotekę kryminalną ma czystą.

To również czasy innej wschodzącej gwiazdy, Andrzeja Leppera, który po dyskotekach Green Staru szukał elektoratu. Kulesza obwoził go po swoich tancbudach. Jeden z zespołów napisał mu słynny partyjny hymn, *Ten kraj jest wasz i nasz*, który okazał się plagiatem czeskiej piosenki.

Kulesza, jak mówi mi Sasinowski, nie lubi wywiadów, uznaje, że im ciszej jedziesz, tym dalej zajedziesz. Ceni lojalność, jest stały w uczuciach biznesowych – tę samą księgową ma od dwudziestu pięciu lat, otacza się piłkarzami. Menadżerem po Sasinowskim został napastnik Jagiellonii. Kulesza nie był wybitnym piłkarzem, ale to twardy zawodnik. Gdy Sasinowski negocjował jedną z umów, przygotowywał się dwa miesiące. Kulesza przedstawił swoje warunki w jednej chwili i powiedział: „wychodzę, wrócę za pięć minutę, decyduj”. Nie ma szkół, ledwie technikum, nie zna pojęć ekonomicznych, ale ponoć szybko czyta, gdzie ryzyko, zysk, a gdzie koszty.

Na stronie internetowej jego firmy Green Star czytam ostrzeżenie: wszystkie utwory zespołu Toples, łącznie z nazwą grupy, należą do Kuleszy, kto będzie się nimi posługiwał lub podszywał, skończy



w sądzie. Ostrzeżenie ma jednego adresata – Marcina Siegieńczuka – który próbował odejść, rozwijając własną karierę.

W latach dziewięćdziesiątych nikt się nie orientował, co to prawa autorskie, jakie będą z tego profity, gdy stacje radiowe, Polsat zaczną emitować disco polo. Siegieńczuk po odejściu od Kuleszy odebrał z kasy ZAiKS ponad trzysta tysięcy złotych tantiem za utwory zespołu Toples. Dowiedział się o tym Kulesza i przypomniał, że wszystko jest jego, a muzyk to tylko koń w discopolowej stajni. Kulesza dobrodusznie zaproponował podział, pół na pół, Siegieńczuk się nie zgodził, przegrał w sądzie. Ma zakaz używania nazwy własnego zespołu, musiał oddać pieniądze.

Siegieńczuk wchodził na rynek w 1998, gdy disco polo z niego schodziło. Ale nie na Podlasiu.

W lobby hotelu Sobieski w Białymstoku siedzi przy stoliku. Jest w dresie, właśnie wrócił ze szkółki karate, którą prowadzi dla dzieciaków. Włosy zaczesane żelem, ale dyskretnie.

Pochodzi w Białegostoku, gitarę wziął do ręki, gdy miał dziesięć lat, do disco polo ma podejście intelektualne. Podlasie, tłumaczy mi, to region rozśpiewany, z naleciałościami ze wschodu. Jego ojciec grał na akordeonie, nikt w rodzinie się nie krępował, by emocje wyrażać muzyką. Pamięta ulubiony kawałek ojca: *Mała, błękitna chusteczka*.

Ta, którą noszę od lat...  
Moja błękitna, mała chusteczka  
mgłą przesłoniła mi świat.

Mama była kelnerką, przesiadywał z nią w restauracjach, zawsze grał tam zespół, więc wyrastał w klimacie biesiady. Jako chłopiec bawił się w festiwale, naśladując gwiazdy Kołobrzegu i Sopotu.

– Jak się robi przebój discopolowy? – pytam.

Nie ma patentu, nigdy nie wiadomo, co przyjmie publika. Nie miał pojęcia, że przebojem zostanie jego *Sąsiadka*:

Nie da ci tego ojciec, nie da ci tego matka,  
Co może dać ci dzisiaj twa bliska sąsiadka!  
Nie da ci tego żona, nie da kufelek piwka,  
Co może dać ci dzisiaj sąsiadka z naprzeciwka.

Nie wiedział też, gdy pisał *Dobrego DJ-a*:

Wyostrzone zmysły odbierają fale.  
Nie brakuje nam sił!  
Sił nie brakuje wcale.  
W tym rytmie możemy balować aż do rana.  
W powietrzu się unosi melodia dobrze znana...

Siegieńczuk po dłuższej rozmowie wydaje się zasepiony, że musi pisać takie piosenki, by utrzymać się na rynku. Woli te, w które wkłada serce, które rynek, publika i dyskoteki odrzucają. Nie to, że gardzi tymi ludźmi, bo dają mu życie. Ale na każdej płycie z plastikowymi utworami przemycą choćby jeden, który wyraża głębię, i ma marzenie, że ktoś w końcu tę głębię odczyta.

Czasami, gdy stoi na scenie, żałuje, że nikt nie kształtuje gustów Polaków. Z disco polo jak z medycyną, mówi. Można wziąć tabletkę na ból, a można posłuchać piosenki. Chciałby, by leczyły też te ambitniejsze, o miłości, ale nie fizycznej, jak *Niepotrzebny krzyk*:

Cichy szept lekarstwem rozpaczy dwóch serc  
Koi ból, przegania strach,  
Czytasz go z ruchu warg.  
Koi żal, przegania lęk,  
Zawsze wie, czego pragnę i chcę.

Nim Siegieńczuk się ustatkował, ożenił, prowadził życie burzliwe i kochał, jak w swoich piosenkach, krótko i wiele razy, dlatego woli pisać piosenki od serca. Niestety, ostatnią, której się wstydzi, napisał tylko dla pieniędzy, bo tancerze z jego grupy choreograficznej dość mieli głębokiej miłości i wolnych rytmów. Napisz coś prostszego, prosili, by rynek przyjął, coś „ooooo”, „nananana”, „jejejeje”, a najlepiej „jabadabadu”. Trudno, napisał:

Nieważne gdzie  
i tam i tu  
jabadabadoo  
na trawie i na kocyku  
jabadabadoo  
na plecach na brzuchu  
jabadabadoo  
gdy chce się jej i chce się mu  
jabadabadoo

Przyjęło się, podlaskie dyskoteki pokochały. Bo ludzie, mówi, potrzebują taniej rozrywki jak zakupów w Biedronce, towar musi zejść szybko, masowo, kolorowo, z wyprzedzący.

Posłał syna do szkoły muzycznej, sam jest fanem punk rocka, wychował się na Bon Jovi. W domu słucha Mozarta, walców Straussa. Teraz gra pod nazwiskiem, nazwy Toples, po finansowej lekcji od Kuleszy, nie może używać. Nie chce o nim rozmawiać, bo to, jak mówi, facet o silnej osobowości, dyktatorskich zapędach, a Siegieńczuk nie jest człowiekiem, którego można prowadzić na smyczy.

# Kasa

Pieniądze z discopolowego interesu Kulesza inwestuje w nieruchomości. Pierwszą był teren dawnej fabryki pasmanteryjnej Pasmanta przy ulicy Warszawskiej w Białymstoku, dalej kamienice w centrum miasta, pawilony handlowe, które dzierżawi pod handel i usługi.

Płyną też do niego publiczne pieniądze, szerokim strumieniem. Z puli środków unijnych dostaje 5,6 miliona złotych dotacji na przebudowę jednej z dyskotek Atlanta, koło Białegostoku, którą zamienia w motel „z zapleczem gastronomicznym i konferencyjno-bankietowym”. Projekt został wybrany w konkursie w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego, ma służyć rozwojowi turystyki i kultury dla małych i średnich przedsiębiorstw. Kuleszę trudno zaliczyć nawet do średniaków, jego roczny dochód to około pięciu milionów złotych, jak dowiaduję się nieoficjalnie, a przychody to kilkadziesiąt.

Służby skarbowe od lat próbują rozplątać gąszcz jego spółek, powiązań, zależności i przyłapać go na błędzie. W 2000 roku z USA przyszło na konto jednej z jego firm blisko milion dolarów. Skarbowka zwęszyła szansę, ale Kulesza wytłumaczył, że pieniądze pożyczyła mu matka, pracownica fizyczna. Skarbowce nie udało się udowodnić, że dolary pochodziły z nielegalnego lub nieznanego źródła, choć o pomoc prosili amerykańskie służby. Kulesza musiał zapłacić tylko podatek od pożyczki.

Najlepszym jego interesem, jeśli chodzi o bezkosztowość i mariaż z pieniędzmi publicznymi, wydaje się stadion miejski. To także układ rodzinny.

W 2008 roku kupił podupadający klub Jagiellonia Białystok. Jest tam jedynym udziałowcem, który zna się na piłce. Siedzibę ma na stadionie, który należy do miasta, a administruje nim spółka samorządowa. To nowoczesny obiekt na prawie dwadzieścia trzy tysiące widzów, zbudowany za ćwierć miliarda złotych publicznych pieniędzy. Dla Kuleszy to biznes samofinansujący się. Prezydent Tadeusz Truskolaski, który jest mężem kuzynki Kuleszy, podpisał z nim dwie umowy. Pierwszą – Kulesza dostaje od miasta co roku około trzech milionów złotych za promocję miasta, piłkarze noszą na koszulkach logo „Wschodzący Białystok”. Drugą – Kulesza płaci miastu za dzierżawę stadionu półtora miliona złotych. Zatem na czysto w kasie klubu zostaje półtora miliona złotych miejskich pieniędzy.

To też biznes wzajemny. Gdy Tadeusz Truskolaski w 2014 roku trzeci raz kandydował skutecznie na prezydenta, w mieście rozwieszono bilbordy, na których ścisnął rękę Michała Probiezja, trenera Jagiellonii. Panowie stali na tle tego stadionu. W autobusach komunikacji podczas kampanii wyborczej nadawany był komunikat, w którym prezydent osobiście zapraszał na mecze Jagiellonii.

W 2014 roku miasto oddało klubowi kolejne grunty. Za dwa tysiące dwieście złotych rocznie przekazało na dwadzieścia pięć lat teren o powierzchni ośmiu hektarów, na obrzeżach miasta, na którym mają stanąć boiska treningowe.

Podczas meczów rozgrywanych przez Jagiellonię na stadionie miejskim władze miasta wywieszają na głównych ulicach flagi w klubowych, żółto-czerwonych barwach. Koszt to blisko dziewięć tysięcy złotych.

Za nieco ponad dwa miliony złotych miasto miało zbudować na stadionie bandy reklamowe. Po interpelacji jednego z radnych okazało się, że zyski z reklam czerpałby klub, więc zarząd miasta pod naciskiem wycofał się na razie z pomysłu.

Radni miejscy dostają darmowe wejściówki na mecze – kolportowane są w Urzędzie Miejskim.

Lokalna gazeta „Kurier Poranny” reklamowała discopolową imprezę pod hasłem „Disco polo docenione w całej Polsce naprawdę wraca do domu. Musisz tam być”. Zespoły, które są własnością

Kuleszy, dały koncert na stadionie miejskim, na którym gra jego klub piłkarski.

Niejasna jest transakcja związana z przekazaniem gruntu, na którym stał dawny stadion miejski, przy ulicy Jurowieckiej, w centrum miasta. Jagiellonia kupiła go od miasta za około czterdzieści milionów złotych, w ratach, ale nie płaci w terminie. Klub sprzedał ten grunt za ponad siedemdziesiąt milionów złotych deweloperowi, który stawia tam osiedle.

Najwyższa Izba Kontroli wykazała, że ponad sześćdziesiąt procent środków na promocję Białegostoku wydawanych jest przez miasto na sport. Lwia część pieniędzy przypada Jagiellonii. Podczas kontroli NIK zaginęły dokumenty jednego z przetargów, w którym klub dostał cztery miliony złotych. Miasto wyjaśniło, że zaginęły podczas przeprowadzki biura.

Jagiellonia dostaje także dotacje na zwalczanie rasizmu. Ale gdy pewna białostocka fundacja w 2014 roku uruchomiła kampanię dotyczącą tolerancji, a na bilbordach pojawiła się para mężczyzn, jeden czarnoskóry, na szyi mieli szaliki w barwach Jagiellonii, klub przysłał fundacji stanowcze pismo, że to nielegalne wykorzystanie jej marki. W 2012 roku kibic Jagiellonii opluł czarnoskórego piłkarza swojego klubu. W 2009 roku kibice wywiesili na stadionie transparent z tekstem skierowanym do czarnoskórego piłkarza: „Nigdy nie będziesz Polakiem”.

Klub zgarnia też mniejsze dotacje z miasta, bo konkursy są tak zorganizowane, że może je otrzymać organizacja piłkarska, która ma status „spółki akcyjnej”. Jagiellonia jest jedną z nielicznych na Podlasiu, większość to stowarzyszenia.

Kulesza jest też właścicielem kilkunastu budynków usługowych i najpopularniejszej w mieście siłowni Magic Gym. W firmie zarządzającej nieruchomościami ma do pomocy Tomasza Frankowskiego. Wielu białostoczan, nawet lokalnych dziennikarzy, jest przekonanych, że to słynny bramkostrzelny napastnik Jagiellonii. Ale to zbieżność nazwisk, której sam Kulesza nie prostuje, bo piłkarz ma markę i szacunek w regionie. Frankowski wspólnik to jego dawny znajomy z czasów pierwszych dyskotek, barman i kurier do przewożenia pieniędzy z dyskotekowego utargu.

Drugim wspólnikiem jest Marian Jóźwiak, który wygląda jak drugoplanowa postać z filmów Quentina Tarantino – wysoki, szeroki. Był ochroniarzem Kuleszy w dyskotekach.

## „Dzieci”

Do 2005 roku kibice Jagiellonii tworzyli monolit, mieli swoje przedstawicielstwo – Stowarzyszenie Sympatyków Jagiellonii, zwanych „pretorianami”. Na stadion weszli jednak neofaszyści, dla których trybuna jest dobrym miejscem werbunku i pokazu siły. Nazwali się Prawicową Jagiellonią, w ruch poszły noże i tasaki, w jednej z bójek pięć osób zostało rannych. Stowarzyszenie szło na ugodę, skini chcieli całej władzy. W grudniu 2005 roku dopadli dziewiętnastoletniego Adriana, „Adika”, „pretoriana”. Skatowali go bejsbolami, dobili nożem, na oczach babci. Ojciec „Adika” był policjantem, załamał się, odszedł z pracy. Trzech skinów dostało wysokie wyroki więzienia. Przejęcie władzy było widoczne od razu: skini wywiesili na stadionie flagi faszystowskie. Zbiegło się to z przejęciem klubu przez Kuleszę. On sam unika demonstrowania swoich kontaktów z kibicami o faszystowskich poglądach. Wychodzą na jaw przez przypadek i odsłaniają strukturę powiązań, która sięga głębiej.

Jednym z przywódców skinów był znany policji Artur W., „Wiatrak”. Wdał się przypadkowo w śmiertelną bójkę, trafił pod sąd. Zaglądam do akt tej sprawy.

Wiosną 2010 roku w nocy pod białostockim klubem Prognozy pada nieprzytomny dwudziestoczworolatek. Bawił się z grupą znajomych, dostał cios od jednego z ochroniarzy, uderzył głową o chodnik, zmarł w szpitalu. Policja zatrzymuje ośmiu mężczyzn, w tym ochroniarzy. Dwaj z nich to „Wiatrak” i Piotr G., „Młody Grucha”, brat „Gruchy” neofaszysty, który w operze gra Żyda.

„Wiatraka” i „Młodego Gruchę” zatrudniał w klubie Prognozy młody biznesmen Tomasz Kudrycki, bratanek adwokata Leszka Kudryckiego, męża Barbary Kudryckiej z Platformy Obywatelskiej, byłej minister edukacji. Dla Leszka Kudryckiego pracuje Maciej Gulko, znajomy i adwokat neofaszystów. Klub Prognozy mieścił się w kamienicy należącej do Cezarego Kuleszy.

Gulko jest wtedy zbyt młody, obrony ochroniarzy podejmuje się sam mecenas Kudrycki. Broni Marcina K., którego żona pracuje na komisariacie policji w Białymstoku, i Rafała J., który leczył się na nerwicę, ale nie przeszkadzało to, by stał na bramce w dyskoteczce Scorpio we Wnorach Wiechach.

„Młody Grucha” zatrudniony był w siłowni Magic Gym. Personel siłowni wystawił mu laurkę w piśmie do prokuratury: sumienny, kompetentny instruktor siłowni. A gdzie zdobył kwalifikacje? – spytała policja. Magic Gym nie potrafił odpowiedzieć. Dwa lata wcześniej w Prognozach „Młody Grucha” też pobił człowieka, stanął za to przed sądem.

Policja próbowała odtworzyć przebieg śmiertelnego pobicia, zażądała nagrań z klubowego monitoringu. Jedno było popsute, drugie skasowane, ale ktoś kilkanaście razy logował się do systemu obsługującego monitoring. W telefonach większości zatrzymanych skinów-ochroniarzy policja znalazła numery telefonów komórkowych do współnika Kuleszy – Frankowskiego.

Łącznikiem Kuleszy z kibicami jest Adam Tołoczko, ps. „Redaktor”. Ruchliwy, niewysoki, magazynier, kierowca, prezes kibicowskiego Stowarzyszenia Dzieci Białegostoku, które powstało na zgłiszczach wygranej wojny skinów z „pretorianami”, i kontynuuje tradycje tych pierwszych. Silnie prawicowe, zanurzone w miłości do Żołnierzy Wyklętych, z poparciem radnych Prawa i Sprawiedliwości. Współpracuje nawet z białostockim Instytutem Pamięci Narodowej przy poszukiwaniu potomków Żołnierzy Wyklętych.

Prokuratura białostocka złożyła do sądu wnioski o delegalizację stowarzyszenia, którego członkowie byli karani za udział w burdach, ale sąd uznał go za bezzasadny.

Tołoczko kocha stadion, zaczynał jako dzieciak, gdy przychodził z ojcem, widział pełne trybuny, męską

atmosferę. Za pierwsze kieszonkowe kupił włóczkę i kazał mamie zrobić sobie na drutach żółto-czerwony szalik.

– Wojna o stadion to była wojna o kasę, o bramki w lokalach, które kibice chcieli obstawiać – mówi, gdy siedzimy w hipsterskiej restauracji, gdzie czuje się nieswojo. – Nie byłem w grupie skinów, a zabójstwo „Adika” rozbiło ruch kibicowski. Teraz jest dobrze, konfliktu nie ma.

W 2011 roku kibice Jagiellonii podczas wizyty w Białymstoku ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego krzyczą: „Donald matole twój rząd obalą kibole”, „Precz z komuną”. Trafiają na komisariat. To wtedy, sądzi „Redaktor”, zaczęła się na nich nagonka rządu, opresja policji, zatrzymywanie bez powodu. Zapewnia, że nie mają nic wspólnego ze skinami, podpalaczami mieszkań. Co prawda prokurator Masłowski zatrzymał Tołoczko wraz z pięćdziesięcioma dziewięcioma innymi osobami działającymi w gangu kibolsko-skinowskim, postawił zarzut udziału w bójce, ale Tołoczko uważa, że żadnego gangu nie ma, to tylko afera medialna, a prokuratura nie miała żadnego dowodu, by któryś z członków organizował jakieś przestępstwa. Tylko jedna osoba, jego zdaniem, była karana wcześniej za udział w bójce, a reszta miała na koncie wykroczenia.

Na stronach internetowych Stowarzyszenia Dzieci Białegostoku są wezwania na marsze niepodległościowe, prawicowe uroczystości.

– Bo trzeba szanować to, że ktoś kiedyś walczył o tradycję – twierdzi Tołoczko – język polski, bo zanikają, pojawia się bezkulturowość, brak zasad, a Unia Europejska nie stworzy za nas modelu życia. Nie mam nic przeciwko obcokrajowcom, ale tu jest Polska i jeśli ktoś przyjeżdża, to powinien się dostosować do naszych norm. Nie mam też nic do czarnych, Żydów, muzułmanów. Dzieciakom, które do nas przychodzą, mówię: „uważajcie na siebie, bo idziecie na dyskotekę, dacie komuś w zęby, a nie jest fajnie siedzieć, wiem, bo siedziałem, niechcący uderzyłem policjanta”. Staram się ich wciągać do klubu, angażować w prace charytatywne, przekazać zasady, że na przykład nie sprzedaje się kolegów, lepiej posiedzieć pół roku dłużej.

Stowarzyszenie po nękaniu przez policję przechodzi kryzys, kurczy się do ledwie trzydziestu osób, ale Tołoczko liczy na jesień wyborczą 2015 roku, bo sondaże pokazują, że zmieni się władza, przyjdzie prawica i może ktoś powie w końcu prokuratorowi Masłowskiemu: „no weź, chłopie, odpuść!”.

# Dług

Ulubiony kawałek Cezarego Kuleszy to *Przez twe oczy zielone* kapeli Akcent należącej do jego stajni:

Przez twe oczy, te oczy zielone oszalałem,  
Gwiazdy chyba twym oczom oddały cały blask,  
A ja serce miłości spragnione ci oddałem.  
Tak zakochać, zakochać się można tylko raz.

Częściej śpiewa jednak na stadionie hymn Jagiellonii z melodią *Pieśni o małym rycerzu*:

W mieście Białystok,  
W tym, w którym żyję,  
Oddałem serce drużynie.  
Wstań, unieś barwy,  
Wsluchaj się w słowa  
Pieśni o mej Jagiellonii.  
Moja drużyno,  
Ma ukochana,  
Pokonasz dzisiaj rywala.  
Strzelisz trzy bramy  
I znów wygramy  
Klubie ty nasz ukochany!

Kulesza jest żonaty od blisko dwudziestu lat z Patrycją, była modelką, którą poznał podczas kręcenia discopolowego teledysku. Patrycja prowadzi jeden z jego domów z krytym basenem, wychowuje dwoje dzieci, białostoczanie widują ją często w galerii handlowej albo na siłowni.

Kulesza nie ma hobby, nie uprawia sportów, nawet disco polo słucha tylko w aucie, jednym z kilku luksusowych w jego kolekcji. Lubi imprezy, ale w zamkniętym gronie, ze współnikami, piłkarzami swojego pokolenia.

Jest opanowany, raczej małomówny, ale zdarza mu się wpaść w furję: gdy wyrzucił trenera za brak wyników, przyjął go z powrotem kilka dni później.

Na spotkanie z nim idę po grubej wykładzinie restauracji hotelu Crystal przy reprezentacyjnej ulicy Lipowej w Białymstoku. Ściany tapetowane grubą fakturą, na stolikach kieliszki o długich szyjkach, serwetki na kolana, sztuczne ułożone pod trzydaniowy obiad. To ulubione miejsce spotkań biznesowych Kuleszy, prawie biuro, bo większość interesów załatwia przez telefon. Siedzimy przy stoliku dwuosobowym, intymnie, kierownik sali pozdrawia stałego klienta, z daleka się kłania.

Kulesza nie wygląda na człowieka, który ma pięć milionów rocznych dochodów, niezliczoną wartość przychodów i prezydenta Białegostoku w rodzinie. Ogorzała twarz pięćdziesięciolatka, dżinsy, biała koszula, zakasane rękawy, skórzane mokasyny i wzrok wbity czujnie w telefon, który leży na stoliku. Podchodzi Michał Probierz, trener Jagiellonii, łysy, z brodą, którego jesienią widziałem na bilbordzie z prezydentem Truskolaskim. Szepty, kilka słów, trener wraca do swojego stolika.

Uprzedzano mnie, że Kulesza bardziej od dziennikarzy nie lubi tylko sędziów piłkarskich, ale bez problemu daje się namówić na rozmowę.

Jego ojciec był dyrektorem szkoły w Kuleszach Kościelnych, mama nauczycielką. Technikum przemysłu spożywczego skończył w Białymstoku, mieszkał w internacie. Piłkę kopał tylko na podwórku, wbrew ojcu, a dopiero, gdy miał osiemnaście lat, zgłosił się do klubu Gwardia Białystok. Był

przeciętnym ofensywnym pomocnikiem.

Ojciec wyjechał do Stanów pod koniec lat siedemdziesiątych, za pracę, Kulesza został z matką, ale odwiedzał ojca, dostał zieloną kartę. Matka wyjechała na stałe do USA dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych, a on usamodzielniał się od dolarów rodziców, gdy wszedł w disco polo.

Niechętnie wraca do początków swojego biznesu.

Pytam o Pruszków, Wołomin, krzywi się. E tam, prosi, bym nie robił z niego gangstera, bo ma dosyć. Gdy policja zatrzymuje skina, kibola, to zawsze pytają o Kuleszę, szukają haków, już tyle lat.

– Chcą ze mnie zrobić – mówi – gangstera, nie dają spokoju.

Narzeka też na urząd skarbowy, którego kontrole mijają się w drzwiach jego firm. Podatki płaci na Podlasiu, więc powinni go szanować.

Nie było w latach dziewięćdziesiątych, mówi, agencji ochrony, policja mało sprawna, no to dobierało się do dyskotek lokalnych chłopaczków, o których wieś mówiła, że potrafią się bić. Ale to kiedyś, nie ma co wracać, nie był w żadnych gangach, pracował uczciwie, robił swoje, choć to, co widział, na pewno nadałoby się na scenariusz dobrego filmu. O gangsterach można by gadać – jedni prawdziwi, inni się pod gangsterów podszywali, trudno było z nimi walczyć, bo dogadywali się, jedni udawali dobrego, drudzy złego, ale zawsze mieli gotowy scenariusz, by podzielić rynek, na czym najgorzej wychodził taki jak on biznesmen.

Znalazł sposób na mafię. Pokazywał im, jak mnie przekonuje, atrakcyjne tereny pod dyskoteki, by zakładali swoje, dawał im zespoły do grania.

Zespoły? Musiał kupić sprzęt, kręcić teledyski, inwestować, ryzykować, musiał się zabezpieczać prawami autorskimi. Siegieńczuk przekazał mu prawa i nazwę zespołu, bo jak zespół przynosił mu płytę, to musiał mieć pewność, że na tym nie straci. Ale, zgodnie z tym, co mówi Pismo Święte, dzielił się sprawiedliwie. Jego piłkarze są bardziej samodzielni. Napastnik Tomasz Frankowski, legenda Jagiellonii, ma firmę zarejestrowaną na Cyprze, w raju podatkowym, i stamtąd do Kuleszy przychodzą faktury.

Dzwoni telefon, Kulesza, uśmiechnięty, pokazuje mi wyświetlacz: Zbigniew Boniek, szef PZPN.

– No cześć Zbyniu... – Wstaje, odchodzi od stolika. Słyszę z daleka, jak przekonuje Bońka do jakiejś transakcji związanej z zawodnikami. Wraca po chwili, zadowolony.

Miasto jest nasze? Unosi brwi, macha ręką. E tam, gadanie takie. Jest tylko małą częścią tego miasta, a do Tadeusza, prezydenta, nawet nie dzwoni. Ostatnio sam się odezwał, zapraszał na pogrzeb, gdy zmarł mu ojciec, widują się tylko na meczach, czasami w gronie rodzinnym. Nie unikają się, toczą przyjacielskie rozmowy, ale sytuacja jest napięta, ludzie i tak gadają, że rodzina, to po co drażnić?

Stadion? Dobry interes? Podnosi głos. Przecież są miasta, w których stadiony oddane zostały klubom za symboliczną złotówkę. Nie to, żeby dopłacał, klub to też interes, ale żadne kokosy. Poza tym nie będzie rozmawiał o swoim majątku, nieruchomości ma większe i mniejsze, o, choćby ta – pokazuje ręką za okno na ulicę, na przeszklony biurowiec naprzeciwko. Wymienia jeszcze kilka ulic w Białymstoku, ale nie ma co gadać, bo urząd skarbowy tylko czeka, by nękać, jak o te dolary z USA, które naprawdę przysły od matki, dzięki jej pracy fizycznej. Dziwne? Ale co? Że matka oddała oszczędności życia synowi? No a komu miała oddać? Dotacja na hotel? Marszałek dał, prezydent nie miał z tym nic wspólnego. Kulesza złożył wniosek, jak wszyscy, spełnił wymagania, musi teraz jakąś agroturystykę tam założyć, rowery i inne komedie, a dyskoteki nie ma tam od dawna. Co mu zostało? Patrzy w sufit, wypuszcza powietrze.



Trudno zliczyć. Wnory Wiechy, Jaświły, Jeziorko koło Łomży, Pietkowo, Suchowola, Rybno, no i jeszcze kilka innych.

Ale disco polo to nie te pieniądze, co kiedyś, media obrzydzają ludziom tę muzykę, a przecież Niemcy mają swoje disco polo, Amerykanie. Główne dochody ma z najmu nieruchomości. Tylko przy ulicy Warszawskiej, na terenie dawnej Pasmanty, podnajmuje biura i sklepy czterdziestu firmom.

Skini? To też wina mediów, policja wyolbrzymia. No były jakieś ekscesy, coś tam czytał w gazecie. Kudryckich zna, bo jeden grał w Jagiellonii. No w dyskotecie zginął człowiek, wypadek, ale teraz Kulesza musi się z tego tłumaczyć. Z faszystami nie ma nic wspólnego, nikogo nie zna, a to, kto kogo zatrudnia, to nie jego sprawa. „Wiatrak”? Znajomy taki, stał na dyskotekach u Kuleszy, ale żaden tam bliski współpracownik. „Grucha”? Pracownik jego siłowni, przyczynił się do śmierci chłopaka, ale porządny chłopak, grzeczny, miły. Kulesza sam czuje się poszkodowany, bo kibice opluli mu czarnoskórego piłkarza, ale żeby zrobić z nimi porządek, musi mieć wyroki. Zrobił raz spotkanie z Dziećmi Białegostoku, ale zawsze mówią, że było inaczej, no i bądź tu mądry, przecież nie zakaze ludziom wchodzić na stadion. Policja dała mu kiedyś listę dwustu osób, by zakazać, ale nie mógł, bo nie było sądowych wyroków. Da zakaz nie tym, co trzeba, to się wkurzają, robią protesty i nie ma kibicowania.

– Tak że proszę nie robić ze mnie – mówi – gangstera, nie miałem z tym nic wspólnego, jestem porządnym, normalnym biznesmenem.

Do stolika podchodzi mężczyzna po sześćdziesiątce. To „Kolba”, dawny bokser, białostocki handlarz złotem. Wysoki, dobrze zbudowany, o twarzy, która przyjęła wszystkie ciosy świata. Widzi Kuleszę, uśmiecha się.

– Czarusł słuchaj, chodź na chwilę...

Kulesza wstaje, odchodzą dwa metry, „Kolba” przyjacielsko kładzie mu rękę na ramieniu i zdartym głosem mówi do ucha.

– Czarusł, czy ty wiesz, że jak zaczynałeś z tymi dyskotekami, to było na ciebie zlecenie? Słuchaj no, ja ci miałem dawno powiedzieć, że chcieli cię odjechać, wiesz, ekipa była, miała cię przewieźć w bagażniku, do lasu i w łeb, nawet policja była w to zamieszana. Jak się dowiedziałem, to pomyślałem: no pojedą, połamię Czarka, a policja by im tylko pomogła. No postawiłem się, nie zgodziłem. Tak że wiesz, nie byłoby cię dzisiaj, trzymaj się chłopie...

– No dzięki...

Kulesza wraca do stolika, zmieszany.

– Ma pan dług u kolegi – mówię.

– Nie, no, dajmy spokój, to było dwadzieścia lat temu.

# Parafia

## Opatrzność

Tadeusz Truskolaski, prezydent Białegostoku, lubi rosyjskie dowcipy, zwłaszcza ten: wcześniej było źle, ale się przyzwyczailiśmy.

Urodził się w 1958 w Kapicach Starych, trzydzieści kilometrów od Białegostoku. W wywiadzie rzece przed wyborami samorządowymi w 2014 roku wspominał, że jako kilkulatek wstawał o trzeciej rano, szedł w pole, pracował pługiem, ręcznie, z ojcem, nawet snopowiązałkę mieli konną. Ojciec kupił ciągnik dopiero w latach siedemdziesiątych, gdy Truskolaski szedł na studia. W niedzielę pędził krowy na pastwisko, doił, po pracach w polu chodził do wiejskiej szkoły. Jego klasa ocierała się o patologię – uczniowie z różnych roczników, na różnym poziomie. W wakacje z zazdrością patrzył na letników, a po wakacjach żniwa, podorywki, wykopki. Mieli dwadzieścia hektarów ziemi, sześć krów, kilka świń, żadnej pomocy, wszystko we dwóch. W domu biednie, na *Czterech pancernych* chodził do kolegi. Czytać i pisać potrafił w wieku pięciu lat, wiedział, że edukacja to potęgi klucz, bo dziewczyny uciekały do miast, na fryzjerki, a takie Tadki, jeśli bez szkoły, zostawały na wsi. Gdy wygrał gminną olimpiadę z matematyki, ojciec uparł się, że pójdzie do szkoły rolniczej. Nauczyciele załamywali ręce, że taki talent, nawet niewiele musi się uczyć. Przekonali, by dał synowi swobodę. Został jedynym z Kapic absolwentem wyższej uczelni.

Truskolaski jest średniego wzrostu, o szczupłej sylwetce, ma sympatyczny, misiowaty uśmiech i szerokie, spracowane dłonie. W głosie lekko zaciąga, po podlasku. Zdaje sobie sprawę, że jest przez miejskie elity postrzegany jak wieśniak, którego najchętniej wsadziliby w PKS i odesłali z powrotem. Ale zadziałała opatrzność, wiele razy.

Miał może roczek, gdy rodzice zabrali go w pole ze starszą siostrą. Od ogniska zapaliły się ubranka, ojciec cudem zdążył je zgasić. Miał kilka lat, gdy spadł z wozu pełnego siana, cudem nie przejechał po nim koń.

Namacalny wpływ opatrzności płynął przez księży. Gdy w liceum szukał kierunku studiów, duchowny katecheta zaprosił na lekcję byłą uczennicę, studentkę. Zainspirowała Truskolaskiego do ekonomii, w Gdańsku. Po studiach pracował tam przez chwilę, wrócił do Białegostoku, podjął studia doktoranckie.

Decydujący wpływ opatrzności to 2005 rok. Truskolaski pracuje na uczelni, na wydziale ekonomii, gdy przychodzi do niego Robert Tyszkiewicz, poseł Platformy Obywatelskiej, i składa propozycję startu na prezydenta miasta. PO ze zmiennym powodzeniem startowała w wyborach samorządowych na Podlasiu, konserwatywny region nie ma zaufania do haseł liberalnych, zwłaszcza obyczajowo, partia nie była w stanie przebić się ze swoim prezydentem. Poprzednik Truskolaskiego zasłynął w mieście jako budowniczy największej liczby kościołów. Truskolaski powiedział żonie o propozycji, ale ta zagroziła rozwodem. Zrezygnował. Ewa Truskolaska, teolożka, kilka dni później wróciła z wykładu o katolickiej nauce społecznej, na którym ksiądz mówił, że obowiązkiem świeckich katolików jest udział w życiu publicznym. Pomyślała, że ksiądz mówi do niej. Opatrzność.

Truskolaski sygnały płynące „z góry” mnoży. W czasie kampanii wyborczej otworzył butelkę z sokiem, na odwrocie kapsla było hasło reklamowe: „wiem, że zwyciężysz”. Przed drugą turą otworzył kolejną: „zbliża się dzień zwycięstwa”. Sygnały opatrzności są i prozaiczne. Kiedyś ważyły się losy Jagiellonii

Białystok w ekstraklasie, na włosku wisiała decyzja o przyznaniu jej licencji z powodu niegotowego stadionu. Brakowało pięciu dni, by doprowadzić go do porządku, a pogoda była paskudna. I na te pięć dni, dzięki modłom zapewne, rozpogodziło się.

W pierwszych dniach prezydentury musiał zmienić nawyki życiowe – najbardziej męczyły go opłatki w szkołach i zakładach pracy. Zdecydował, że przestaje pić, ani jednej kropli.

Nie wstąpił do żadnej partii, taka tradycja rodzinna. Na uczelni w PRL nie udzielał się opozycyjnie, pilnował tylko, by studenci nie pili i nie krzyczeli po ulicach „Solidarność!”.

Doktorat pisał z wpływu transportu na rozwój miast i uważa, że to klucz do rozwoju cywilizacyjnego regionu. Podczas dwóch kadencji zmodernizował główne arterie, przeciął miasto nowymi dwupasmowymi drogami, zlikwidował korki. Za swoje największe osiągnięcie uważa uruchomienie systemu rowerów miejskich i wybudowanie stu kilometrów ścieżek rowerowych. Co prawda wiele z nich się nie łączy lub prowadzi donikąd, ale wszystko, jak zapewnia, jest na dobrej drodze.

Jest pedantycznie skrupulatny. Wyliczył nawet, że wokół domu kosi dwadzieścia procent trawników, a jego syn osiemdziesiąt. Na koniec dnia na jego biurku nie może zostać żaden zaległy papier. Nawet gdy rozmawiamy w jego gabinecie z krzyżem nad biurkiem, z podziękowaniami od kardynała Kazimierza Nycza w ramce, podpisuje dekretacje, sporadycznie na mnie spoglądając.

Szczyci się, że dwie kadencje nauczył go wytrawnej gry politycznej, cieszy, gdy uda mu się przeforsować w radzie miasta niepopularny pomysł, tak by nikt się nie zorientował. Gdy wprowadzał podwyżkę czynszów mieszkań komunalnych, jego urzędnicy napisali taki projekt uchwały, pełnej zapisów prawnych i księgowych, by nikt jej nie zrozumiał. Uchwała przeszła, ludzie zaczęli płacić o sto dwadzieścia procent więcej. Sukces.

Nie lubi rozmawiać o Cezarym Kuleszy, kuzynie swojej żony. W archiwach mediów lokalnych nie znalazłem żadnej na ten temat rozmowy. Pytam o Kuleszę, Truskolaski tężeje.

– Rozmawiał pan z nim? Co on tam mówił o mnie – mruczy pod nosem, podpisując dekretacje. – No w pewnym sensie to rodzina – dodaje – ale z punktu widzenia Kodeksu postępowania administracyjnego nie ma nepotyzmu, bo nie jesteśmy spokrewnieni, więc nie ma sprawy – uśmiecha się. – Spotykamy się rodzinnie – zaznacza – ale rzadko, raczej służbowo.

Musi przyznać, że to dla niego sprawa dyskomfortowa, woli unikać tematu. Jagiellonia jest marką dla miasta, trzeba w nią inwestować. Gdy jedzie na urlop do Kołobrzegu, to nawet tam rozmowy z miejscowymi schodzą na ekstraklasę i na Jagiellonię. Czy to nie oznaka silnej marki? Trzy miliony, jakie klub dostaje, to umowa promocyjna, każdy mógł się zgłosić, no ale trudno, by przetarg wygrał Górnik Zabrze, he, he. Było nawet tak, że do przetargu na promocję miasta zgłosiła się drużyna siatkówki z innego miasta, na szczęście opatrność zdecydowała, że spadł śnieg, zasypało drogi i spóźnili się ze złożeniem wniosku.

Ale najważniejszy temat, zwraca mi uwagę, to rozwój miasta, który – nie będzie tu fałszywie skromny – jest jego zasługą. Już na studiach zauważył, że różnice w rozwoju Podlasia i Polski zachodniej wynikają z układu dróg. Carat budował je z góry na dół, Prusy z zachodu na wschód. Te z góry na dół nie łączą się z tamtymi, a to przeszkoda, by Podlasie rozwijało się, jak reszta kraju, bo nie ma tu jak dojechać. Truskolaski stoi więc na straży miliardowego budżetu i trzystutysięcznego miasta, inwestując głównie w drogi i budownictwo. Z prezentacji strategii miejskiej na lata 2011–2020 wynika, że region Białostocki boryka się z wysokim bezrobociem, niską stopą życiową, ale wokół jest pięknie, zielono

i powstają nowe drogi.

– Urbo Bjalistoko havas la animon? – pytam, bo wiem, że przeszedł przyspieszony kurs esperanto w samolocie, gdy wiceprezydent Sosna namówił go na kongres esperantystów.

– Przecenia mnie pan – mówi. – Pamiętam już tylko wstęp do przemówienia: „My, mieszkańcy Białegostoku, jesteśmy dumni, że w naszym mieście urodził się Ludwik Zamenhof, twórca języka esperanto”. Co znaczyło pana pytanie?

– „Czy Białystok ma duszę”?

– Ma! Od 2007 roku.

– Dlaczego wtedy?

– Zbudowaliśmy miejski rynek.

– Chodziło mi raczej o jakąś ideę, historię, tożsamość.

– To na pewno przywiązanie do tradycji chrześcijańskich, tradycji naszych ojców, choć łączyły się raz ze wschodem, raz z zachodem, ale była i żydowska.

– Pan ją widzi?

– Tak.

– A Park Centralny, pod którym jest stary cmentarz z macewami? Może warto przypomnieć?

– ...z macewami?

– Stoją tam nadal, w pionie.

– Tego nie wiedziałem. Przyznam, że tymi sprawami zajmował się bardziej Aleksander Sosna, bardzo się temu przysłużył, ale – podnosi palec – za moją akceptacją.

– Ruchy neofaszystowskie? Swastyki na murach?

– Trzeba potępiać! To skutek uboczny wolności słowa, demokracji.

– Ich powiązania z kibicami?

– To nie tylko problem Białegostoku, to się dzieje w całej Polsce.

W drugiej kadencji, w latach 2010–2014, choć miał nadal poparcie PO, wymknął się partii. Białostoczanie zauważyli infrastrukturalny rozwój miasta, a on nie chciał być figurantem, konserwatywnym listkiem na partyjnym logo. Wie, że przetrwa w podlaskiej polityce, jeśli odetnie się od liberalnych haseł. Jesienią 2014 roku wygrał kolejne wybory, samodzielnie, pod własną marką, na trzecią kadencję, pod hasłem „Dumni z Białegostoku”. Dla prawosławnych w radzie miasta miejsca tym razem nie było.

Pytam o *in vitro*, które w Polsce po raz pierwszy wykonano w Białymstoku w latach osiemdziesiątych. Truskolaski kręci się w fotelu, marszczy brwi. Zna dzieci katolików, urodzone tą metodą, ale te zarodki, mrożone, zabijane... Stuka palcami w blat, dobiera słowa. *In vitro*, jak przyznaje, to jeden z powodów, dla których nigdy nie wszedł oficjalnie do Platformy. Pociąga go liberalizm gospodarczy partii, dlatego nazywa siebie konserwatywnym, bezpartyjnym technokratą. Podobnie z gender – trzeba przede wszystkim szanować prawo boskie. Dał temu wyraz, gdy na pomniku pojawił się napis „Bóg, Honor, Ojczyzna”.

– Pojawił się nielegalnie. Nie zareagował pan – mówię.

Wzrusza ramionami.

– Miałem być tym, który walczy z Bogiem?

W sprawach Boga Truskolaski odsyła mnie jednak do swojego zastępcy, Adama Polińskiego, sugerując, że ma on w tej dziedzinie większy autorytet.

# Miłosierdzie

Co roku 9 marca tysiące białostoczan kroczą ulicami w „procesji cudu chlorowego”. Tego dnia w 1989 roku wykoleił się pociąg z cysternami wiozącymi z ZSRR chlor. Nie pękły, a że do wypadku doszło blisko domu, w którym mieszkał ksiądz Michał Sopoćko, spowiednik świętej siostry Faustyny Kowalskiej, mieszkańcy uznali, że dusza księdza ocaliła miasto od zagłady. Na pamiątkę postawili tam dwumetrowy kamienny krzyż z tablicą, na której wyryto podziękowania „ufnych w miłosierdzie Boże mieszkańców Białegostoku”.

Procesję prowadzą zawsze arcybiskup Edward Ozorowski i Adam Poliński, wiceprezydent Białegostoku, który w marcu 2015 roku wygłosił coś na kształt homilii, w pełni „zawierając miasto Bożemu miłosierdziu”. Zawierzenie zostało w maju przypieczętowane formalnie. Radni najpierw otrzymali dwie broszurki: „Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Białymstoku” i „Pielgrzymowanie Śladami Błogosławionego Księdza Michała Sopoćki”, a do tego jeszcze obrazek księdza z modlitwą na odwrócie. Radni pis przedłożyli stanowisko, by Białystok stał się Miastem Bożego Miłosierdzia pod patronatem księdza Michała Sopoćko. Przeciwny był radny SLD i jeden z PO, pozostali radni Platformy nie głosowali, wniosek przeszedł. Wolę radnych musi jeszcze zaakceptować Watykan.

Pomysłodawcą był Mariusz Gromko, inicjator nazwania ronda imieniem Żołnierzy Wyklętych, przewodniczący rady miasta, działacz pis. Tłumaczył, że to pomysł mieszkańców, którzy gorąco apelowali pod jego biurem. Mieszkańcy to przede wszystkim Stowarzyszenie Czcieli Miłosierdzia Bożego, którego przedstawiciele zostali zaproszeni na sesję, by wygłosić mowę ku czci księdza i przypomnieć, że Białystok został cudem ocalony przed chlorem.

W 2006 roku, gdy Truskolaski zasiadł po raz pierwszy w fotelu prezydenta, miał trzech zastępców. Jednego nadanego przez Platformę, Sosnę – z układu z prawosławnymi, i Adama Polińskiego, który był jego samodzielnym wyborem. Znał go z uczelni jako młodego doktora, mówią o sobie „przyjaciele”, Truskolaski jest ojcem chrzestnym jednego z pięciorga dzieci Polińskiego.

Poliński uważany jest za pośrednika między kurią białostocką a Truskolaskim. Ich więź z Kościołem jest bardzo silna, widoczna podczas państwowych uroczystości, z których żadna nie obywa się bez duchownych. Nauka społeczna Kościoła przenika w struktury samorządu głęboko, w mariażu edukacyjnym i finansowym.

Obydwaj prezydenci towarzyszyli metropolicie Edwardowi Ozorowskiemu, gdy odbierał paliusz arcybiskupi w Watykanie. Żona Truskolaskiego odczytała tam wezwanie do modlitwy wiernych.

Kuźnią kadr dla polityki samorządu wydaje się Katedra Teologii Katolickiej Uniwersytetu w Białymstoku. Wykładają tam białostoccy sędziowie, urzędnicy, nauczyciele szkolni i sam prezydent Truskolaski, wspólnie z arcybiskupem. Ta silna więź widoczna jest także dla ulicy. Przekazanie radiowozów dla policji, ślubowanie pograniczników, otwarcie nowej galerii handlowej nie obywa się bez kropidła, ale za plecami księdza katolickiego zawsze kroczy prawosławny. Obecność tych drugich wprowadził dla równowagi dopiero wiceprezydent Sosna. Silna jest również organizacja Opus Dei. Białystok plotkuje, że należy do niej również i Poliński, ale w rozmowie ze mną zaprzeczył. Członkowie tej formacji tworzą elitę polityczną miasta i mają wpływ na realną władzę. Jednym z jej liderów jest Romuald Bielewicz, współpracownik Truskolaskiego. W 2014 roku kandydował z jego list do samorządu, bezskutecznie. W lipcu 2015 roku został białostockim przedstawicielem Pawła Kukiza. Jest również radny Dariusz Wasilewski, były szef Kasy Chorych i księgarni, która zaopatrywała skórów

w literaturę. Należy do ugrupowania Truskolaskiego, jest prezesem Fundacji Obowiązek Polski, odwołującej się do tradycji polskiej husarii. Organizował w Białymstoku przedszkole oparte na idei Opus Dei.

Spośród czternastu honorowych obywateli Białegostoku blisko połowa to duchowni, od lokalnych księży po Jana Pawła II.

Katarzyna Sztop-Rutkowska, socjolożka, zbadała, jak kształtuje się podział środków publicznych między instytucje kulturalne w mieście. Najwięcej wniosków składały te o charakterze religijnym i cieszyły się one dużym uznaniem władz. Przekłada się to na konkretne liczby. W 2015 roku miasto miało do podziału ponad milion złotych na ratowanie zabytków, ponad połowę otrzymały katolickie, w tym kino Ton.

Najważniejszym jednak polem działania Kościoła w polityce samorządowej wydaje się edukacja. Ten departament podlega właśnie Polińskiemu.

Poliński jest wysoki, przystojny, o tajemniczym uśmiechu. Zajęty, próbuje odwołać spotkanie, ale łapie go na schodach, poświęca mi minutę. Patrzy w blat, kręci w palcach długopis. Przyznaje, że sprawy boskie mają dla niego bardzo duże znaczenie, że zawsze uczestniczy w publicznych dziękczynieniach, jak procesja ku pamięci niedoszłej katastrofy z cysternami. Przecież chrześcijaństwo – podkreśla, że nie chodzi mu tylko o katolicyzm – to system wartości, który umożliwia w życiu społecznym jak najlepsze relacje między ludźmi, oparte na miłości, dobrym stosunku do każdego człowieka, akceptacji ze względu na wyznanie, narodowość. Wiara ma wymiar indywidualny, trzeba szanować, mówi, to, że każdy ma prawo do swojego poglądu, ale to prawo nie powinno ograniczać praw innych, na przykład wiary we wstawiennictwo błogosławionego księdza Sopočki, dlatego cieszy się, że został on patronem całego miasta.

Poliński często organizuje podlegającym sobie dyrektorom szkół szkolenia, na które zaprasza seminarzystów katolickich. Podczas wykładów, o tytułach na przykład „W trosce o wychowanie sumienia”, nauczyciele i ich przełożeni dowiedzieli się, jak czytam w broszurze, że „termin »wychowanie« dotyczy ludzi, ponieważ człowiek ma nie tylko materialne ciało, ale ma także kierującą nim rozumną duszę. Zawiera więc w sobie duszę i ciało. Te dwa elementy spaja i ożywia, a przede wszystkim wyłania z siebie i kształtuje stworzony przez Boga akt istnienia. Tak więc stwarzając istnienie, Bóg stwarza w człowieku rozumną duszę kierującą tworzeniem się ciała”. Jest też o mądrości, która „zawsze odnosi nas do principów, najpierw do principów ludzi otaczających nas relacjami osobowymi, a także do principów innych bytów, których istnienie kieruje nas do Boga, który jest Samym Istnieniem i podstawowym Principium rzeczywistości”.

By podnieść rangę tych wykładów, Poliński zaprasza na nie wojewódzkiego kuratora oświaty i prezydenta Truskolaskiego. W 2013 roku spotkania o nazwie „Wychowanie ku wartościom” na Wydziale Pedagogiki i Psychologii Uniwersytetu w Białymstoku otworzył dyrektor wspólnoty salezjańskiej w przemówieniu „Wychowujmy ku wartościom, aby życie budować na skale”. Czasami konferencjom towarzyszy pokaz artystyczny. Chór Miasta Białegostoku śpiewał przed wykładem „Małżeństwo i rodzina” pieśń *Jedna jest Polska, jak Bóg jeden w niebie*.

Wstęp do oficjalnego programu dla szkół – „Edukacja w Samorządzie Białegostoku” – napisał arcybiskup Ozorowski, dając tam obowiązującą wykładnię edukacyjną: „Tylko Boże Objawienie, zapisane w Biblii i przekazane przez Kościół, stanowi fundament zdrowej antropologii”.

„Ramowy program wychowania do życia w rodzinie Miasta Białegostoku”, podpisany przez prezydenta Truskolaskiego, napisali Andrzej i Lidia Dakowiczowie, przeciwnicy *in vitro*. Obydwójce są absolwentami KUL, on związany z białostockim Stowarzyszeniem Civitas Christiana. Program opiniował ksiądz Jan Fiedorczuk, recenzentem był ksiądz Adam Skreczko.

Jednym z podstawowych źródeł, z którego czerpali twórcy programu, jest – jak czytam w przypisach – opracowanie papieża Jana Pawła II *Mężczyznę i niewiastę stworzył ich. Chrystus odwołuje się do początku*.

Wśród pomocy naukowych proponują film *Homoseksualizm* przygotowany przez Stowarzyszenie Fronda, z którego białostoccy uczniowie dowiadują się, że to choroba i można ją leczyć. Inne pomoce dydaktyczne to „Wychowawca. Miesięcznik Nauczycieli i Wychowawców Katolickich” i wydawnictwa fundacji pro-life, przeciwników *in vitro* i aborcji.

Największym sukcesem edukacyjnym Polińskiego i Truskolaskiego wydaje się Białostocka Akademia Rodziny, niewielka instytucja powstała w 2013 roku przy Urzędzie Miejskim i w pełni z jego środków finansowana. Z założenia ma wspierać wszystkie białostockie rodziny, działać na rzecz poprawy ich komfortu życia. Organizuje konferencje, poradnię psychologiczno-pedagogiczną, pikniki rodzinne, badania socjologiczne. Partnerami są organizacje katolickie – Caritas Archidiecezji Białostockiej, Civitas Christiana, Fundacja Budujemy Ludzi, Fundacja Cyryla i Metodego. Współpracuje z kinem Ton. BAR rozdaje darmowe wejściówki dla rodzin i dzieci na mecze Jagiellonii Białystok.

Zatrudnia dwie osoby. Krzysztof Rembeliński to lider białostockiej Odnowy w Duchu Świętym, Mirosław Truchel to lokalny przedsiębiorca. Panowie zapraszają prelegentów, organizują wykłady, spotkania, na których rodziny (w materiałach BAR często pojawia się motyw „małżeństw”) mogą zapoznać się z ideą Akademii. To definicje przedstawione podczas jednego ze spotkań:

Miłość – to nie tolerancja, która „jest potrzebna ludziom cynicznym, podłym i bandytom. Tolerować można smaki, gusta, ale i tu są granice”.

Wolne związki – termin wewnętrznie sprzeczny, nie istnieją związki, które nie wiążą, wolne związki wiążą byle jak, to brzydkie związki.

Akceptacja – ci, którzy mają coś na sumieniu, oczekują akceptacji, Jezus mówi „kocham cię” i chce, byś wzrastał, nawracał się.

Mottem warsztatów „Małżeństwo na krawędzi – droga do rozvodu czy rozwoju?” było: co Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela. Chętni, małżonkowie, zobaczyli na slajdach kościelną ceremonię małżeńską. Pokaz miał zniechęcić ich do rozvodu ze względu na „finanse”, „czas”, „energię”, „zdrowie”, „emocje”, jak i na to, że dzieci z „rozbitych domów” są biedniejsze, gorzej się uczą, częściej stają się bezdomne, szybciej przechodzą inicjację seksualną, chorują, ulegają wypadkom, rzadziej się pobierają i częściej rozwodzą.

BAR podejmuje też tematy trudne, o seksie: „Ja nie mogę; On może; Pozwolę Mu. Czyli wstęp do warsztatu 12 kroków dla chrześcijan”.

W samorządowym programie rozwoju Białegostoku na najbliższe lata idea Białostockiej Akademii Rodziny jest równie ważna jak transport, oszczędności i ochrona środowiska.

Gdy w 2014 roku prezydent Truskolaski odbierał Certyfikat Kandydata Przyjaznego Rodzinie, powiedział:

„W swoich działaniach, szczególnie w sferze społecznej, opieramy się na wartościach, na których

zbudowana została cywilizacja europejska, czyli na wartościach chrześcijańskich. Inwestycja w białostocką rodzinę to inwestycja w przyszłość i rozwój naszego miasta. Dlatego też na kolejne lata planujemy kolejne działania, których celem jest wzmocnienie rodziny i stworzenie jak najlepszych warunków do życia w naszym mieście”.

Akademia Rodziny to dzieło Łucji Orzechowskiej, wiceszefowej Departamentu Edukacji Urzędu Miejskiego. Jest nauczycielką przedmiotów elektrotechnicznych, członkiem rady programowej „Dni godności życia”, konferencji naukowej dla nauczycieli pod auspicjami archidiecezji, na której prelekcje mają lekarze związani klauzulą sumienia. Nadzoruje co roku miejski koncert kolęd i pastorałek, zasiada w jury wielkanocnym na najwyższą i najładniejszą palmę, jest współorganizatorką Kongresów Miłosierdzia i działaczką katolickiej formacji Stowarzyszenie Dobro Wspólne. Do urzędu trafiła w 1999 roku, ponoć dzięki poparciu kurii białostockiej.

Siedzę w jej gabinecie w Urzędzie Miejskim. Oglądam wielki krzyż nad jej biurkiem, półkę pełną książek, głównie o tematyce religijnej – pozycje Wandy Półtawskiej, przyjaciółki Jana Pawła II, Pismo Święte.

Orzechowska wchodzi do gabinetu uśmiechnięta. Żywiołowa, w wieku przedemerytalnym, uczesana w bujny kok, korpulentna. Pytam, jak minął dzień, uśmiech znika. Wraca ze spotkania z nauczycielami, zwanego Białostockim Forum Szkół. Temat na ten rok: „Szkola powinna stać się kuźnią cnót społecznych tak bardzo potrzebnych narodowi”. Miała nadzieję, że zainteresowanie będzie większe. Rok temu tematem była „Wspólna troska, Białystok rodzinie”.

Autorytetami są dla niej Matka Teresa i Jan Paweł II, a myślą przewodnią „być z drugimi dla drugich”. Wyniosła to z domu, z Puszczy Knyszyńskiej, gdzie poznała pracę na roli, ojciec był leśnikiem, mama zajmowała się dziećmi. Przywiązuje dużą wagę do rodziny, bo ciepło rodzinnego domu, serdeczność i ostoja są tym, czego potrzebuje każdy człowiek. Akademia Rodziny to odpowiedź na dzisiejsze czasy, na prośby rodziców, których nikt nie uczy tej roli. To szeroka oferta i jedyna taka inicjatywa w Polsce, oddolna, nagrodzona przez prezydenta Bronisława Komorowskiego. I choć środki z budżetu miasta nie są duże, jakieś sto tysięcy złotych rocznie, to pracują z potrzeby serca, inwestują swój intelekt, by pokazywać piękno życia, ducha pracy ludzkiej. Jak mówił kardynał Wyszyński – ptak nosi skrzydła, a skrzydła noszą ptaka. Służy temu nauka społeczna Kościoła, przestrzeń, w której się odnajdzie każda osoba, nie tylko katolik, w której ludzie dzielą się bogactwem, jakim zostali obdarowani. Młodzież? Nie ma z nią problemu, ona chce tego, co najpiękniejsze, tylko czasami za wcześniej zaspokaja rozbudzoną ciekawość, otrzymuje odpowiedzi na pytania, których nie stawia, za szybko wchodzi w ten świat, także za pośrednictwem mediów, i tworzy sobie wymagania ideologiczne, nie zawsze mądre. Ale tam, gdzie znajdzie się miejsce na czystość serc, szlachetność uczuć, mądrość i odpowiedzialność, do której dojrzewamy, tam rozwijają się tak piękne projekty jak Akademia Rodziny.

Człowiek, mówi mi Orzechowska, czasem niewłaściwie poszukuje odpowiedzi na pytania, które rodzą się w jego sercu. Czasami szuka odpowiedzi w ideologiach, trendach, jak gender, którym się naukowcy zajmują. A rodzina ma przecież jedną misję – troskę o dobro wszystkich jej członków w miłości rozumianej jako akt woli bycia dla siebie nawzajem. Miarą miłości jest posłuszeństwo, w czym pomocny zawsze jest pan Bóg, obecny wszędzie, także tu, w tym gabinecie. Wiceszefowa Departamentu Edukacji pokazuje palcem na sufit, uśmiecha się szeroko, zaprasza do wyjścia i prosi, by się niczym nie martwić, bo Bóg jest i kocha.



# Ewangelia

Orzechowska pracowała w Zespole Szkół Elektrycznych w Białymstoku. Absolwentem tej szkoły jest Adam Poliński. Przeglądam zdjęcia, jakie po kryjomu w sali katechetycznej szkoły zrobił jeden z nauczycieli. Na zdjęciach są rysunki, które nauczyciel znalazł na regale naprzeciw hasła na ścianie „Abyś odkrył miłość Bożą”. Rysunki piętnasto-, szesnastolatków wykonane na jednej z lekcji katechezy. Parlament Europejski z napisem „Gaz”, flagą unijną i morzem krzyży katolickich wokół; postacie z napisami „UE”, które mordują katolików, ścinają krzyż, wokół tryska krew; złamany krzyż leży na podłodze, a w jego miejsce wisi flaga Unii Europejskiej; na Polskę jedzie czołg z symbolami sierpa i młota, swastyki i gwiazdy Dawida; katolik wisi na drzewie, a obok złamany krzyż; jeden z uczniów jakby zaprotestował przeciwko poleceniu, napisał „Nie będę skreślać krzyża, mogę zmienić jego kolor” i pomalował na różowo; rozstrzeliwanie, rozczłonkowanie, podrzynanie gardeł, rozjeżdżanie czołgami – katolików, Polaków – a każdy mord dokonany przez człowieka lub maszynę z napisem „Unia Europejska”, swastyką lub gwiazdą Dawida. Jest grób katolika z napisem „zginął za swą wiarę”. Nawet chmury burzowe, które ciskają gromy w krzyż, mają symbol Unii Europejskiej.

Rysunków jest blisko czterdzieści, zostały wykonane około 2011 roku. Sprawa otarła się o białostocką prokuraturę, została umorzona, trafiła do Kuratorium Oświaty, ale katecheta podlega proboszczowi.

Katechezę na temat zagrożeń wobec chrześcijaństwa przeprowadził Bogumił Dziedziul, trzydziestolatek, absolwent teologii. Wysoki, dobrze zbudowany, z lekkim zarostem, skromny, wyciszony. Pochodzi z Sokółki koło Białegostoku, skąd blisko do Kruszynian, silnie muzułmańskich, z meczetem. Wychował się, jak zapewnia, w środowisku wielokulturowym, nie ma problemu z tolerancją, miał kolegów Żydów, świadków Jehowy, różnorodność religijna nie jest mu obca. Już w gimnazjum chciał wstąpić do małego seminarium, ale jego kapłan prosił, by skończył liceum. Ideą są dla niego myśli świętego Franciszka – odrzucenie majątku, odbudowa Kościoła, szacunek do zwierząt. Na studiach teologicznych ugruntował swoją duchowość, uznał Pana Boga za wartość najwyższą, rozpoczął pracę katechetyczną. Ma żonę, dziecko, działa w Ruchu Rodzin Nazaretańskich.

Podlasie sprzyja, mówi, duchowości, wielu tu ludzi religijnych, wierzących, a on jako katecheta stara się pogłębiać tę ich duchowość. Gdy do klasy przychodzą osoby ze wsi, od razu zauważa różnice, widzi w nich większy szacunek do księży, katechetów, Kościoła. Na początku lekcji pyta zawsze, kto zmówił poranny pacierz, zgłasza się jedna, dwie osoby, właśnie ze wsi. Prosi więc je, by poczuły się komfortowo, usiadły, zrobiły znak krzyża, zamknęły oczy, by szczerze przeżywały obecność Pana Boga, ale wtedy protestują. Nie chcą na siedząco, przyzwyczajone są do modłów na kolanach, na stojąco, buntują się, by stać. Raz stanął razem z nimi. Wtedy poczuł dumę, że przejęli od rodziców tak dobre nawyki. Na końcu wstali wszyscy, to bardzo Dziedziula poruszyło.

Tamta lekcja? Wrusza ramionami, bo nie do końca rozumie, o co ta afera. Zaproponował, zgodnie z dyrektywami Episkopatu, temat „kościół prześladowanego”, sprawa trafiła do prokuratury, nawet proboszcz wezwał go na dywanik. Tak bardzo to przeżył, że nigdy więcej takiej lekcji nie zrobił. Na tamtej, mówi, nic złego się nie działo, pokazał młodzieży materiały z prasy katolickiej, kilka artykułów, nie pamięta jakich. Pokazał dwa filmy, które znalazł w internecie, uczniowie obejrzel, wysłuchali, była dyskusja i narysowali to, co przyszło im do głowy. Rysunki poruszyły Dziedziula, dał młodzieży przestrzeń do wypowiedzi, otworzyła się, mówiła o swoich przekonaniach, które często są niepoprawne politycznie. Trzeba uczyć wrażliwości, twierdzi, miłości, dialogu, tolerancji. Czuje się za tę sprawę

atakowany, a przecież nic złego nie zrobił.

– To pana najbardziej interesuje? – pyta mnie z pretensją w głosie Anna Niczyporuk, dyrektor szkoły, w której odbyła się lekcja. Jest usztywniona, nie rozumie, po co hałas wokół takiej „ciekawostki”.

O rysunkach dowiedziała się od kuratorium, bo ktoś wysłał skargę, zdjęcia. Wezwała Dziedziula, wyjaśnił, że powstały na jego lekcji, w ramach tematu o prześladowaniach Kościoła. Dlaczego na rysunkach mordercy mają na sobie logo Unii Europejskiej? Tego dyrektor Niczyporuk nie wie, aż tak nie drażyla. Dziedziul, mówi, to harcerz, przewodniczący koła Caritas, bardzo wartościowy nauczyciel, słowny, odpowiedzialny, z tytułem doktora teologii, można na nim polegać jak na Zawiszy. Angażuje się w życie szkoły, w życie katolickie, co roku organizuje uroczystości związane z wyświęcaniem znanych kapłanów. Nawet gdyby miała do niego zarzuty, to przecież nie od niej zależy, kto uczy w szkole, to decyzja proboszcza. A rysunki? Przyznaje, że były przerażające.

– Czy pan wie, kto je zrobił? Bo, gdy patrzyłam na zdjęcia, to nie dawało mi spokoju. Ktoś od nas?

– Jeden z nauczycieli.

– To teraz mnie pan zasmucił... – Zaciska usta.

– Dlaczego?

– Miałam nadzieję, że nikt z moich nie będzie godził w dobre imię szkoły. Ciekawe, jaki miał cel, na pewno jakiś brzydki.

– Był przejęty.

– Nie sędzę – uśmiecha się ironicznie.

– Jaki cel miał katecheta?

– Nie wiem, nie byłam na tej lekcji.

– Ktoś rozmawiał po niej z uczniami?

– Nawet nie wiem, w której to było klasie.

– Nie interesowało pani, co dzieciaki mają w głowach?

– Wie pan, ile godzin lekcyjnych jest w szkole? Mam się zajmować jedną?

W ZSE jest prawie tysiąc uczniów, stu dwudziestu chodzi na religię prawosławną, etyki nie ma, bo jak mówi mi dyrektorka, nie było chętnych. Na religię nie chodzi kilkudziesięciu, a jeśli katecheza jest w środku dnia, mają, jak stwierdza, aulę, stołówkę, bibliotekę.

Wychodzę na korytarz, widzę dwumetrową tablicę pozostałą po wizytacji arcybiskupa. Na niej duże, złote litery: „Witamy naszego pasterza”. Organizował ją katecheta Dziedziul. Zaśpiewali arcybiskupowi kilka pieśni sakralnych i hymn szkoły:

Więc głośno razem śpiewaj dziś,  
By w świat pomknęła pieśni myśl,  
Że młodzi elektrycy  
Z postępem idą w świat.  
Więc połącz dziś mierników rząd,  
Niech przez nie równo płynie prąd,  
By w każdej stronie świata  
Ciemności zginął ślad.

W okresie międzywojennym większość mieszkańców Białegostoku była wyznania mojżeszowego, katolików – 38 procent, prawosławnych – 6 procent i 3 procent – ewangelików.

Katarzyna Sztop-Rutkowska zbadła, jaką wiedzę na ten temat mają mieszkańcy. Z tym, że w Białymstoku były mniejszości narodowe, zgodziło się około 34 procent badanych. Najbardziej zaniżali ten wynik ludzie najstarsi, powyżej siedemdziesiątego piątego roku życia, których pamięć powinna być utrwalona przez życie i opowieści rodzinne. Sztop-Rutkowska sądzi, że to efekt doświadczeń osobistych, uprzedzeń przywiezionych ze wsi. W przypadku młodych może to niewiedza.

Kto był w synagodze w Tykocinie, jednej z największych w Polsce? Co drugi badany, z czego ponad połowa w wieku piętnastu–dwudziestu czterech lat.

Sami białostoczanie, ponad 50 procent, uznali, że nie są tolerancyjni. Najczęściej przyznawały to osoby aktywne zawodowo i niewierzące. Co trzeci mówił, że nietolerancja wobec cudzoziemców i mniejszości narodowych narasta, a ponad połowa przyznała, że przyczyną jest kolor skóry.

Dlaczego cudzoziemcy psują nastrój białostoczanom? Dla blisko 40 procent są obciążeniem dla systemu opieki społecznej. Dla 35 procent miasto staje się przez nich gorszym miejscem do życia. Dla ponad 20 procent – bo odbierają miejsca pracy, zwiększają przestępczość. 13 procent badanych uznało, że z zasady nie ufa cudzoziemcom, bo wyglądają inaczej niż Polacy. Choć ponad 90 procent uznało siebie za polskich katolików, to ponad 80 procent twierdziło, że Białystok jest wielokulturowy, a 70 procent uważa, że bardzo dobrze dla społeczeństwa, gdy składa się z różnych kultur.

Czy potrzebne są lekcje w szkołach z zakresu tolerancji? Czy dzieci powinny się uczyć o kulturze mniejszości? Aż co trzeci mężczyzna, białostoczanin, odpowiedział, że nie. 13 procent nie puści na takie lekcje swoich dzieci.

Choć połowa zagłosowałaby na radnego, który jest gejem, to właśnie geje, a potem Romowie i Czeczeni są najmniej lubianymi grupami społecznymi w Białymstoku. Co piąty białostoczanin czułby się źle, gdyby jego dziecko poślubiło Żyda (według spisu powszechnego do żydowskiego pochodzenia w Białymstoku przyznaje się obecnie kilkanaście osób). Połowa, gdyby chodziło o geja. Co trzeci negatywnie zareagowałby na ślub z Cyganem, Czeczenem i muzułmaninem. Na czarnoskórego nie zgodziłby się co piąty. Najmniejszą tolerancją wykazywali się najmłodsi, w wieku piętnastu–dwudziestu czterech lat. Im młodszy, tym bardziej nie lubią gejów.

Wydaje się niezbędne, pisze socjolożka we wnioskach, by władze miasta prowadziły politykę w kierunku rozwijania edukacji z zakresu tolerancji i wielokulturowości.

To badanie, podpalenia mieszkań Czeczenów, Kowalczyków, eskalacja ataków rasistowskich, spowodowały władze do stworzenia programu „Białystok dla Tolerancji”. Kilkustronicowa broszura programu, którą znalazłem w internecie, zaczyna się zdaniem: „Wizerunek Białegostoku jako miasta wielokulturowego i otwartego, który tworzyło wielu mieszkańców i wiele instytucji, został poważnie zakłócony”. Celem programu „jest wdrożenie działań mających na celu przeciwdziałanie i zwalczanie ksenofobii, rasizmu i nietolerancji oraz wykształcenie w społeczności Miasta Białegostoku kultury tolerancji wobec ludzi, niezależnie od ich rasy czy wiary”. Zadania rozdzielono głównie urzędnikom. „Poszerzanie świadomości wychowawczej rodziców i opiekunów w zakresie budowania postaw tolerancji i akceptacji” powierzono Białostockiej Akademii Rodziny. Latem 2013 roku zorganizowano w ramach programu koncert. Ludzi było mniej niż policji i straży miejskiej, na końcu doszło do bójki

między neofaszystami a Czeczenami. Jeden z nich, Bersan, syn Mariny, usłyszał od policji, że na drugi raz powinien ubrać się tak, by nie wyglądał jak Czeczen.

Grzegorz Stefaniak pochodzi z Ostrowa Wielkopolskiego. Na studia chciał iść na psychologię, by powalczyć z własnymi demonami, otyłością, tożsamością seksualną. Wyjechał do Łodzi, na filologię południowosłowiańską, może dlatego, że rodzice oglądali kanały czeskiej telewizji, bo innych antena w środku Ostrowa nie ściągała.

Poznaje w Łodzi środowisko skupione wokół teorii gender, wciąga się w pracę Kampanii Przeciwko Homofobii. W akademiku w jednym pokoju mieszka z Jackiem, heteroseksualnym przyjacielem, który opowiada mu o Białymstoku, wielokulturowym, otwartym, przyjaznym, zielonym.

Grzegorz przyjeżdża do Białegostoku, słyszy, że jest tu w końcu nowoczesny prezydent, Truskolaski, miasto w przebudowie, rosną galerie handlowe, wygładzają się drogi. Jacek mówi, że minęły dawne czasy, gdy był punkiem, bił się z naziolami, już nie ma strachu, spokój, sielanka.

Grzegorz, dwudziestoosmolatek, jest wysoki, delikatnej urody, o chłopięcym głosie. Siedzimy w restauracji, on po turecku, na kanapie zrobionej z europalet.

– „Fajne miasto”, mówię sobie, gdy przyjeżdżam do Jacka. „Chciałbym mieć chłopaka z Białegostoku”. Nie wiem dlaczego, tak sobie wkręciłem, że na pewno będzie gościnny, otwarty, szczerzy. Wrobiłem sobie taką opinię na podstawie historii Jacka, jego przyjaciół, zgodnie z mitem otwartości i szczerości Podlasia. Poznaje Krzysia, studenta pedagogiki, geja. Też pełen nadziei, bo nowy prezydent, nowe myślenie. Nie poszedłbym z nim za rękę po Białymstoku, może po pijanemu, o czwartej nad ranem, ale znajomi tworzą wokół mnie przyjazną atmosferę, jak bańkę, której ścianek wtedy nie dostrzegam. Mieszkam u Krzysia z jego rodzicami w mieszkaniu. Oni w jednym, my w drugim pokoju, nikt o nic nie pyta, ale muszą się domyślać, skoro kochamy się w nocy. Jego ojciec jest architektem, mama na emeryturze, zajmuje się domem. Krążę między Łodzią a Białymstokiem, poznaje znajomych Krzysia ze studiów pedagogicznych. Robią festiwal teatralny „Mikstura”, wokół którego powstaje idea Stowarzyszenia 9/12, zajmującego się gender, tolerancją, antydyskryminacją. Pierwsza akcja to warsztaty dla podopiecznych salezjańskiego ośrodka wychowawczego, bardzo się podobały.

W 2011 roku organizuję z przyjaciółmi festiwal filmowy o kulturze queer, który ma wpisać się w opowieść o nowoczesnym, wielokulturowym mieście, bo takie hasła płyną z billboardów. Najlepszym miejscem jest Centrum Ludwika Zamenhofs, postawione wówczas z okazji kongresu esperanto. Zgadza się. We wniosku do Urzędu Miejskiego piszemy, że chodzi o orientację seksualną, płęć, nazywamy festiwal „Nienormatografem”, festiwalem kultury queer. Na mieście wieszamy plakaty, na nich zdjęcia matrioszek, rosyjskich lalek przeciętych na pół, poskładanych z elementów męskich i żeńskich, ale w dziewięćdziesięciu procentach festiwal organizowały osoby heteroseksualne. Czuli, że idą z duchem przemian, które dzieją się w mieście.

Pierwszy sygnał to niepokój, jaki wkrada się do zespołu. Dostajemy pytania, niby niewinne, od znajomych: po co ci to? Czym się w ogóle zajmujecie? Czy to nie zboczenia? Zespół ulega nastrojowi lęku. Może mają rację, pyta ktoś, po co to robimy, a jeśli będzie zadyma? Urząd Miasta i Urząd Marszałkowski dają jednak dotację, prawie piętnaście tysięcy złotych, więc jesteśmy na wygranej pozycji, urzędnicy są z nami. Jedna ze współpracownic mówi, że jej brat jest w kibolskim stowarzyszeniu, że szykują coś, może być niebezpiecznie. Na forum internetowym kibiców Jagiellonii czytamy, że są zmobilizowani, będą naciskać na urząd, odbiorą nam dotację, wjadą na imprezę i ją

rozwałą. Strach mi się udziela, ludzie pękają, wykruszają się. Obserwujemy każdego, kto przychodzi do Centrum, czy nie jest łysy, ubrany jak skin.

Ernest Grecki, rocznik '90, mieszka wtedy na białostockim osiedlu Wygoda z matką, starszą siostrą i bratem. Ojca nie zna, odszedł, gdy Ernest miał dwa lata. Matka pracuje fizycznie, sama utrzymuje rodzinę, alimentów nie dostaje. Ernest pamięta, że dożywiał się frytkami znalezionymi na przystanku.

W gimnazjum rodzina pyta, czy ma już dziewczynę, więc próbuje, jedną nawet odprowadza do domu, inną zaprasza do siebie, ale się nie klei.

Wysoki, przystojny, o filigranowej budowie. Podobają mu się koledzy, zwłaszcza jeden, co śpiewał w chórze.

– Rodzina pyta co chwilę, czy mam dziewczynę, no to odpycham te myśli, przechodzę kryzys wiary, łajam się wewnętrznie, że nie wolno, że pedalstwo, a jeszcze księża agresywni, katechetki mówią w szkole o grzechu takiej miłości. Idę do VI LO, elitarnego, dla dzieciaków z dobrych domów, ale boję się ujawnienia, bo akurat pis jest u władzy, ministrem edukacji Roman Giertych, Młodzież Wszechpolska na fali, płynie od nich nienawiść, a swastyki na murach już oswojone, wpisane w rzeczywistość. Sam się tym fascynuję, uznaję, że Żydzi zasłużyli sobie, a hasła nazizmu o wyższości rasy mnie przekonują. Czułem, jeszcze w gimnazjum, że potrafię nawet zrozumieć wytłumaczenie dla rasistowskich mordów.

Mama kupuje komputer, na raty, bo w domu biednie. Szperam, znajduję strony gejowskie, widzę, że nie jestem chory, nie jestem sam. Odkrywam ogłoszenia, zdjęcia, na których rozpoznaję przykładowych ojców z Białegostoku.

Brat, kierowca ciężarówek, mówi mi raz, że widział na poboczu idących gejów, chciał ich rozjechać, więc gdyby się okazało, powiedział, że jestem pedałem, to wywiezie do lasu i porąbie. Mówi to, bo nie mam dziewczyny, wyglądam mało hetero, więc bierze maszynkę i goli mnie na trzy milimetry, jakby coś podejrzewał. Buntuję się, by czasami zostawiał pięć milimetrów. Jestem blady, chudy, ludzie myślą, że mam białaczkę, że po chemii, ustępują mi miejsca w autobusie. Ubranie też nosiłem po bracie – dżinsy, sportowe buty, bluzy.

Pilnuję się, bo komputer na widoku, wyłączam monitor, gdy ktoś przechodzi. Brat też korzysta, siostra i mama, więc czyszczę historię wyszukiwania w przeglądarce. Boję się, że wyrzucą mnie z domu.

Na mieście widzę plakaty festiwalu „Nienormatograf”. Jestem ciekaw, ale boję się, że ktoś mnie zobaczy. Idę nieśmiało, wyglądam jak dres, łysy, w adidasach, tylko chudy. Myślą, że jestem nazikibolem, szpiegiem. Wtedy nie wiedziałem, że Grzegorz i inni mnie obserwują, myślałem, że mogę się wmieszać w tłum. Leciał jakiś film o kulturze queer, potem dyskusja, jakiś pan, cały w skórze, jest zniesmaczony, mówi o rodzinie, tradycji, wkurza mnie, kłócę się i wszyscy zdziwieni, że wyglądam jak skin, a bronię queer. Zeszło z nich powietrze, że jednak jestem swój. Wychodzę z ulgą, bo widzę aprobatę dla siebie i koleżankę z gimnazjum, która pyta: „he, he, ty też?”.

Wciągają mnie, poznaję Grzegorza, Anię Kozicką i kilkanaście innych osób, z którymi organizujemy stowarzyszenie Grupa Iris na rzecz homoseksualistów. Przyłączam się też do Stowarzyszenia 9/12. Robimy akcję „Dzień Milczenia”, zaklejamy usta, chodzimy po mieście, rozdajemy ulotki. W 2011 roku zrobiliśmy transparenty, stanęliśmy na odnowionym Rynku Kościuszki, niby taki marsz równości, ale zaraz pojawiło się kilku kibiców Jagiellonii, zadzwonili po kolegów, my po policję, spisali ich.

Czuję się bezpiecznie, o ile ktoś nie patrzy na mnie jak na geja. Szliśmy raz z Kozicką, byłem pedalsko ubrany, ona jak zawsze oryginalnie. Ktoś krzyczy: „Stój, bo wam wpierdole!”. Staję, a kibol macha łapą,

pluje mi w twarz, Anka się na niego rzuca, dzwoniemy po policję.

W 2012 roku siostra widzi na komputerze zdjęcia chłopaka, pyta, o co chodzi. Przyznaję się. Zaskoczona, ale w stylu: o, fajnie, mam brata geja, mogłem wcześniej powiedzieć. No jasne, kurwa, w domu opresja, że boję się oddychać, ale przecież mogłem powiedzieć. Na urodziny kupuje mi obrączkę w barwach tęczy, chce, bym zabrał ją do klubu dla gejów, ale nie znam takich, żyłem w ukryciu.

Nadszedł też dzień, by powiedzieć bratu. Chcę publicznie. Z okazji „Dnia Milczenia” nagrywam film, wrzucam na YouTube’a, chodzę po ulicach, pewny, że wszyscy już wiedzą, ale film ma sto pięćdziesiąt wyświetleń, dupa. Przed Wielkanocą 2012 roku mówię bratowej, reaguje spokojnie, ale będzie mi trudno z bratem, mówi, bo zdążyła go poznać. Żrę xanax i idę do brata, mieszka już z żoną. Nie ma ich, bez sensu brałem proszki. Mieszka dwa osiedla dalej, nie widzieliśmy się od dawna, unikamy się, bratowa mu powiedziała, ponoć źle to przyjął. Powiedziałem matce, odparła: „Boże, jak teraz będziesz żyć?”.

Dlaczego tu żyję? Nie czuję się bezpiecznie, ale mam przyjaciół, robimy warsztaty antydyskryminacyjne w szkołach, pracujemy nad tolerancją.

„Nienormatograf” odbywał się w strachu, ale było, jak mówi Grzegorz, coraz gorzej.

– Pojawiły się zmasowane informacje o ataku neofaszystów, że będzie demolka, co chwila ktoś mówił: „a słyszeliście, że w internecie...?”. Odwołaliśmy imprezę w klubie z drag queens, bo pojawiły się pogróżki, że zdemolują lokal, powiadomiliśmy policję, przed Centrum Zamenhofs stanął radiowóz.

Jerzy Szerszunowicz, dyrektor CLZ, informuje mnie, że z plakatów festiwalu ma zniknąć logo Centrum, bo nie jest współorganizatorem, daje tylko salę. Zaczynają się więc retorsje ze strony władz miasta, ale impreza zostaje dokończona: są bloki filmowe, panele dyskusyjne „Krytyki Politycznej”, warsztaty o homoseksualności, Anna Grodzka mówi o transpłciowości.

Osoby, które tworzyły moją bańkę otwartego Białegostoku, że to przecież takie fajne miasto, nagle same doświadczyły homofobii. Bańka pękła.

Chcemy ruszyć z kolejnym festiwalem teatralnym, mamy obiecaną dotację z urzędu, ale mówią, że nie będzie, zniknęły dokumenty. Pracujemy za darmo, z plakatów zmazujemy logo Urzędu Miejskiego „Wschodzący Białystok”. Dochodzą do nas głosy, że to zemsta za „Nienormatograf”, bo ponoć nie wiedzieli, że będzie queer, LGBT, że dyrektor Centrum Zamenhofs ma przez nas problemy, nie chce już współpracować. W relacjach z władzą pojawia się dystans, niedopowiedzenia.

Nie przejmujemy się, rozwijamy działkę edukacyjną, projekt antydyskryminacyjny w szkołach. Jedno z ćwiczeń: z klasy wychodzi kilka osób, a gdy wracają, widzą, że reszta rozmawia szeptem. Mają się zintegrować, ale nie potrafią, nie są wtajemniczane, podlegają opresji, wykluczeniu. Czasami są zapraszane do grupy, bo tak wypada, ale nigdy do końca nie zostają zaakceptowane. Podobnie jest z władzami w Białymstoku. Niby były hasła o tolerancji, wielokulturowości, otwartości, ale okazały się pozorne.

Warsztaty podobają się szkołom, nauczyciele i pedagodzy lgną, dostajemy tyle zgłoszeń, że nie wyrabiamy. W 2011 roku nie dostajemy pieniędzy z miasta, w 2012 roku – pięć tysięcy złotych, ale z urzędu marszałkowskiego, który mentalnie jest chyba dalej od archidiecezji. Pamiętam, że jeden z marszałków na pytanie działaczy pis, dlaczego robimy gender, mówi: „bo to problem europejski”. Pozyskujemy jeszcze jedenaście i pół tysiąca złotych od ambasady USA i robimy pięćdziesiąt warsztatów dla szkół, w akademiku uniwersytetu, bo Centrum Zamenhofs proponuje salę odpłatnie, choć wcześniej dawali za darmo.

W 2013 roku dostajemy grant ze Szwajcarii na sto warsztatów. We wrześniu 2013 roku, po tym, jak miasto podpisało program „Białystok dla Tolerancji”, dzwoni do mnie pedagogka jednego z liceów, że musi odwołać warsztaty, ponoć ktoś z Departamentu Edukacji Urzędu Miejskiego, od pani dyrektor Orzechowskiej, zakazał dyrektorom szkół puszczania do nas dzieciaków, bo przekazujemy nieodpowiednie treści. Za chwilę kolejne telefony, licea rezygnują, jedno po drugim. Inna pedagogka dzwoni, że przyszły matki w hysterii, z dokumentami od księdza Dariusza Oko, że pokazujemy gender, a to promocja homoseksualizmu. Akurat gender nie mieliśmy na tych warsztatach, mówiliśmy między innymi o mniejszościach seksualnych, o ich dyskryminacji. Dzwoni kolejna, że dostała polecenie służbowe, by odwołać. Dzwonię do jej dyrektorki, ale ona musi odwołać, takie ma polecenie. Widzę maila, jakiego przesyłają sobie nauczyciele katoliccy w Białymstoku: „Gender w Białymstoku – warto wiedzieć”. Jedna z osób prosi, by przekazać go dalej, bo „na zajęciach dzieci dowiadują się od prowadzących, że jak pan kocha pana lub pana i panią jednocześnie, to jest to normalne”. Cytują film z zajęć, na których dzieci dowiadują się, jakie są oblicza dyskryminacji i jakie są symbole nienawiści. W mailu także informacja, że „staramy się o pieniądze na kontynuowanie w roku 2014 programu warsztatów antydyskryminacyjnych!”. Jest wymieniona lista miejsc, gdzie się odbywają, i szkół, które zgłosiły akces.

(Jedną z osób, które rozsyłają maile, jest dyrektorka białostockiej szkoły katolickiej, startująca w wyborach samorządowych z list prezydenta Truskolaskiego, pozostaje też członkiem rady do spraw wychowania katolickiego przy białostockiej kurii).

Dlaczego ciągle mieszkam w Białymstoku? – Grzegorz długo patrzy w sufit. – Bo jest tu mnóstwo ludzi, dla których warto to robić, są fajne dzieciaki, z którymi chcemy pracować. Nic mnie nie łączy z tym miastem, pękła bańka, ale nie chcę porzucać znajomych. Czuję, że robię to też dla siebie, bo chcę żyć w przyjaznym dla mnie miejscu, w którym szanuje się ludzi, a hasła na plakatach nie są tylko hasłami.

W 2014 roku Stefaniak powołał się na program „Białystok dla Tolerancji” i wysłał do Urzędu Miejskiego wniosek, by prezydent Truskolaski objął ich warsztaty o tolerancji honorowym patronatem. Przez dwa tygodnie nie otrzymywał odpowiedzi, zadzwonił, usłyszał, że dokumenty zginęły, w końcu przysłała odpowiedź negatywna, bez uzasadnienia.

# Poświęcenie

„Przecież nie postawię tam stróża” – mówi dyrektor Zarządu Mienia Komunalnego w Białymstoku, gdy na Bojarach, w zabytkowej dzielnicy miasta, płonie kolejny drewniany dom. Nie ma sprawców, nie ma świadków. Domy, pamiętniki dziejów, płoną jak zapalki, a z nimi stuletnie historie.

Ogień przychodzi w nocy, krótko po tym, gdy pojawia się nowy właściciel działki, a stojące na niej zabytki przeszkadzają w osiedlowej inwestycji.

Płonie dawna siedziba magistratu, stary urząd pocztowy. Płonie dom przy Starobojarskiej, budynek przy Skorupskiej, przy Wróblej, Glinianej. Przy ulicy Wiktorii stoi tabliczka: „w tym budynku znajdowało się zakonspirowane mieszkanie, w którym kilkakrotnie przebywał w 1905 r. Józef Piłsudski”. Podnoszę głowę, widzę płot z napisami „Jagiellonia Białystok”, „Marek to dupek”, nad płotem wystają żagwie pozostałe po dachu.

W domu przy Wiktorii mieszka Tomasz Lisicki oraz jego babcia. Ma sto jeden lat, tutaj urodzona, całe życie siedziała na ganku. Lisicki pamięta, że za ulicą było kiedyś pole. W latach siedemdziesiątych przyszła wielka płyta, a od dziesięciu lat wchodzi apartamentowce, ekspansywne, żarłoczne, ogniotrwałe.

Bojary to dzielnica przedwojenna, pełna była drewnianych chat, teraz zgłiszcz. Tu mieszkała klasa średnia, nauczyciele, urzędnicy, rzemieślnicy, artyści. Niska, tonąca w zieleni zabudowa i cisza. Ulica Skorupska to dawna granica między Koroną Polską a Wielkim Księstwem Litewskim.

Stoję przy ulicy Skorupskiej 19, przede mną drewniany dom, stuletni. Jestem świadkiem wiekopomnej chwili, bo za domem w wykopie pracuje koparka, drąży podziemny parking pod kolejny apartamentowiec, prawie dotyka łąką ściany domu. Robię zdjęcia, podchodzi zaniepokojony kierownik budowy, młody architekt, może trzydziestopięcioletni, ściąga kask ze spoczonej głowy. Pokazuje mi ręką, gdzie będą wjeżdżały samochody, gdzie balkony z widokiem na pogorzelska. Jest z Podlasia, spod Siemiatycz, żal mu tych domów, ale to zaniedbania z dziesięciu lat, nie da się tego uratować.

O pamięć miasta, przetrwanie starej zabudowy, pożydowskich zabytków, walczy młodzież i organizacje pozarządowe, które zmagają się z brakiem pieniędzy i siedziby. Robią to po godzinach pracy, wykładów, naradzają się w kawiarniach. Jest profil na Facebooku „Białystok z drewna” – to grupa zapaleńców, dwudziestolatków, którzy chodzą po starych domach, trzymających się w pionie tylko dzięki sile woli ich ostatnich właścicieli, i zbierają okruchy wspomnień, dramatów z czasów zaborów, wojny, PRL.

Po co wam to? – pytam Rafała Kozłowskiego, inicjatora akcji. Bo nie mają kopalń, odpowiada, ale mają stare domy z drewna, można by z nich zrobić lokalną markę. Chodzą po Bojarach, robią zdjęcia domom zagubionym wśród rosnących apartamentów, jak emerytom otoczonym przez wycieczki ekspansywnych, głośnych gimnazjalistów. Zainspirowała ich Katarzyna Sztop-Rutkowska. Od niej dowiedzieli się, że Białystok był miastem żydowskim, nie wierzyli, zdziwieni, no bo gdzie, skoro nic po nich nie zostało. Jadą zaraz do dzielnicy Białostoczek, by udokumentować starą architekturę. Spieszą się, bo za chwilę będzie tam szeroka droga, przelotówka, by zgodnie z koncepcją prezydenta Truskolaskiego rozwijać Podlasie przez transport i połączyć każdą drogę w pionie z tymi w poziomie. Skrzyknęli się, bo nikt nic nie robił, a na ich oczach płonęły domy, jak ten na Starosielcach, gdzie ludzie stali na balkonach apartamentowców i robili zdjęcia telefonami, patrząc na pożogę, która po kilku miesiącach zamieniła się w Biedronkę.



Dla władzy, jak słyszą, są profilem na Facebooku, który uczeplił się drewnianych chatek, więc nikt z nimi nie rozmawia, nie wspiera, nie pyta, jak pomóc. Czasem zaprosi ich jakiś dziennikarz, powiedzą coś w radiu. Cieszą się, że po trzech miesiącach działalności mają pięćset lajków na Facebooku.

Mateusz Tymura, trzydziestolatek, mieszka ze swoją partnerką i małą córką Niebianką w blisko stuletnim, wynajmowanym domu. Zimą marzną, uszczelniają okna, palą w dwóch piecach, ale za to latem pachną malwy, rosną wiśnie, jest pięknie. W pokoju mają stare pianino, stół i krzesła z duszą.

Tymura działa społecznie, rozwijał kulturę podwórkową, alternatywną. Walczy o bojarские chaty na facebookowym profilu „Bojary zostają kulturalne”, mitręży czas z urzędnikami, chce ratować domy, prowadzi warsztaty, realizuje spektakle, pokazuje historię, kulturę, która odeszła z przyjściem disco polo. Żebra o kilka tysięcy złotych miejskich dotacji, by usłyszeć, że prezentuje „za mały potencjał dla kultury miasta”.

Jest spod Zamościa, przyjechał do Białegostoku na studia teatralne. Spacerował po mieście, zobaczył starą, opuszczoną chatę, aż się prosiła, by zrobić w niej teatr. Bo taka chata dobrze mu się kojarzyła, z dzieciństwem u babci, gdzie stał domek z piecem kaflowym, a babcia poczciwa i szlachetna, jak te domy i drewno, magiczne i ciepłe. Nim trafił do starego domu, mieszkał przy ulicy Wąskiej, w wieżowcu na dziesiątym piętrze, nocami oglądał pożary starych domów, a potem plac budowy, parking podziemny, żarłoczną koparkę i apartamentowce.

Taki apartament chętnie by wzięła Anna Panas. Mieszka na Bojarach w drewnianym domu po dziadkach. Pięćdziesięciolatka, zdenerwowana, rozmawiamy przez płot. Chodzą młodzi, robią zdjęcia, chcą to zachować, mówi, ale nikt jej o zdanie nie pyta, a dach jej się wali na głowę, wiatr wieje przez ściany, kafelki lecą w łazience. Ekspert powiedział, że taniej będzie postawić nowy, bo to próchno, więźba dachowa pognita, na dachu dziurawy eternit, ale nie może, bo konserwator zabronił, nawet remontować nie pozwala. Jak się mieszka w eleganckim bloku, krzyczy przez płot, ma się kanalizację, ciepłe kaloryfery i ściany, to łatwiej walczyć o zabytki!

Panas ma dość, pójdzie do prezydenta, sąsiedzi też, bo nie ma już sentymentów, nie da się tak żyć, nie zliczy tych pieniędzy, które włożyła w dom, poszły na marne. Chce go zburzyć, wybudować nawet taki sam, ale nowy. Obok niej deweloperzy płacili za działki dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych, za jej plecami powstało osiedle. Do niej nikt nie przyszedł, ale gdyby dał dobrą cenę, nie miałyby skrupułów. Proszę bardzo, mówi, niech walczą o historię, ale ona chce godnie mieszkać.

Pieczę nad zabytkami sprawuje w Białymstoku między innymi Sebastian Wicher, czterdziestolatek, wykształcony konserwator, pracownik nowo powstałego biura miejskiego konserwatora zabytków. Wiosną 2015 roku w rozmowie ze mną narzekał, że polityka miasta prowadzi do zagłady zabytków, spycha je w niepamięć, a na ich miejscu wyrastają apartamentowce, które trudno już zliczyć. Dominują dwie firmy, powiązane z polityką. Białostoczanie przed wyborami samorządowymi 2014 roku żartowali, że wybór PiS lub PO to wybór jednej z nich.

Wicher, w bezradności, napisał w czerwcu 2015 roku list otwarty, w którym wypomniął prezydentowi Truskolaskiemu jedną z wyborczych obietnic: ochronę dziedzictwa kulturowego miasta. Ujawnił w liście kulisy sprzedaży zabytkowych kamienic przy ulicy Lipowej, głównej promenadzie. Przed wojną należały do Towarzystwa Białostockiej Talmud-Tory, mieściła się tam żydowska szkoła rzemieślnicza i religijna.

Zabytki te, pisał Wicher w liście, „stanowią materialne świadectwo funkcjonowania w Białymstoku do roku 1939 żydowskich placówek oświatowych”. Budynki kupił deweloper, który zgłosił się do Wichra po wytyczne konserwatorskie. Dostał odpowiedź o możliwych przeróbkach, ale z zachowaniem zabudowy zabytkowego charakteru i uszanowaniem ducha okolicy. Wysłanniczka dewelopera, dawna urzędniczka miejska zajmująca się rozwojem przestrzennym miasta, przeczytała to i ostrzegła Wichra, że jej firma nacisnie na władze, by uzyskać korzystne decyzje. Kilka dni później przełożony Wichra, miejski konserwator zabytków, oznajmił mu, że na życzenie wiceprezydenta odpowiedzialnego za inwestycje zalecenia konserwatorskie powinny być zmienione na korzyść dewelopera: wysokość zabytku, budowa parkingu podziemnego, styropian. Z folderu reklamowego wynikało po prostu, że zabytek zniknie.

„Negatywnie wpłynie to zarówno na sam zabytek znajdujący się w ewidencji, jak i na część miasta wpisaną do rejestru zabytków – pisze Wicher w liście otwartym. – Zaburzone zostaną relacje przestrzenne pomiędzy budynkami ponad 100-letniego zespołu zabudowy historycznych placówek dydaktycznych, należących niegdyś do lokalnej społeczności żydowskiej”. Wicher ujawnił też plany sprzedaży przez miasto kolejnych zabytków. Następnego dnia po opublikowaniu listu został zwolniony z powodu utraty zaufania.

# Natchnienie

Film braci Goskindów z 1939 roku ma dziesięć minut i jest jedną z nielicznych pamiątek po żydowskim Białymstoku. Jest starówka z kramami, które zastąpiły kawiarniane ogródki, wielka synagoga – grób spalonych żywcem, której resztki kopuły wciśnięto w bankowy parking, dom Zamenhofs, po którym pozostał płaski mural, żydowska biblioteka z dwudziestoma tysiącami książek, siedziba redakcji „Unser Leben”, gimnazjum hebrajskie, żydowskie fabryki, ich dymiące kominy, płonące piece, matki z wózkami, roześmiane dzieci, jak mówi lektor: „będące piękną przyszłością Białegostoku” albo „młode kokiety” zajadające bułkę z cebulą, białyś, lokalny, zapomniany żydowski przysmak. Film nakręcono kilka tygodni przed wybuchem wojny, ufundował go Max Ratner, białostocki emigrant z USA. Ktoś wrzucił go do internetu z podpisem „niemiecka propaganda”. Może to ignorancja, zła wola, a może nie dowierzał w skalę białostockiej żydowskości.

Spaceruję ulicami Białegostoku, szukam śladów tej żydowskości. To głównie pamiątki współczesne, jak popiersie Zamenhofs, tabliczki przed budynkami widmami. Dziedzictwo kulturowe, architektoniczne spłonęło, pod bombami rozsypało się w niepamięci.

Zachowało się coś na ulicy Warszawskiej. Stare żydowskie domy, na których już tylko ślady po mezuzach przypominają, że akty notarialne prawdziwych właścicieli spłonęły wraz z nimi w Treblince.

Mijam kościół Świętego Wojciecha, dawną ewangelicką świątynię, wygraną w sądzie po wojnie przez kurię katolicką. Nad wejściem do kościoła były napisy, że to niemiecka kircha, ale proboszcz zamalował. Na terenie kościoła wielka plansza: biuro poselskie Marka Jurka z Prawicy Rzeczypospolitej, który przyjmuje petentów tuż nad mieszkaniem proboszcza. Wychodzi pracownica biura z pretensjami, że robię zdjęcia. Zdziwiony jestem, mówię, że na plebanii jest biuro poselskie. Co w tym dziwnego, odpowiada, inne plebanie też mają!

Dalej stoi modernistyczny budynek, który nie pasuje do zabytkowego krajobrazu, a jeszcze kawałek dalej gmach zbudowany przez Żyda Berko Polaka, na którym powinna być gwiazda Dawida, ale nie ma. Była elementem podpory pod latarnię, przetrwała okupację hitlerowską, siedzibę gestapo, PRL. W połowie lat dziewięćdziesiątych budynek został przekazany kurii białostockiej jako rekompensata za utracone mienie i księża gwiazdę zdjęli. Po tym, jak Tomasz Wiśniewski napisał w prasie, że gwiazda zniknęła z budynku, szukała jej Lucy Lisowska. Napisała do księży, do konserwatora zabytków, otrzymała odpowiedź, że gwiazdy nie ma, bo trwa remont, ale żadnych prac nie widzę.

Na stronach kurii nie ma informacji o żydowskim pochodzeniu budynku. Mieści się tam Centrum Formacji Pastoralno-Katechetycznej imienia błogosławionego Michała Sopoćki, „powołane do koordynacji działań związanych z permanentną formacją duchową i intelektualną kapłanów, katechetów i osób świeckich”. Jest też międzywydziałowa Katedra Teologii Katolickiej Uniwersytetu w Białymstoku, fundacja katolicka Spe Salvi, prowadzona przez księży i profesor Teresę Mróz, szefową Zakładu Prawa Handlowego Uniwersytetu w Białymstoku. Jest jeszcze Akcja Katolicka i biuro do spraw pozyskiwania funduszy z Unii Europejskiej. Można też komercyjnie wynająć „multimedialną aulę konferencyjną”.

Wracam, mijam znów tajemniczy, nowoczesny budynek. Na małej tabliczce napis – Muzeum Archidiecezji. Pięciopiętrowy, modernistyczny, z betonu, szkła i aluminium. Wchodzę. Kobieta w portierni jakby ocknęła się z drzemki.

– Można zwiedzić?

Podnosi telefon.

– Weź klucz do trzeciego piętra – mówi do słuchawki. Pojawia się mężczyzna, zaprasza do windy. Parter, jak tłumaczy, to archiwum. Wyżej jest mieszkanie księdza dyrektora i pomieszczenia socjalne. Mój przewodnik nie ukrywa swojego ironicznego stosunku do nowoczesnej bryły, która nie komponuje się z pożydowskimi budynkami ulicy. Wsiadamy na trzecim piętrze, na wystawie papierowe szkice do fresków, ale bardzo współczesne, sprzed roku. Jest też odlew głowy jakiegoś biskupa z 2014 roku.

– Gdzie teraz? – pytam.

– Koniec.

– To wszystko? A coś historycznego?

Piętro niżej jeszcze kilka gablot, w nich szaty liturgiczne.

– To już naprawdę koniec – mówi.

– Pan żartuje?

– Czego pan się spodziewał? – uśmiecha się.

– Muzeum.

Pokazuje ręką do wyjścia. Żartujemy sobie, jest zabawnie, daje mi znać półsłówkami, że muzeum to tylko z nazwy, a archiwum jeszcze nie działa, choć budynek otwarto dwa lata wcześniej. Wybudowano go ze środków unijnych, kosztował około dziesięciu milionów złotych. Architekci białostoccy krytykowali bryłę muzeum, bo zdemolowała historyczny charakter ulicy Warszawskiej. Jarosław Chodynicki z Towarzystwa Opieki nad Zabytkami wytknął publicznie błędy urzędnikom i zaraz dostał telefon z kurii z prośbą, by stawiał się u jego ekscelencji, arcybiskupa Ozorowskiego. Poszedł, usłyszał, że taka krytyka w kurii się nie podoba.

Zgodę na postawienie muzeum archidiecezji w takim kształcie wydano w biurze wojewódzkiego konserwatora zabytków. Jest nim Andrzej Nowakowski. Stanowisko otrzymał w latach, gdy rządziła koalicja PiS–Samoobrona–LPR, choć nie miał przygotowania historycznego ani konserwatorskiego – jest architektem. Zbiera cięgi w środowisku za niekompetentne decyzje, wycinki zieleni, ocieplanie zabytkowych budynków styropianem, wyburzenia pod dyktando władz Kościoła. Jego zastępczynią jest Zofia Cybulko. Podczas wystawienia budzącego kontrowersje spektaklu *Golgota Picnic* w teatrze TrzyRzecz stała tam wraz z protestującymi środowiskami prawicowymi i nazwała teatr „awangardą finansowaną z Fundacji Batorego, czyli przez żydostwo”. Straciła posadę wicekonserwatora, ale pozostała tam na kierowniczym stanowisku.

Nowakowski, sześćdziesięciosześcioletek, w PRL pracował w biurze budownictwa wiejskiego, budował PGR, przez kilka lat był miejskim architektem w Białymstoku. Wzdycha, gdy pytam o zarzuty związane z budynkiem muzeum.

– Jest grupa ludzi – mówi – która tęskni za pewnymi układami. Mają mi za złe, że jestem związany z Kościołem, a budynków sakralnych wybudowałem już szesnaście, i to niektórym przeszkadza. Muzeum spełnia wszelkie wymogi, nie jest za wysokie, a że nowoczesne, to dobrze, twórzmy z duchem XXI wieku, nie ma co nawiązywać do zabytkowych form, które obowiązywały sto lat temu.

Nowakowski chętnie mówi o przyjaciołach w środowisku kleru, że dobrze się z tym czuje, bo płynie to z wiary i serca. Już w latach osiemdziesiątych zaczął projektować kościoły, kuria go ceni, mają dobre opinie, ludziom się podobają. Zasiada w komisji kurialnej do spraw projektowania kościelnego, działa w niej od dziesięciu lat.

– Kościół ma tutaj silną pozycję – dodaje. – Jest tu bardzo dużo ludzi wierzących, chcą kościołów. Jestem dumny ze swoich świątyń. Obecnie mam na biegu sześć kościołów w realizacji, muszę jeździć doglądać, a jeden buduje się dziesięć lat. Kościół pod wezwaniem Miłosierdzia Bożego, gdzie leżą szczątki błogosławionego księdza Sopoćki, budowałem przez dwadzieścia lat.

Jak projektuje się kościół?

– To zależy od wizji proboszcza, ale staram się coś po sobie zostawić. Kościół musi mieć stałe elementy, ale szata estetyczna to element twórczy. Żaden artysta nie powie, skąd to bierze, to nie takie łatwe, czasami ksiądz Sopoćko coś podpowie. Przy tym kościele Miłosierdzia natchnienie spłynęło na mnie ręką opatrności, nie wstydzę się tego powiedzieć. Pierwsze koncepcje były inne, kościół miał nazywać się pod wezwaniem Świętej Rodziny. Pomyślałem, że to nie może być tradycyjny model bazylikowy, i raptem przychodzi mi do głowy myśl, że to musi być ognisko, jego emanacja na otoczenie, na wiernych, jak ognisko rodzinne, gdzie wierzący mają się spotkać w promieniach ognia. Kościół wkrótce dostaje nową nazwę Miłosierdzia i znów natchnienie opatrności, że przecież promienie z serca Jezusa to również obraz ogniska, a wpadło mi to do głowy w pobliżu domu księdza Sopoćki, więc to nie mógł być przypadek. Jestem pewny, że wierzący projektant buduje ciepłe kościoły, a niewierzącym to nie wychodzi. Ludziom architektura pomaga w kontemplacji wewnętrznej, dlatego staram się tak projektować, by człowiek czuł się w moim kościele dobrze, chciał się modlić. Ale sądzę, że mógłbym zaprojektować i cerkiew, i synagogę, bo przecież wierzymy w tego samego Boga. Chociaż... nie wiem, czy wówczas natchnienie płynące z opatrności przysłoby do mnie z taką mocą. Teraz też czuję opatrność, gdy mam sześć kościołów w budowie, dostaję sygnał „z góry” – Nowakowski pokazuje na sufit – by jechać, sprawdzić, i zawsze jestem we właściwym momencie, bo tam – pokazuje znów na sufit z uśmiechem – czuwa kierownik budowy.

# Cud

## Mikroskop

Wizytę grupową w kościele pod wezwaniem Świętego Antoniego Padewskiego w Sokółce, czterdzieści kilometrów od Białegostoku, trzeba zamówić z tygodniowym wyprzedzeniem u wydelegowanej do tego zakonniczki, by ta znalazła dla autokaru miejsce na przykościelnym parkingu. Ołtarz kościoła zszedł na drugi plan, pozostaje zaciemniony. Ludzie klękają z lewej strony nawy, pochyleni w skupieniu przed kratą, za którą stoi mikroskopijne ciało Jezusa.

Na terenie plebanii jest kilka sklepików z pamiątkami, gdzie można kupić plastikowe modele cudu, który się tu dokonał. Za dwanaście złotych bajkę dla dzieci *Pan Jezus z sokólskiej kolegiaty*. We wstępie kanclerz kurii białostockiej ksiądz Andrzej Kakareko wyjaśnia przyczyny tłumnego zainteresowania świątynią:

„Kochane dzieci! Kiedy przyjmujemy komunię świętą pod postacią białego komunikantu, czujemy smak chleba. [...] Ale jest to Chleb inny od tego, który zjadamy codziennie na śniadanie z dżemem czy twarożkiem. Bo to prawdziwie sam Pan Jezus podczas mszy świętej przemienia ofiarowany przez nas chleb w swoje Ciało. [...] Czasami ludzie mają trudności z przyjęciem tego daru i dlatego Pan Jezus daje dodatkowe znaki, aby pouczyć o swojej obecności w Eucharystii. Tak się zdarzyło przed kilku laty w Sokółce na Podlasiu, kiedy to księża zauważyli dziwną, czerwoną plamkę na komunikancie podniesionym z posadzki kościoła. Na polecenie biskupa przyjechali profesorowie i zrobili badania. Przez okular mikroskopu ujrzeli dużo więcej! Co takiego zobaczyli? Przeczytajcie tę opowieść, a będziecie wiedzieli [...]”.

[...] Ludzie tu żyją dobrzy, życzliwi,  
naturze bliscy, szlachetni, prawi.  
Kiedy przyjedziesz, przyjmą cię chętnie,  
nikt cię samego nie pozostawi.  
Kochają Boga i Matkę Bożą.  
By Ich uwielbiać, wstają o świcie.  
Są na mszy świętej, a potem w pracy.  
I tak spokojne prowadzą życie [...]

Czasami jednak mieszkańcy Sokółki – jak czytają dalej dzieci – tracą wiarę, wtedy Bóg zsyła specjalne znaki, by ją wzmocnić:

[...] Hostia upada na próg ołtarza.  
Toć to Chleb święty! O dobry Boże!  
Przecież Pan Jezus, co w nim obecny,  
Doznać obrazy w tej chwili może!

Na rysunku zatrwożeni ludzie i ksiądz podnoszą hostię z ziemi.

[...] I tak przez tydzień, pod kluczem w sejfie,  
W naczyniu z wodą hostia przebywa.  
Co się z nią dzieje? Nikt tego nie wie.  
Bóg tajemnicą wszystko okrywa.

Wokół umieszczonej w sejfie hostii latają dwa aniołki stróże.

[...] Gdy tydzień minął i sejf otwarto,  
Rozszedł się zapach świeżego chleba...  
W czyściutkiej wodzie hostia nietknięta,  
Lecz na Niej... Cóż to?! O wielkie nieba!  
[...] I oto wszyscy stają zdumieni,  
patrzą i oczom własnym nie wierzą:  
Na środku Hostii czerwone znamię  
Jakby krwią była splamiona świeżą!  
[...] Wszyscy czekają, co też nauka  
Na temat Hostii tej dziwnej powie.  
I oto cząstkę Jej małą biorą  
Pod mikroskopy Profesorowie.

Na rysunku kobieta, lekko ruda lub szatynka, w białym kitlu, zagląda przez okular mikroskopu, pod którym widać krwistą plamkę na hostii.

Widzą, jak biała substancja chleba  
Spleciona w jedno z tkanki włóknami,  
Co są fragmentem... ludzkiego serca,  
Które ściśnięte śmierci skurczami! [...]

Na pierwszym piętrze białostockiego Uniwersytetu Medycznego, w Zakładzie Patomorfologii Lekarskiej, wszystkie drzwi gabinetów wyglądają tak samo: jasna, drewniana okleina, srebrne klamki. Jedne się wyróżniają. Białą kredą, wprawnie, równo, napisano na nich „K+M+B 2015”. Pod spodem tabliczka: prof. dr hab. Maria Sobaniec-Łotowska.

Uchyłam drzwi, wchodzę nieśmiało. Pani profesor wygląda jak na ilustracji w bajce, nawet młodziej, choć jest w wieku przedemerytalnym. Nie ma co prawda pastelowo rudych włosów, to raczej szatynka. Dość niska, ruchliwa, o sympatycznym uśmiechu.

– Ale czy pan jest w łasce? – pyta mnie, gdy się przedstawiam, a pytanie wybija mnie z pozycji stojącej.

No bo jeśli nie jestem w łasce, to pani profesor nie jest pewna, czy powinienem w ogóle pisać o cudzie eucharystycznym. Czy mogę powiedzieć, kto polecił rozmowę? Bo tu różni dziennikarze do niej przychodzą, pytają, nagabują. Pani profesor ma tytuł belwederski, jej pozycja nie wymaga nagłaśniania sprawy cudu eucharystycznego. Czytałem coś o cudzie? Mam przygotowanie? Nie, no to nie odrobiłem lekcji, o czym będziemy rozmawiać. Jak się nazywam dokładnie? Bo pani profesor musi zobaczyć, sprawdzić. Czy byłem w Sokółce? Adorowałem już cudownie przemienioną hostię przenajświętszą? No nie, tak nie można, powinienem zacząć od tego, ale oczywiście najpierw muszę wejść w stan łaski, bym zaczerpnął z tego ważnego wydarzenia na miarę tysiącleci czy jeszcze więcej, muszę usposobić się wewnętrznym, bo inaczej adoracja nie ma sensu.

No dobrze, pani profesor coś powie, ale jeszcze ma kilka pytań, bo musi mnie sprawdzić, przekonać się, czy jestem przygotowany. Czy wiem, kto jest proboszczem w Sokółce? Nie pamiętam? No to w ogóle pojęcia nie mam o cudzie, nie wiem kto, co... Czy wiem, kto pierwszy zauważył nadprzyrodzone wydarzenie? Mam tylko wiedzę publicystyczną? Co to za wiedza? No tak nie będziemy rozmawiać. Muszę najpierw pójść do kurii, poprosić o zgodę na wywiady, bo to za poważna sprawa, a nie, że

przyjdzie jakiś dziennikarz do pani profesor z ulicy i wypytuje ot tak... Reportaż? Były już reportaże, w „Naszym Dzienniku”, w Radiu Maryja, w telewizji Trwam. Jaki mam imperatyw, by pisać o cudzie? Bo pani profesor nie ma siły tłumaczyć, zostało to już omówione, opracowane. No jak to gdzie? To ja nie wiem? To co ze mnie za reporter, a jeszcze to Wydawnictwo Czarne, czy jakieś tam, bo pani profesor nie słyszała. Śmieje się, bo jak można taką nazwę dla wydawnictwa, no nie wie, czy może rozmawiać z czymś takim...

Skąd ja w ogóle jestem? Z Poznania! A to proszę, jest takie pismo z Poznania „Miłujcie się”, numer 3/2012, cały poświęcony cudowi eucharystycznemu i tam znajdę sobie artykuł „Sokółka – polskie Lanciano”, no bo przecież wiem, co to jest Lanciano... Nie wiem? Boże! To ja w ogóle nie mam pojęcia o niczym! No co tam było? Jakie objawienie? Dlaczego piszę o czymś, nie mając pojęcia? To nawet grzech jest! Pani profesor nie chce być niemiła, ale nawet dziecko wie, z czym skojarzyć Lanciano, no – przeprasza mnie – ale nie wie, czy w ogóle rozmawia z osobą poważną... To jest... to jest... no po prostu brak taktu! Pani profesor nigdy by się nie odważyła, a ja tak sobie dzwonię, przychodzę, a nie mam pojęcia o niczym. To jest za poważna sprawa, żebym sobie przychodził do pani profesor nieprzygotowany, bo nawet z Australii przyjeżdżali przygotowani. Tak że... Pani profesor chce być miła, przyjazna dla mnie, ale jeżeli nie mam pojęcia o eucharystii cudownie przemienionej, no to moja zuchwałość, pycha, trudno to nawet pani profesor wypowiedzieć, sam powinienem widzieć, w jakiej materii się obracam, bo to nawet w stosunku do Pana Boga jest nie w porządku. Tak że zaczniemy od tego, że najpierw wybiorę się do Sokółki, będę adorował cudownie przemienioną hostię, a potem się zobaczy, czy jestem przygotowany, czy jestem w łasce, a w łasce muszę być koniecznie, bo jak nie, to nie dostrzegę tego, nie poczuję tych doznań duchowych, no bo są wydarzenia i wydarzenia, a adorować cudownie przemienionej hostii nie powinno się w biegu. Tak że jeśli się już wybiorę, to cudownie przemieniona hostia jest wystawiona do codziennej adoracji, tak, tak, nie przesłyszałem się, do co-dziennej adoracji, a to niezwykle, bo Całun Turyński na przykład pokazywany jest tylko raz na kilka lat. Tak że jechać, adorować, czerpać, no i może wtedy, może mi to wystarczy, by się pochylić nad tą wielką sprawą.

No, jeśli niemiło się zrobiło, to trudno, bo jak ma być miło, skoro pojęcia nie mam o najświętszej cudownie przemienionej hostii. No dobrze, jeszcze da mi szansę pani profesor, tylko co ja wiem o całunie turyńskim? Gdzie on jest? No brawo!

Ale zaraz... bo o czym w ogóle jest ta książka, tylko u cudzie? Nie tylko? O regionie, historii, ale o jakiej historii? Getto nawet będzie? No to pani profesor nie wie, bo jeżeli ja chcę cudownie przemienioną hostię w taki tygiel wkładać, a przecież hostia sama w sobie jest wielkim brylantem... Tak że powinienem pomyśleć, no tak na zdrowy rozum, bo cud w Sokółce sam w sobie wymaga odrębnego rozdziału, tematu, książki, a tak w paru zdaniach wspomnieć no to...

Ale dosyć, pani profesor i tak za długo rozmawia, bo nie można jak u cioci na imieninach, to zbyt wielka sprawa, a pani profesor ma pracę, próbki musi sprawdzić.

Podchodzi do stojącego na stole mikroskopu, tego samego, co w bajce.

Pani profesor diagnozuje trudne przypadki, nie może się pomylić, bo komuś wytną płuco lub żołądek, dlatego koncentracja jest niezwykle ważna.

Ale... w zasadzie, skoro już tu siedzę... Pani profesor wzdycha ciężko, chyba się lituje, bo patrzy na mnie z uśmiechem, jakby na owcę patrzyła.



Powie mi, choć nie wie, czy powinna, no ale dobrze, powie. Otóż kiedy wydarzył się ten cud i pani profesor przekazała na ręce arcybiskupa protokoły z badań, gdzie stwierdziła wspólnie z profesorem Sulkowskim (na jego drzwiach również widnieje „K+M+B 2015”), że na hostii jest fragment tkanki mięśnia sercowego w stanie agonalnym, który zbadali mikroskopem optycznym i elektronowym transmisyjnym, to dopiero zaczął się problem. No jak to jaki? A ile mamy cudów w tej części świata? Jego ekscelencja arcybiskup Ozorowski musiał się zmierzyć z olbrzymią sprawą, brzemieniem. Dopytywał panią profesor, czy jest pewna, a była pewna, potem komisja jedna, druga. Kuria mogła sprawę zamknąć na klucz, schować do szuflady i czekać wiele lat, bo przecież maszyny kościelne miały długo, dziesiątki lat i nic. Pani profesor pracowała jak żołnierz, trzeba było zrobić, to zrobiła, wykonała swoją pracę i gdyby nie postawa jego ekscelencji, cud nie doczekałby się wystawienia i jak inne zostałby zamknięty. Jaka to postawa ekscelencji? A właśnie... w międzyczasie jego ekscelencja wizytował parafię w regionie, w Nowym Dworze, taka mała miejscowość, i tam ze swoim sekretarzem zobaczyli unoszące się w powietrzu hostie eucharystyczne i wtedy jego ekscelencja nie mógł ani jeść, ani spać, bo miał niejako z nieba prośbę, aby zająć się cudem w Sokółce, tak że sam Pan Bóg go ponaglił.

(Poprosiłem arcybiskupa o rozmowę, nie otrzymałem odpowiedzi).

Jeszcze ważne, że cud w Sokółce dokonał się dwa tygodnie po wyniesieniu na ołtarze księdza Michała Sopoćki, a czy ja wiem, kim był ksiądz Sopoćko? No bardzo dobrze!

Arcybiskup Ozorowski wręczył pani profesor dyplom, w którym są słowa podziękowania za staranność, ale i zapewnienie, że pewnie dużo wycierpi z tego powodu, no i przewidział biskup, ale wielkie sprawy rodzą się w dużym cierpieniu.

Co pani profesor czuła, gdy zajrzała wtedy w mikroskop? Była pod takim wrażeniem, że zrodziło się w niej pytanie: co Pan Bóg chciał przez to powiedzieć? A teraz... Każdego roku kilkaset pielgrzymek do Sokółki, tak że sami ludzie zweryfikowali, czy to był cud.

Zdradzi mi też tajemnicę, że uczestniczyła w kościelnej komisji i miała zaszczyt i łaskę zamykać proces beatyfikacji księdza Sopoćki, tak że w kurii znano ją, ufano jej, wiedziano, że jest taka osoba i dlatego się do niej zwrócono w sprawie cudu w Sokółce, a jeśli już taki ciekawski jestem, to jeszcze powie mi, że miała udział w procesie beatyfikacji księdza Popiełuszki.

Czy pani profesor może coś o sobie powiedzieć? Skąd tyle duchowości, wiary? Ojciec pani profesor był człowiekiem głęboko wierzącym, podobnie matka, ale to babcia ją najbardziej ukształtowała. Dziadkowie mieli majątek pod Kolnem koło Łomży. Matka pani profesor kończyła studia pedagogiczne w Warszawie, ojciec był doktorem filozofii, ale to babcia najbardziej się panią profesor zajmowała, to od babci czerpała duchowość. Codziennie po kilka godzin klęczała z różańcem w rękę, w pokoju bił wielki zegar, a babcia zawsze w pobliżu tego zegara. To babcia nauczyła panią profesor różańca, przekazała wartości. Dziadek Aleksander Skrocki był herbu Ślepowron, ale taki sam herb miał też Wojciech Jaruzelski, no więc trudno... Brat dziadka był Żołnierzem Wyklętym. Babci ojciec to Wiktor Kościelecki, przybył z Poznania i osiedlił się w Kolnie. Przodkowie jego to Łukasz Kościelecki, biskup poznański, a także Andrzej Kościelecki, wojewoda.

(Przeczytam później, że biskup Łukasz Kościelecki herbu Ogończyk, biskup poznański, był przeciwnikiem konfederacji warszawskiej, która nadawała prawa i wolności Żydom).

Pani profesor należy jeszcze do ruchu społecznego imienia prezydenta Lecha Kaczyńskiego, jest członkiem Kapituły Ryngrafu Żołnierzy Wyklętych. Należała do komitetu budowy pomnika poświęconego

ofiarom smoleńskim, który powstał przy kościele pod wezwaniem Świętego Rocha w Białymstoku, do formacji Rycerstwo Niepokalanej założonej przez ojca Kolbego, do katolickiego stowarzyszenia lekarzy i jeszcze do Arcybractwa Straży Honorowej Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Moja babcia też, mówię wtedy.

Boże! To mogłem od razu mówić, że moja babcia też, no teraz jestem dla pani profesor osobą wiarygodną, teraz wie, że rozmawia z poważną osobą. Czy ja chodzę do kościoła? Czy odmawiam Godzinki do Najświętszego Serca Pana Jezusa, tak jak babcia? No szkoda, mówi pani profesor i wydaje się tym bardzo zatroskana. Bo pani profesor odmawia codziennie o godzinie piętnastej. No to teraz pani profesor ma wielką prośbę, z potrzeby serca, bym raz w tygodniu chociaż wybrał się do kościoła, bo pani profesor codziennie chodzi do fary w Białymstoku.

Ale zaraz, zaraz, o kim jeszcze będzie ta książka, o czym będzie ten rozdział? Kto będzie? Profesor Szamatowicz? Ten od *in vitro*? A kto go polecał? No zaraz, to pani profesor tyle mi mówi o cudzie eucharystycznym, a ja chcę w tym samym rozdziale o *in vitro*? Pani profesor nie wypada nic mówić o koledze, jest przeciwna *in vitro*, absolutnie nawet przeciwna finansowaniu tej procedury, to jest okrutne, gdy ludzie nie mają pieniędzy na zabiegi ratujące życie, a tu w Mieście Miłosierdzia takie rzeczy, pierwsze *in vitro*, a nawet kriobank koło kościoła Świętego Rocha. Co to za Miasto Miłosierdzia, które funduje sobie cmentarz nienarodzonych dzieci? O czym to świadczy? Czy wiem, że by wykreować jedno życie, to trzeba co najmniej dziesięć poświęcić? Co roku parę tysięcy, chociaż tak dokładnie to pani profesor nie ma pojęcia. A czy wiem, jakie jeszcze miasto finansuje *in vitro*? No niech pomyślę, no nie wiem. Otóż Częstochowa!!! Pani profesor nawet nie wie, jak to nazwać. Więc czy ja mam wyczucie, że w tym samym reportażu *in vitro* i cud eucharystyczny, że to byłaby niegodziwość?

Powinienem porzucić wątek Szamatowicza, bo jest w Białymstoku doktor Wasilewski, boży ginekolog, przyjaciel, który ma klinikę naprotechnologii i pomaga kobietom zgodnie z wiarą. No bo trzeba być mało inteligentnym, żeby takie rzeczy łączyć jak *in vitro* i cud, no chyba stać mnie na coś, na jakąś granicę...

Tu pani profesor śmieje się, ale tak bardziej nerwowo. Kiwa głową. Gabinet nie jest duży, ale jasny. Na wszystkich ścianach obrazy, obrazki świętych, nawet kalendarz z cudem eucharystycznym w Sokółce. Specjalnie go powiesiła, bo jak przychodzą studenci i muszą do niego zajrzeć, by sprawdzić zajęcia, to choć przez chwilę niech obcuja z cudem.

A co jeszcze będzie w książce? Zamenhof? No jeśli ja jeszcze w to Zamenhofa wplatam, to już nic tu pani profesor nie gra, trochę za dużo... jakby to powiedzieć... no przecież wiem, co pani profesor ma na myśli... Nie wiem? Ale pewnie czuję...

Pani profesor uśmiecha się z politowaniem.

Chodzi o to, że Zamenhof dobrze się sprzedaje, prawda? A co on miał za ideę? Żeby ludzie się porozumieli? Pani profesor pryca, a ja chyba wiem, czym jest piekło wybrukowane? Zamenhof to już zgrany temat, na spotkania o nim przychodzą po trzy osoby. No niech ja spróbuję czymś głębszym się zająć, bo przecież rozmowy o wspólnym języku nie mają znaczenia, nie pomogą. Żyć w prawdzie, zgodnie z Jezusem, eucharystią, to jest najważniejsze. Pani profesor oglądała film w kinie Ton i dowiedziała się, że na Wołyniu grekokatolicy święcili narzędzia zbrodni w swoich kościołach, no to o jakim ja porozumieniu chcę mówić, no o jakim? To obrzydliwość, bo dużo zła po drodze się wydarzyło.

Pani profesor wstaje, już zajęta bardzo, odslania komputer i drukarkę, na niej fiszka z modlitwą:

Zaufaj Panu, on sam będzie działał,  
stań przy mnie, Panie, bo jestem w ucisku.

Wyciąga coś z torebki, proszę, dla mnie, za laminowana koronka modlitewna z Sokółki, można do portfela włożyć, bo jest w wersji portfelowej i kalendarzowej. Czy wiem, jak się odmawia koronkę? Nieważne, pani profesor mi wytłumaczy, no więc zaczynamy od Ojciec nasz, potem Zdrowaś Mario, Wierzę w Boga, a potem, tak jak napisane w instrukcji, na dużych paciorkach „Niech będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament, prawdziwe Ciało i Krew...”, potem na małych paciorkach „O Jezu obecny...” i na zakończenie „Niech będzie pochwalony...” i jeszcze ma prośbę pani profesor, że gdybym doznał jakiejś łaski, to na dole jest adres parafii w Sokółce, mogę tam napisać, podzielić się tą cudowną nowiną. Tylko muszę pamiętać, że wszystko trzeba odmówić trzykrotnie, przez dziewięć dni, i dopiero po tym można prosić o łaski. Powinienem jeszcze wiedzieć, że wyszedł już trzeci numer gazetki parafialnej w Sokółce, bo tyle dowodów łaski, że trudno ogarnąć...

No dobrze, już tak długo rozmawiamy. Nie, niech się nie martwię, nikomu płuca nie wytną, bo pani profesor nigdy nie popełniła błędu. Ale ma jeszcze pobożne życzenie, bym wybrał się do Pana Boga w Trójcy Jedynej i Matki Bożej, bym stał się osobą maryjną... Szczęść Boże.

Na tym samym piętrze oczekuje mnie profesor Lech Chyczewski, szef Zakładu Patomorfologii.

- Ponoć spotkał się pan z panią profesor – mówi.
- Było słyhać?
- Nie, zdążyła powiedzieć. Jak się panu rozmawiało?
- Odpowiedź nie jest prosta.
- Rozumiem.
- Czym się zajmuje pani profesor, bo nie do końca zrozumiałem?
- Specjalizuje się w zapaleniach wątroby, diagnozuje wycinki, wykląda patomorfologię.
- Jest dobrym naukowcem?

Profesor zamyśla się.

- Trudno powiedzieć.

O badaniu hostii Chyczewski dowiedział się z mediów, bo Sobaniec-Łotowska zrobiła je po kryjomu.

W styczniu 2009 roku, kilka miesięcy po ujawnieniu „krwawo-brunatnego zabarwienia na hostii”, zbadała hostię w swoim laboratorium na Uniwersytecie Medycznym. Kuria prosiła ją, by badanie zachowała „w pełnej tajemnicy”.

Badanie wykonała pod mikroskopem optycznym i elektronowym. W protokole przekazanym kurii napisała, że „cytoplazma fragmentów włókien mięśniowych w barwieniu [...] hematoksyliną Mayera i eozyną barwiła się na różowo, ogniskowo dość intensywnie. Natomiast jądra komórkowe, położone głównie centralnie [...] na granatowo”. Centralne położenie jąder wskazywało, że był to mięsień serca ludzkiego, a segmentacja włókien, „uszkodzenie komórek w miejscu wstawek i fragmentacji” miało „odpowiadać węzłom skurczu”. Słowem: było to serce w okresie przedśmiertnym, czyli agonalnym.

Chyczewski objął stanowisko miesiąc wcześniej. Poprzedni szef, jak sądzi, nie bardzo panował nad wydziałem. Laborantka, która przygotowywała preparaty dla Sobaniec, była alkoholicką, badania nie były rejestrowane, więc pierwsze, co zrobił, to zwolnił kilka osób i wprowadził nakaz rejestrowania każdego badania na sprzęcie należącym do uniwersytetu. Już po badaniu hostii, o którym dowiedział się z mediów, wezwał profesor Sobaniec-Łotowską.

– Powiedziałem, że jest niedopuszczalne, że bez mojej wiedzy robi się takie badania i posługuje szyldem naszej uczelni. Udzieliłem profesor Sobaniec-Łotowskiej ustnego upomnienia.

– Co odpowiedziała?

– Że robiła to w dobrej wierze. Ale rozmowa z panią profesor na temat hostii jest emocjonalna. Zresztą... chyba sam pan się przekonał... Spytałem tylko profesora Sulkowskiego, który jej pomagał: „Stasiu, czy ty tam widziałeś jądra w tej komórce?”. „Chyba tak”, mówił. A jak były ułożone? Bo jądra włókna mięśnia sercowego są w części centralnej. Powiedział, że nie pamięta.

Chyczewski jest wierzący, przyjechał na Podlasie pięćdziesiąt lat temu na studia z Płocka. Zauważył, że to region traktowany jako zaulek cudów. Ma znajomych duchownych, zafascynowany jest prawosławiem, przewodzi na uczelni sympozjom organizowanym wspólnie z Kościołem, na których omawiają sprawy etyki, wiary, nauki. Patronuje im ze strony Kościoła arcybiskup Ozorowski. Arcybiskup zadzwonił do niego, gdy udzielił upomnienia profesor Sobaniec-Łotowskiej, powiedział, że nie ma pretensji, ale ma odmienne zdanie. Chyczewski zaproponował arcybiskupowi dalsze badania, by ratować prestiż uczelni i rozwiązać wątpliwości. Najlepsze byłoby badanie DNA. Arcybiskup odparł, że cud został już zbadany i skoro jest to serce Jezusa, nie ma go co męczyć.

– Dopuszczam możliwość cudu, ale gdy przebadana się zjawiska i pozostaje niewytłumaczalne. – Chyczewski marszczy brwi. – Z zastrzeżeniem jednak, że aparatura medyczna bywa zawodna.

Kuria białostocka dostała jednak kolejne badanie. Wykonał je z własnej woli doktor Leonard Pikiel ze szpitala Świętego Wojciecha w Gdańsku. Pikiel, patomorfolog, oprócz badania wycinków tkanek, z pasją zajmuje się zagadkami historii medycyny, jak śmierć Chrystusa.

Na trzech stronach swojego raportu o cudzie w Sokółce, w którym prosi, by „ze względu na delikatność sprawy materiał nie był w żadnej formie publikowany”, opisał wyniki prostego eksperymentu. Zrobił to, co w kościele w Sokółce zrobili księża, gdy hostia upadła im na ziemię. Wrzucił ją do wody i obserwował. Mąka to błonnik, jego włókna tworzące rusztowanie nie rozpuściły się podczas eksperymentu, a po umieszczeniu na szkiełku mikroskopu przypominały włókna mięśnia, które straciły jądra komórkowe, czyli wyglądały jak po zawale serca. U Pikiela pojawił się też brunatny kolor, zapewne na skutek działania drobnoustrojów.

Wyniki eksperymentu przekazała profesorowi Chyczewskiemu doktor Iwona Śliwińska, konsultant województwa pomorskiego w dziedzinie patomorfologii, osoba Kościołowi zaufana, kuzynka byłego biskupa elbląskiego Andrzeja Śliwińskiego. O wynikach doktor Pikiel powiadomił też nuncjusza papieskiego, wie o tym również arcybiskup Edward Ozorowski, ale raport nigdy nie został opublikowany ani poddany publicznej dyskusji.

Proboszcz kościoła w Sokółce, ksiądz Stanisław Gniedziejko, za siedem złotych sprzedaje jeszcze broszurki z udokumentowanymi ozdrowieniami. Szwedka przyjechała do kościoła na kilka godzin i wyleczyła się z raka, mężczyzna po wypadku wrócił do zdrowia, choć lekarze nie dawali nadziei, kobieta klękła przed telewizorem, gdy oglądała telewizję Trwam, pomyślała o Sokółce i minął ból nóg.

Książeczka dla dzieci, za dwanaście złotych, wydana pod auspicjami kurii, kończy się słowami:

Nie będziesz odtąd już zapomniana,  
Mała Sokółko, miasteczko Boże,  
Bo znak szczególny swojej miłości  
Pan Jezus w Tobie na zawsze złożył.

## Pracownia

Na Uniwersytecie w Białymstoku, w Zakładzie Socjologii Kultury, jest jedyna w Polsce pracownia zajmująca się cudami. Pełna nazwa brzmi: Pracownia Badań i Dokumentacji Zjawisk Mirakularnych.

Niecierpliwie się, gdy idę korytarzem uczelni, ciekawy eksponatów, które mogę w takiej pracowni zastać. Nie liczę, że pod szklanym kloszem laboratoryjnym zobaczę lewitujące hostie, ale pukam do drzwi z metafizyczną ekscytacją. Wchodzę do pokoju, w którym widzę dwa stare biurka, dwa stare krzesła, regał i wokół puste bladożółte ściany. Na środku stoi w lekkim rozkroku mężczyzna, który wygląda jak księgowy. Po czterdziestce, łysiejący, w grubych okularach, wyciągniętym swetrze, ręce wbite w kieszenie dżinsowych spodni. To doktor Maciej Krzywosz, jednoosobowa pracownia do spraw cudów.

Pomysł zgłosił w 2009 roku, na senacie uczelni o mało nie popękali ze śmiechu, ale dali zgodę, uznając, że to dla uniwersytetu dobra reklama. Krzywosz miał nadzieję, że „mirakologia” w nazwie uchroni go od śmieszności, a nazwę pomógł mu wymyślić kolega z agencji reklamowej. Przedstawił senatowi solidne uzasadnienie: chodzi o niekonfesyjne, ateologiczne zbieranie informacji, badanie, dokumentowanie wszelkiego rodzaju zjawisk o charakterze mirakularnym, spotykające się ze znaczącą recepcją społeczną.

Krzywosz urodził się w Białymstoku, studiował filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim, potem religioznawstwo, bo wydało mu się jej dopełnieniem. Cuda zainteresowały go na studiach, podczas badań terenowych koło Tyńca, gdzie natknął się na sprawę kierowcy PGR, który wybudował własny kościół. Doktoryzował się z cudu zabłudowskiego, najsłynniejszego na Podlasiu. W 1965 roku w Zabłudowie, dwadzieścia kilometrów od Białegostoku, Matka Boska objawia się czternastolatce. Pojawiła się zapowiedź kolejnego objawienia, ludzie zjeżdżali z całego regionu, napięcie oczekiwania było tak duże, że pobili się z oddziałami ZOMO.

Krzywosz przyznaje, że do powstania pracowni cudów potrzebny jest klimat otoczenia, niezwykłości, a Podlasie świetnie się nadaje, trudno mu wyobrazić sobie taką pracownię w Warszawie.

Chodzi po pokoju od okna do drzwi, zamyślony. W ten stan wprowadziło go pytanie: czy badał cud w Sokółce? Przysiadam na krześle, Krzywosz drepcze za moimi plecami, wykręcam do niego głowę.

– Nie – mówi w końcu – chyba to zlekceważyłem, ale to jednak mało interesujące dla nauki, bo brak tu napięcia, konfliktu między wizjonerem a jego kościelnym zwierzchnikiem, brak dynamiki procesów społecznych. Byłoby tak, gdyby kapłan odszedł ze świątyni, potępiony, i założył własną, jak w Tyńcu, a w Sokółce cud jest pod pełną kontrolą Kościoła.

Jestem rozczarowany, bo jedyne artefakty cudu w Sokółce, jakie Krzywosz kładzie przede mną, to wycinki prasowe. Jest też ulotka, reklama wycieczki do Sokółki – za dziesięć złotych można pojechać autokarem, by obejrzeć cudowną hostię, ale po drodze trzeba kupić zestaw termosów turystycznych.

Jedno nie daje Krzywoszowi spokoju, zdumiewa – w cudzie w Sokółce brak Matki Boskiej. To wybija Krzywosza z ram myślowych i wiedzy naukowej, dotychczasowego postrzegania cudów w Polsce, w których dominowały objawienia maryjne, co wynika z kultu maryjnego. Tam, gdzie go nie ma, Maryja się nie objawia. Gdy w średniowieczu był kult świętej Anny, objawiała się święta Anna. Punkt kulminacyjny objawień nastąpił, gdy Maryja ogłosiła, że jest Polką: „Błogosławie ci Polsko, rodzinna moja ziemio. Jesteś moją ojczyzną”.

Monopol na objawienia Matki Boskiej złamała mała hostia w Sokółce.

## Grzech

Nieopodal budynku patomorfologii, gdzie pracuje profesor Sobaniec-Łotowska, jest klinika położnictwa i ginekologii. Tu w 1987 roku przyszło na świat pierwsze w Polsce dziecko z *in vitro*.

Na stoliku w gabinecie profesora Mariana Szamatowicza, twórcy tego sukcesu, leżą obrazki świętych, niektóre ułożone w plikach, inne luźno porozrzucane.

– Nie wiem już, co z nimi robić – wzdycha Szamatowicz – przychodzą z całej Polski. Prośby i żądania o nawrócenie, modlitwy w intencji zmarłych dzieci.

W 2014 roku podczas uroczystego wigilijnego spotkania na uniwersytecie obecny był arcybiskup Ozorowski. Witał się ze wszystkimi wylewnie, łamał opłatkiem, do Szamatowicza podszedł z niepewną miną.

„Tyle się przez pana złego w Polsce dzieje” – szepnął arcybiskup do ucha profesora.

„Niech to rozstrzygną na górze” – odpowiedział Szamatowicz.

Szamatowicz pochodzi ze Sztabina koło Augustowa, dzieciństwo spędził przy lampie naftowej. W pobliżu była huta wytapiająca żelazo, dziadkowie utrzymywali się z roli i pasieki. Pradziadkowie byli kowalami w hucie, babka wyjechała do Stanów Zjednoczonych, była tam szwaczką, dziadek hutnikiem, wrócili w 1920 roku na zielone Podlasie, by wyleczyć się z gruźlicy. Dziadek za dolary kupił wiatrak, potem w Sztabinie młyn z silnikiem spalinowy, co było skokiem cywilizacyjnym i wiejską sensacją. By go zamontować, ściągnął aż z Wilna montera, któremu dał pracę i córkę za żonę, matkę Szamatowicza, który na świat przyszedł w 1935 roku.

Podczas wojny mieszka z dziadkami i matką w wiejskiej chacie krytej strzechą i z drewnianą podłogą. Do chaty wchodziło się przez sień wprost do kuchni, w której był szlaban – drewniana skrzynia, w dzień siedzisko, na wieczór prosty tapczan, można było na niej spać. Na strychu zbita z desek komora, w której trzymali mięso. Prąd pojawił się dopiero w późnych latach pięćdziesiątych.

Z wojny pamięta, że najpierw ojciec zniknął na froncie, potem weszli Rosjanie i zabrali dziadka, na zawsze, nie wiadomo za co. Cała rodzina miała trafić też na Sybir, ale w dniu, gdy mieli ich zapakować do pociągów, Niemcy napadli na Rosję. Pamięta, że mama z babcią zajmowały się ogrodem, że mleko trzeba było odnieść do mleczarni, pyszną maślankę, króliki, kilka żydowskich rodzin, które nagle zniknęły. Pamięta kopa od Niemca, przeszukania, stanie z rękami w górze, złamaną rękę, gdy chciał zasłonić się przed ciosem, bo nie powiedział Niemcowi „dzień dobry”.

W 1944 roku, gdy wkroczyli Rosjanie, zabrali matkę, wywieźli do Ostaszkowa, nie wiadomo za co. Wróciła w styczniu 1946 roku z brzuchem obrzmiałym od głodu, a kilka dni później wrócił ojciec i gdy spojrzał na matkę, na ten brzuch, zawrócił na pięcie, wściekły, że zdradziła. Gonili go aż do szosy.

Podczas wojny Szamatowicz chodził na tajne komplety do sióstr zakonnych, uczył się abecadła, liczenia. Po wojnie wszystko poszło w pył, nie było budynków, ławek, nauczycieli dokarmiali jajkami, kurczakami. Miał znaleziony zeszyt, już zapisany ołówkiem, więc gumą z opony wycierał i pisał na nowo.

Dziadek jeszcze przed wojną mówił mu, że zostanie lekarzem albo księdzem. W kościele w Sztabinie Szamatowicz był ministrantem do dziewiętnastego roku życia. Wierzył, praktykował. Ksiądz bronił go podczas rady pedagogicznej w szkole, bo wyszedł przez okno na języku francuskim, wrócił z żabą i wrzucił koleżance za kołnierz. Gdyby nie duchowny, kto wie, jak potoczyłaby się jego edukacja. Był jeszcze drugi, który odkrył u Szamatowicza głos i prosił, by śpiewał w kościele:

Siostry, uniesione pięknym głosem, dokarmiały go w stołówce, mówiąc: „jedz, syneczku, i śpiewaj na chwałę bożą”. Nie podobało się to w Związku Młodzieży Polskiej, którego szef obiecał, że za to śpiewanie Szamatowicz, kościelny synek, nie dostanie się nigdy na żadną uczelnię.

Księdzem, jak sądzi profesor Szamatowicz, zostaje się z powołania. Takie powołanie miał kolega, który się topił, a uratowanego rodzice w podzięcie ofiarowali Bogu. Szamatowicz się nie topił, ale był w Sztabinie lekarz, który zrobił na nim wrażenie, że można szybko i sprawnie wyleczyć, ale trzeba mieć wiedzę.

Złożył papiery na Akademię Medyczną w Białymstoku, ale opinia z ZMP poszła za nim – nie przyjęli. Dopisali nawet, że podczas wojny był w Armii Krajowej, choć miał kilka lat. Pojechał do Warszawy, dostał pracę w referacie gospodarki komunalnej, po roku złożył znów papiery na uczelni w Warszawie – nie przyjęli.

Może jednak na księdza? Poznał jednego, młodego, wulgarnego, który upokarzał swoich parafian, więc do reszty stracił powołanie. Mógł jeszcze podjąć studia wokalne, bo miał głos, ale złożył trzeci raz papiery na medycynę, w Warszawie – przyjęli. Na egzaminie oprócz chemii pytali o kompozytorów, teatr. Studia skończył z wyróżnieniem, choć metodyka pedagogiczna była nietypowa. Na zajęciach z patomorfologii ekipa studentów stała pod oknem jednego profesora i łapała indeksy, które wyrzucał nieprzygotowanym.

Kończy studia w roku 1960. Jedzie na staż do Białegostoku, wybiera na specjalizację internę i ginekologię, na której pierwsze cięcie cesarskie celebrowano sutą alkoholową imprezą. Docent Aleksander Krawczuk spytał go, co robi. Odparł, że przychodzi do szpitala, obija się, a potem ma drugi etat w restauracji Podlasianka, gra tam w bilard, piwo pije. „To niech pan do mnie przyjdzie”, mówi Krawczuk. Idzie. Szykuje się zjazd ginekologów w Gdańsku, prelegent mający mówić „o okresie dojrzewania dziewcząt” dostaje rozstroju żołądka, wysyłają Szamatowicza. Wciąga go tematyka, dostaje posadę asystenta szpitalnego, zmienia zainteresowania. Pociągają go aspekty naukowe, oznaczenia hormonalne, będące w powijakach, no i to życie, które przychodzi na świat, moment pełen niebezpieczeństw, bo wchodzi na oddział dwa istnienia, a może nie wyjść żadne, jeśli dojdzie do powikłań.

Asystent Szamatowicz rano pracuje na oddziałach, po południu w laboratorium. W 1963 roku powstaje w Białymstoku nowy szpital, tam przenosi się klinika położniczo-ginekologiczna, w której przyjmuje pierwszą pacjentkę. Kupuje pierwszy samochód, zastawę, broni doktorat, rodzi mu się syn. Wyjeżdża na stypendium do Francji, gdzie na zwierzętach bada hormony, wraca, zostaje szefem Zakładu Endokrynologii Ginekologicznej w klinice. Mieszka blisko szpitala, więc prawie z niego nie wychodzi. Gdy w 1978 roku papieżem zostaje Karol Wojtyła, w Wielkiej Brytanii na świat przychodzi pierwsze dziecko z próbówki, Louise Brown. Szamatowicz jedzie tam na stypendium, by przenieść postęp do swojej kliniki. Dopiero jednak w 1983 roku, w Szwecji, poznaje metodę laparoskopowego pobierania komórki jajowej.

Nikt mu nie wierzy, gdy mówi, że zastosuje ją tu, w Białymstoku.

Nauce kłody pod nogi rzuca biologia. Kobieta staje się niepłodna, bo ma niedrożne lub przecięte po operacji jajowody albo przechodzi ciążę pozamaciczną i tylko *in vitro* daje jej szansę na własne dziecko. Na przeszkodzie naturalnego poczęcia staje też endometrioza, choroba tajemnicza, o nieznanym

przyczynie.

Diagnozowanie kobiet odbywało się w białostockiej klinice na archaicznym sprzęcie, aparatem rentgenowskim, którego obraz nie rozstrzygał o chorobie. By go polepszyć, w kobiety pompowano azot, nabrzmiwały jak balon. Odsłaniały się narządy wewnętrzne, ale azot nie chciał się wchłaniać, powstawały odmy. Dzisiaj dmucha się dwutlenkiem węgla.

Szamatowicz zostaje dyrektorem instytutu, sam dobiera ludzi, decyduje, by rozpocząć procedurę *in vitro*, ale nie ma sprzętu. Aparat do USG jest tak nieprecyzyjny, że nie wiadomo, co jest na obrazie.

1986 rok. Jan Paweł II postanawia przekazać białostockiej klinice nowoczesny aparat USG marki Siemens, ma trafić na oddział położniczy. Szamatowicz zaciera ręce, duchowni nie wiedzą, że ma inny plan. Spotkanie w gabinecie dyrektora uroczyste, jest ówczesny arcybiskup Edward Kisiel, kanclerz kurii, rektor Jerzy Łepkowski, człowiek bardzo pobożny. Wszyscy oczekują na moment przekazania, rektor postanawia zabawić gości, opowiada technologiczno-sakralny dowcip: Pan Bóg prosi świętego Piotra, by za pomocą ekranu komputerowego pokazał, co dzieje się na ziemi. Obraz: sala porodowa, kobieta zwija się z bólu. „Dlaczego ona tak cierpi?” – pyta Bóg. „Bo mówiłeś – odpowiada Piotr – że będzie rodzić w bólu”. „Żartowałem – mówi Bóg – pokaż coś innego”. Obraz: umorusani, ledwie żywi ludzie, górnicy wydobywają węgiel. „Dlaczego cierpią?” – pyta Bóg. „Bo mówiłeś, że będziesz pracował w pocie czoła i znoju”. „Żartowałem”. Bóg jest poirytowany, prosi o kolejny obraz: bizantyjski pałac, purpuraci, kardynałowie, kielichy w rękach, złoto na palcach, śmiechy. „To mi się podoba, kim oni są?” – pyta Bóg. „To Watykan – odpowiada święty Piotr – oni pierwsi zrozumieli, że żartowałeś”.

Pokój dyrektora wybucha śmiechem, skręcają się Szamatowicz, rektor, tylko arcybiskup patrzy spode łba. Zapada zażenowane milczenie, szybko zwijają USG, dziękują ekscelencji. Ale aparat trafia nie na porodówkę, tylko na oddział ginekologiczny. Dzięki papieżowi Janowi Pawłowi II za rok, w 1987 roku, urodzi się w Białymstoku pierwsze w Polsce dziecko z *in vitro*.

Aparat pomógł, tłumaczy mi Szamatowicz, by precyzyjnie wejść igłą z cewnikiem do pęcherza moczowego, potem do pęcherzyków, by pobrać od kobiety komórkę jajową. Rektor, choć pobożny, zgodził się, by używali siemensa, a Szamatowicz był dyrektorem instytutu, więc tak naprawdę sam decydował, gdzie trafi aparatura.

– Miałem bardzo dużo autonomii, jeśli chodzi o sposoby leczenia bezpłodności. To była nowa metoda, wiedzieliśmy, że mogą być powikłania, ale naszym ubezpieczeniem była zgoda komisji bioetycznej.

Aparat USG służył jednak tylko do pobierania komórek jajowych. Poza ustrojem kobiety komórki musiały mieć odpowiednią temperaturę, środowisko pozbawione bakterii, grzybów. Potem wstawiano je do inkubatora, a męskie nasienie samo musiało odszukać komórki. Nauka do końca nie rozumie, co każe plemnikowi pędzić na spotkanie – mówi się o „dialogu biochemicznym” między plemnikiem a jajem. To także kolejny powód bezpłodności – mała ruchliwość plemników w pościgu do życia. Dopiero od 1992 roku wstrzykuje się pojedynczy plemnik prosto do komórki jajowej, a jeśli nie ma plemników w nasieniu, nakłuwają ją jądra ojca.

Większość zabiegów upada na etapie zarodka – hodowla w warunkach pozaustrojowych to w latach osiemdziesiątych niewiadoma. Będzie zarodek, nie będzie? Loteria. Jeśli doszło do połączenia z plemnikiem, zarodek się dzielił, a Szamatowicz i jego zespół umieszczali go w macicy i czekali. Zespół, młodzi ludzie, których Szamatowicz ściągnął, był zniechęcony po kolejnej porażce.

Minister zdrowia decyduje w połowie lat osiemdziesiątych, że kilka ośrodków w Polsce dostanie



dofinansowanie na *in vitro*. Największe współzawodnictwo było między Białymstokiem, o którym nikt nie mówił, a ośrodkiem w warszawskim Międzylesiu, którego zapewnienia o rychłym poczęciu z *in vitro* nie schodziły wtedy z czołówek gazet.

W 1986 roku zgłosiła się do kliniki Szamatowicza kobieta z Pomorza. Komórka zostaje pobrana, połączona z plemnikiem, umieszczona w macicy. Po kilku tygodniach robią test ciążowy – jest! Po raz pierwszy doszli do takiego etapu. Kolejne tygodnie, ciąża rośnie – ekscytacja. Szamatowicz mówi o tym podczas sympozjum w Bydgoszczy – czuje niedowierzanie środowiska, że jakiś tam Białystok rzuca wyzwanie całej naukowej Polsce. Kolejny etap – ciążę widać już w jamie macicy, w pęcherzyku pojawia się echo, widać serce, mały punkcik, ledwo pulsuje, to ósmy tydzień, ciąża kliniczna. Po czterech miesiącach Szamatowicz jest pewny, że tej ciąży nie straci. Magda rodzi się przez cesarskie cięcie, które osobiście wykonuje Szamatowicz. Bał się, czy będzie zdrowa, ale pierwszy krzyk go uspokoił.

„Tylko w panu nadzieja” – tak zaczynają się listy, które przychodzą do niego z całej Polski.

„Szanowny Panie ordynatorze,

mam 36 lat, jestem 16 lat po ślubie i nie mogę zajść w ciążę, leczyłam się przez 10 lat bez żadnych efektów, przerwałam dwa lata temu. Wiem tylko tyle, że mam zaburzenia hormonalne, bardzo kocham dzieci i pragnę je mieć. Przeżywam bardzo moją bezpłodność, ostatnia nadzieja w Panu, błagam Pana o pomoc”.

Listy mieszają się z innymi:

„Panie Jezu, to z miłości do Ciebie, za nawrócenie grzeszników i jego zadośćuczynienie, za grzechy popełniane przeciwko niepokalanemu sercu Maryi. Spójrz w siebie i dokoła siebie, a jak chcesz, to Boga znajdziesz wszędzie, przezacny panie profesorze wspólnie z pracownikami, pozdrawiam serdecznie i proszę o pomoc w ratowaniu ludzkiego życia, wiedza i wiara zobowiązują, niech najpiękniejsza z kobiet tej ziemi, Maryja, wspiera tylko te wysiłki, które służą życiu i prawdzie, pamiętajmy również o swojej duszy”.

Przychodzą też wycinki z gazet katolickich o „zabijaniu życia nienarodzonego”, płyty CD z filmami organizacji katolickich pro-life, stowarzyszeń obrońców życia.

Zdarza się, że pacjentka po konsultacji nie godzi się na *in vitro* ze względów religijnych, ale często wraca. Od jednej z nich Szamatowicz słyszy, gdy jej dzieci idą już do szkoły: „Pan Bóg nam pomógł założyć szczęśliwą rodzinę”.

Dla Kościoła *in vitro* to grzeszna procedura. Grzech popełnia mężczyzna, bo oddaje nasienie przez masturbację, kobieta, bo oddaje komórki jajowe, a to ingerencja w prawa boskie. Szamatowicz dostaje w listach wyliczenia: by urodziło się 122 tysiące dzieci, musi pan zabić 4 miliony innych.

Na początku lat dziewięćdziesiątych w kościołach białostockich odczytany zostaje list: w Polsce szerzy się wiele zła, pijaństwo, narkomania, prostytutka, ale najgorsze rzeczy dzieją się w Akademii Medycznej, gdzie pod pozorem leczenia zabija się ludzi.

– Nie słyszałem tego osobiście – mówi mi Szamatowicz – ale dotknęło mnie. Za chwilę wzywa mnie rektor profesor Jan Górski, również człowiek religijny, i oświadcza, że chce ze mną rozmawiać arcybiskup Stanisław Szymecki.

„Arcybiskup naciska, bym zamknął twoją klinikę i zakończył program *in vitro*” – ostrzega Górski.

„Co pan odpowiedział?” – pyta Szamatowicz.

„Żeby arcybiskup sam pana do tego namówił”.

Idzie, bo chce usłyszeć od arcybiskupa, jak mógł kazać przeczytać taki list w kościele. Za stołem siedzą arcybiskup Szymecki, biskup pomocniczy Ozorowski, profesor etyki ksiądz Józef Zabielski. Siada, czuje się jak na przesłuchaniu, bo przed biskupami leży gruba teczka, na niej napis „*In vitro*”. Arcybiskup Szymecki zagląda do niej co chwilę, ale dyskretnie, by nie zdradzić zawartości.

– Dali mi odczuć – mówi Szamatowicz – że jest w tej teczce coś upokarzającego, wstydliwego dla mnie.

Arcybiskup Szymecki stawia sprawę krótko:

„Proszę natychmiast zamknąć tę klinikę, nie godzi się, by zabijano dzieci kosztem innych”.

„Jeśli ekscelencja chce, bym przestał leczyć, jest jeden sposób: brak pacjentów. Proszę nauczać ludzi, by do mnie nie przychodzili, a następnego dnia na klinice zawiśnie kłódka. Dopóki przychodzą i chcą mieć dziecko...”

„Nie ma takiej możliwości! – przerywa stanowczo arcybiskup. – Nie ma pojęcia »chcieć dziecko«! Jest ono darem bożym, a jeśli go nie ma, trzeba to znosić z pokorą”.

„Nie mogę tego zaakceptować, jestem lekarzem, a bezpłodność jest chorobą, składałem przysięgę”.

Szamatowicz powołuje się na Powszechną deklarację praw człowieka, na artykuł 16, na prawo każdego do posiadania rodziny. To samo powie wiele lat później podczas sympozjum na Uniwersytecie Warszawskim i usłyszy, że człowiek ma prawo do kontaktów seksualnych, ale musi zaakceptować prawo boskie.

– Jak skończyła się rozmowa u arcybiskupa? – pytam.

Szamatowicz macha ręką.

– Odprowadzili mnie do drzwi, uprzedzili, bym martwił się o swoje zbawienie. Odpowiedziałem, że jestem o nie spokojny, no to usłyszałem, że jestem zarozumiały, pełen pychy.

– Coś pan odpowiedział?

– Wierszyk. Chyba ich rozzłościł.

W departamencie spraw niebieskich  
są moje akta personalne  
i każdy krok mój pilnie śledzą  
anioły twe transcendentalne.  
Lecz gdy przed Tobą kiedyś stanę,  
sam chcę się z życia wytłumaczyć,  
proboszcz by nie dał rozgrzeszenia,  
a Ty zrozumiesz i przebaczysz.  
Więc – póki żyję, myślę, czuję –  
niech ręka Boska broni mnie  
przed pychą i nadgorliwością  
Twych urzędników, Panie B.! <sup>[1]</sup>

Profesor Szamatowicz dostał jeszcze jeden, wyjątkowy list. Nazwiska nadawcy nie chce jednak ujawnić:

„Proszę o zaopiekowanie się moją kuzynką, która nie może mieć dzieci, i zastosowanie metod, które jej pomogą”. Podpisał go jeden z polskich biskupów. Profesor kuzynce pomógł.

W klinice prowadzonej przez następców i uczniów Szamatowicza wiszą setki zdjęć dzieci poczętych z *in vitro*. Pod jednym jest dedykacja rodziców z drugiego końca Polski: „Lekarka powiedziała nam, że

jeśli chcemy cudu, to kierunek – Białystok”.

# Zamiast zakończenia

Idea Zamenhofa, by ludzie żyli w zgodzie, zawarta symbolicznie w języku esperanto, została w 1977 roku wyryta na złotej płytce i umieszczona w sondzie Voyager, z pozdrowieniami dla obcej cywilizacji. Sonda minęła Układ Słoneczny, jest dwadzieścia miliardów kilometrów od Białegostoku i ciągle się oddala...

# Literatura, źródła i inspiracje

Bołtryk Michał, *Sądne dni Potoki*, „Przegląd Prawosławny” 2009, nr 8

Boniecki Adam ks., *Łzy Żydów*, <http://www.tygodnik.com.pl/jedwabne/boniecki2.html>, dostęp: 03.08.2015

Dobroński Adam, *Białystok. Historia miasta*, Białystok: Zarząd Miasta Białegostoku, 2001

*Informacja IPN o ustaleniach końcowych śledztwa S 28/02/Zi w sprawie pozbawienia życia 79 osób – mieszkańców powiatu Bielski Podlaski w tym 30 osób tzw. furmanów w lesie koło Puchał Starych, dokonanych w okresie od dnia 29 stycznia 1946 r. do dnia 2 lutego 1946*, Instytut Pamięci Narodowej, <http://ipn.gov.pl/wydzial-prasowy/komunikaty/informacja-o-ustaleniach-koncowych-sledztwa-s-2802zi-w-sprawie-pozbawienia-zyc>, dostęp: 03.08.2015

Januszkiewicz Julita, *Awantura o pamięć Żydów. Radni nie zgodzili się na tablicę i skwer rodziny Shlomo Cohena*, „Kurier Poranny”, 1.04.2014

Jarmolik Włodzimierz, *Chanajki: Zakazana dzielnica. Rządził nią król Chanajek*, „Kurier Poranny” 10.07.2011

Kamiński Jan, *Metafizyka prowincji*, Białystok: Kartki, 2001

Karpowicz Ignacy, *Sońka*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2014

Karpowicz Joanna, *Pocztówki z Białegostoku*, Białystok: Centrum Ludwika Zamenhofa, 2012

Klimowicz Joanna, *Cudów jest od groma...*, „Gazeta Wyborcza Białystok”, 05.02.2009

Klimowicz Joanna, Medek Jakub, *Polska dla Polaków, więc... spalić Czczenów!*, „Gazeta Wyborcza Białystok”, 17.04.2013

Kłopotowski Andrzej, *Niejasne efekty, zgubione dokumenty. NIK w magistracie*, „Gazeta Wyborcza Białystok”, 22.09.2014

Kłopotowski Andrzej, *Wiatrakowa wojna z „Bogiem”, „Honorem”, „Ojczyznę”*, „Gazeta Wyborcza Białystok”, 2.07.2013

Kosz-Koszevska Monika, *Szkoła dla Zamenhofa poszukiwana*, „Gazeta Wyborcza Białystok”, 07.09.2007

Krzywosz Maciej, *Zjawiska mirakularne w PRL i po transformacji ustrojowej. Próba socjologicznej analizy porównawczej*, w: *Religia i Kościół w społeczeństwie demokratycznym i obywatelskim w Polsce*, red. Józef Baniak, Poznań: Wydawnictwo Naukowe Wydziału Nauk Społecznych UAM, 2012

Łowicki Wojciech, Baum Daniel, *Doktor Esperanto*, Białystok: Centrum Ludwika Zamenhofa, 2014

Medek Jakub, „Nie przepaszam za Jedwabne” prawomocnie mówą nienawiści, *Gazeta Wyborcza–Białystok*, 19.09.2013

*Organizować się, uczyć, trenować i budować Wielką Polskę!*, Adam Andruszkiewicz w rozmowie z Dawidem Poleszukiem, <http://mysl24.pl/spoleczenstwo/1919-organizowac-sie-uczyc-trenowac-i-budowac-wielka-polske-wywiad-z-liderem-narodowej-hajnowki.html>, dostęp: 03.08.2015

Orłowski Edward ks., *Celebracja kłamstwa*, <http://www.antyk.org.pl/ojczyzna/jedwabne/orlowski-1.htm>, dostęp: 03.08.2015

Plużański Tadeusz, *Jak w Narewce fałszują historię*, <http://niezalezna.pl/50870-jak-w-narewce-falszuja-historie>, dostęp: 03.08.2015

Polak Tomasz, Polak Beata, *Paranoja i inne choroby (publiczne). Z historii paranoi politycznej: Niemcy*, wykład wygłoszony w Teatrze Ósmego Dnia, Poznań, grudzień 2014

Pollack Martin, *Skażone krajobrazy*, Wołowiec: Czarne, 2014

Rajzner Rafael, Lew Henry R., *Losy nieopowiedziane. Zagłada Żydów białostockich 1939–1945*, Warszawa: Żydowski Instytut Historyczny, 2013

Rebecca Kobrin, *Żydowski Białystok i jego diaspora*, przeł. Mateusz Salwa, Białystok: Białostocki Ośrodek Kultury, Pogranicze Sejny, 2014

Rogers Morlan Ty, *Poles Have Yet to Face Their Postwar Past*, „New York Times”, 13.08.1996

Rogers Morlan Ty, *Wreszcie mogę mieć nadzieję...*, tłum. AMM, [http://laboratorium.wiez.pl/teksty.php?wreszcie\\_moge\\_miec\\_nadzieje](http://laboratorium.wiez.pl/teksty.php?wreszcie_moge_miec_nadzieje), dostęp: 03.08.2015

Siewiereniak-Maciorowska Agnieszka, *Słowo po niedzieli: Więzy rodzinne są najsilniejsze*, <http://dziendobry.bialystok.pl/slowo-po-niedzieli-wiezy-rodzinne-sa-najsilniejsze>, dostęp: 03.08.2015

Skowrońska Małgorzata, Białous Maciej, Sztop-Rutkowska Katarzyna, Poniat Radosław, Frąckiewicz Karolina, *Spacer po utartych ścieżkach. O spotkaniach białostoczan z kulturą*, Białystok: Soclab, 2014

Sobieszczak Piotr, *Łapy. Miasto przy kolei*, Łapy: Miasto i Gmina Łapy, 2013

*Spotkanie z Leszkiem Żebrowskim*, 01.12.2013, Niezależne Media Podlasia, <https://www.youtube.com/watch?v=7HCa9cuIHvk>, dostęp: 03.09.2015

Szczygieł Mariusz, Staszewski Wojciech, *Usta są zawsze gorące*, „Gazeta Wyborcza”, 06.05.1995

Sztop-Rutkowska Katarzyna, *Folderowa wielokulturowość. Wykopmy rasizm z Białegostoku*, „Gazeta Wyborcza Białystok”, 14.06.2013

Szymański Wiesław, *Zabrali mi imię*, Polskie Radio Białystok, <http://www.radio.bialystok.pl/reportaz/index/id/9847>, dostęp: 03.08.2015

Truskołaski Tadeusz, *Nie lubię marnować czasu*, rozmawiał Marcin Rębacz, Poznań: Wydawnictwo Gajdziński Brand, 2014

Więcko Wojciech, *Atak neofaszystów na pomnik w Jedwabnem*, „Gazeta Wyborcza Białystok”, 31.08.2011

Wiśniewski Tomasz, *Ciemnota jest wszędzie*, „Gazeta Wyborcza Białystok”, 20.02.2009

Wiśniewski Tomasz, *Pierwsze nogi Drugiej Rzeczypospolitej*, „Gazeta Wyborcza Białystok”, 23.01.2009

Wiśniewski Tomasz, *Wczoraj dla jutra*, „Gazeta Wyborcza Białystok”, 23.01.2009

Wiśniewski Tomasz, Romaniuk Zbigniew, *Zaczęło się na Zielonej. O Ludwiku Zamenhofie, jego rodzinie i początkach esperanta*, Łódź: Dom Wydawniczy Księży Młyn, 2009

*Wokół socjologii wielokulturowości*, red. Andrzej Sadowski, Małgorzata Bieńkowska-Ptasznik, Białystok: Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku, 2011

Wróbel Wiesław, *Nie od razu pomnik zbudowano*, Białystok: Centrum Ludwika Zamenhofa, 2013

Żelazny Walter, *Ludwik Zamenhof. Życie i dzieło. Recepcja i reminiscencje. Wybór pism i listów*, Kraków: Nomos, 2012

# Przypisy

[1] Fragment wiersza *Urzędnicy Pana B.* Magdaleny Czapińskiej, wykonywany w piosence do muzyki Włodzimierza Korcza w kabarecie Olgi Lipińskiej.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.  
www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice  
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75  
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl  
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl, edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa  
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa,  
tel./fax +48 22 621 10 48  
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl  
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl  
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl  
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków, tel. +48 12 432 08 52,  
info@d2d.pl

Wołowiec 2015  
Wydanie I